



Uroczy debiut literacki podkreślający siłę prostych przyjemności, dobrego jedzenia i miłości... Opowieść o zmianie priorytetów i nowych początkach to wspaniała lektura na plażę.

Stephanie Turza, *Booklist*

Mary
Simses

Apetyt
na
życie

Prószyński i S-ka

Mary
Simses

Apetyt
na
życie

Przełożyła
Hanna Pasierska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

The IRRESISTIBLE BLUEBERRY BAKESHOP & CAFÉ

Copyright © 2013 by Mary Simses

This edition published by arrangement with Little, Brown, and company,
New York,

New York, USA.

All rights reserved

Projekt okładki

Agencja Interaktywna Studio Kreacji

www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce

© Mark Owen/Trevillion Images

Redaktor prowadzący

Joanna Maciuk

Redakcja

Lucyna Łuczyńska

Korekta

Katarzyna Kusoje

Marianna Chałupczak

ISBN 978-83-8097-633-7

Warszawa 2016

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Dla Boba i Morgan

oraz pamięci Ann i Johna

Rozdział 1

Chłodne powitanie

– Stój, to niebezpieczne!

Usłyszałam czyjś krzyk, lecz za późno. Pomost ugiął się i załamał pode mną. Deski popękały w drzazgi, przegniłe drewno trzasnęło i runęłam trzy metry w głąb lodowatego oceanu u wybrzeża Maine.

Możliwe, iż przez ułamek sekundy mignął mi mężczyz-na, który zauważywszy, że wchodzę na pomost, wołał, żebym się zatrzymała. Gdybym tylko przesunęła spojrzenie o dwadzieścia stopni w prawo, zobaczyłabym go, gdy biegł przez plażę, machając rękami. Ja jednak wpatrywałam się w wizjer nikona, robiłam zbliżenie czegoś na wodzie – posągu kobiety w marszczonej sukni, trzymającej, jak się zdaje, cebrzyk winogron.

Rozpaczliwie próbowałam wypłynąć na powierzchnię, przebierałam bezładnie rękami i nogami, serce mi waliło w piersi i szczękałam zębami w lodowatej wodzie, czując, że silny, bystry prąd obraca mną, odciąga od pomostu. Kaszląc, wynurzyłam się; ocean wokół był wzburzony, spieniony, pełen piasku. Dryfowałam coraz dalej od pomostu i plaży; fale zalewały mi usta i nos słoną wodą. Ramiona i nogi drętwiały, nie mogłam opanować dreszczy. Jak to możliwe, by ocean był tak zimny w czerwcu?

Spróbowałam popłynąć na przekór prądowi kraulem, pracowałam nogami jak najmocniej i rozgarniałam wodę, aż bolały mnie kończyny. Lecz bystry prąd wciąż mnie spychał na głębiej.

Za czasów Exeter byłaś niezłą pływaczką, przypominałam samej sobie. Dasz radę dopłynąć do brzegu. Ale cichy głosik rozsądku na próżno starał się brzmieć przekonująco. Panika przeniknęła mnie po czubki palców u rąk i nóg. Coś się zmieniło przez lata, które upłynęły od tamtej pory. Zbyt wiele czasu zmarnowałam na siedzeniu przy biurku i łamaniu sobie głowy nad procesami sądowymi oraz przejęciami zamiast na trenowaniu stylu motylkowego.

Prąd, który mnie porwał, nagle zniknął. Otaczały mnie pagórki czarnej wody i pienne grzywacze. Miałam przed sobą otwarty ocean, ciemny i bezkresny. Odwróciłam się i nie widziałam nic prócz następnych wodnych wzniesień. Gdy uniosłam się na grzbiecie fali, ukazały się pomost oraz plaża, odległe i maleńkie. Znowu popłynęłam kraulem, zmierzając do brzegu – oddech, ruch, oddech, ruch. Poruszałam się z trudem i własne nogi wydawały się bardzo ciężkie. Nie chciały dłużej kopać. Ogarniało mnie coraz większe znużenie.

Zaprzestałam wysiłków i zawisłam pionowo w miejscu; byłam zmęczona,

zbierało mi się na płacz. Poczułam piekący ból w podbródku, a kiedy dotknęłam twarzy, zobaczyłam na palcach krew. Czymś się skaleczyłam, zapewne podczas upadku.

Upadek. Nie wiedziałam nawet, jak do niego doszło. Chciałam tylko zobaczyć miasteczko z wody, tak jak musiała je widywać babcia, ona dorastała tutaj w latach czterdziestych ubiegłego wieku. Przeszłam przez plażę, otwierałam furtkę i weszłam na pomost. Brakowało niektórych desek i poręczy, ale wszystko zdawało się w porządku, póki nie stanęłam na desce, która zdała się odrobinę zbyt miękka. Niemal poczułam znowu, jak spadam bezwładnie.

Fala chlasnęła mnie po twarzy, zakrztusiłam się, połykając haust wody. Czulałam, jak nikon okręca się i obija o moje ciało, wisiał mi na szyi niczym kamień ciągnący na dno. Nie było mowy, żeby aparat dało się naprawić. Wiedziałam o tym. Drżącą ręką przełożyłam pasek nad głową.

Mignęło mi w pamięci wspomnienie ostatnich urodzin – kolacja w May Fair Kitchen w Londynie; Hayden, mój narzeczony, wręczył mi pudełko w srebrnym papierze oraz kartkę z życzeniami: „Szczęśliwych trzydziestych piątych urodzin, Ellen – mam nadzieję, że ten drobiazg odda sprawiedliwość Twojemu nadzwyczajnemu talentowi”. W pudełku był nikon.

Otworzyłam dłoń i pasek wyslizgnął mi się z palców. Patrzyłam, jak aparat znika w mroku; z bólem serca wyobraziłam go sobie na dnie oceanu.

Zdałam sobie sprawę, że nie uda mi się dotrzeć do brzegu. Jestem zbyt zmarznięta i zbyt zmęczona. Zamknęłam oczy, pozwalając się ogarnąć ciemności. Ze wszystkich stron dobiegał szum oceanu. Pomyślałam o mamie, to okropne, że nie zobaczę jej już nigdy. Jak sobie poradzi z podwójną stratą w odstępie niespełna tygodnia – najpierw śmierć mojej babci, a potem moja?

Pomyślałam też o Haydenie; dziś rano przed wyjazdem zapewniałam, że zostanę w Beacon tylko na jedną noc, najwyżej dwie. Prosił, bym zaczekała tydzień, będzie mógł pojechać ze mną. Odmówiłam; to miał być krótki wypad. Nic wielkiego. Jest wtorek, oznajmiłam. Jutro będę z powrotem na Manhattanie. A teraz, zaledwie trzy miesiące przed ślubem, dowie się, że nie wrócę.

Moje ciało poddało się, uległam ruchom wody; poczułam spokój i odprężenie. Przemknęła mi wizja babci w ogrodzie różanym; trzymała w dłoni sekator. Mówiąc coś do mnie, uśmiechała się.

Wzdrygnęłam się i otworzyłam oczy. Ponad ciemnymi wzgórkami rozkołysanej wody widziałam pomost i coś – nie, kogoś – na jego końcu. Zobaczyłam, że mężczyzna skacze do wody. Wynurzył się i szybkim kraulem płynął w moją stronę. Jego ręce wystrzeliwały z fal.

Płynie po mnie, pomyślałam. Dzięki Bogu, płynie po mnie. Jest tu ktoś jeszcze, kto chce mi pomóc. Poczułam, jak maleńka iskra w mojej piersi zaczyna pulsować ciepłem. Zmusiłam nogi do większego wysiłku i mięśnie zaczęły wracać

do życia. Uniosłam rękę, próbując dać znak, by mężczyzna mógł mnie dostrzec.

Obserwowałam, jak się zbliża; zęby mi szczękały, z trudem mogłam oddychać. Chyba nigdy nie widziałam tak dobrego pływaka. Rozgarniał fale jak nieistotne wątpliwości. Znalazł się już na tyle blisko, że mogłam go usłyszeć. „Trzymaj się”, zawołał, dysząc ciężko, z poczerwieniałą twarzą i włosami przylepionymi do czaszki. Zanim do mnie dotarł, nogi odmówiły mi posłuszeństwa; unosiłam się na plecach.

– Poholuję cię – wychrypiał. Wziął kilka oddechów. – Rób, co każę, i nie chwytaj się mnie, bo oboje pójdziemy na dno.

Miałam dość rozumu, żeby się go nie ucześcić, chociaż dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak łatwo tonący człowiek może popełnić ten błąd. Kiwnęłam głową na znak, że rozumiem; kołysaliśmy się naprzeciw siebie, zanurzeni pionowo w wodzie. Spojrzałam na niego i zobaczyłam tylko oczy. Miał najbardziej niebieskie oczy na świecie – jasne, niemal lodowobłękitne, jak akwamaryny.

I nagle mimo całego wyczerpania poczułam wstyd. Nigdy nie umiałam przyjmować pomocy od obcych, a za sprawą dziwnego prawa odwróconych proporcji im bardziej sytuacja była ekstremalna, tym trudniej przychodziło mi zaakceptowanie wsparcia. Matka tłumaczyła, że powodem jest nasze jankeskie pochodzenie. Hayden twierdził, że to po prostu głupia duma.

Ja zaś wiedziałam tylko, że w tej chwili czuję się jak idiotka: dama w obierzy, która przez dziurę w pomoście wpadła do wody, dała się porwać prądowi i nie potrafi wrócić do brzegu; poradzić sobie samodzielnie.

– Zdołam... dopłynąć z powrotem – oświadczyłam drżącymi wargami, kiedy fala opryskała mi twarz. – Popłynę obok ciebie – dodałam, chociaż czułam, że nogi mam jak betonowe pustaki.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie. To zły pomysł. Prądy odpływowe.

– Byłam... w reprezentacji pływackiej – wyjąkałam, kiedy unieśliśmy się na fali. Chryptałam coraz bardziej. – W liceum. – Zakasłałam. – W Exeter. Doszliśmy... do eliminacji krajowych.

Znajdował się tak blisko, że musnął ręką moje udo.

– Teraz ja się zajmę płynięciem. – Wziął kilka głębokich oddechów. – Rób, co mówię. Jestem Roy.

– Ellen – sapnęłam.

– Połóż mi dłonie na ramionach – powiedział.

Miał szerokie ramiona. Wyglądało, że to efekt ciężkiej pracy, a nie treningów. Przyglądał mi się zmrużonymi oczami.

O nie, mowy nie ma, pomyślałam, poruszając w wodzie zdrętwiałymi rękami. Popłynę sama. Teraz, kiedy wiem, że ktoś przy mnie jest, dam radę.

– Dzięki – odparłam – ale poradzę sobie, jeśli tylko...

– Chwyć mnie za ramiona – powtórzył, podnosząc głos.

Usłuchałam.

– A teraz kładź się na plecach. Ramiona trzymaj wyprostowane. Rozłóż nogi i tak zostań. Ja będę płynął.

Znałam technikę transportu zmęczonego pływaka, ale nigdy nie byłam zmęczoną pływaczką. Odchyliłam się w tył i włosy rozłożyły się wokół mnie jak wachlarz. Poczułam na twarzy słaby promień słońca. Nasze ciała podskakiwały na falach unoszone w wodzie przez kolejne grzywacze.

Roy położył się na mnie; oplotłam go w biodrach nogami, jak mi polecił. Płynął odkrytym kraulem, pchając nas oboje. Odprężyłam się i uległam. Głowę miałam przyciśniętą do jego piersi. Zamknęłam oczy i poczułam mięśnie napinające się pod koszulą przy każdym jego ruchu. Nogi miał długie i silne, pracowały między moimi nogami niczym silniki łodzi. Pachniał solą i wodorostami.

Słyszałam każde pociągnięcie ramion rozcinających wodę i chłonełam ciepło jego ciała. Otworzywszy oczy, zauważyłam, że posuwamy się równolegle do brzegu. Zrozumiałam, co się stało. Zostałam porwana przez prąd odpływowy, lecz w panice nie zdawałam sobie z tego sprawy. Dlatego złamałam najważniejszą zasadę postępowania w takiej sytuacji: nie walcz; płyn równolegle do wybrzeża, aż wymiesz prąd, i wtedy skręć do brzegu.

Wkrótce zmieniliśmy kierunek, zmierzając w stronę plaży. Na brzegu mignęli mi jacyś ludzie. Jesteśmy prawie na miejscu, pomyślałam z ulgą. Nie mogłam się doczekać, kiedy poczuję grunt pod nogami; kiedy się upewnię, że przestałam dryfować pośród mroku.

Gdy zrobiło się na tyle płytko, by Roy mógł stanąć, objął mnie i przytrzymał, żebym nie straciła równowagi. Dyszał ciężko. Z wysokości, na jakiej znalazła się moja głowa, wywnioskowałam, że ma co najmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, dobrych dwadzieścia centymetrów więcej ode mnie.

– Dasz radę tutaj stanąć – stwierdził; z włosów kapą mu woda.

Odepchnęłam się od niego łagodnie, ujmując go za wyciągnięte ręce. Opadłam na dno; woda sięgała mi do piersi. Cudownie, że znowu miałam pod stopami piasek, znowu zakotwiczyłam się na twardym gruncie. Za moimi plecami ocean kłębił się i opadał w mrok, lecz zaledwie kilka kroków przede mną plaża iskrzyła się w popołudniowym słońcu niczym obietnica nowego życia. Odprężyłam się, w tej chwili nawet nie czułam zimna. Jedynie niezwykłą więź z otaczającym światem. Wciąż tu jestem, pomyślałam. Nic mi nie grozi. Żyję.

Zalała mnie fala upojenia; wybuchnęłam śmiechem. Puściłam dłonie Roya i zawirowałam: oszołomiona balerina w oceanie. Śmiałam się, obracałam w miejscu i machałam rękami; mężczyzna obserwował mnie ze zdumieniem. Być może uznał, że oszalałam. Nawet jeśli tak, nie miało to znaczenia. Wróciłam

z pustki otwartego oceanu na twardy grunt i nic na całym świecie nie wydawało się tak wspaniałe, jak ta chwila.

Przysunęłam się do mężczyzny i spojrzałam mu w oczy. A potem zarzuciłam mu ręce na szyję i go pocałowałam. Był to pocałunek za uratowanie mi życia, zrodzony w zakamarku mojej duszy, o którego istnieniu sama nie wiedziałam. I Roy go odwzajemnił. Jego ciepłe wargi smakowały morzem, silne i pewne ramiona trzymały mnie mocno, jakbyśmy mogli utonąć oboje. Niczego nie pragnęłam bardziej, niż poddać się temu uściskowi. W tym samym momencie uświadomiłam sobie jednak, co zrobiłam, i cofnęłam się błyskawicznie.

– Przepraszam – sapnęłam, zauważając, że wszyscy się na nas gapią. – Ja... muszę iść.

Odwróciłam się i najszybciej, jak się dało, brnęłam przez wodę w stronę plaży. Drżałam w przemoczonym ubraniu, oczy piekły mnie od soli, a skrępowanie, jakie czułam jeszcze przed paroma chwilami, było niczym w porównaniu z tym, czego doświadczałam teraz. Nie wiedziałam, co mnie napadło; co mnie opętało, by go pocałować!

– Ellen, zaczekaj! – zawołał, zrównawszy się ze mną.

Próbował mnie złapać za rękę, ale się wywinęłam i maszerowałam dalej. Udawaj, że to się nigdy nie zdarzyło, nakazałam sobie w duchu. To się nigdy nie zdarzyło.

Plażą podbiegli dwaj mężczyźni w niebieskich dżinsach. Jeden nosił żółty T-shirt, drugi miał na głowie bejsbolówkę z logo Red Soxów i pas narzędziowy z poziomką, która objęła mu się o biodro, kiedy wbiegał do wody.

– Roy, nic ci nie jest? Jej też nie? – spytał ten w żółtym podkoszulku, pomagając mi wyjść na brzeg.

– Myślę, że wszystko z nią okej – odparł Roy, idąc przez wodę w dżinsach oblepiających mu nogi.

Kibic Red Soxów objął mnie ramieniem i pomógł wyjść na piasek.

– Wszystko w porządku, proszę pani?

Próbowałam kiwnąć głową, ale dygotałam tak mocno, że moja głowa chyba wcale się nie poruszyła.

– Zimno – mruknęłam, szcękając zębami.

Ogolony na zero, krzepki brodac z pasem narzędziowym trzymał brązową skórzaną kurtkę. Narzucił mi ją na ramiona i zasunął zamek. Kurtka miała grubą, przyjemną w dotyku podszewkę, jak polarowy koc. Czułam wdzięczność.

Ten w żółtym T-shircie spytał:

– Wezwać pogotowie? Żeby panią zabrali do szpitala w Calvert albo coś? Dotrą tu raz-dwa.

Nie miałam pojęcia, gdzie leży Calvert, ale ostatnie, na czym mi zależało, to wylądowanie w szpitalu, którego personel zapewne będzie chciał zadzwonić do

mojej matki (niedobrze) albo do Haydena (jeszcze gorzej).

– Proszę – jęknęłam, dygocząc. – Chcę się tylko stąd wydostać.

Roy zbliżył się do mnie.

– Zawiozę cię do domu.

O, nie. Czułam, jak policzki czerwienieją mi z zawstydzienia. Musi mnie podrzucić ktoś inny. Nie mogę pojechać z nim. Spojrzałam na pozostałych mężczyzn, ale obaj milczeli.

– Śmiało – ponaglił, dotykając mojego ramienia.

Szybkim krokiem ruszyłam po piasku. Dogonił mnie i szliśmy w milczeniu. Dotarliśmy na przeciwny skraj plaży, gdzie stał pomost i gdzie budowano dom. Na dachu trzech mężczyźni przybijali gonty. Roy poprowadził mnie na gruntowy parking przed budynkiem; otworzył drzwi niebieskiej furgonetki Forda.

– Przepraszam za bałagan – powiedział, zgarniając z przedniego siedzenia skrzynkę z narzędziami, taśmę mierniczą, poziomnicę i kilka ołówków. – Narzędzia ciesielskiego fachu.

Kiedy usiadłam, z mojego ubrania pocięła woda, a na gumowej wycieracze utworzyła się kałuża. Spojrzałam na swoje stopy pokryte warstewką piasku.

– Nie wiem, jak to się stało – odezwałam się ściszym głosem. – W jednej chwili stałam na pomoście, a w następnej...

Zadrzałam i podciągnęłam kołnierz kurtki pod szyję.

Roy przekręcił klucz; silnik zakaszłał, zakrztusił się i zapalił.

– Nie pochodzisz stąd, prawda? – spytał.

Wskaźniki na desce rozdzielczej obudziły się do życia, radio zabłyśło ciepłym, żółtym światłem.

Pokręciłam głową i mruknęłam:

– Nie.

– Prądy odpływowe bywają tu naprawdę paskudne – mówił. – A pomost jest w kiepskim stanie. Całe szczęście, że cię zobaczyłem.

Zamknęłam oczy, by odsunąć od siebie wspomnienie prądu i pomostu, ale jeszcze bardziej wspomnienie pocałunku. Przepłynął mi w pamięci obraz Haydena – jego życzliwy uśmiech, pasmo blond włosów zawsze opadające mu na czoło, nieznaczne mrugnięcie, które mi posyłał, kiedy coś mu się spodobało; jego łagodne, brązowe, ufne oczy... Nigdy nie będę mu mogła powiedzieć, co się wydarzyło.

– Tak, całe szczęście – powtórzyłam.

Roy spojrzął na mnie i zauważyłam na jego czole parę drobnych zmarszczek. Brwi miał ciemne, ale widniało w nich kilka siwych włosków.

– Dziękuję – powiedziałam. – Za uratowanie.

Zerknął przez tylną szybę i wrzucił wsteczny.

– Jasne. – Kiwnął głową, przełączył na pierwszy bieg, a potem podjechał na skraj parkingu, do drogi. Czekaliś-my chwilę, aż przejadą samochody. Zabębnił palcami o kierownicę.

– Byłeś naprawdę niesamowity wtedy w wodzie. Gdzie się nauczyłeś tak pływać? – spytałam, przerywając niezręczne milczenie.

Uniósł brwi.

– To prawdziwy komplement ze strony zawodniczki... Eliminacje krajowe, tak?

Wiedziałam, że ironizuje, ale na jego twarzy dostrzegłam cień uśmiechu.

– Och... To było jakiś czas temu – przyznałam, obserwując drobne kropelki spadające mu z włosów na koszulę.

Włosy miał gęste i ciemne, kręcone, z kilkoma pasmami siwizny, co tylko dodawało mu atrakcyjności. Mimo woli zastanowiłam się, jak by wyglądał w garniturze.

– Więc... byłeś ratownikiem? – zagadnęłam.

Wyjechał na szosę.

– Nie.

– Czyli nauczyłeś się pływać...

– Tak jakoś. – Wzruszył ramionami i sięgnął, by włączyć grzejnik. – Gdzie się zatrzymałaś?

„Tak jakoś”? Zastanawiałam się, jakim cudem „tak jakoś” można zostać znakomitym pływakiem. Przysunęłam dłoń do nawiewu ciepłego powietrza. Gdyby Roy potrenował, mógłby pewnie wystartować w olimpiadzie.

– Gdzie mieszkasz? – spytał.

– W Victory Inn – wyjaśniłam, zauważając malutką bliznę na jego nosie tuż poniżej lewego oka.

Kiwnął głową.

– U Pauli. I zostaniesz w miasteczku... jak długo?

– Niedługo – odpowiedziałam. – Bardzo niedługo.

– Cóż, powinnaś komuś pokazać to rozcięcie.

– Jakie rozcięcie? – Opuściłam osłonę, ale lusterka nie było.

Wskazał moją twarz.

– Na brodzie.

Dotknęłam podbródka. Na palcach zobaczyłam krew.

Zatrzymał samochód i włączył kierunkowskaz.

– Przydałoby się kilka szwów. Znam jednego lekarza w North Haddam; mógłbym cię podrzucić...

Poczułam napływającą do twarzy falę gorąca, wiedziałam, że policzki mam jaskrawoczerwone.

– Nie, nie. To niepotrzebne, naprawdę.

Myśl, że powiezie mnie do innego miasteczka do doktora, wydawała się... Cóż, z jakiegoś powodu wytrąciła mnie z równowagi. Nie zamierzałam się zgadzać.

– To żaden kłopot – zapewnił. Uśmiechnął się i zauważyłam, że ma dołki w policzkach. – Chodziłem z gościem do szkoły i na pewno...

– Posłuchaj – odparłam z zarumienioną twarzą, unosząc ręce na znak protestu. – Naprawdę jestem ci wdzięczna za pomoc, ale może będzie najlepiej, jeśli wysiądę tutaj i wrócę piechotą. To niedaleko, a zabrałam ci już za dużo czasu.

Niewielkie zmarszczki na jego czole się pogłębiły.

– Nigdzie nie pójdziesz – oświadczył, czekając, aż minie nas inny wóz. – Nie chciałem się narzucać – dodał. – Tylko pomyślałem, że lekarz powinien to obejrzeć.

Dotknął mojego policzka i uniósł mi głowę, by lepiej widzieć ranę. Poczułam dreszcz.

– To nic – zapewniłam, prostując się jak struna. – Ja... jutro wyjeżdżam – wykrztusiłam – i... po powrocie pójde do swojego lekarza na Manhattanie.

Znowu wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. – Skręcił w lewo do Victory Inn.

Spojrzałam przez okno, zastanawiając się, czy wspomnieć o pocałunku. Przeprosić? Nie chciałam przecież, by pomyślał, że... Nie chciałam, żeby sobie pomyślał cokolwiek.

– Przepraszam za to, co się stało – powiedziałam.

Zerknął zdziwiony.

– Nie musisz przeproszać. Prądy odpływowe są niebezpieczne. Łatwo wpaść w tarapaty...

– Nie, nie chodziło mi o prąd – wyjaśniłam, kiedy się zatrzymał przy krawężniku przed hotelikiem. – Tylko o tamto...

Nie mogło mi to przejść przez usta.

Przesunął dźwignię sprzęgła na pozycję „P”, rozsiadł się na fotelu i pogładził kierownicę.

– Nie przejmuj się. – Wzruszył ramionami. – To był tylko całus.

Jeśli miało mi to poprawić humor, skutek okazał się wręcz przeciwny. Poczułam się dotknięta; pocałunek, jak widać, nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

– Wiesz – wyrzuciłam gwałtownie – mieszkańcy Maine powinni utrzymywać swoje pomosty w lepszym stanie. – Zabrzmiało to ostro, ale nie potrafiłam się opanować. – Mogłam się poważnie zranić, spadając przez dziurę w tym czymś.

Spojrzał na mnie zaskoczony. Po chwili odpowiedział:

– Cieszę się, że się nie zraniłaś... Taka utalentowana pływaczka. I cieszę się, że byłem na miejscu, by cię uratować.

Opuścił osłonę, bo popołudniowe słońce zalało samochód złotym blaskiem.

Pomyślałam, że znowu sobie ze mnie pokpiwa, ale na jego twarzy dostrzegłam wyraz powagi.

– Oczywiście – dodał i się uśmiechnął – jedno mieszkańcom Maine trzeba przyznać: umieją czytać. Gdybyś przeczytała informację na tablicy...

O czym on mówił? Co niby czytają mieszkańcy Maine? Jaka tablica?

– Jasne, że umiem czytać – wycedziłam, czując, że już jestem w defensywie i nie umiem opanować ostrego tonu. – Studiowałam cztery lata w szkole policealnej, a potem jeszcze trzy na wydziale prawa. Sporo się naczytałam.

– Wydział prawa. – Skinął wolno głową, jakby właśnie coś zrozumiał.

– Owszem, wydział prawa – potwierdziłam dobitnie, zerkając na niego z ukosa.

Miał popołudniowy zarost, który mogłabym uznać za atrakcyjny – w innych okolicznościach, w czasach, kiedy byłam singielką. Lecz w tym momencie ten męczyzna działał mi na nerwy.

– Zatem jesteś prawniczką.

– Tak – burknęłam.

– A jakiego rodzaju prawo... praktykujesz?

– Zajmuję się nieruchomościami komercyjnymi.

– Ach. – Podrapał się po podbródku. – Znaczy, że sporo wiesz o bezprawnych wtargnięciach?

Naturalnie coś o nich wiedziałam, choć nie była to dziedzina, z którą miałam wiele do czynienia.

– Owszem – oświadczyłam, prostując się na fotelu. – Wiem wszystko o bezprawnych wtargnięciach. Jestem w kancelarii ekspertem od prawa dotyczącego wtargnięć. Obsługuję wszystkie tego rodzaju przypadki.

Naprzeciw nas zatrzymała się jakaś toyota i Roy dał znak kierowcy, żeby przejechał.

– Ekspertka od wtargnięć. – Uniósł brwi. – Trzeba w tym celu robić dodatkową specjalizację?

Dodatkową specjalizację? Niedorzeczne pytanie.

– Nie, nie trzeba... – Urwałam, bo błysk w jego oku zdradzał, że się ze mnie podśmiewa.

– Okej. Więc biorąc pod uwagę twoje wykształcenie, liczne lektury oraz fakt, że jesteś ekspertką od wtargnięć i tak dalej, czemu nie przeczytałaś tabliczki NIE WCHODZIĆ przy pomoście? A jeśli przeczytałaś, dlaczego na niego weszłaś?

O jakiej tabliczce mówił i co to w ogóle było za przesłuchanie? Poczułam, jak po plecach spływa mi cienki strumyczek wody i przypomniałam sobie mgliście, że widziałam jakiś znak na plaży obok pomostu. Czy widniał tam napis NIE WCHODZIĆ? Niemożliwe, pomyślałam. W przeciwnym razie byłam

w poważnych tarapatach. Roy miał pełne prawo uważać mnie za totalną idiotkę.

– Nie widziałam żadnej tabliczki zakazującej wstępu – odparłam. – Nie było nic takiego. Przecież bym zauważyła.

Zdjął pasmo wodorostów z nogawki dzinsów i wyrzucił za okno.

– Może nie zauważyłaś, ale tabliczka tam jest. Obok trwa budowa domu. Prawdę mówiąc, pracuję na niej. A pomost i budynek znajdują się na terenie tej samej nieruchomości. Tablicę postawiono po to, żeby nikt się tam nie kręcił. – Zerknął na mnie. – Szczególnie po pomoście.

Spuściłam wzrok na swoje zapiaszczone stopy i otaczającą je kałużę. Raz jeszcze spróbowałam przypomnieć sobie pomost i plażę. Tak, widziałam tabliczkę. Białą z czarnymi literami. Jak brzmiał napis? Och, Boże, chyba rzeczywiście NIE WCHODZIĆ. Zrobiło mi się niedobrze. Jak mogłam tak po prostu ją minąć w drodze na pomost? Ogarnęło mnie przerażenie. Jako pływaczka nie powinnam dać się porwać prądowi odpływowemu, a jako prawniczka nie powinnam się dopuszczać nielegalnych wtargnięć. Odpięłam pas bezpieczeństwa z głośnym trzaśnięciem. Nie powiem o tym Royowi. Nigdy się nie przyznam, co zrobiłam.

– Wiesz co? – rzuciłam świadoma, że głos mi drży i że właśnie w tym momencie podskoczył w górę o pełną oktawę. – Powinieneś powiedzieć właścicielowi, żeby utrzymywał swoją nieruchomość w lepszym stanie. – Ścisnęło mnie w gardle na wspomnienie tego, jak załamał się pode mną pomost. – Ma szczęście, że się nie zraniłam. – Zrobiłam pauzę. – Albo nie zginęłam. – Pogroziłam mężczyźnie palcem. – Kogoś można pociągnąć do odpowiedzialności. Pomost należy rozebrać.

Ale usłyszał, pomyślałam nie bez dumy i w tym samym momencie grudka piasku wysunęła mi się z włosów i spadła na kolana.

Wyraz twarzy Roya prawie się nie zmienił, ale w oczach i w kąciку ust znowu dojrzałam ślady zdradzające, że sytuacja go bawi. Zebrałam piasek z szortów i strząsnęłam na podłogę.

Mężczyzna zerknął w ślad za nim, a potem znowu na mnie.

– Pomost zostanie rozebrany. Dlatego właśnie postawiono bramkę.

– Nie była zaryglowana – zauważyłam; skaleczona broda zaczynała mnie mocno szczypać.

– Powinna być.

– Owszem, ale nie była. Inaczej jakbym się tam dostała?

Wyglądało, że chce coś powiedzieć, lecz nie dałam mu dojść do słowa.

– I jeszcze jedno. Może powinieneś powiedzieć właścicielowi, by postawił tabliczkę na pomoście, a nie pośrodku plaży.

Świetny argument, pochwaliłam siebie w duchu. Powinien ją postawić tam, gdzie to ma sens. Roy zwrócił się w moją stronę i tym razem nie było wątpliwości. Uśmiechał się – nieznacznym, ironicznym uśmieszkiem, a ja poczułam się jak

mysz siedząca przed kotem.

– Więc widziałaś tabliczkę.

O mój Boże. Wpadłam we własne sidła! Ten facet był okropny, wstrętny, niezdolny! Zapiekły mnie oczy i wiedziałam, że zaraz się rozpłaczę. Nie mogłam dopuścić, by to zobaczył. Otworzyłam drzwiczki samochodu i wyskoczyłam, zostawiwszy za sobą ociekający wodą fotel.

– Dzięki za podwiezienie – rzuciłam energicznie, żeby powstrzymać łzy.

Zatrzasnęłam drzwi i ruszyłam ścieżką do wejścia hoteliku. I wtedy usłyszałam, jak Roy mnie woła.

– Ellen! Hej, Ellen!

Wychylał się przez okno po stronie pasażera. Jego głos brzmiał poważnie, taki sam wyraz miały oczy. Ani śladu błysku, który zauważyłam, kiedy się ze mną drażnił. W porządku, pomyślałam. Niech zrzuci, co mu leży na wątrobie. Podeszłam do wozu.

– Pomyślałem tylko, że może cię to zainteresować – zaczął. – W sklepie żeglarskim w Bennett jest wyprzedaż. – Teraz pojawił się uśmiech i zobaczyłam, jak w oczach mężczyzny zapalają się światełka. – Przecenili o trzydzieści procent kamizelki ratunkowe.

Rozdział 2

List

Mokra, wyczerpana i upokorzona wspierałam się po stopniach Victory Inn. Uchyliłam odrobinę drzwi i zajrzałam do holu. Paula Victory, właścicielka, siedziała przy biurku za wysokim drewnianym kontuarem, zwrócona do mnie plecami. Podśpiewywała coś cicho. Marzyłam jedynie, żeby pobiec na górę do swojego numeru, wziąć gorący, parujący prysznic i zapomnieć o pomocy, oceanie oraz Royu. Nie chciałam, żeby Paula mnie zauważyła.

Ta kobieta potrafiła być wścibska, nawet niegrzeczna. Tego dnia, kiedy się meldowałam, gapiała się na mój pierścionek zaręczynowy. I miała czelność spytać, czy jest prawdziwy. Teraz pewnie chciałyby wiedzieć, czemu go zdjęłam. *Bo godzinę po przyjeździe do waszego miasteczka palce spuchły mi jak serdelki*, wyjaśniłabym. Już widziałam jej minę. Dzięki Bogu za sejf w pokoju, mój pierścionek firmy Van Cleef & Arpels jest tam bezpieczny, pomyślałam z ulgą.

Odetchnęłam głęboko i się schyliłam. Znacząc swój szlak kropelkami wody, przekradłam się obok kontuaru na przeciwny koniec holu. Masz szczęście, powiedziałam sobie w duchu, zdejmując z nogawki pasmo wodorostów. Świetnie potrafiłam sobie wyobrazić Paulę, jak wypytuje, czemu jestem przemoczona do nitki, do kogo należał samochód, którego drzwiczki zatrzasnęłam, i w ogóle co właściwie kobieta z Nowego Jorku robi tutaj, w Beacon.

W drodze z recepcji do holu usłyszałam za sobą głos:

– Zapomniała pani kostiumu kąpielowego, pani Branford?

Nie zatrzymałam się i nie odpowiedziałam. Wspierałam się na drugie piętro, pokonując po dwa stopnie naraz, i żałowałam, że nie znajduję się w drodze do domu. Chciałam być w Nowym Jorku z Haydenem, zwinąć się obok niego na sofie i oglądać *Bezsenność w Seattle*. Chciałam przeczesać palcami jego gęstą czuprynę i przesunąć dłonią po świeżo wygolonej twarzy. Popijalibyśmy pétруса i jedli jakieś danie na wynos z San Tropez, naszego ulubionego maleńkiego bistro przy Wschodniej Sześćdziesiątej Ulicy. Tymczasem byłam mokra, zmarznięta i tutaj.

Hayden miał rację. Wcale nie należało przyjeżdżać. Powinnam wysłać list babci pocztą, zamiast jechać taki kawał, by go dostarczyć osobiście. Albo przed wybraniem się w tę podróż odczekać trochę, aż dojdę do siebie. Od śmierci babci minął zaledwie tydzień. Byłyśmy sobie bardzo bliskie i wciąż nie otrząsnęłam się z szoku. Może dlatego nie zwróciłam uwagi na tabliczkę NIE WCHODZIĆ.

Z kieszeni szortów wyjęłam mokrą plecioną wstążkę z kluczem od pokoju. Otworzyłam drzwi i zawiesiłam skórzaną kurtkę na krześle w kącie. Potem zdjęłam

przemoczone ubranie i zawińłam się w ręcznik. Spojrzałam na zegarek – piętnaście po szóstej. Wzięłam komórkę z szafki nocnej i siedząc na krawędzi wanny, wystukałam numer Haydena. Usłyszałam dwa sygnały, a potem trzaśnięcie.

– Ellen?

Odetchnęłam z ulgą.

– Hayden.

– Próbowałem do ciebie dzwonić. Wszystko okej?

Mocno zacisnęłam powieki, żeby się nie rozplakać. Chciałam, by mnie przytulił. Chciałam poczuć wokół siebie jego ramiona.

– Wszystko w porządku – odparłam, słysząc drzenie własnego głosu.

– Gdzie byłaś całe popołudnie? Próbowałem cię złapać parę razy.

Pomyślałam o pękającym pomoście i nikonie na dnie oceanu, poruszonym przez prąd odpływowy. Pomyślałam o Royu i o tym, jak ze mną płynął. O pocałunku starałam się nie myśleć.

– Poszłam na spacer – powiedziałam z bolącym sercem.

– Doskonale. Pewnie tego potrzebowałaś po długiej jeździe samochodem. I jak pierwsze wrażenia z Maine? Jak ci się podoba Beacon?

Jak mi się podoba Beacon? Nie jestem pewna, czy rzeczywiście chciałbyś wiedzieć, pomyślałam. Mieliście rację oboje z mamą. Zły pomysł, żeby tu przyjeżdżać. Zobacz, co się już stało. Może to miejsce po prostu przynosi pecha. Może dlatego babcia je opuściła, kiedy tylko podrosła na tyle, że mogła wyjechać.

– Beacon? – powtórzyłam. – Pewnie jak mnóstwo innych małych miasteczek. – Wzięłam głęboki oddech. – Hayden, tak sobie pomyślałam... chyba miałaś rację co do tej wyprawy. Właściwie nic by się nie stało, gdybym po prostu wysłała list. Mogłabym wrócić do Nowego Jorku jeszcze dzisiaj wieczorem. Jeśli wyruszę...

– Co?! – Wydawał się zszokowany. – Ellen, dopiero dotarłaś na miejsce. Po co miałabyś wracać?

– Ale kiedy wyjeżdżałam dzisiaj rano, mówiłaś...

– Wiem, co mówiłem, skarbie, ale chciałem jedynie być... no wiesz, praktyczny. I niepokoiłem się, że będziesz prowadzić sama. Pomyślałem, że możesz się czuć samotna. Teraz za późno, żeby wyjeżdżać.

Tak, za późno. Chciało mi się płakać. Spojrzałam na okrągły, ręcznie robiony dywanik – jasnoniebieskie, czerwone i złote pasma przędzy tworzyły różę wiatrów.

– Chciałabym, żebyś tu był.

– Wiesz, że bym przyjechał – zapewnił – gdyby nie jutrzejsze zebranie z Petersonem.

Wiedziałam wszystko o zebraniu z Petersonem. Byliś-my z Haydenem nie tylko narzeczonymi, lecz również wspólnikami w tej samej firmie, chociaż on

pracował w dziale sporów sądowych.

– Posłuchaj – ciągnął. – Sama twierdziłaś, że babcia nie poprosiłaby cię o to, gdyby sprawa nie była naprawdę ważna.

Spojrzałam na oprawioną rycinę powyżej wieszaka na ręczniki – żaglowiec zmierzający o zmierzchu do portu.

– Wiem, ale mama mogła mieć słuszość, niewykluczone, że babcia pod koniec pewnie sama nie wiedziała, co mówi. Może majaczyła. Może sądziła, że Chet Cummings mieszka przy tej samej ulicy. Kto wie?

– Znasz swoją mamę, Ellen. Wiem, jak bardzo kochałaś babcię, i wiem, jakie to dla ciebie ważne, by przekazać list. Jestem z ciebie dumny.

Siedząc owinięta ręcznikiem na krawędzi wanny, przypomniałam sobie ostatni dzień życia babci. Zaledwie przed tygodniem gawędziłyśmy w jej salonie w Pine Point, miasteczku w stanie Connecticut, gdzie mieszkała od wielu lat i gdzie teraz została moja matka. W wyobraźni stanęła mi babcia, wyglądająca niezwykle elegancko, na jasnobłękitnej sofie, ze srebrnymi włosami, ułożonymi jak zawsze w kok spięty szpilkami na karku. Wiecznym piórem wpisywała hasła do krzyżówki w „Wall Street Journal”.

– Ellen, synonim słowa „wystarczający” na sześć liter? – spytała.

Odchyliłam się na krzesło i zastanowiłam się chwilę, odgryzając kęs mekintosza. Przez wykuszowe okno widziałam fragment łupkowego dziedzińca za domem, otoczonego przez ogród różany oraz trawnik, który opadał po zboczu do żelaznej bramy na przeciwnym końcu podjazdu. Kosiarki brzęczały w oddali jak leniwe pszczoły.

– „Mnóstwo”? – podsunęłam, odliczając litery na palcach. – Nie, to siedem.

Przez otwarte okno podmuch wiatru przyniósł zapach świeżo skoszonej trawy i różanych płatków.

Babcia mruknęła coś, a potem przekreśliła gazetę, żeby mi pokazać. Na sąsiedniej stronie widniała reklama ukazująca smukłą jak elf modelkę w czarnej, pudełkowatej sukience z lśniącego, marszczonego materiału.

– Wygląda jak worek na śmieci – orzekła babcia. – Co się stało z ubraniami w stylu Jackie Kennedy? Ona była kreatorką mody.

– Jackie Onassis – poprawiłam.

Machnęła ręką.

– Na zawsze pozostanie Jackie Kennedy. Nikt nie akceptował tego mężczyzny jako jej męża.

– Cóż, ona tak, babciu.

– Nonsens – prychnęła. – Co takiego w nim widziała? Miał pieniądze, ale nie był nawet przystojny. W przeciwieństwie do niej.

Wstałam z krzesła i przeniosłam się na sofę.

– Może był atrakcyjny na swój sposób – zauważyłam. – Pewnie czuła się

przy nim bezpieczna. W pewnym sensie stanowił namiastkę ojca. Ona miała za sobą przerażające doświadczenia.

– To nie powód, żeby wychodzić za męż. – Babcia pokręciła głową, mierząc mnie surowo zielonymi oczami.

Zabrała się do wypełniania krzyżówki.

– Aha – oznajmiła. – Właściwe słowo to obfity.

Zaczęła je wpisywać, ale kiedy doszła do „t”, przerwała. Jej ciało się wyprężyło, głowa odgięła na oparcie sofy. W kącikach zamkniętych oczu pojawiły się głębokie zmarszczki, jakby je mrużyła, usta miała zaciśnięte. Widziałam, że cierpi.

– Babciu? – Chwyciłam ją za rękę. – Wszystko w porządku? Co się dzieje?

Serce waliło mi jak szalone.

Wyprężyła się znowu; wyglądało, jakby skurcz objął całe jej ciało. Potem głowa opadła jej bezwładnie na pierś.

– Babciu! – krzyknęłam przerażona.

Mocniej ścisnęłam jej dłoń. Miałam wrażenie, że pokój się przechyla i wszystko odsuwa się ode mnie.

– Babciu, proszę – błagałam. – Powiedz, że dobrze się czujesz.

Zrobiło mi się niedobrze.

Po chwili wypowiedziała moje imię słabym, bezdźwięcznym głosem.

– Jestem tutaj – zapewniłam. – Jestem tu, babciu.

Skórę miała zimną. Pod powierzchnią wyczuwałam kruche kości.

– Wezwę karetkę.

– Ellen – szepnęła znowu.

Twarz miała bladą, oczy nadal zamknięte.

– Nic nie mów – przerwałam. – Wszystko będzie dobrze.

Nie wiem, kogo próbowałam przekonać – ją czy siebie.

Sięgnęłam po komórkę i wystukałam dziewięćset jednaście. Musiałam mocno naciskać klawisze, bo palce miałam jak z waty. Kazano mi dwa razy powtórzyć nazwę ulicy, chociaż nie jest skomplikowana: Hill Pond Lane. Chyba mówiłam za szybko. Następnie pobiegłam do kuchni i zawołałam do Lucy, gospodyni babci, żeby zadzwoniła po mamę do jachtklubu w Doverside, a potem poszła na koniec podjazdu i machnęła na karetkę, kiedy się zjawi.

Pobiegłam z powrotem do babci. Oczy miała półotwarte, ale nieruchome. Patrzyła na mnie. Naraz chwyciła mnie za nadgarstek z siłą, która mnie zaskoczyła, i przyciągnęła blisko do siebie. Moje ucho znalazło się przy jej policzku, poczułam zapach lawendowych perfum.

– Proszę. – Słowo było niewiele więcej niż tchnieniem. – List... napisałam. W sypialni. – Jej uścisk znowu stał się silniejszy. – Przekaż go... jemu... Ellen.

– Babciu, ja...

- Przekaż mu list. O...biecuj.
- Oczywiście – przyrzekłam. – Obiecuję. Zrobię wszystko, co...
Jej palce wypuściły moją rękę, z ust uleciał oddech. Znieruchomiła.

Tamtego wieczoru zabrałam się do szukania listu, zaczynając od nocnej szafki babci. W szufladzie znalazłam trzy pióra i blok czystego papieru, dwie pary okularów, paczkę cukierków Life Saver i egzemplarz *Stu lat samotności* Gabriela Garcíi Márqueza.

Przeszukałam jej biurko – zabytkowy mebel z drewna wiśniowego przywieziony z Paryża. Na blacie leżał śródowny numer „Pine Point Review”, lokalnego tygodnika. Otworzyłam jedyną szufladę pośrodku i znalazłam notes z adresami. Kartkowałam strony, czując przyływ otuchy i zarazem smutku na widok znajomego charakteru pisma babci. Listu nie było.

W garderobie przywitał mnie zapach lawendy. Na wieszakach tłoczyły się obok siebie kostiumy od Chanel i sukienki z wyprzedaży w supermarkecie. Na półkach piętrzyły się swetry w najrozmaitszych barwach, od brzoskwiniowej po żurawinową. Pogłodziłam jeden, w kolorze różowym. Kaszmir był miękki jak chmurka.

Na blacie wbudowanej toaletki stała kolekcja fotografii w srebrnych ramkach. Jedna ukazywała babcię i dziadka w dniu zakończenia studiów na wydziale medycznym Uniwersytetu Chicagowskiego. Stali przed kamiennym budynkiem z olbrzymim gotyckim łukiem. Unosząc lekko podbródek, patrzyła w obiektyw, a jej długą, łabędzią szyję otaczał sznur pereł. Dziadek obejmował babcię ramieniem i spoglądał na nią z promiennym uśmiechem.

W owalnej ramce zobaczyłam nasze wspólne zdjęcie w Alamo Square, parku przed domem dziadków w San Francisco. Skończyłam dziesięć lat, ona musiała mieć więc pięćdziesiąt pięć. Kiedy przyjrzałam się fotografii, uderzyło mnie, jak bardzo jesteśmy podobne. Miałyśmy takie same zielone oczy i długie, rudawe włosy, choć babcia upinała swoje do góry. Pamiętałam tamten dzień. Miałam aparat na ramieniu i jacyś turyści, uznawszy, że także zwiedzamy miasto, ofiarowali się zrobić nam zdjęcie. Stanęłyśmy uśmiechnięte przed wielką grządką czerwonych kwiatów, z żółtym domem babci widocznym w tle.

Odstawiłam fotografię na miejsce i nieśmiało zaczęłam otwierać szuflady toaletki, przekonując siebie, że wypełniam jej polecenie. Przetrzałam szufladę, gdzie gromadziła paragony, instrukcje obsługi dawno wyrzuconych urządzeń, spięte spinaczami pliki obcych banknotów pozostałych po zagranicznych podróżach, całe roczniki kartek urodzinowych i bożonarodzeniowych, które dostawała, oraz kopię oświadczenia kancelarii Winston Reid o mianowaniu mnie współnikiem. Listu nie było.

Wróciłam do sypialni i usiadłam na brzegu łóżka. Cokolwiek napisała, znajdowało się gdzie indziej. Może w ogóle nic nie napisała, pomyślałam. Może rzeczywiście pod koniec majaczyła.

Regały babci uginały się od powieści, biografii i rodzinnych portretów; zerknęłam na nie przez pokój, zastanawiając się, co robić dalej. Spojrzałam na obrazy na ścianach – krajobrazy i morskie pejzaże. Oprawiła nawet kilka fotografii, które zrobiłam jako nastolatka – z drewnem wyrzuconym przez fale i starymi tenisówkami.

Raz jeszcze odsunęłam szufladę szafki przy łóżku i spojrzałam na *Sto lat samotności*. Kiedy podnosiłam książkę, spomiędzy stron wysunęła się jasnobłękitna kartka. U góry strony wytłoczono inicjały babci – RGR. Ruth Goddard Ray. Poznałam jej charakter pisma – wysokie, rozciągnięte w pionie litery – kiedy spojrzałam na nazwisko adresata: Chet Cummings. Niżej widniał adres: „Dorset Lane 55, Beacon, Maine”. Wyglądało, że to brudnopis; na stronie roilo się od skreśleń i poprawek, ale wiedziałam, że znalazłam list.

Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam czytać.

Drogi Checie,

wiele razy myślałam, by do Ciebie napisać, ale zawsze się obawiałam. Chyba wyobrażałam sobie, że odeślesz list nieotwarty i znajdę go wśród innej poczty, z gapiącym się na mnie ostemplowanym znaczkiem i Twoją odręczną notką: „zwrócić do nadawcy”. Albo że go po prostu zignorujesz, wyrzucisz do śmieci wraz ze skórkami pomarańczy, fusami po kawie i wczorajszą gazetą, a ja nigdy się nie dowiem, co się stało. Tak czy inaczej, byłaby to poetycka sprawiedliwość, lecz ja nie czułam się na siłach stawić czoło tego rodzaju rozczarowaniu.

Być może skończenie osiemdziesiątki sprawiło, że poczułam nagłące pragnienie, by napisać do Ciebie wreszcie po sześćdziesięciu dwóch latach, i dodało mi odwagi do zmierzenia się z konsekwencjami, jakiegokolwiek się okażą. Przeżywszy osiem dekad, czuję, że pora załatwić sprawy, które zaniedbałam, i co ważniejsze, wynagrodzić Ci to, co zrobiłam.

Prawdę mówiąc, nie mogłam napisać wcześniej, bo dopiero niedawno dowiedziałam się, gdzie mieszkasz. Kiedy ostatni raz miałam o Tobie wieści, przebywałeś w Karolinie Południowej. Było to około piętnastu lat temu. I naraz pewnego dnia, w marcu tego roku odkryłam, że przeprowadziłeś się z powrotem do Beacon. Sprawdzalam w komputerze adres hodowcy róż z New Hampshire. Bez konkretnego celu wpisałam w wyszukiwarkę Twoje nazwisko, dodając „Beacon, Maine”. Inagle się pojawiłeś! Przy Dorset Lane. Nie zdołasz sobie wyobrazić mojego zdumienia. Znalazłam Cię jednym drobnym uderzeniem w klawisz. Gdy ujrzalam Twoje imię, tkwiłam przed komputerem co najmniej pół minuty ze

wstrzymanym oddechem.

Kolejne trzy miesiące zajęło mi podjęcie decyzji, by do Ciebie napisać. W tej chwili jednak przykładałam wreszcie pióro do papieru, by Ci powiedzieć, jak bardzo żałuję tego, co zaszło między nami, i prosić Cię o przebaczenie. Naprawdę Cię kochałam, Chet. Kochałam Ciebie i kochałam to, co dzieliliśmy ze sobą – marzenia o przyszłości, o wspólnym życiu w Beacon. Kiedy po Twoim przyjeździe do Chicago oświadczyłam, że już Cię nie kocham, kłamałam. Chyba próbowałam przekonać samą siebie, bo tak było prościej: zerwać całkowicie. Tak przynajmniej sądziłam w tamtym czasie. I wszystko, co zrobiłam od tamtej pory, zrobiłam właśnie z myślą o całkowitym zerwaniu.

Wiem, ile kosztowało Cię moje odejście, i nigdy sobie tego nie wybaczę. Gdybym Cię nie porzuciła, nie opuściłbyś Beacon i nie utraciłbyś tego, co znaczyło dla Ciebie tak wiele. Zawsze czułam się za tę stratę odpowiedzialna i bardzo przepraszam. Mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć.

Zachowałam wiele cudownych wspomnień z dni, które spędziliśmy razem. Byłabym bardzo szczęśliwa, wiedząc, że zachowałeś o mnie przynajmniej kilka dobrych wspomnień. Zastanawiam się, czy czasem wspominasz, jak siedzieliśmy pod dębem, słuchając grania cykad albo świerszczy w nocy. Albo to, jak lód pokrywał zimą krzewy borówkowe, nadając im wygląd niczym ze snu. Albo jak sprzedawaliśmy ciasta Twojej Mamy ze straganu przy szosie.

Do dziś wspominam Cię, zawsze gdy widzę borówki.

Z czułością

Ruth

Stałam w sypialni z listem w dłoni, zastanawiając się, dlaczego babcia napisała do człowieka, z którym nie rozmawiała ponad sześćdziesiąt lat. Chodziło o romans? Musiała mieć osiemnaście lat, była bardzo młoda. Odezwała się po tylu latach, by przeprosić, że go opuściła. Usiadłam na jej łóżku, dumając o Checie Cummingsie i o tym, co by sobie pomyślał, gdybym mu wręczyła ten kawałek papieru. Czy rzeczywiście był jej największą miłością? Romansowali w tajemnicy, o czym nigdy nie ośmieliła się wspomnieć?

Udrapowana w wilgotny ręcznik w łazience Victory Inn, wciąż z komórką przy uchu, zastanawiałam się, jak by wyglądało życie babci, gdyby poślubiła Cheta

Cummingsa. Nie miałyby domu w stylu angielskich Tudorów z sześcioma sypialniami ani różanego ogrodu, ani fontann, ani całych akrów trawnika, zielonych latem i pachnących bosko po skoszeniu. Mieszkałyby w Beacon. Urodziłaby tam moją mamę, która też by tam została, wyszła za męża i urodziła mnie. Dorastałabym na prowincji, w małym, odciętym od świata miasteczku, z dala od wszystkiego, co kocham. Nie potrafiłam sobie wyobrazić egzystencji bez ulubionych muzeów, klubów jazzowych i kawiarni na każdym rogu, bez Broadwayu, mostu Brooklińskiego. Życie bez tego wszystkiego wydawało się potwornie przygnębiające.

– Jesteś tam jeszcze? – spytał Hayden.

Przełożyłam aparat do drugiego ucha.

– Tak, przepraszam. Myślałam o babci. Zastanawiałam się, jak by to było, gdyby została w Beacon.

– Cóż, całe szczęście, że tego nie zrobiła – zauważył. – W przeciwnym razie mógłbym cię nigdy nie spotkać.

Kropla wody spadła mi z włosów i wylądowała na wardze. Poczułam smak soli.

– Aha – potwierdziłam. – Całe szczęście.

Zerknęłam na dywanik z różą wiatrów. Może powinnam odkryć tę część życia babci ze względu na nią. Jakbym pomagała jej wpisać ostatnie litery do krzyżówki.

– Pewnie masz rację, Haydenie – powiedziałam. – Trzeba zostać i dostarczyć list. Poprosiła mnie o to, a ja obiecałam. – Podciągnęłam kolana do piersi i objęłam je ramionami, tuląc komórkę do ucha. – Ale brakuje mi ciebie.

– Mnie ciebie też.

– Wrócę jutro wieczorem. Najpóźniej w czwartek.

– To idealnie, bo kolacja jest w piątek wieczorem, a chcę mieć przy boku tylko jedną osobę.

Nie mogłam opuścić tej imprezy. Organizacja o nazwie Wybitni Nowojorczyki miała uhonorować Haydena za liczne projekty *pro bono*, w jakie się angażował przez lata, od kierowania Koalicją dla Czytelnictwa po przeprowadzenie wielkiej kampanii na rzecz muzeum Guggenheima.

– Na pewno jutro wrócę. Za nic w świecie nie zrezygnowałabym z takiej imprezy.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie Haydena odbierającego nagrodę od burmistrza. Byłam ogromnie szczęśliwa, że został doceniony. Mogło mu to pomóc w przyszłorocznych wyborach do rady miejskiej, choć, prawdę mówiąc, nie potrzebował tego rodzaju wsparcia.

Jego ojciec, H.C. Croft, był starszym senatorem stanu Pensylwania i przewodniczącym senackiej komisji finansowej. Stryj Ron Croft – przez dwie

kadencji gubernatorem stanu Maryland, a kuzynka Cheryl Higgins – członkinią Izby Reprezentantów w legislaturze Rhode Island. Do tego wszystkiego cioteczna babka Haydena, Celia, w swoim czasie była sufrażystką. Polityka – obok stali, na której zbili fortunę – stanowiła specjalność rodziny i Croftowie mieli do niej naturalny talent. Znałam całkiem niezłe ojca i stryja Haydena; obaj byli czarujący, obdarzeni charyzmą, umieli przyciągnąć ludzi – czy brali udział w balu dobroczynnym, czy też wpadali z wizytą do sklepu żelaznego. Decyzja Haydena o kandydowaniu już wzbudziła szumek w mediach.

– Jestem z ciebie bardzo dumna, Haydenie – powiedziałam.

Posłałam mu całusa przez telefon.

Po rozłączeniu się stwierdziłam, że dzwoniła mama. Serce zatrzepotało mi niczym wyjęta z wody ryba. Nie mogłam teraz z mamą rozmawiać. Posiadała szósty zmysł i zawsze wyczuwała, jeśli spotkało mnie coś złego, a nie chciałam jej niepokoić opowieścią o tym, jak wpadłam do oceanu i omal nie utonęłam. No i z pewnością nie zamierzałam się zwierzać, że pocałowałam zupełnie nieznanego mężczyznę. Wystraszyłaby się bardzo i pewnie przyjechałaby prosto do Beacon. Dlatego postanowiłam jej wysłać esemesa. „Wszystko w porządku, uroczy hotelik, zadzwonię wkrótce. Całusy”. Okej, miałam nieczyste sumienie. I odrobinę przesadziłam. Sporo przesadziłam, ponieważ nic z tego nie było prawdą. Jutro wykombinuję, co jej powiedzieć.

Odkręciłam prysznic, żeby woda zrobiła się ciepła. Jutrzejszy dzień będzie lepszy, pod każdym względem. O dziesiątej czekała mnie telefoniczna konferencja, ale miała potrwać tylko godzinę, a zaraz potem śmignę do domu pana Cummingsa, odbędę z nim miłą pogawędkę, przekażę list i ruszę z powrotem na Manhattan. Dotrę do domu w samą porę, by wypić wódkę z tonikiem i zjeść kolację na tarasie, jeśli nie będzie za gorąco. Sama rozkosz.

Sprawdziłam temperaturę wody, była letnia. Paula uprzedziła o tym, kiedy pokazywała mi pokój. „Trwa trochę, zanim gorąca woda dotrze na górę z bojlera w piwnicy”, wyjaśniła, rozkładając ręce jakby dla zademonstrowania odległości.

Odczekałam kolejną minutę i wreszcie łazienkę wypełniła rozkoszna para. Stojąc na dywaniku z różą wiatrów, patrzyłam, jak litery N, S, E i W znikają w otaczającej mgle.

Weszłam pod prysznic i pozwoliłam, by gorąca woda spłynęła kaskadą po mojej głowie i plecach. Przeczesując palcami włosy, spłukiwałam z siebie lepka sól. Czułam się jak w niebie. Potem wylałam na głowę zawartość podróźnej buteleczki szamponu i zrobiwszy gęstą pianę, wdychałam z lubością czysty, kwiatowy zapach. Właśnie zamierzałam spłukać włosy, kiedy temperatura wody raptownie spadła. Trysnęła na mnie lodowatym strumieniem, a ja, dygocząc, przeklinałam Victory Inn, Beacon i cały stan Maine. A potem się rozpłakałam.

Rozdział 3

Medialna gorączka

Kiedy obudziłam się w półmrocznym pokoju, uznałam, że jestem z powrotem w naszym nowojorskim apartamencie, i to była chwila prawdziwego szczęścia. Potem jednak mój wzrok zaczął wyławiać z ciemności nieznajome kształty; czując w piersi tępy ból osamotnienia, przypominałam sobie, że to Beacon. Przypominałam sobie pomost, ocean, lodowatą wodę, skaczącego do niej mężczyznę i...

O mój Boże, pocałunek. Co ja sobie wyobrażałam? Odtworzyłam scenę w pamięci. Nic sobie nie wyobrażałam i na tym polegał problem. Stałam, patrząc na niego, a po chwili straciłam rozum. Czyżbym próbowała zapeszyć własny ślub? A może nie chciałam wychodzić za mąż? To zupełnie nie miało sensu. Oczywiście, że chciałam. Kochałam Haydena i pragnęłam zostać jego żoną. Byłam tego pewna.

Przewróciłam się na plecy i przetarłam oczy. Nie zamierzałam myśleć o tym więcej. Dzisiaj był nowy dzień, świeży początek, i na pewno okaże się dobry, bo dostarczę list napisany przez babcię. Spróbowałam sobie wyobrazić Cheta Cummingsa. Chodzi o lasce? Mieszka sam czy z opiekunką? Okaże się uroczy czy będzie starym zrzędą? Pamięta babcię?

Według zegarka na szafce nocnej było dopiero piętnaście po siódmej – za wcześnie na wizytę u osiemdziesięciolatka. Zgodnie z planem zamierzałam do niego wyruszyć zaraz po konferencji o dziesiątej.

Rozejrzałam się po pokoju, nie mogąc uwierzyć, że tu utknęłam. Moja sekretarka Brandy twierdziła, że zarezerwowała mi apartament z widokiem na ocean, ale ten, kto go tak nazwał, powinien wrócić do szkoły hotelarskiej. Była to ciasna klitka z drewnianą podłogą, plecionym chodnikiem i mahoniową toaletką, na której stał duży biały dzbanek w białej misce (antyk, oznajmiła z dumą Paula). Mahoniowe łóżko przykryte białą kapą. Nie było biurka ani stołu i tylko jedno niewygodne krzesło z listewkowym oparciem w rogu. Nie było minibaru. (Mini czego? – zdziwiła się Paula, kiedy zapytałam).

I co najgorsze, nie było widoku na ocean. Dwa okna wychodziły na frontowy trawnik, ulicę oraz inne domy. Wstałam i przetrząsnęłam aktówkę, szukając otrzymanego od Brandy potwierdzenia.

Victory Inn

Prescott Lane 37, Beacon, Maine

Apartament de luxe z widokiem na ocean
Dwie noce

„Apartament de luxe z widokiem na ocean”. No właśnie.

Odświeżyłam się i włożyłam spodnie oraz sweter. Następnie poszłam poszukać Pauli, by oświadczyć, że zaszła pomyłka, i poprosić o przeniesienie do właściwego pokoju. Sprawdziłam przy kontuarze, w holu i w jadalni, wreszcie znalazłam ją na podeście pierwszego piętra, plotkowała z pokojówką. Z trudem oderwałam oczy od jej spodni – żółtych w stada brązowych jamników.

– Paulo – zaczęłam. – Zdaje się, że zaszła pomyłka. Sekretarka zarezerwowała mi apartament de luxe z widokiem na ocean. – Podałam jej kartkę.
– Ale pokój, w którym mieszkam, jest... no cóż, nie widać z niego oceanu.

Wysunęła lekko dolną wargę, przyglądając się kartce.

– W którym pokoju pani mieszka?

– Numer dziesięć.

– Taki jest na drzwiach? – Wyjęła zza ucha ołówek i skrobała się po głowie końcówką zakończoną gumką.

– Tak.

– Czyli to numer ósmy.

Zdziwiłam się. Czyżby w hotelach Maine obowiązywał jakiś szczególny, nieznany mi system liczenia?

– Ale na drzwiach jest numer dziesięć.

Z powrotem wsunęła ołówek za ucho i oddała mi potwierdzenie.

– To pokój numer osiem – zapewniła radośnie. – Nasz apartament de luxe, najlepszy w hotelu, i widok na ocean też jest.

– Ale wyglądałam i nie zobaczyłam oceanu – odparłam, zastanawiając się, czy nie trafiłam przypadkiem do jakiegoś reality show i czy lada moment nie ukażą się producenci wraz z ekipą, rozbawieni sytuacją.

– Och, oceanu nie widać z pokoju – wyjaśniła Paula. – Musi pani wejść na dach.

– Nie rozumiem.

– Dach – powtórzyła tonem sugerującym, że powinno to być oczywiste. – Obok ściennej szafy są drzwi. Trzeba wejść po schodach na dach. Rozstawiliśmy tam kilka wygodnych krzeseł ogrodowych.

Krzeseł ogrodowych. Na dachu.

– W porządku, dajmy spokój widokom – ustąpiłam. Doszłam do wniosku, że znajdę lepszą kwaterę, może nawet w centrum miasteczka. – Mam jeszcze jedną sprawę. Chciałabym skorzystać z tutejszego centrum biznesowego, żeby coś wydrukować na telekonferencję o dziesiątej.

Ściągnęła usta i zerknęła na pokojówkę. Milczały obie.

– Potrzebuję drukarki – drażylałam. – Muszę przygotować dokument na...

Spojrzała tępo.

– Drukarka jest trochę zepsuta – powiedziała. – Papier czasem się zacina. – Zrobiła gest, jakby coś wykręcała. – Pewnie przez morską aurę. – Wymówiła to „auha”. – Ale może pani spróbować.

Trochę zepsuta. Odwróciłam się i wyjrzałam przez okrągłe okno na podeście. Jakaś para szła na parking na tyłach, ciągnąc walizki na kółkach. Szczęściarze, pomyślałam. Wyjeżdżają do domu.

– Ale dysponują państwo centrum biznesowym – zwróciłam się znowu do Pauli. – Moja sekretarka specjalnie o to pytała. Na pewno nie ma w nim działającej drukarki?

Nie mieściło mi się w głowie, że naprawdę odbywam tę rozmowę. Pewnie powinnam się zatrzymać w Ritz-Carltonie, w centrum miasta, z prawdziwą gorącą wodą i wi-fi w pokojach, ale Brandy uparła się, że tu będzie wygodniej.

Pokojówka uniosła brwi i poprawiła naręczce ręczników. Na jej szyi dostrzegłam brzeg tatuażu. Wyglądało to na papugę.

Paula gestem dała jej znak, by poszła z nami.

– Mamy tutaj... drukarkę, faks i komputer. Pokażę pani. – Poprowadziła mnie na parter, a potem do przedsionka.

Być może nie nazywali tego centrum biznesowym, ale przynajmniej posiadali sprzęt biurowy.

– Proszę bardzo.

Otworzyła drzwiczki za swoim biurkiem. W maleńkiej szafce stał stary komputer upchnięty na zakurzonej faksie. W głębi widać było monitor z lat osiemdziesiątych oraz drukarkę ze zwisającym bez życia kablem; postrzępione druty sterczały na wszystkie strony.

– To ma być centrum biznesowe?

Z pewnością żartowała. Ogarniała mnie bezsilna złość. Najpierw pokój, a teraz to. Napiszę skargę do organizacji konsumenckiej Better Business Bureau. To miejsce to jakaś pomyłka.

– Drukarka jest niesprawna – oświadczyłam.

Paula nachyliła się i wbiła w nią wzrok, jakby siłą woli mogła zmusić do działania.

– Och, chyba da się naprawić.

Zaniemówiłam. Spojrzałam na właścicielkę skrobiącą się po głowie ołówkiem, a potem odwróciłam się na pięcie i ruszyłam do wyjścia. Nie wiedziałam, dokąd zmierzam. Wiedziałam tylko, że muszę się stamtąd wydostać.

Poranne powietrze pachniało solą i odpływem; wzięłam kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Przystanąłam przy chodniku i popatrzyłam na hotelik, zastanawiając się, czemu, na litość boską, Brandy mnie w nim zakwaterowała. Cofnięty o jakichś piętnaście metrów od ulicy dwupiętrowy budynek, obity białym gontem z niebieskimi okiennicami, dwoma kominami i okalającym gankiem, stał obok szarego domu będącego siedzibą Towarzystwa Historycznego w Beacon. To miejsce mogłoby być urocze, pomyślałam, gdyby ktoś tylko je zmodernizował.

Przeszłam kilka przecznic i skręciłam w Paget Street, główną ulicę prowadzącą przez niewielkie centrum. Falo-chron po prawej odgradzał mnie od oceanu; grzywacze połyskiwały w słońcu. Młoda matka z dwoma małymi chłopcami siedziała na skraju falochronu, oglądali coś w wiaderku – małże albo kraby pustelniki. A może w wiaderku był tylko piasek. Żałowałam, że nie mam aparatu. Wyszłoby ładne zdjęcie.

Ruszyłam dalej, mijając stare, lecz dobrze utrzymane domy zaadaptowane do komercyjnego użytku, gdzie miały swoje siedziby Tindall & Griffin, Doradcy Prawni, agencja Nieruchomości Harborside oraz salon Magiczne Nożyce. Wypatrywałam hotelu albo podobnego miejsca, w którym mogłabym się zatrzymać, ale nic nie znalazłam. Kawałek dalej minęłam lokalny bank z ceglana fasadą spłowiałą na bladoróżowy kolor oraz niewielki, oszalowany na biało domeczek z szyldem „Zakład Krawiecki Franka”.

Ciekawe, które z tych domów były tutaj za czasów babci? Część z pewnością już stała. Czując przyływ szczęścia, zaczęłam ją sobie wyobrażać oglądającą te same widoki, biegającą po tej samej plaży. Przecież to jej miasteczko, miejsce, gdzie dorastała. Poczułam się, jakbym szła po jej śladach.

Minęłam przybytek o nazwie Antler, wyglądał na pub, sądząc po neonowej reklamie piwa Michelob w oknie. Dalej zobaczyłam Trzypensową Kafejkę, bielony ceglany budynek ze skrzynkami czerwonych pelargonii – wyciągały szyje, by złapać nieco chłodnego słońca Maine. Nagle zgłodniałam, ruszyłam w stronę kafejki.

W środku pachniało bułeczkami z cynamonem. Młoda kelnerka zaprowadziła mnie do boksu; zamówiłam kawę.

– Coś do jedzenia? – spytała.

– Mają państwo świeże owoce?

Skinęła głową.

– Borówki, melona, banany, borówki, borówki. – Uśmiechnęła się.

– Myślę, że wezmę borówki.

Nachyliła się do mnie.

– To tutejsza specjalność – szepnęła. – Ale wybrałabym pączka z cydrem.

– Przepraszam?

– Pączka z cydrem. Są taaaakie pyszne. – Przeciągnęła słowo jak toffi. – Pieczemy je na miejscu.

Pokręciłam głową.

– Poproszę tylko o owoce – powiedziałam. – Nie jadam pączków, ale mimo wszystko dziękuję.

Na blacie stała malutka szafa grająca; przerzuciłam strony, przeglądając piosenki. Znalazłam *The Way You Look Tonight*, stary kawałek Jerome’a Kerna, który uwielbiam. Wrzuciłam do maszyny kilka monet i przez głośnik zabrzmiał metalicznie głos Roda Stewarta.

Kelnerka wróciła z kubkiem kawy, miseczką borówek i talerzykiem z cydrowym pączkiem.

– Na koszt firmy – oznajmiła, stawiając go przede mną. – Wiem, że będzie pani smakował.

Kawa okazała się mocna i gorąca, a borówki były większe i słodsze od wszystkich, jakie kiedykolwiek jadłam w życiu. Spojrzałam na pączek posypyany drobnymi kryształkami cukru. Zdawało się, że wabi mnie niczym syrena. Spróbuję, zdecydowałam, jeden mały kęs mnie nie zabije. Rozpłynął mi się w ustach, ciepły, słodki i lepki. Sięgnęłam po następny kawałek i po chwili talerzyk był pusty. Cóż, może mimo wszystko Beacon miało swoje zalety.

O dziewiątej pięćdziesiąt siedem zasiadłam na łóżku, jedynym wygodnym miejscu w pokoju, i wystukałam numer, by nawiązać połączenie konferencyjne. W komórce rozległy się tylko trzaski. Spojrzałam na kreski zasięgu i przekonałam się, że zostały z nich ogryzki. No tak, pomyślałam. Nie ma sygnału. Podniosłam słuchawkę telefonu stacjonarnego. Głucha cisza. Nawet nie słychać trzasków.

Chwyciłam komórkę i miotałam się po pokoju, szukając sygnału. Potrzebne mi kreski, błagam o kilka kresek! To ważna konferencja, musiałam się połączyć. Dlaczego wszystko szło mi na opak?

Przypomniałam sobie o łazience, stamtąd rozmawiałam z Haydenem wczoraj wieczorem. Połączenie było idealne. Pobiegłam tam, opuściłam klapę sedesu, otworzyłam laptopa i usiadłam. Przez dziewięćdziesiąt minut sypałam prawniczymi poradami w kwestii sprzedaży nieruchomości wartej dwieście milionów dolarów.

Po skończonej naradzie poprawiłam przed lustrem makijaż. Następnie wyjęłam szarą kopertę z adresem naszej kancelarii – „Winston Reid Jennings, Prawnicy” – i wsunęłam do niej list babci, żeby się nie zniszczył. Na wierzchu napisałam druczkiem: „Pan Cummings”.

Wychodząc, zauważyłam skórzaną kurtkę, wisiała na krześle, gdzie ją zostawiłam do wyschnięcia. Pomyślałam, że mogę ją podrzucić właścicielowi.

Jeszcze była wilgotna, ale skóra nie zeszywniała. Kurtka miała miękką

podszewkę i fajne stebnowanie. Spojrzałam na metkę. Orvis. Sądziłam, że produkują tylko legowiska dla psów i sprzęt kempingowy, a miałam przed sobą modny ciuch. Znalazłam w szafie plastikową reklamówkę i włożyłam kurtkę do środka.

Kiedy weszłam do holu, Paula siedziała przy biurku, chrupiąc marchewkę, wyglądała zmięte strony gazety.

– Zdaje się, że dzisiaj po południu drukarka będzie naprawiona – oznajmiła.

– Dzięki – ciekawe, kto zdołałby zreperować starego grata – ale już mi nie jest potrzebna. Poradziłam sobie na telekonferencji bez niej.

Ruszyłam do wyjścia, lecz przystanąłam znowu.

– *À propos*, jestem prawie pewna, że dzisiaj się wymelduję. – Uniosłam brwi. – Na wypadek gdyby ktoś był zainteresowany pokojem.

Zerknęła na mnie, a potem na gazetę.

– Przecież ma pani rezerwację na dwa dni. – Ugryzła marchewkę.

Torba z kurtką zaczynała mi ciążyć.

– Tak, wiem, ale prawdopodobnie załatwię wszystkie sprawy jeszcze dzisiaj. Oczywiście może pani zatrzymać...

– A niech mnie! – Zamarła z otwartymi ustami i marchewką zawieszoną w powietrzu. – Przy Marlin Beach załamał się pod kimś pomost. Piszą o tym w „Bugle’u”. – Przysunęła gazetę bliżej do oczu. – Wczoraj po południu, zaraz obok tego nowego domu, który budują. Ktoś wtargnął tam nielegalnie.

Mój żołądek wywinął salto.

– Naprawdę? – spytałam, trzecia sylaba tak jakby uwięzła mi w gardle.

Wymienili moje nazwisko? Czy to możliwe? Nie chciałam, by Paula odkryła, że chodzi o mnie. Nie chciałam, by ktokolwiek to odkrył. Szczyciłam się, że zawsze potrafię zachować zimną krew; poradzić sobie w każdej sytuacji. Epizod na pomoście najchętniej bym wymazała.

Zrobiłam krok w stronę kontuaru, nakazując sobie zachować spokój. Nikt na plaży nie znał mojego nazwiska. Nie mogło się pojawić w gazecie.

– Mam nadzieję, że nic poważnego się nie stało. – Nie chciałam sprawiać wrażenia poruszonej. – Co piszą?

– Och, niewiele. Ktoś przyjezdny. Tonął.

Tonął? Musieli o tym wspomnieć? Wcale nie tonęłam. Po prostu byłam... odrobinę zmęczona, to wszystko.

Przechyliła na bok głowę i ściągnęła usta.

– Jakiś facet skoczył na ratunek. Też nie wiadomo kto.

W moim wnętrzu coś się zwinęło w korkociąg.

– Skoczył na ratunek. – Staralam się mówić bez emocji. – Całe szczęście – dodałam.

– Hmm? – mruknęła, wciąż wpatrzona w gazetę.

– Miała szczęście, że jej pomógł.

Przysunęłam się bliżej biurka, żeby zapuścić żurawia, ale Paula złożyła gazetę na pół i odwróciła na drugą stronę.

– Słuszny domysł – zauważyła, odgryzając kolejny kawałek marchewki.

– Słucham?

Spojrzała na mnie.

– Zgadła pani, że to była kobieta.

Zgadłam?

O mój Boże, tak. Myśl, myśl. Powiedz coś. Machnęłam ręką i ruszyłam do drzwi.

– Cóż, statystycznie miałam na to pięćdziesiąt procent szans. To był po prostu... słuszny domysł.

Czułam jej wzrok na swoich plecach, jakbym miała tam namalowaną tarczę strzelniczą. Wyszłam z hotelu i zesłam po frontowych stopniach, powtarzając sobie, że nie ma się czym przejmować. Gdyby moje nazwisko padło w artykule, Paula z pewnością by to skomentowała.

Poszłam na parking na tyłach budynku; słońce lśniło na czarnej karoserii mojego bmw, w której odbijała się sylwetka hotelu. Wpisałam w GPS-a „Dorset Lane 55”, adres Cheta Cummingsa, i włączyłam muzykę. Wnętrze wozu wypełnił głos Diany Krall wykonującej szybszą wersję *Let's Face the Music and Dance* Irvinga Berlina. Usłyszałam głos babci: *Ellen, z muzycznego punktu widzenia urodziłaś się w niewłaściwej dekadzie*. Uśmiechnęłam się na wspomnienie.

Komputerowy kobiecy głos prowadził mnie w kierunku Dorset Lane, ja tymczasem wyobrażałam sobie Cheta. Puszyste, białe jak śnieg kępski włosów, zmarszczki na twarzy i życzliwe oczy. Zaprosi mnie na herbatę i opowie wszystko o romansie z babcią oraz o tym, jak się to skończyło. Nadal będzie tęsknił. Ale bez gniewu.

Poczęstuje mnie ciasteczkami – zapewne firmy Pepperidge Farm. Może tymi z galaretką morelową. Babcia zawsze je lubiła. Oprowadzi mnie po swoim domu i pokaże stary album ze zdjęciami babci.

Wjechałam na Dorset Lane, rezydencjonalną uliczkę obrzeżoną starymi, dobrze utrzymanymi willami, i zatrzymałam się przed numerem pięćdziesiąt pięć. Siedziba Cheta Cummingsa okazała się obitym białym gontem piętrowym budynkiem w stylu kolonialnym, z zielonymi okiennicami i kamiennym kominem. Ceglana ścieżka prowadziła na ganek ciągnący się wzdłuż całej frontowej fasady. Podwórze otaczał ponadmetrowy żywopłot z bukszpanu.

Dom wyglądał na świeżo odmalowany. Właściciel musi mieć fachowego pomocnika, pomyślałam, skoro utrzymuje posiadłość w tak dobrym stanie. Zauważyłam na podjeździe zielone audi, kiedy sięgałam po kopertę z listem babci i wysiadałam z samochodu.

Dotarłam, babciu. Mam nadzieję, że na mnie patrzysz, pomyślałam, wchodząc po stopniach na ganek. Czułam się zdenerwowana i podekscytowana, że spotkam mężczyznę, który kiedyś był dla niej tak ważny. Wzięłam głęboki oddech i zapukałam w siatkowe drzwi, grzechocząc ramą. Potem utkwiałam wzrok w drugie, drewniane, za nimi i czekałam, aż Chet Cummings otworzy.

Nasłuchiwałam kroków: skrzypienia schodów, ciężkiego stąpania po deskach podłogi, ale na próżno. Tylko pies zaszczekał gdzieś w okolicy. Ulicą najeżdżało białe volvo combi, zaparkowało na sąsiednim podjeździe. Wysiadła z niego kobieta, na oko czterdziestka. Gapiąc się na mnie, wniosła do domu dwie torby z zakupami; jej blond włosy podrygiwały w rytm kroków.

Zapukałam ponownie, tym razem głośniej. Musi być w domu. Jego samochód stoi na podjeździe. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie wyłączył aparatu słuchowego. Obeszłam budynek i zajrzałam przez okno z boku. Zobaczyłam jadalnię z sosnowym stołem i krzesłami. Na dwóch piętrzyły się stosy papierów, jakby ktoś sortował pocztę z wielu miesięcy. Pośrodku blatu leżał wyciągnięty na boku czarnobrazowy kot. A więc lubi koty, pomyślałam. Sama zawsze wołałam psy.

Okrążając dom, zaglądałam do okien i stukałam w szyby. Kiedy dotarłam do kuchni, zawołałam: „Panie Cummings, panie Cummings, jest pan tam?”. Załomotałam w okno. „Muszę z panem pomówić. Proszę. Przyjechałam aż z Nowego Jorku”. Słychać było jedynie skrzeczenie ptaków.

Przeszłam przez trawnik do wozu. Tak bardzo liczyłam, że poznam pana Cummingsa, porozmawiam z nim, opowie mi, co się wydarzyło; teraz czułam tylko frustrację i pustkę. Przyjdź później, powiedziałam sobie. To osiemdziesięciolatek, na pewno go zastaniesz. Nie będzie nieobecny w nieskończoność.

Wróciłam ciągnącą się wzdłuż plaży Paget Street do centrum, aż do miejsca, gdzie budowano nowy dom. Z ulgą, że nigdzie nie widać furgonetki Roya, zaparkowałam obok zakurzonego jeepa na gruntowym placyku. Dwaj mężczyźni układali na dachu papę i przybijali ją gwoździami.

Drzwi frontowe były otwarte, więc weszłam. Wnętrze przypominało labirynt ze słupami szkieletowymi w miejscu przyszłych ścian i płataniną biegnących w najrozmaitszych kierunkach kabli, przewodów i rur. Zawodziły piły tarczowe, wszędzie kręcili się robotnicy z gwoździarkami i wiertarkami elektrycznymi. Pomarańczowe przedłużacze wily się po podłodze wśród trocin, wiórów i papierosowych niedopałków.

Poszłam na tyły domu i stanęłam w wejściu do dużego pokoju. Za oknami ciągnęła się plaża; czarne, pokryte porostami skały sterczały z oceanu. Z prawej widać było pomost, z którego spadłam. Na bramie zauważyłam nowy, ciężki czarny łańcuch i kłódkę. Drewniane barykady blokowały wejście na pomost z obu boków, by uniemożliwić dostęp z plaży.

– Pomóc pani?

Zaskoczona odwróciłam się i zobaczyłam faceta na drabinie; pokaźny brzuch zwisał mu nad paskiem dżinsów. Zerknął na moje lniane spodnie oraz jedwabny sweter, mocując kabel do belki za pomocą zszywacza.

– Tak – odpowiedziałam. – Szukam mężczyzny, który pracował tu wczoraj. Krótkie włosy, broda.

Robotnik wyjął ołówek i zaznaczył coś na belce.

– A, chodzi pani o Waltera – odgadł.

Zszedł z drabiny i ruszył w stronę drewnianego szkieletu klatki schodowej. Podążyłam za nim.

– Walter? Gdzieś ty polazł?! – krzyknął, wspinając się po stopniach, podczas gdy czekałam na dole.

– Co jest, Hap?

– Jakaś dama chce się z tobą zobaczyć.

Chwilę później Walter zszedł na dół z wiertarką w dłoni.

– Mówiłeś... – Urwał i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Hej, jak się pani miewa? Wszystko dobrze? – Szturchnął Hapa. – To ta dziewczyna, która wczoraj wpadła do wody.

Tamten kiwnął głową.

– A, tak, słyszałem. Roy po panią popłynął, tak?

Wyszczrzył zęby i zmierzył mnie od stóp do głów. Zastanawiałam się, jak komentowali między sobą cały incydent. Czy któryś widział pocałunek? Boże, miałam nadzieję, że nie. Poczułam, jak szyję i policzki oblewa mi rumieniec.

– Owszem – potwierdziłam. – On... pomógł mi...

– Dzisiaj już wszystko dobrze? – Walter pogładził się po szczecinie porastającej czaszkę. – Musiała pani przeżyć niezły szok.

– Czuję się świetnie, dzięki. – Usunęłam się z drogi dwóm robotnikom, którzy dźwigali stos desek pięć na dziesięć centymetrów. – Przyszłam tylko, żeby...

– Z Roya jest naprawdę niezły pływak – przerwał mi Hap z błyskiem w oku. – Miała pani sporo szczęścia, kiedy pani tonęła.

Podciągnął dżinsy i wsunął w nie koszulę na plecach.

– Cóż, właściwie nie tonęłam. – Wzruszyłam ramionami. – Jestem bardzo dobrą pływaczką. Należałam do reprezentacji w liceum i...

– Hej, Walter – doleciał nas niski głos z góry. – Potrzebna mi pomoc.

Mężczyzna wskazał ruchem głowy schody.

– Przepraszam. Jutro przyjeżdża inspekcja. Teraz mamy tu urwanie głowy.

– Och, rozumiem – odpowiedziałam. – Nie zamierzam pana zatrzymywać. Chciałam tylko zwrócić kurtkę. – Podałam mu torbę. – Dzięki za pożyczenie.

Zrobił wielkie oczy.

– Co?

– Dałabym ją do czyszczenia, ale wyjeżdżam dzisiaj, a chciałam mieć pewność, że ją pan odzyska.

Zajrzał do reklamówki.

– Och, okej – rzucił. – To nie moja kurtka, tylko Roya. Ale przypilnuję, żeby ją dostał. W tej chwili jest w drugiej robocie.

Roya? To była kurtka Roya? Z taką milusią podszewką? Taka ciepła?

– Jasne, w porządku – powiedziałam. – Chciałam ją jedynie zwrócić właścicielowi, więc gdyby mógł ją pan oddać Royowi...

Odwrociłam się i wyszłam, nie kończąc myśli, i nagle poczułam się dziwnie.

W samochodzie wpisałam w GPS-a „Victory Inn”. Po kilku zakrętach zobaczyłam czerwony oszalowany budynek z szyldem GROVER’S MARKET. To z pewnością oceaniczne powietrze, pomyślałam, uświadamiając sobie, że znowu czuję się głodna, i wjechałam na parking.

W głębi supermarketu przy stoisku delikatesowym gromadka ludzi czekała, by zamówić lunch. Sięgnęłam po menu i przebiegłam wzrokiem pozycje. Znalazłam kilka kuszących sałatek, w tym jedną z mieszanymi warzywami liściastymi, kozim serem, pekanami, rodzynkami i świeżym, krojonym jabłkiem. Z tuńczyka też wyglądała nieźle: albacore, krojony w kostkę seler naciowy, cebula, kapary i majonez, serwowana z zieleniną. Kapary? Nigdy nie słyszałam, żeby je dodawano do takiej sałatki. Ciekawe zestawienie.

Niżej wymieniono kanapki. Krwista wołowina, ser brie i plasterki pomidora na przypieczonej francuskiej bagietce. Brzmiało wspaniale, tylko musiałabym poprosić o wersję bez sera – zbyt dużo cholesterolu. Chociaż z drugiej strony bez brie kanapka zmieniałaby się w banalnego sandwicza z pieczoną wołowiną. Kanapka z sałatką z kurczaka – z dodatkiem młodych warzyw liściastych, pomidorem, szparagami, winogronami i pokruszoną gorgonzolą – także prezentowała się nieźle, znowu jednak pojawiała się kwestia sera. W tym momencie zauważyłam coś, co mnie zafascynowało: ofertę specjalną na Święto Dziękczynienia. Pieczona pierś indyka, pikantne nadzienie oraz sos ze świeżych żurawin na pełnoziarnistym pszennym chlebie. Idealnie.

Za ladą krzatali się nastolatek i kobieta w ciąży, oboje przygotowywali sałatki oraz kanapki, nalewali zupę, pakowali ciasteczka i wkładali zamówienia do białych pudełek. Czekając na swoją kolej, oglądałam półkę z deserami. Cytrynowe ciasto funtowe, ciasto marchewkowe, brownies z podwójną czekoladą, batoniki figowe z orzechami włoskimi, pudding z croissantów czekoladowych, placek z borówkami, placek z truskawkami i rabarbarem.

Placek z truskawkami i rabarbarem. To było ulubione ciasto mojej babci i robiła je jak nikt na świecie. Wspomnienie babci w jej kuchni w San Francisco pojawiło się nagle niczym klepięcie w ramię. Miałam dziewięć lat, kiedy nauczyła

mnie piec takie ciasto. Pamiętam, że nastawiła płytę Rosemary Clooney i krok po kroku wykonywała przepis, a ja powtarzałam, stojąc obok, ze składnikami ustawionymi na blacie przed nami.

Z mąki, masła, szczypty soli i jajka zarobiłyśmy ciasto, a potem uformowałyśmy je w kule i schłodziłyśmy w lodówce. Gdy było gotowe, rozwałkowałyśmy je kuliście na spody. Zawsze wałkowałam za cienko i babcia pomagała mi zalepić dziury. *Musisz być szybka*, tłumaczyła, przyklejając kawałeczki ciasta w miejscu otworów; jej palce śmigają jak palce magika. *Inaczej pod wpływem ciepła twoich rąk masło się stopi i ciasto zacznie się kleić.*

Zmieszałyśmy rabarbar i truskawki z cukrem, cytryną, szczyptą cynamonu, odrobiną wanilii, tapioki i mąki oraz paroma innymi składnikami, których nie pamiętam, a potem napełniłyśmy nadzieniem spody. Przykryłyśmy placki krążkami ciasta, karbując brzegi palcami, i nakłułyśmy je widelcem, żeby zrobić małe otworki, przez które będzie mogła uciekać para.

Podczas gdy placki się piekły, tańczyłyśmy w kuchni, słuchając Sinatry i Shirley Horn, a ja zaglądałam do pieca milion razy. Później, po kolacji, kiedy wreszcie skosztowałyśmy placków, byłyśmy w siódmym niebie. Odrobinę cierpkie, odrobinę słodkie, na lekkim, miękkim cieście. Do dziś zachowałam fiszkę, wymiętą teraz i pożółkłą, na której babcia zapisała mi przepis wiecznym piórem, niebieskim atramentem.

– Co podać, proszę pani?

Podniosłam wzrok i zobaczyłam przed sobą mężczyznę w fartuchu, z podkładką i długopisem, czekającego, by przyjąć zamówienie.

– Poproszę kanapkę specjalną na Święto Dziękczynienia – powiedziałam.

Podeszłam do lodówki, szukając perriera, ale ostatecznie zdecydowałam się na wodę stołową. Kiedy zamówienie było gotowe, podał mi pudełko. Kiedy się uśmiechnął, drobne zmarszczki w kąciakach jego oczu wyglądały jak wyschłe łożyska strumyków.

Pstryknął palcami.

– Wiedziałem, że gdzieś panią widziałem. To pani wpadła do oceanu, prawda? Pływaczka!

Chłopak w głębi powiedział coś do kobiety w ciąży, a ona odparła:

– A tak, koło Marlin Beach.

Usłyszałam, jak ktoś za moimi plecami szepcze: „Wyratował ją jakiś facet, tonęła”, a potem cała kolejka zaszemrała cicho.

Och, Boże, pomyślałam, to jakiś koszmar. Marzyłam jedynie, by porwać lunch i się ulotnić. Sięgając po pudełko, czułam, że wszyscy się na mnie gapią.

Mężczyzna w fartuchu nachylił się do mnie przez ladę.

– Nie skasuję pani – oświadczył z lekkim machnięciem ręki. – Zasłużyła pani. Firma stawia.

Pokręciłam głową.

– Nie, nie. To bardzo miłe, ale zapłacę, nalegam. Chcę zapłacić. Wszystko w porządku.

Kiedy pędziłam do kasy przy wejściu, głos sprzedawcy poniósł się po całym supermarkecie:

– Phil, nie kasuj za specjalną na Święto Dziękczynienia. To Pływaczka.

Słyszac polecenie, kasjer Phil przepuścił mnie bez kolejki i odmówił przyjęcia pieniędzy.

– Po prostu cieszymy się, że pani przeżyła, proszę pani – wyjaśnił z powagą na okrągłej twarzy i ustami zaciśniętymi w stanowczą linię. – Była pani na granicy śmierci i w ogóle.

Czułam się tak skrępowana, że nie wiedziałam, co począć. Wyjęłam banknot dziesięciodolarowy i rzuciłam na taśmę. Wzruszył ramionami, włożył pieniądze do przegródki i gestem przywołał kolejnego klienta. Potem mrugnął do mnie.

– Ale wygląda pani lepiej niż na zdjęciu.

Na zdjęciu?

Nie musiałam się zastanawiać, o co chodzi. Na skrzynkach przy kasie piętrzyły się dwa wielkie stosy „Bugle’a”. Na pierwszej stronie, zajmując prawą górną część kolumny, widniało kolorowe zdjęcie mężczyzny i kobiety; stali po pierś w wodzie. Twarz mężczyzny była zasłonięta, lecz kobiety doskonale widoczna. Mokra ubrania oblepiały im ciała, włosy mieli rozczochrane i zapiaszczone. Spleceni w uścisku całowali się namiętnie.

Rozdział 4

Więcej niż tysiąc słów

Stałam przy kasie, nie mogąc złapać tchu, i gapiłam się na fotografię, jakbym wierzyła, że jeśli wytrwam dostatecznie długo, kobieta zmieni się w kogoś innego. Zdjęcie przecinały wielkie czarne litery: OCALONA PRZED UTONIĘCIEM KOŁO MARLIN BEACH. Kolana ugięły się pode mną, kiedy przeczytałam podpis: „Wybawca odstawia na brzeg kobietę porwaną przez prąd odpływowy”.

Wokół mnie zaczął się gromadzić tłumek.

– Ta dziewczyna omal nie utonęła – rzucił jakiś mężczyzna.

A potem jakieś dziecko zapytało:

– Mamusiu, czemu ona nie umiała pływać?

Wyzywająco skrzyżowałam ręce na piersi i zwróciłam się do malucha:

– Umieć pływać – oświadczyłam dobitnie.

Trzeba to uciąć raz na zawsze, pomyślałam. Co by było, gdyby Hayden zobaczył zdjęcie? Jak miałabym mu wyjaśnić swoje zachowanie, skoro nie potrafiłam wytłumaczyć sobie? Albo gdyby zdjęcie trafiło do mediów? Znaczących, prawdziwych, z Nowego Jorku, gdzie zostałabym rozpoznana. Szanse były niewielkie, ale i tak serce zakołatało mi w piersi na myśl, co stałoby się ze mną, z Haydenem. Nie mogłam ryzykować.

Pierwsze, co należało zrobić, to pozbyć się egzemplarzy ze sklepu. Nachyliłam się przez ladę do Phila.

– Przepraszam – szepnęłam. – Ile by kosztowały wszystkie? – Drżącą ręką wskazałam gazety.

Spojrzał z ukosa.

– Chce pani wszystkie?

– Tak. Wszystkie.

Usta drgnęły mu lekko, a potem się uśmiechnął.

– Och, rozumiem. Na pamiątkę.

Za moimi plecami ktoś mruknął:

– Podpisze je i będzie sprzedawać.

– Proszę – powiedziałam, starając się oddychać wolno, jak radził mi Hayden, kiedy się czymś denerwowałam albo niepokoiłam. – Nie zamierzam ich opatrywać autografem ani sprzedawać.

Oddychaj... oddychaj...

– Chcę je tylko kupić. Ile to wyniesie? – Trzymałam portfel otwarty w gotowości.

Phil potarł brodę.

– Hm, musiałbym je policzyć. Dostajemy codziennie pięćset egzemplarzy, a kosztują pięćdziesiąt centów sztuka...

– Okej. Pięćset razy pięćdziesiąt centów daje...

– Tak, ale trochę już zeszło. – Pokręcił głową. – Więc to będzie...

Zmrużył oczy i zapatrzył się w sufit.

Wyjęłam cztery szeleszczące banknoty pięćdziesięciodolarowe, dwie dwudziestki i dziesiątkę.

– Proszę je wziąć – oświadczyłam. – Płacę za pełnych pięć setek.

Spojrzał na nie jak na obcą walutę.

– Tylko, kurczę... – Podrapał się po głowie. – To za dużo.

– Nie, proszę. – Popchnęłam banknoty w jego stronę. – Nalegam.

Musiałam zrobić trzy kursy, żeby przetransportować nabytek do samochodu; wędrowałam w przyśpieszonym tempie z i do supermarketu, starając się uniknąć spojrzeń klientów.

Jeden egzemplarz rzuciłam na fotel pasażera, a resztę władowałam do bagażnika. Potem wsiadłam do wozu, energicznie wrzuciłam wsteczny bieg i wytoczyłam się na ulicę. Dziesięć minut jechałam przed siebie, nie mając pojęcia, dokąd zmierzam, aż dotarłam do pola ogrodzonego czarnym drewnianym płotem, gdzie pasły się trzy konie. Zjechałam z szosy na gruntowe pobocze.

Sięgnęłam po gazetę i uważnie, długo przyglądałam się zdjęciu. Na sekundę znowu poczułam obejmujące mnie ramiona, dotyk jego warg na moich, smak morskiej wody. To wszystko było...

Niczym. Nic nie znaczyło. Byłam szczęśliwie zaręczoną kobietą, za trzy miesiące weźmiemy ślub, nie mogłam się tego doczekać. Siedząc w samochodzie, wyobraziłam sobie, jak sunę przez nawę prowadzona pod rękę przez stryja Whita zamiast nieżyjącego ojca. Hayden będzie obserwował, jak się zbliżam, wysoki i przystojny, z twarzą opaloną od gry w golfa albo w tenisa, albo po wyprawie na rodzinnym jachcie, z włosami spłowiałymi od słońca. Pośle mi nieznaczne skinienie i mrugnięcie, które uwielbiam.

Otworzyłam gazetę i przeczytałam artykuł.

Wczorajszego popołudnia kobieta spadła z pomostu przy Paget Street 201 niedaleko Marlin Beach i prawdopodobnie została porwana przez prąd odpływowy. Podejmując śmiałą akcję ratowniczą, jeden z przechodniów skoczył do wody i odtransportował ją z powrotem na brzeg. Wdzięczna ofiara obdarzyła bohatera pocałunkiem. Tożsamość obojga pozostaje nieznana. Według Dana Snugglera, właściciela sklepu Artykuły dla Zwierząt Snugglera przy Cottage Street, incydent wydarzył się około godziny szesnastej. Snuggler był na spacerze ze swoim pudlem

Milarkym, kiedy doszło do zdarzenia i wykonał powyższą fotografię. „To była wymagająca odwagi akcja ratownicza”, skomentował. „Wyglądało, że kobieta nie umie pływać”. Zauważył też, że pomost znajduje się na terenie prywatnym, i dodał: „Może nie powinna była wchodzić na cudzą nieruchomość”. Więcej zdjęć na stronie siódmej.

Więcej zdjęć? Ręka tak mi drżała, że strony szeleściły, kiedy je przewracałam – czwarta, piąta, szósta. Dzięki Bogu, pomyślałam, znalazłszy siódmą. Nie zawierała żadnych zdjęć przedstawiających mnie albo Roya. Tylko fotki z pudłem pana Snugglera, baraszkującym na plaży, co kazało mi się zastanowić, jakiego rodzaju dziennikarstwo praktykuje się w miasteczku. I co znaczy ten fragment o śmiałej akcji ratowniczej? O bohaterze? I o wchodzeniu na cudzą nieruchomość!

Cisnęłam gazetę na tylne siedzenie. Uświadomiłam sobie, że muszę zacząć działać, by zminimalizować straty. Sięgnęłam po torbę z supermarketu i wyjęłam kanapkę. Tak, minimalizacja strat to obowiązkowy punkt dnia, pomyślałam, odgryzając kęs. Indyk i nadzienie były jeszcze ciepłe. Ugryzłam znowu. Żurawiny smakowały cierpko i odświeżająco, a chleb jak domowy. Otwarłam butelkę wody stołowej i upiłam łyk.

Obserwowałam konie na polu oganiające się od much. W żaden sposób nie mogę pozwolić, by zdjęcie zostało rozpowszechnione – nawet jeśli moje nazwisko nie zostało wymienione i nawet jeśli chodziło tylko o „Beacon Bugle”. Istniał tylko jeden sposób. Musiałam objechać wszystkie sklepy w miasteczku, które sprzedawały „Bugle’a”, i wykupić wszystkie egzemplarze. Wycofać je z obiegu. A wieczorem znajdę gdzieś wielki kubeł na śmieci i tam je pogrzebię.

Przejechałam przez Beacon, po drodze zrobiłam sześć przystanków i skończyłam w Trzypensowej Kafejce wypełnionej aromatem świeżo upieczonych pączków z cydrem. Rzuciłam na ladę dwie dwudziestki, zgarnęłam gazety i zapakowałam do bagażnika. Z ulgą zatrzasnęłam klapę. Sprawa Pływaczki została oficjalnie zamknięta.

Dochodziła czternasta. Raz jeszcze wpisałam w GPS-a adres Cheta Cummingsa i ruszyłam w trasę. Kiedy dotarłam na Dorset Lane, zielone audi parkowało w tym samym miejscu. Zapukałam kilka razy do drzwi i znowu zajrzałam przez kuchenne okno, ale dom wyglądał na pusty.

Siedziałam w wozie, zastanawiając się, co dalej. Mogłam wrócić do Victory Inn, wyjąć papiery z teczki i pchnąć nieco naprzód sprawy zawodowe. To jedna opcja. Lecz był piękny dzień, a niebo nieskazitelnie błękitne...

Oparłam się wygodnie i pozwalając, by lekka bryza wpadała przez okna, rozglądałam się po okolicy. Większość domów była stara – z początku

dwudziestego wieku, jak się domyślałam. Każdy miał ciemnozielony trawnik i ogród pełen rudbekii, łubinu, hibiskusów, złocieni, wrzosów piaskowych, srebrzystej szalwii rosyjskiej. W wyobraźni ujrzałam babcię jako małą dziewczynkę pielęgnującą jeden z tych ogrodów, tak jak widywałam ją często jako osobę dojrzałą – z łopatką w dłoni, w miękkim, żółtym kapeluszu na głowie. Podśpiewując, wyrwała chwasty, obcinała zwiędłe kwiaty albo podsypywała je ściółką.

Ogarnął mnie ogromny smutek na myśl, że nigdy już nie zobaczę jej w ogródku. Zacisnęłam powieki, by powstrzymać łzy. Marzyłam, żeby zachować z nią więź. Może tylko się łudziłam, że zdołam tego dokonać w Beacon, poprzez Cheta Cummingsa. Może nie miało tak się stać. Może przejechałam kawał drogi na próżno.

Spojrzałam znowu na domy wzdłuż uliczki i zastanawiałam się, w którym babcia mieszkała w dzieciństwie. A jeśli stał właśnie przy tej ulicy? A jeśli patrzę na niego właśnie w tej chwili? Uświadomiłam sobie, że chyba istnieje coś, co mogę zrobić. Mogę odnaleźć jej dom. Tyle zdołam osiągnąć bez trudu. Nieruchomości stanowiły moją specjalność. Wyobraziłam sobie, jak jadę uliczką obrzeżoną urokliwymi budynkami w stylu nowoangielskim, wiedząc, że jeden z nich należał do babci, i go wypatruję. Poczułam się lepiej.

Wyjęłam komórkę, weszłam do Internetu i znalazłam numer telefonu biura sekretarza rady miejskiej Beacon. Będą tam wiedzieli, gdzie są przechowywane akta nieruchomości. Kobieta, która odebrała, poinformowała, że znajdują się właśnie w ich siedzibie, przy Magnolia Avenue dziewięćdziesiąt dwa. Nareszcie coś zaczynało się układać.

Ratusz przy Magnolia Avenue w Beacon okazał się parterowym budynkiem z czerwonej cegły, z czterema oknami wzdłuż fasady, białymi okiennicami i białą kopułą nad dwuskrzydłowymi drzwiami wejściowymi. Wyglądał, jakby go wzniesiono w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku – niezbyt nowoczesny, ale też nie bardzo stary.

Weszłam do środka i poczułam lekką woń amoniaku. Spis na ścianie informował, że biuro sekretarza rady miejskiej znajduje się w pokoju sto siedemnaście. Zanim dotarłam do drzwi oznaczonych tym numerem, nie wionęło odorem amoniaku, zastąpił go aromat sosu do spaghetti. Przy jednym z dwóch biurek siedziała kobieta o krótkich siwych włosach i pomarszczonej jak u mopsa twarzy, jedząc z plastikowej tacki penne z sosem marinara.

Wszędzie piętrzyły się stosy papieru, bloki biurowe zabazgrane nieporządnym odręcznym pismem i stosy szarych kopert, z których wystawały dokumenty, oraz długopisy, markery i kolorowe spinacze do papieru.

Na wizytówce widniało nazwisko ARLEN FLETCH.

Urzędniczka odłożyła plastikowy widelec i podniosła wzrok; czekała, aż się odezwę.

– Jestem Ellen Branford. – Wyciągnęłam do niej rękę. – Z Nowego Jorku – dodałam.

Posłałam jej szeroki uśmiech, zauważając poślódką kuchenkę mikrofalową w szafce po drugiej stronie pomieszczenia.

Arlen spojrzała na moją dłoń, zanim ją uściśniła.

– Moja babcia mieszkała w Beacon za młodych lat.

Skinęła głową i zamieszała makaron na tacce. Uniósł się obłoczek pary.

– Niedawno zmarła...

Zamilkłam, czekając na reakcję, ale tylko spojrzała na mnie ponownie. Gdzieś na korytarzu trzasnęły drzwi, a potem zabrzmiał wybuch śmiechu.

– Przyjechałam załatwić w jej imieniu kilka spraw – ciągnęłam – a skoro tu jestem, chciałabym odnaleźć dom, gdzie dorastała.

Arlen wsunęła ząb plastikowego widelca w rurkę penne i włożyła ją do ust.

– Zakładam, że nie zna pani adresu.

– Właśnie – przytaknęłam z ulgą, że potrafi mówić. – To właśnie muszę ustalić.

Spuściła wzrok na tackę i wpatrywała się w nią kilka sekund, a ja pomyślałam, że zaraz usłyszę, iż mam wrócić za dwadzieścia minut, bo chce skończyć posiłek. Ona tymczasem uśmiechnęła się przelotnie i oznajmiła:

– Trafiła pani we właściwe miejsce.

Zaprowadziła mnie do sąsiedniego pomieszczenia, pozbawionego okien, suchego i dusznego. Nie licząc stołu z dwoma monitorami komputerowymi, od podłogi po sufit wypełniały go tomy rejestrów na szarych metalowych regałach. Wiedziałam, że wraz z komputerową bazą danych zawierają kopie dokumentów wszystkich nieruchomości Beacon, poczynając od pierwszej udokumentowanej umowy sprzedaży.

Były tam tytuły własności, umowy ustanawiające długi hipoteczne, zastawy skarbowe, zawiadomienia o przejęciu obciążonych nieruchomości. Także orzeczenia dotyczące zastawów rejestrowych, ogłoszenia o upadłości, ugody, ograniczenia oraz służebności. A gdzieś wśród nich tytuł własności do fragmentu nieruchomości z nazwiskami moich pradziadków.

– Okej, pozwoli pani, że wyjaśnię, jak to działa. – Arlen sięgnęła po ołówek i machała nim jak dyrygent pałeczką. – Najpierw zjawia się ktoś z dokumentem. Może to być tytuł własności. To najczęstszy wypadek. Albo umowa ustanawiająca dług hipoteczny, albo na przykład...

– Przepraszam. – Uniosłam rękę. Zamierzałam oszczędzić jej czasu, wyjaśnić, że jako młoda współpracowniczka w biurze nieruchomości spędziłam

w podobnych pomieszczeniach setki godzin, szukając tytułów własności. Na twarzy urzędniczki malował się jednak tak poważny i surowy wyraz, iż uznałam, że lepiej milczeć.

– Przepraszam – powtórzyłam. – Zdawało mi się, że mam pytanie, ale nie.

Kiwnęła głową.

– Dobrze; powiedzmy zatem, że chodzi o tytuł własności. Cecil albo ja... tam siedzi – wskazała puste biurko – przepuszczamy go przez tę maszynę.

Skinęła w stronę starego datownika do dokumentów.

– Maszyna wybija na dokumencie datę i godzinę, więc nie ma wątpliwości, kiedy wpłynął. – Wskazała mnie ołówkiem. – Może się to okazać bardzo ważne, kiedy ludzie zaczynają się spierać, co do kogo należy, rozumie pani.

Był to elementarz agenta nieruchomości, ale ugryzłam się w język i pozwoliłam jej kontynuować.

– Potem kopiujemy go i skanujemy tutaj – wskazała skaner – zaś Alice, która przychodzi na trzy przedpołudnia w tygodniu, przerzuca wszystko do komputera i porządkuje, tak aby ludzie mogli wyszukiwać dokumenty według nazwisk sprzedającego, kupującego, adresu nieruchomości, co pani zechce.

Tkwiłam cierpliwie w miejscu, gdy tłumaczyła, jak mam szukać nazwiska pradziadka w spisach rocznych, wśród przekazicieli tytułów własności oraz obdarzonych nadaniem, oraz że powinna mu towarzyszyć notatka, jakiego rodzaju dokument został złożony do akt przez sekretarza rady miejskiej wraz z numerem strony w rejestrze, pod którym można znaleźć kopię.

Podczas gdy mówiła, rozmyślałam, czy zdołam odszukać nazwisko pradziadka w olbrzymim zbiorze obejmującym historię beaçońskich nieruchomości. A jeśli tak, gdzie znajdę dom i jak będzie wyglądał? Ceglany czy kamienny? Może oszalowany i z okiennicami. Albo z sympatycznym gankiem od frontu jak dom Cheta. Z drugiej strony mógł zostać ozdobiony szkaradną przybudówką albo, co gorsza, okazać się zaniedbany lub zrujnowany. Ogarnął mnie niepokój. A jeśli przejęła go jakaś komuna? Albo gang handlarzy narkotyków? Czy w Beacon są handlarze narkotyków? – zastanowiłam się.

Kiedy podniosłam wzrok, Arlen wpatrywała się we mnie. Jakby na coś czekała.

– Przepraszam – powiedziałam.

Machnęła ołówkiem.

– Federalny zastaw skarbowy. Wniósł go ktoś przeciw pani?

Pokręciłam głową.

– Nie, nigdy.

Wnoszono je przeciw niektórym moim klientom, ale nie zamierzałam o tym wspominać.

Temat sprawił, że szare oczy Arlen zablęśły.

– Z pewnością by pani wiedziała – ostrzegła. – Ci goście ze skarbówki... to potwory.

– Doprawdy? – spytałam zniżonym głosem.

Na studiach prawniczych chodziłam z chłopakiem, który pracował obecnie w biurze głównego radcy prawnego urzędu skarbowego. Nie uważałam go za potwora, chociaż odkryłam, że w tym samym czasie, co ze mną, umawiał się z inną dziewczyną. Może Arlen miała trochę racji.

Wsunęła ołówek do kieszeni spodni.

– Powinna pani zacząć stąd.

Wskazała szeregi bardzo starych, oprawnych w skórę rejestrów. Były to ogromne tomiszcza o nadgryzionych zębem czasu spękanych okładkach i pożółkłych kartach, jak wiedziałam, pokrytych pięknie kaligrafowanymi aktami notarialnymi oraz innymi umowami, na których widok nawet kopista Bartleby usiadłby prosto i skupił uwagę. Zawierały najstarsze zapisy.

– Potem może pani stopniowo się posuwać w tę stronę.

Ruchem ręki wskazała regały z tomami w białych plastikowych okładkach zawierające pisane na maszynie, a potem na komputerze dokumenty nowoczesnego systemu ewidencji. Na koniec pokazała stół z dwoma cienkimi, czarnymi monitorami.

– Wszystko, co zostało zarejestrowane w ciągu ostatnich pięciu i pół roku, znajduje się w bazie danych i może to pani znaleźć tutaj – dokończyła.

Skinęłam głową.

– Dzięki. Teraz już wiem, od czego zacząć.

Usiadłam na metalowym krześle i zaczęłam szukać nazwiska pradziadka – „Goddard”. Ślęczałam nad spisami rocznymi z okresu dwudziestu lat, od końca dziewiętnastego do początków dwudziestego wieku. Chociaż każdy podzielono na sekcje według liter alfabetu, nazwiska w obrębie sekcji nie były ułożone alfabetycznie. „Grant” pojawiał się przed „Gibsonem”, a „Gates” po „Goatsie”. Tak już jest ze starymi rejestrami. Petenci przynosili akty notarialne oraz inne dokumenty do zarejestrowania, a kanceliści wpisywali je w odpowiednich sekcjach rejestru w kolejności, w jakiej wpływały. Na dodatek stare wpisy czyniono odręcznie, co jeszcze bardziej spowalniało ich przeglądanie. Gdy wychodziłam po dwóch godzinach próżnych wysiłków, zaschło mi w gardle, a od siedzenia w dusznym pomieszczeniu bolała mnie głowa.

Kiedy podeszłam do biurka, Arlen sortowała plik dokumentów.

– Jakies pytania?

Pokręciłam głową i westchnęłam zniechęcona. Jak cudownie byłoby odnaleźć dom babci. Jak ekscytująco byłoby stanąć przed nim w miejscu, gdzie ona stała być może przed dziesiątkami lat. Czułam się rozczarowana.

– Nie, żadnych pytań – odparłam. – Chyba skończyłam. Raz jeszcze dziękuję

za pomoc.

Arlen skinęła i zajęła się swoimi papierami.

Kierując się do wyjścia, zauważyłam na ścianie obok drzwi kolekcję starych poślizniętych pocztówek oprawionych w *passe-partout*. Podeszłam, by się przyjrzeć dokładniej. Przedstawiały scenki uliczne z centrum Beacon: sklepiki, ludzi idących po chodnikach, samochody o zaokrąglonych błotnikach i ogromnych kierownicach. Na jednej widniał surowy, biały budynek dawnego ratusza. Oraz inny, z czerwonej cegły, usadowiony na spłachciu zielonej trawy. Sękaty dąb stał przed nim niczym pomarszczony wartownik. U dołu był podpis: „Szkoła podstawowa Littleton, Beacon, Maine”.

Zwróciłam się do Arlen:

– A jednak mam pytanie. – Wskazałam pocztówkę. – Wie pani, czy ta szkoła istniała już w latach czterdziestych dwudziestego wieku?

Jeśli tak, babcia się w niej uczyła.

Arlen podeszła, włożyła srebrne okulary-połówki i przyjrzała się kartce, jakby ją widziała po raz pierwszy.

– Szkoła Littleton – stwierdziła.

– Tak. Orientuje się pani może, kiedy ją zbudowano?

– Zdaje się, że w latach dwudziestych. – Zmrużyła oczy i przysunęła sobie kartkę pod sam nos.

– Jeśli zaczeka pani minutkę, będę mogła powiedzieć dokładnie.

Zaczęła przetrząsać szafkę na akta i wyjęła coś z szuflady.

– Proszę bardzo. – Pomachała do mnie broszurką. – Jedna ze szkół prowadziła w ubiegłym roku projekt o historii starych budowli w Beacon. Piszą też o szkole Littleton.

Podowała mi folder. Na żółtej okładce widniał dziecięcy rysunek dużego zielonego budynku z frontonem ozdobionym szczytami. Wewnątrz znajdowały się zdjęcia tuzina miejscowych zabytków; każdemu towarzyszył opis. Przekartkowałam książeczkę i znalazłam reprodukcję swojej pocztówki. Budowę szkoły rozpoczęto w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku, a została otwarta jesienią w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym, wyjaśniono w omówieniu. Tak, babcia mogła należeć do jej uczniów.

– Może ją pani zatrzymać – poinformowała Arlen, zamykając szafkę. – Dostaliśmy mnóstwo egzemplarzy.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedziałam. – I jestem bardzo wdzięczna za pomoc. – Ścisnęłam broszurkę w dłoni. – Czy szkoła nadal stoi?

Zamrugnęła i wytrzeszczyła na mnie oczy.

– Ależ oczywiście. Przy Nehoc Lane.

Potem wróciła do biurka i podniosła słuchawkę. Kiedy podeszłam, zauważyłam na rękawie jej bluzki pomarańczową plamkę; zastanawiałam się, czy

to sos pomidorowy.

Chłodne słońce późnego popołudnia i świeże powietrze stanowiły miłą odmianę po zaduchu archiwum. Wpisałam w GPS-a „Nehoc Lane”. Ulica leżała w odległości pięciu kilometrów. Co prawda, nie znalazłam domu babci, ale odszukanie jej szkoły też było coś warte. Moje uczucia do Beacon pocięły. Miasteczko wydało mi się niemal pociągające.

Nehoc Lane okazała się rezydencjonalną ulicą przeważnie białych domów odsuniętych od drogi, z długimi dziedzińcami od frontu zarośniętymi bzem i niebieskimi hortensjami.

Szkoła wyglądała prawie tak jak na pocztówce, chociaż istniały pewne różnice. Kolista podjazd z małym parkingiem z przodu nie istniał w czasach, kiedy ją wzniesiono.

Wjechałam i zaparkowałam. Następnie obeszłam wolno budynek, przyglądając się słowom SZKOŁA PODSTAWOWA LITTLETON 1924 wrytym nad wielkimi drewnianymi drzwiami wejściowymi. Zauważyłam zaskakującą gładkość cegieł, kiedy przesunęłam po nich dłonią, oglądając uważnie żebrowane filarki okien pokryte grubą warstwą białej farby. Na tyłach szkoły dostawiono dobudówkę z jaskrawoczerwonej nowej cegły, a z boku był duży plac zabaw z gumową nawierzchnią. Grupka dzieci bawiła się na huśtawkach i zjeżdżalniach, podczas gdy młode matki gawędziły przy stole piknikowym.

Wróciłam przed szkołę, do olbrzymiego dębu z korzeniami nad ziemią jak artretyczne palce. Bujna korona drzewa w pełnym rozkwicie zwieszała się nad trawnikiem niczym liściasty parasol. Usiadłam oparta plecami o splekaną korę i wyobraziłam sobie siedzącą w tym samym miejscu babcię. Może miała sześć lat i to był jej pierwszy dzień w szkole. Albo jednaście, i właśnie się zakochała w jakimś chłopcu. Czułam jej obecność w trawie, w promieniach słonecznego światła przemykających wśród gałęzi, we wciąż nagrzanej ziemi.

Pogłodziłam korzeń i poczułam łyż pod powiekami. Spłynęły mi po policzkach i spadły na spódnie, tworząc na materiale ciemne plamy. Tęsknię za tobą, babciu, szepnęłam zdławionym głosem. Tęsknię za tobą. I przyjechałam tutaj zrobić to, o co mnie prosiłaś, ale nic nie idzie tak, jak powinno. Najpierw wpadłam do oceanu i mało... mało nie utonęłam, babciu. Potem próbowałam dostarczyć twój list, ale mi się nie udało. I odnaleźć twój dom, ale też bez sukcesu. Chciałabym wiedzieć czemu. Chciałabym, żebyś mi mogła wyjaśnić. Powiew zaszeleścił w gałęziach drzewa; oparłam głowę na rękach i zamknęłam oczy.

Rozdział 5

Spokojne miejsce na kolację

W drodze powrotnej do hoteliku postanowiłam raz jeszcze zajrzeć do Cheta Cummingsa. Kiedy tam dotarłam, była piąta. Zielone audi stało na podjeździe, ale w domu nikogo nie było i zaczęłam się niepokoić, czy staruszek nie opuścił miasta. Może odwiedzał przyjaciela albo wyjechał w pilnej sprawie rodzinnej i nie wróci przez kilka dni. Pomyślałam, żeby wrzucić list do skrzynki, ale tego nie zrobiłam. Nie mogłam też tkwić w Beacon w nieskończoność, czekając na jego powrót. Wiedziałam, że babcia by to zrozumiała. W porządku. Jutro jest czwartek. Wciąż mam szansę to załatwić. Przyjdę tutaj wcześniej rano. Jeśli znowu go nie będzie, zostawię list i ruszę do domu.

Wracałam do Victory Inn z myślą, że zjem spokojną kolację w jadalni, popracuję parę godzin i pójdę spać. Wchodząc, już wiedziałam, że w środku trwa impreza. Przy kontuarze stała grupka rozbawionych, mniej więcej, dwudziestoparolatków. Mężczyźni w koszulkach golfowych i bojówkach sprzeczali się, czy piłka została wybita na aut w meczu tenisa. Kobiety o długich, gazelich nogach ledwie przysłoniętych króciutkimi szortami skupiły się wokół jakiejś broszury. Jedna z nich wymieniła nazwę Antlera, pubu, który widziałam w centrum; zastanawiałam się, czy szukają go w przewodniku.

Zaśmiałam się w duchu, wyobrażając sobie, jak opisano by Beacon w słynnym przewodniku Fodora.

Trzy pensjona: *Koniecznie musisz ją odwiedzić, jeśli uwielbiasz zielone laminowane blaty i miniaturowe szafy grające na stolikach. Pamiętaj też, żeby skosztować pączków.*

Victory Inn: *Jeśli twoja fascynacja sięga dachów, poproś o apartament z widokiem na ocean. Usługi telefonii komórkowej dostępne w łazience.*

Zerknęłam do holu i stwierdziłam, że podano przekąski. Na stole stało kilka butelek wina, półmiski z serem i krakersami oraz miska sosu obok stosów plastikowych kubków i papierowych talerzy. Nalałam sobie kieliszek pinot noir z winnicy Gallant River Winery w Napa Valley. Nigdy o niej nie słyszałam, choć Hayden znał ją z pewnością. Wzięłam parę krakersów i udałam się do pokoju.

Hałas podążał za mną, kiedy zaczęłam wspinać się po schodach, a gdy usłyszałam, jak jedna z dziewczyn oświadcza: „Zostańmy na kolację tutaj”, postanowiłam zjeść w miasteczku. Może Paula poleci mi jakieś miejsce.

Stałam przed szafą, próbując zdecydować, co włożyć, kiedy zadzwoniła komórka. Chwyciłam torebkę, wygrzebałam aparat, popędziłam do łazienki,

opuściłam klapę sedesu i usiadłam.

– Hej, kochanie. Wydajesz się zdyszana – zauważył Hayden.

– Próbowałam tylko znaleźć telefon i jeszcze zdążyć do łazienki.

Wyciągnęłam nogi i oparłam bosc stopy o krawędź wanny.

– Och, cóż, możesz oddzwonić później.

– Nie, nie. To znaczy muszę rozmawiać w łazience. To jedyne miejsce, gdzie jest zasięg.

Nastąpiła pauza, a potem Hayden spytał: „Nie macie tam zasięgu?” takim tonem, jakbym oświadczyła, że nie ma gorącej ani zimnej bieżącej wody, co, jeśli się zastanowić, w zasadzie też było prawdą.

– Różnie bywa – odparłam, nie chcąc wchodzić w szczegóły. Niepotrzebnie by się zmartwił. – Hej – dodałam – nigdy nie uwierzysz, co dzisiaj znalazłam.

– Powiedz.

– Szkołę mojej babci.

– Co twojej babci?

– Szkołę podstawową... Jej szkołę. Poszłam obejrzeć budynek. Nadal stoi tutaj, w Beacon.

– Musi być bardzo stary.

– Został zbudowany w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Próbowałam odszukać dom, gdzie dorastała, nie udało mi się, ale znalazłam szkołę. To było naprawdę nadzwyczajne, Haydenie, i...

– Kochanie, zaczekaj moment, dobrze? Dzwoni druga komórka.

Odczekałam chwilę, gapiąc się na reprodukcję na ścianie – latarnia morska posyłała nad wodą snop światła jako ostrzeżenie dla łodzi przed mieliznami. Potem poszłam do sypialni po broszurę z informacjami o szkole Littleton, żeby ją przeczytać Haydenowi.

– Kiedy przyjedziesz? – spytał, wracając na linię. – Liczyłem, że będziesz już w trasie.

– Też tak myślałam, ale nie udaje mi się zastać Cheta Cummingsa. Nigdy nie ma go w domu.

– Może wyjechał, Ellen. Pochwalałem twój wyjazd do Beacon, lecz nie możesz tam tkwić w nieskończoność i czekać, aż Chet się zjawi.

– Nie będę tkwić tu w nieskończoność. Też bym już chciała jechać do domu.

Spojrzałam przez sypialnię za okno, na miękkie, bursztynowe światło towarzyszące przejściu dnia w noc.

Nastąpiła kolejna pauza.

– Obiecuj, że wrócisz jutro – poprosił. – Kolacja jest w piątek wieczorem i nie chcę się zamartwiać, że jedziesz do Nowego Jorku w piątek, starając się nie spóźnić. Wiem, jak wtedy pędzisz. To niebezpieczne.

– Obiecuję, że nie będę pędzić – odparłam. – Jutro wyjeżdżam na sto

procent. Wcześniej rano sprawdzę ostatni raz, czy Cummings jest w domu.

W rurach w ścianie coś zaczęło brzękać, szczekać i prychać: instalacja wodociągowa zbudziła się nagle do życia.

– A jeśli go nie będzie? – spytał Hayden. – Co wtedy?

– Zostawię list w skrzynce przed domem – wyjaśniłam, kiedy rurą popłynęła z szumem woda. – Wracam jutro bez względu na wszystko.

W aparacie coś zatrzeszczało.

– Haydenie, chyba zrywa połączenie.

Znowu trzaski.

– Nie słyszę cię! – zawołałam. – Zadzwoń później.

Rozłączyłam się i spojrzałam na zegarek. Była dopiero siedemnasta trzydzieści. Za wcześnie na kolację. Spojrzałam na łóżko i dosłownie poczułam, jak opadają mi powieki. Może, pomyślałam, jeśli się położę, tylko na minutkę...

Wyciągnęłam się na białej kapie i wsunęłam pod głowę poduszkę. Nakrochmalona bawełniana poszewka pachniała pudrem, świeżym mydłem i płótnem suszonym na sznurze przed domem.

Kiedy się obudziłam, było prawie ciemno. Z ulicy dochodził hałas, ktoś coś wykrzykiwał, trzaskały drzwiczki samochodu. Przetarłam oczy i spojrzałam na zegarek. Dwudziesta trzydzieści. Miałam pustkę w brzuchu i marzyłam o kolacji.

Przebrałam się w szare spodnie od Gucciego, beżowy top z dzianiny i dobrany kolorem sweter z długimi rękawami. Zastanawiałam się nad szpilkami od Jimmy'ego Choo, ozdobionymi sztucznymi klejnotami, ale wybrałam płaskie sandały od Tory Burch. Sięgnęłam po podwójny sznur pereł odziedziczony po babci, włożyłam go na szyję i zapięłam z przodu na srebrną muszelkę. Zrobiłam delikatny makijaż i wyjęłam z teczki egzemplarz „Forbesa”. Dobrze mieć coś do czytania – jedzenie w samotności zawsze jest nudne.

Jeszcze zanim dotarłam na podest pierwszego piętra, usłyszałam dochodzącą z jadalni wrzawę głosów. Jak się zdawało, najwięcej zamieszania robiło towarzystwo, które przyjechało po południu. Wypatrywałam Pauli, ale zobaczyłam ją dopiero przed budynkiem, na ganku od frontu; paliła papierosa, przeczesując dłonią włosy. W świetle lampy jej blond fryzura w odcieniu mosiądzu zdawała się niemal pomarańczowa.

– Niezła imprezka. – Ruchem głowy wskazałam wejście.

Zmierzyła mnie wzrokiem i wypuściła z ust długie pasmo dymu niczym rakietą ciągnąca za sobą smugę spalin.

– Mhm.

– Widać dobrze się bawią.

Kiwnęła głową i spuściła wzrok na swoje dłonie, oglądała paznokcie, jakby właśnie myślała o wizycie u manikiurzystki.

Przetrzaśnięłam torebkę w poszukiwaniu kluczyków i je wyjęłam.

– Jest w miasteczku jakieś sympatyczne miejsce na spokojną kolację?

Ściągnęła wargi i zakołysała głową w lewo i w prawo.

– Powiedziałyby, że Antler. Mają niezłe steki. I ryby. Świetny chowder. – Wymawiała to „czouda”. – I naprawdę pyszną pieczeń. Smakuje nawet mieszczuchom.

– A, tak, Antler. – Mocniej owinęłam się swetrem, kiedy wiatr zaszumił w trawie. – Wygląda jak pub. Myśli pani, że dzisiaj wieczorem będzie tam spokojnie?

Zmarszczyła lekko nos i wysunęła dolną wargę.

– W środę wieczorem? – Wzruszyła ramionami. – Jasne, w miarę spokojnie.

Zdusiła papierosa w szklanej popielniczce na poręczy ganku i wróciła do środka.

Postanowiłam pójść do centrum piechotą. Wieczór był chłodny, a ja miałam wyrzuty sumienia, bo od tygodnia nie odwiedziłam siłowni. Lamy uliczne oświetlały Beacon ciepłym, pomarańczowym blaskiem. Nie więcej niż tuzin mieszkańców wyszło na przechadzkę. Turyści zaglądali w okna sklepów i biur zamkniętych na noc. Grupka nastolatków zebrała się przy falochronie. Jakiś chłopak zerwał z głowy bejsbolówkę, włożył na głowę dziewczynie i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Podeszłam do drzwi Antlera; żółty neon micheloba płonął w oknie jak powitalne ognisko. Pieczeń. Czemu ze wszystkich jadalnych rzeczy ktoś wybrał właśnie pieczeń? Rozumiem ładny kawałek tuńczyka albo choćby banalną pierś kurczaka w sosie z białego wina – ale pieczeń? Okej, może niektórzy też uznaliby, że moje wybory kulinarne są dziwaczne.

Z „Forbesem” pod pachą otworzyłam drzwi, które prowadziły do dużej, mrocznej sali. Zobaczyłam bar wzdłuż ściany po lewej i rzędy kwadratowych stolików z prawej. Leciał jakiś utwór country, do wtóru brzdękającej elektrycznej gitary hawajskiej kobieta wyśpiewywała schrypniętym głosem coś, czego nie mogłam rozpoznać. Doleciał mnie głośny gwar rozmów zmieszanych z wybuchami śmiechu i regularnym podzwanianiem sztucców. Nieszczególnie spokojnie, ale już weszłam, a burczało mi w brzuchu. Zrobiłam następny krok i zauważyłam ręcznie wypisaną informację na tablicy przy drzwiach: W KAŻDĄ ŚRODĘ WIECZÓR – DWA DANIA GŁÓWNE W CENIE JEDNEGO. Cóż, pomyślałam, to wszystko wyjaśnia. Dziwne, że Paula o tym nie wiedziała.

Podłoga w pubie była wyłożona ciemnym drewnem wypolerowanym na wysoki połysk. Pod sufitem bieżyły drewniane krokwie, z belek zwieszały się lampy – miedziane okrętowe latarnie, chromowane świeczniki w kształcie dużych dzwonów, mosiężne kandelabry o wygiętych ramionach, zakończonych migoczącymi na podobieństwo płomieni żarówkami. Bar zbudowano z grubo lakierowanego drewna o czerwonym odcieniu. Z tego samego drewna zrobiono solidne stoliki oraz krzesła.

Zajęte były wszystkie stoliki i większość stołków przy barze. Przecięłam salę, patrząc prosto przed siebie, kątem oka zarejestrowałam jednak kłębowisko dżinsów, bojówek i T-shirtów. Mignęło mi kilka spódnic i letnich sukienek, w większości jednak dominowało dżinsowe towarzystwo. Uznałam, że jestem zbyt elegancko ubrana.

Zajęłam miejsce na samym końcu baru, niedaleko parkietu do tańca. Z głośnika nad moją głową popłynęło *Your Cheatin' Heart* Hanka Williamsa. Po prawej miałam mężczyznę w średnim wieku z żoną, hożą brunetką o włosach spiętych w kucyk na czubku głowy. Z lewej parę wolnych stołków, a dalej dwóch dwudziestoparoletnich młodzieńców w bejsbolówkach. Na czapce jednego z nich dostrzegłam napis PUŁAPKA NA HOMARY.

Zbliżył się krzepki barman o przyprószonych siwizną włosach, przetarł bar ścierką i położył przede mną tekturową podkładkę od piwa Coors Light; niebieskie górskie szczyty zaśniły w świetle lamp.

– Co podać?

Zastanawiałam się nad kieliszkiem wina, ale w tym momencie zauważyłam reklamę: NAJLEPSZA MARGARITA NA PÓŁNOC OD TIJUANY i pomyślałam: „A, co tam, do diabła”.

– Wezmę jedną – powiedziałam, wskazując reklamę.

Otworzyłam „Forbesa” i przerzuciłam kilka stron, ale hałas był zbyt duży, by się skupić. Spojrzałam na płaski telewizor za barem. Leciał jakiś reality show o kierowcy ciężarówki pokonującym tirem bezludne górskie okolice nocą wśród zamieci. Zaczęłam się niepokoić o jego los; już chciałam obgryzać paznokcie, kiedy barman postawił przede mną margaritę.

Pociągnęłam długi łyk i poprosiłam o menu kolacyjne. Szukałam w ofercie czegoś zdrowego. Krewetki z ryżem i fasolką szparagową? Nie, skorupiaki były smażone. Para homarów z topionym masłem? Za duża porcja, no i masło... Zostawała ewentualnie pierś kurczaka, jeśli poproszę, by sobie darowali sos marinara oraz ser.

Barman obsłużył małżeństwo obok mnie. Mężczyzna zamówił pieczeń; może po prostu byłam wygłodniała, ale danie na jego talerzu wydało mi się całkiem apetyczne. Pagórek tłuczonych ziemniaków ze szczytem lśniącego od stopionego masła, chyba świeża fasolka szparagowa, plaster pieczeni pachnącej

cebula oraz ziołami, jeśli mnie wzrok nie mylił, grzyby.

Pomyślałam o zawartości tłuszczu i o tym, ile będę musiała przebiec, żeby spalić taką ilość kalorii. Gdyby był ze mną Hayden, zamówiłby mi coś zdrowego. Znowu zerknęłam na talerz sąsiada. Tak, to na pewno grzyby.

Cóż, Haydena nie było, a ja nagle zatęskniłam za tradycyjnym, poprawiającym nastrój jedzeniem.

– Chyba wezmę pieczeń – powiedziałam barmanowi.

– Coś na przystawkę?

Przystawka. Zastanawiałam się nad zamówieniem sałatki firmowej. Wyciągnęłam szyję, by sprawdzić, co jeszcze wzięli moi sąsiedzi. Kobieta jadła jakąś zupę. Zerknęłam znowu w kartę i westchnęłam. Jak szaleć, to szaleć.

– Oczywiście – przytaknęłam. – Chowder z małży.

Spojrzałam na ekran telewizora. Tir pełznął wolno pod górę bardzo wąską szosą. Pokazano zbliżenie przednich kół, łańcuchów wgrzyzających się w lód. Stopa zaczęła mi podrygiwać.

– Hej, Skip, doczekamy się następnej kolejki?

Obejrzałam się i zobaczyłam kogoś w wolnej przestrzeni po mojej lewej stronie – kościstego faceta w T-shircie z żółtym miecznikiem.

– Jasne, Billy – przytaknął barman. – Nie zapomniałem o was. Tylko dzisiaj wieczorem brakuje nam rąk do pracy.

Mężczyzna imieniem Billy spojrzał za bar.

– Gdzie Sassy?

Przez moment objął mnie wzrokiem; czułam, że gapi się, jakby ktoś mi przykleił na plecach wielki napis: OBCA W MIASTECZKU.

– Musiała pojechać do Portland. Jej siostra miała niedawno operację.

Billy pokręcił głową.

– Hm, mam nadzieję, że wszystko będzie okej. Pozdrów Sassy ode mnie, kiedy ją zobaczysz.

Wrócił w kąt sali, gdzie stały sofa oraz wielkie fotele; zauważyłam grupkę mężczyzn grających w rzutki.

Sączyłam drinka, Skip tymczasem mieszał koktajle i rozdawał je klientom przy barze oraz trzem kelnerkom, które krążyły wokół niego niczym samoloty czekające na zwolnienie pasa do wylądowania. Po chwili napełnił piwem z nalewaka kilka oszronionych kufli i poleciał:

– Bridget, zanieś je Billy’emu i chłopakom, okej?

Kelnerka, tleniona blondynka o patykowatych nogach, ustawiła kufle na tacy i ruszyła w stronę grających.

Spojrzałam w telewizor – kierowca opuścił górską szosę i wjeżdżał na wielki parking dla ciężarówek, gdzie chyba zamierzał spędzić noc. Dzięki Bogu.

Zjawił się mój chowder z małży; mieszałam go chwilę, patrząc, jak z miski

unoszą się para. Zanim spróbowałam potrawy, poczułam, że ktoś mnie obserwuje. Podniosłam wzrok – Skip gapił się na mnie.

Pstryknął palcami.

– To jednak pani. Tak pomyślałem, potem jednak mówię sobie: nie, to nie ona, ale tak. Znaczą się, pani.

– Słucham?

Uśmiechnął się szeroko, pokazując wszystkie zęby i szparę w miejscu po trzonowcu.

– Pani jest Pływaczką! Widziałem zdjęcie w gazecie. To się nazywa pocałunek.

Próbowałam coś wyjąkać, ale położył mi na dłoni wielką, niedźwiedzią łapę i pochylił się nad barem.

– Cały posiłek – oznajmił – będzie na koszt firmy. Dbamy tutaj o turystów, szczególnie po... no, czymś takim, co się pani przydarzyło.

Pokręciłam energicznie głową. Ostatnie, na czym mi zależało, to żeby mnie kojarzono z pływaniem, podtopieniem albo tamtym zdjęciem w gazecie. Wzdrygnęłam się na myśl, że Hayden mógłby je zobaczyć.

– Nie, nie; nie trzeba – zaprotestowałam. – Naprawdę nalegam...

Ale Skip już się rozpędził na dobre. Cofnął się i zamachał rękami.

– Hej, wszyscy, to jest Pływaczka! – Wskazał na mnie. – Dziewczyna, która mało nie utonęła. Pływaczka!

Czując, jak fala gorąca zalewa mi twarz, zerwałam się z barowego stołka. Co było grane? Przecież wykupiłam wszystkie gazety w miasteczku. Chciałam uciec do hotelu. Wyjechać z Beacon i nigdy nie wracać. Już nigdy nie oglądać całego stanu Maine.

Kiedy jednak ruszyłam do wyjścia, udało mi się zrobić nie więcej niż trzy kroki.

Jakiś facet o rumianej cerze i z wyhaftowanym na koszuli imieniem DAVE podbiegł do mnie, a za nim ruszyła w moją stronę gromada ludzi.

– Hej, Pływaczko, pozwól, że uściskę ci rękę! – zawołał Dave.

– Jeszcze jednego drinka dla niej! – krzyknął do Skipa mężczyzna z bujną, białą czupryną. – Ma szczęście, że żyje.

Och, Boże, to było jak zły sen, w którym chcesz biec, ale nogi odmawiają ci posłuszeństwa. Czułam się upokorzona, dotknięta do żywego.

– Nie tonęłam – zwróciłam się do białowłosego mężczyzny. – Wszystko było w porządku. Ten facet, który mi pomógł... Pozwoliłam mu na to, żeby się nie obraził.

– Och, i w dodatku Pływaczka ma poczucie humoru – zapiał, klepiąc mnie po plecach. – Nie chciała go urazić.

Wybuchnęła salwa śmiechu.

– Przepraszam, ale naprawdę muszę już iść. – Próbowałam się przecisnąć przez tłum.

Kobieta z wielką kulą gumy do żucia w ustach postukała mnie w ramię.

– Miała pani hipotermię? Mojemu kuzynowi po czymś takim zaczęła się łuszczyć skóra. To było naprawdę obrzydliwe.

Odruchowo dotknęłam ręki.

– Nie, nie miałam hipotermii. – Odwróciłam się.

Łysy facet chwycił mnie za rękę i potrząsał nią bez końca.

– Przeleciało pani przed oczami całe życie, gdy pani wpadła do wody? – Nie chciał mnie puścić. – Bo ja raz spadłem z drabiny, wie pani, i przysięgam, całe życie przemknęło mi przed oczami, nawet noc, kiedy wypilem za dużo i próbowałem poderwać siostrę mojej żony.

– Pan wybaczy. – Udało mi się wyszarpnąć rękę.

Para studentek z Vermont chciała wiedzieć, czy kiedyś jeszcze wejść do wody, po czym posprzeczały się, czy powinnam, a ekspolicjant z Bangor zapytał, czy byłam na prochach, kiedy to się stało.

– Za Pływaczkę! – zawołał jakiś głos i wszyscy unieśli kieliszki... oprócz mnie.

Zaraz jednak Skip podał margaritę jakiejś dziewczynie, która przekazała ją mężczyźnie, a ten włożył mi ją do ręki. Osuszyłam drinka w paru łykach, tymczasem obecni zarzucali mnie pytaniami o to, czy mam skłonności samobójcze.

Tłum napierał coraz bardziej; miałam wrażenie, jakby ścisnął mi płuca. Mocniej i mocniej. Zaczęłam się dusić.

W tym momencie Skip oświadczył: „Hej, zostawcie ją w spokoju, dość już przeszła”, i grupa wolno się rozproszyła. Zaprosił gestem, żebym wróciła na swoje miejsce.

– Wygląda pani trochę blado – zauważył. – Powinna pani dokończyć chowder.

Zauważyłam, że postawił przy moim nakryciu kolejną margaritę. Spojrzałam na chowder. Skip miał rację, byłam głodna. Najpierw jednak zajęłam się alkoholem, wypijając połowę kieliszka. Zalała mnie nagła fala ciepła.

Zabrałam się do zupy. Była aż gęsta od małych mały, których aromat pięknie równoważyły pokrojone w kostkę ziemniaki oraz drobno siekana cebula i seler naciowy. Na wierzchu unosiły się gałązki świeżego kopru. Smakowało bosko, więc spałaszowałam wszystko do końca, starając się nie myśleć, co jeszcze zawiera zupa. Z pewnością śmietaną – co najmniej półtłustą – i oczywiście masło. Wyczułam też małe kawałeczki bekonu. Hayden uznałby, że oszalałam. Ale to było przepyszne.

Do Antlera napływali wciąż nowi goście i skupiali się wokół baru. Nad moją głową podawano drinki przeznaczone dla klientów stojących w dwóch, a nawet

trzech szeregach za moimi plecami. Muzyka pulsowała, z głośników popłynęło *Long Hot Summer* Keitha Urbana i wydawało się, że cały bar promienieje, wibruje.

– Skippy... hej, Skippy – zawołałam, ale w hałasie ledwie słyszałam własny głos.

Z jakiegoś powodu wydało mi się to zabawne, a im głośniejszy krzyczałam, tym serdeczniej się zaśmiewałam.

Uniosłam kieliszek i wskazałam go palcem.

– Jak to się nazywa? Co to jest, Skippy? – Nie mogłam sobie przypomnieć nazwy drinka.

Barman kiwnął głową i uniósł kciuki; nie byłam pewna, co daje mi w ten sposób do zrozumienia. Raz jeszcze zawołałam go donośnie po imieniu i podniosłam kieliszek, próbując przyciągnąć jego uwagę.

– Co to jest? Jak to się nazywa?

Ani się obejrzałam, a już przysłał mi następną kolejkę. Kiedy muzyka zabrzmiała jeszcze głośniejszy i żywiej, goście ruszyli tłumnie na parkiet do tańca.

– Hej, chciałabyś się do nas przysiąść?

Obok mnie stała obcięta na pazia kobieta o sennym spojrzeniu. Przypominała praktykantkę, która pracowała kiedyś w naszej kancelarii.

– Jestem Bliss, a to Wendy – oznajmiła.

Wendy wyglądała na czirliderkę ze swoją figurą sportsmenki i blond włosami.

Uścisnęłam im dłonie i się przedstawiłam. Ucieszyłam się, że mam towarzystwo.

– Wiemy, kim jesteś. Pływaczką. – Wendy uśmiechnęła się szeroko i pociągnęła mnie do stolika w pobliżu miejsca, gdzie mężczyźni grali w rzutki.

Próbowałyśmy rozmawiać, przekrzykując muzykę, ale zrozumiałam tylko tyle, że są higienistkami stomatologicznymi, które urządziły sobie babskie wyjście na miasto.

Skip podesłał nam po drinku oraz menu wraz z informacją, że kolacja jest na koszt firmy. Która to już była kolejka? I czy nie zamawiałam wcześniej kolacji? Tak mi się zdawało, ale na wszelki wypadek raz jeszcze poprosiłam o chowder i pieczeń.

Bliss zaczęła relacjonować jakąś sprzeczkę z kierowniczką biura, a ja rozsiadłam się wygodnie i obserwowałam rozgrywkę w rzutki. Czterech facetów grało w trzysta jeden, grę, którą poznałam na trzecim roku studiów za granicą, w Oksfordzie, kiedy chodziłam z Blakiem Abbottem. Blake był Anglikiem oraz mistrzem darta i nauczył mnie grać.

Jeden z mężczyzn rzucił; jego kolega imieniem Billy wybuchnął śmiechem i spytał:

– Raany, Gordon, co się z tobą dzisiaj dzieje?

Gordon się skrzywił.

– Zejdź na ziemię. Myślisz, że dasz radę mnie pokonać?

Wtrącił się trzeci, który stał oparty o ścianę:

– No już, spadaj, teraz moja kolej.

Wystąpił naprzód i wykonał trzy rzuty.

– Rzucasz jak baba, Jake – zadrwił jeden z pozostałych.

Nie wiedziałam który, choć zdawało mi się, że mógł to być Gordon.

Co za idiotyczna uwaga! Walnęłam w stół tuż pod nosem Bliss. Chyba za mocno, bo dłoń aż mnie zapiekła.

– Słyszałyście? – spytałam.

Bliss zrobiła wielkie oczy.

– Co?

Mój palec kołysał się, kiedy ją wskazałam, próbując sformułować słowa.

– Zaraz wam wytłumaczę – oświadczyłam. – Jeden z tych gości...

– Taak? – Bliss i Wendy spojrzały wyczekująco.

Pokręciłam głową.

– Taak, jeden z tych gości obok powiedział innemu z tych gości obok, że rzuca jak baba. – Przeszedł mnie dreszcz oburzenia, ramiona pokryła gęsia skórka.

– Nie wkurza was, kiedy faceci tak mówią?

Wendy nachyliła się do mnie.

– Okropne. W gabinecie doktora Beldena był jeden gość, paradontolog, z którym pracowałam, i ciągle rzucał takie komentarze.

Spojrzałam drwiąco na graczy, niezupełnie pewna, który mnie zirytował, za to prawie pewna, że właściwie narazili mi się wszyscy.

– Rzuca jak baba – powtórzyłam. – Co to niby ma znaczyć? Że baby nie potrafią rzucać? Że nie umieją... że jak? Grać w darta?

Byłam wściekła. Byłam nabuzowana. Byłam nietrzeźwa. I postanowiłam im pokazać.

Wyjęłam z torebki portfel i przetrząsałam gotówkę, aż znalazłam banknot studolarowy. Potem odsunęłam krzesło i wdrapałam się na nie. Stałam, rozglądając się po sali, i czułam się niezwykczona. Pokażę to i owo facecikom o ciasnych horyzontach.

– Okej, chciałam coś powiedzieć. – Próbowałam przekrzyczeć hałas, ale okazało się to niemożliwe. – Halo! – wrzasnęłam, machając rękami. – Halo. Przepraszam.

Spróbowałam gwizdnąć, wsuwając do ust dwa małe palce, jak nauczył mnie tato, lecz rozległ się tylko świst.

Wzięłam głęboki oddech i ryknęłam:

– Cisza! Pływaczka chce coś powiedzieć!

Wszystko wokół jakby znieruchomiało. Umilkły rozmowy, śmiechy,

sprzeczkę, brzęk kieliszków, dźwięczenie widelców i noży. Patrzono na mnie.

Uniosłam studolarówkę w obu dłoniach i zaszeleściłam energicznie.

– Widzicie ten banknot? – Zamachałam nim. – Założę się, że pokonam w darta każdego z was. Kaździutkiego – powtórzyłam, wychylając się nad krzesłem niczym figura dziobowa statku. – Włączając tego idiotę, który powiedział, że ten... jak mu tam... że Jake – wskazałam bezwładnym palcem mniej więcej w stronę mężczyzn – rzuca jak baba!

Uśmiechnęłam się i czekałam, który góral wylezie z kąta i podejmie wyzwanie. Na sofie obok tarczy do rzutek coś się poruszyło. Siedzieli tam dwaj mężczyźni zwrócenii do mnie plecami. Jeden wstał, przeciągnął się i ruszył w moją stronę. Był wysoki, miał falujące, ciemne włosy, kwadratową szczękę i trochę nieregularne rysy twarzy. Mógłby być każdym, od pilota samolotów pasażerskich po drwala. W innej sytuacji wydałby mi się całkiem przystojny. Nosił spłowiałe dżinsy, jasnoniebieską koszulę i brązową skórzaną kurtkę. Kiedy znalazł się bliżej i wszedł w krąg światła, poznałam kurtkę i ścisnęło mnie w gardle. To był Roy.

– Zdaje się, że to ja jestem tym idiotą – oświadczył spokojnie. – Przyjmuję wyzwanie.

Zesłam z krzesła, przeszedł mnie zimny, otrzeźwiający dreszcz. Pomost, wspólne płynięcie przez ocean, pocałunek. Co ja narobiłam? Ostatni człowiek, którego miałam ochotę oglądać w życiu, a tymczasem...

– Hm... cześć – rzuciłam, usiłując zapanować nad głosem.

Uśmiechnęłam się i pomachałam mu swobodnie jak gdyby nigdy nic.

Postawił na blacie butelkę piwa i położył obok garść strzałek.

– Widzę, że już doszłaś do siebie.

– Doszłam do siebie?

Sięgnęłam po strzałkę i ujęłam za trzon, starając się wyczuć jej wagę. Tak samo mogłabym trzymać kowadło.

Roy zdjął kurtkę i powiesił na krześle.

– Po wczorajszym pływaniu.

Wydało mi się, że w jego oku dostrzegam błysk.

– Nie było po czym dochodzić do siebie. – Uniosłam strzałkę do ucha, prostując rękę w próbnym zamachu.

Wzruszył ramionami.

– To świetnie. – Potem dodał: – Dzięki za oddanie kurtki.

Kiwnęłam głową.

– Drobiazg. – Odrobinę skorygowałam chwyt, chciałam sprawić wrażenie, że te drobne gesty stanowią element wyrafinowanej strategii. – Nie wiedziałam, że była twoja.

Upił łyk piwa.

– Mam nadzieję, że grasz w darta lepiej, niż pływasz. – Skrzyżował ręce na

piersi i zerknął na mnie z ukosa.

Też miałam taką nadzieję. Oksford to odległa przeszłość, a ja właściwie nie trenowałam. Jeśli dodać do tego kilka drinków, które Skippy podsyłał mi regularnie, i...

– Całkiem nieźle – zapewniłam. – Naprawdę całkiem nieźle.

Błysnęłam szerokim, z pozoru pewnym siebie uśmiechem.

Roy przechylił głowę.

– W takim razie wybieraj. Cricket? Trzysta jeden? Shanghai?

Zaczęłam kombinować, próbując sobie przypomnieć najprostszą ze znanych gier. Coś, co nie wymagałoby skomplikowanego liczenia punktów, bo w tym momencie matematyczne operacje nie były moją najmocniejszą stroną. Wreszcie wpadłam na pomysł.

Wzięłam głęboki oddech.

– Okej. Martwi prezydenci.

Roy się roześmiał.

– Martwi prezydenci. Chcesz w to zagrać?

Nie; szczerze mówiąc, miałam ochotę wybiec stąd ile sił w nogach.

– Okej, zrobmy tak. Jeśli pierwsza trafisz Franklina, zachowasz swoją setkę i dostaniesz drugą ode mnie. Jeśli ja trafię pierwszy, zgarniam forszę. – Wyjął portfel, a z niego pięć dwudziestek. – Ale musisz trafić w twarz.

Trafić w twarz. W twarz? Niemożliwe.

– Okej.

Wzruszyłam ramionami i machnęłam ręką, jakbym robiła to codziennie. Tymczasem goście opuścili parkiet do tańca; tłum zgromadził się wokół nas, ktoś ściszył muzykę. Po plecach spływały mi kropelki potu. Było mi gorąco i niedobrze.

Roy podszedł do tarczy i wyciągnął strzałki Jake'a. W porządku, skup się, rozkazałam sobie. Skup się. Podwinęłam rękawy. Po prostu traf tymi cholernymi dartami w tarczę. Nie ciskaj gdzie popadnie i nie pozwól im latać we wszystkie strony. On i tak wygra – pewne jak w banku – ale zaraz potem będziesz mogła stąd się zmyć.

Roy uniósł garść strzałek.

– Rozgrzewka?

Na jego twarzy majaczył nieznacznym uśmiezek, kiedy wręczał mi darty.

Choćbym się rozgrzewała tydzień, pomyślałam, i tak nic to nie pomoże.

Wzruszyłam ramionami.

– Mnie właściwie nie jest potrzebna, ale skoro nalegasz...

Wzięłam strzałki.

Okej, miejmy to za sobą. Podeszłam do linii i ustawiłam się za nią. Starłam się trzymać darta jak ołówek, tak mnie nauczył Blake, ale czułam, jakby moja dłoń należała do kogoś innego. Uniosłam strzałkę na wysokość ucha. Potem

wycelowałam i wypuściłam ją z ręki. Zakreśliła wysoki łuk i wylądowała po przeciwnej stronie tarczy niż ta, do której celowałam. Nie dbałam o to. Byłam szczęśliwa, że w ogóle trafiłam.

Rzuciłam drugiego darta, mierząc w to samo miejsce. Trafił bliżej. Następnym pięć rzutów poszło jeszcze lepiej i uświadomiłam sobie, że wrażenie przebywania poza własnym ciałem – trzymanie strzałek, obserwowanie, jak lecą i trafiają w tarczę – jest całkiem przyjemne. Cisnęłam ostatnie dwa darty w ramach rozgrzewki. Wylądowały mniej więcej tam, gdzie planowałam – na tyle blisko, by poprawić mi humor.

Obserwując rozgrzewkę Roya, nie miałam jednak wątpliwości, kto wygra. Był zręczny, precyzyjny i pewnie już się zastanawiał, na co wyda dwieście dolców.

– Zdaje się, że ja zaczynam – stwierdził, kiedy rzuciliśmy, by zdecydować, kto będzie pierwszy, i jego dart wylądował bliżej środka niż mój. Też mi zaskoczenie.

Złożyłam swój banknot studolarowy na trzy, tak aby twarz Benjamina Franklina znalazła się na wierzchu. Następnie wsunęłam go pod podwójny druciany pierścień od strony krawędzi tarczy, nad polem za cztery punkty, położonym mniej więcej na godzinie drugiej.

Proszę, niech to się szybko skończy.

– Zgoda – powiedziałam radosnym, optymistycznym tonem. – Jestem gotowa. Na przemian po jednym rzucie, aż któregoś z nas trafi Franklina, tak?

Kiwnął głową.

– Koniecznie w twarz.

Jasne, w twarz. Marzyłam jedynie, by trafić w tarczę. Gdziekolwiek. Wszystko jedno gdzie.

Roy wziął strzałkę, wycelował i trafił o cal od krawędzi banknotu.

Ktoś z widzów westchnął i w grupce wokół nas rozległ się szmerek.

Nad wargą pojawiły mi się kropelki potu, kiedy zobaczyłam, jak blisko celu znalazła się jego strzałka.

– Całkiem niezły rzut – rzuciłam nonszalancko.

Przyszła moja kolej. Ujęłam darta, starając się rozluźnić palce. Żołądek zacisnął mi się niczym pięść, ze zdenerwowania szczypała mnie skóra. Trzymaj się, rozkazałam sobie. Trzymaj się.

Roy, z rękami w kieszeniach, oparł się o ścianę. Spojrzałam na malutką zieloną twarz na tarczy. Miałam wrażenie, jakby się kołysała. Spuściłam wzrok, żeby przejaśniło mi się w głowie. Po prostu rzuć. Po prostu pozwól jej lecieć. Uniosłam głowę, podniosłam strzałkę do ucha. I pozwoliłam jej polecieć. Zakreśliła lekki łuk i wylądowała z donośnym stuknięciem. Chwilę panowała zupełna cisza, a potem jakaś kobieta wrzasnęła:

– Trafiła!

Stałam jak wrośnięta w ziemię, podczas gdy otaczający nas tłumek krzyczał i wiwatował.

– Udało jej się!

– Za pierwszym razem! Trafiła za pierwszym razem!

Ludzie rzucili się na mnie, śmiali się i klaskali. Gapiłam się na tarczę, czując, jakby kolana miały się pode mną załamać. Podeszłam do tablicy i przekonałam się, że nie tylko trafiłam Franklina, ale w dodatku w sam nos. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Choćbym próbowała jeszcze dziesięć tysięcy razy, nie zdołałabym tego powtórzyć. Wyciągnęłam strzałkę, zdjęłam banknot i aż westchnęłam na widok okaleczonej twarzy prezydenta.

Ktoś zaczął skandować:

– Pływaczka ma świetne oko! Pływaczka ma świetne oko!

Po chwili cały bar podchwycił zaśpiew. Ludzie skandowali, klaszcząc; uderzali dłońmi o blaty. Śpiew otoczył mnie ze wszystkich stron. Panował ogłuszający hałas.

Podszedł do mnie Roy z pięcioma dwudziestkami w ręku. Uśmiech zniknął z jego twarzy, ale oczy pozostały błękitne jak zawsze. W džinsach i koszuli, z przerzuconą przez ramię kurtką wydał mi się tak przystojny, że nie mogłam oderwać od niego wzroku. Potrząsnął głową, jakby także nie mógł uwierzyć w to, czego był świadkiem przed momentem.

– Nie wydaj wszystkiego w jednym miejscu. – Uśmiechnął się, podając mi pieniądze. – Zasłużyłaś. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Spojrzałam na banknoty w jego dłoni. Straciły cały powab, jak sztuczka magiczna, kiedy się odkryje jej sekret. Właściwie wcale już nie chciałam jego pieniędzy. To byłoby nie w porządku, a on sam zdawał się taki... Nie umiałam tego nazwać.

Tłum otoczył kręgiem nas oboje. Goście przysuwali się coraz bliżej. „Pływaczka ma świetne oko. Pływaczka ma świetne oko”. Zrobiło mi się bardzo gorąco, i ten hałas... Chciałam, żeby ucichł. Ludzie napierali i było duszno. Musiałam usiąść.

Roy wsuwał mi banknoty do ręki. Nie przypominały w dotyku pieniędzy, tylko zeschnięte liście. Sala zawirowała wokół mnie. Spojrzałam na niego i spróbowałam coś powiedzieć.

– Nigdy nie widziałam...

Chciałam wyjaśnić, że ja też nigdy nie widziałam czegoś podobnego, ale moje usta odmówiły współpracy i zdołałam jedynie wskazać na siebie, jak w zabawie w szarady. Czarne plamy usiały salę, przesłaniając mi ludzi i przedmioty, jakby pochłaniała ich nicość. Nogi ugięły się pode mną. Czarne dziury wypełniały całe pomieszczenie. Zobaczyłam twarz Roya. A potem i ona zniknęła.

Rozdział 6

Miastowa dziewczyna idzie na całość

– Przynies jeszcze jeden mokry ręcznik – usłyszałam słowa jakiejś kobiety.

– W porządku, odzyskała przytomność – odparł mężczyzna. Jego głos rozbrzmiewał tuż przy moim uchu.

Otworzyłam oczy. Leżałam na plecach na czymś twardym, z dołu widziałam tłum ludzi gapiących się na mnie z góry. Urywki rozmów przepływały obok mnie jak wodorosty.

– Nic jej nie jest?

– Zemdląła.

– Zadzwoń na dziewięćset jedenaście?

Grała muzyka. Czyżbym trafiła w sam środek jakiejś ludowej imprezy? Skrzypce i banjo zawodziły w dziarskim rytmie.

– W porządku, dajcie jej trochę przestrzeni, proszę. Przedstawienie skończone.

To był głos Roya. Odwróciłam głowę i zobaczyłam go, klęczał u mojego boku, patrząc z troską. Poczułam zapach jego płynu po goleniu; pachniał czymś świeżym, otwartą przestrzenią, ale nie byłam pewna czym dokładnie. Tłumek zaczął się rozpraszać.

– Co się stało? – spytałam, zerkając na miedzianą latarnię okrętową, która zwisała z sufitu.

Na czole miałam coś chłodnego. Sięgnęłam i przekonałam się, że to wilgotny ręcznik.

Roy poskrobał się w podbródek i uśmiechnął nieznacznie, na jego policzkach znowu pojawiły się dołki.

– Powiedziałbym, że zemdląłeś.

Jęknęłam. A potem zaczęłam się podnosić.

– Hej, nie tak szybko.

Podłożył mi rękę pod plecy i pomógł usiąść.

Rozejrzałam się i zobaczyłam gwarną salę z gośćmi; jedli przy stolikach, tłoczyli się wokół baru, grali w rzutki. Antler.

– Wszystko okej? – Poklepał mnie lekko po ręce.

Odetchnęłam głęboko i skinęłam głową.

– Chyba tak – odparłam. – Tylko chciałabym wstać.

Ujął mnie za rękę; wolno podniosłam się do pionu i otrzepałam ubranie. Przeczesałam palcami włosy i spróbowałam się uśmiechnąć.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Chodź, usiądziesz.

Podeszliśmy do stolika pod ścianą, a ja przez cały czas rozmyślałam o tym, co się wydarzyło. Zemdlałam w jego ramionach? Och, Boże, tylko nie to, proszę.

– Czy ty, hm, złapałeś mnie, kiedy zemdlałam?

Kiwnął głową.

Czułam, jak płoną mi policzki. Najpierw pocałunek, a teraz coś takiego. Wyglądało, że w obecności tego faceta wciąż się kompromituję.

– No cóż, dzięki... kolejny raz – powiedziałam cicho.

Usiadłam na czerwonej skórzanej ławeczce i przycisnęłam ręcznik do czoła. Roy zajął krzesło naprzeciw.

– Nie ma za co... kolejny raz – odparł.

Skrzypce wciąż grały i uświadomiłam sobie, że to *Thank God I'm a Country Boy* Johna Denvera.

– Posiedź chwilę, dojdź do siebie – poradził Roy.

– Czuję się dobrze, naprawdę.

Wskazał gestem drzwi.

– Może wyjdziemy na zewnątrz odetchnąć świeżym powietrzem. Chcesz?

Szczerze mówiąc, chciałam jedynie przestać robić z siebie idiotkę na oczach całego miasteczka.

– Nie, dzięki – odpowiedziałam. – Naprawdę wszystko okej. Nie rozumiem, co się stało.

Kelnerka podeszła i postawiła na stoliku dwie szklanki wody.

– Jak widać, ciągle mnie ratujesz – zauważyłam.

– Właściwa chwila, właściwe miejsce, jak sądzę. – Wsunął rękę do przedniej kieszeni dżinsów i wyjął złożony banknot studencki z pięcioma dwudziestkami w środku. – To twoje. Upuściłaś, kiedy, hm...

Popatrzyłam na złożone pieniądze, niewielką dziurkę w nosie Franklina. Nie chciałam ich.

– Proszę. – Włożył mi je w dłoń.

Gapiałam się na nie chwilę, zanim wepchnęłam do torebki.

– Aha... dzięki.

John Denver skończył swój kawałek; zabrzmiało kilka nut na gitarze elektrycznej, a potem zmysłowy kobiecy głos rozkazał: *Let's go, girls*. Salę wypełniła energiczna piosenka Shanii Twain oznajmiającej: *Man! I Feel Like a Woman!*

Parkiet do tańca zaczął się zapełniać. Roy rzucił:

– Może właśnie tego ci trzeba: wynieść się stąd. Wygląda, że to kawałek w sam raz dla ciebie. – Wskazał gestem parkiet pełen wirujących ciał. – Albo co byś powiedziała na to?

Głos Shanii rozbrzmiewał wokół nas. Śpiewała coś o prawie kobiet do odrobiny rozrywki.

Zatańczyć z Royem. Naprawdę tego chciałam? A co tam, do diabła, pomyślałam, wstając.

– W porządku. – Zarumieniłam się.

– Znasz two-stepa? – spytał, kiedy znaleźliśmy na parkiecie kawałek wolnego miejsca.

– W wersji teksaskiej.

– Może być.

Jedną ręką ujął moją dłoń, drugą położył mi na łopacie, tworząc między nami właściwy dystans – ramę. Poczułam się, jakbym znowu miała dwanaście lat i była w szkole tańca Trimmy Taylor w Pine Point, w czasach, kiedy tam dorastałam.

Trimmy o filigranowym ciele tancerki i twarzy po niezliczonych liftingach, które nadały jej wiecznie zdumioną minę, powtarzała nieustannie: *Stwórzcie ramę, stwórzcie ramę*. Wciąż pamiętałam jej ciemne włosy spiętrzone w wysoki kok i kwiatowe perfumy, kiedy wirowała w kółko, zawsze trzymając partnera na idealny dystans.

Dzięki Bogu za Trimmy, pomyślałam, kiedy Roy zaczął mnie prowadzić po parkiecie. Poruszał się tak płynnie, że nawet gdybym miała podeszwy pokryte klejem, nic by to nie przeszkadzało.

– Wiedziałam, że umiesz pływać, ale nie miałam pojęcia, że tańczysz – powiedziałam, kiedy zrobiliśmy kilka obrotów.

– Cóż, pływanie to nie jedyny mój talent – skomentował, obracając mnie w miejscu.

Zauważyłam, że jesteśmy jedyną parą tańczącą two-stepa. Pozostali robili jakieś dziwaczne ruchy. Okrążyliśmy parkiet, wykonując obroty i figury; nigdy bym nie uwierzyła, że je pamiętam.

– Macie w Maine szkoły tańca? – Udałam zaskoczenie.

Roy zawirował mną znowu, a potem obróciliśmy się razem, splatając na chwilę ręce; miałam wrażenie, jakby sala otaczała nas łagodnym uściskiem.

Z powrotem położył mi dłoń na ramieniu.

– Może tak, a może nie.

– Ach, tajemniczy mężczyzna.

Spojrzał na mnie i się uśmiechnął, na co odpowiedziałam uśmiechem, a potem zaśmiałam się na cały głos. Wspaniale było tańczyć. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz to robiłam.

– Wygląda na to, że wszyscy się nas boją – zauważył Roy, podczas gdy moje stopy wykonywały kolejne figury.

– Jak to?

Spojrzał wokół rozbawiony.

– Wszyscy się wycofują.

Tylko kilka par nadal tańczyło. Większość stała na skraju parkietu, obserwując nasz taniec.

Roy obrócił się i znowu ujął mnie za rękę.

– Nie wiedziałem, że dziewczyny z miasta umieją tak szaleć.

– Założę się, że nie wiesz mnóstwa rzeczy o dziewczynach z miasta.

– Cóż, wiem jedno – odparł, bez wysiłku prowadząc mnie po kole. – To świetnie, że nie umiesz pływać, bo...

– Chwileczkę. – Puściłam go i stanęłam nieruchomo, udając oburzenie, dreszcze kłujących iskierok przebiegały mi po ramionach. – Protestuję przeciw takiemu opisowi tamtego incydentu. Umieć pływać i to właśnie robiłam, kiedy do mnie dotarłeś. Byłam tylko odrobinę zmęczona walką z prądem odpływowym, to wszystko.

– Okej, okej. – Zamachał rękami. – Mogę to przeformułować, pani adwokat? Nie tak wy, prawnicy, mówicie w sądzie: Czy mogę przeformułować pytanie?

Ujął mnie za rękę i zaczęliśmy tańczyć.

– Owszem. W porządku, wyrażam zgodę. Proszę przeformułować.

– Doskonale, a więc chciałem powiedzieć, iż świetnie się złożyło, że miałaś pewne problemy z pływaniem, bo inaczej nie tańczylibyśmy teraz, a jesteś niezłą tancerką.

Utwór się skończył i ludzie na skraju parkietu zaczęli klaskać. Roy cofnął się, również bijąc mi brawo, a ja roześmiałam się i skłoniłam lekko. Wkrótce kilka samotnych nut na fortepianie zapowiedziało wolniejszy utwór. Nastąpił niezręczny moment; nigdy nie wiem, czy tkwić wtedy w miejscu, czekając, aby ktoś zaprosił mnie znowu, czy podziękować i usiąść.

– Dzięki – rzuciłam, odwracając się do odejścia.

Kilka par wracało na parkiet.

Roy chwycił mnie za rękę.

– Zaczekaj, nie możesz jeszcze rezygnować, Pływaczko. To fajny kawałek.

Uśmiechnął się. Dołki pokazały się znowu.

Zdziwiłam się, jak może poznać piosenkę zaledwie po pierwszych kilku nutach, zaraz jednak uświadomiłam sobie, że ja też to potrafię, gdy chodzi o ulubione utwory.

– Okej – ustąpiłam.

Znowu ujął moją dłoń, tym razem jednak przysunął się blisko i przyciągnął mnie do siebie. Objęłam go drugą ręką za szyję, kiedy Willie Nelson zaczął śpiewać *Always on My Mind*.

Och, Boże. Powolny taniec przy piosence o miłości z kimś, kto nie był Haydenem. Z kimś, kto uratował mi życie. Było to dziwne, bez dwóch zdań, ale też

w jakiś sposób przyjemne. Przy Royu czułam się drobna jak baletnica. Otaczające mnie ramię sprawiało wrażenie silnego; pomyślałam, że zdołałby mnie podnieść tylko jedną ręką. Nawet nie wiedziałam, co robią moje stopy. Sunęłam jak na sankach, podtrzymywana przez niego. Jego płyn po goleniu pachniał lekko drzewem cedrowym, i to też było przyjemne.

Nachylił głowę.

– Zawsze masz takie szczęście?

– Pod jakim względem? Że nie upadłam na podłogę i nie rozbiłam sobie głowy na kawałki?

Roześmiał się.

– Pod tym chyba też. Ale chodziło mi o darta.

Przesunął dłoń, bardzo nieznacznie, i po moim ciele znów spłynęły kłujące iskierki. Tańczyłam z kimś, kto nie był Haydenem, i czułam się z tym... cóż, całkiem dobrze.

– Och, uważasz, że to było szczęście? – Zaśmiałam się nonszalancko. – Przyznam, że podczas studiów w Oksfordzie grałam w rzutki na okrągło.

– Hmm... w Oksfordzie... I nadal grasz?

Roześmiałam się.

– Niezupełnie, chyba że liczyć dzisiejszy wieczór.

– Cóż, może powinnaś. Całkiem prawdopodobne, iż byłby to początek nowej kariery.

Już miałam odpowiedzieć, że gra w rzutki nie należy do rzeczy, które podobają się Haydenowi, ale się powstrzymałam.

– Trudno znaleźć czas – odparłam. – Z powodu pracy i tak dalej...

Pomyślałam o zajęciu Roya jako cieśli i o pozytywach ośmiogodzinnego dnia pracy. Mnóstwo problemów z głowy. Żadnego zostawiania po godzinach, zabierania zleceń do domu, żadnej pracy w weekendy.

– Ty pewnie grasz często – zauważyłam. – Jesteś naprawdę dobry.

Wzruszył ramionami. A potem szepnął:

– Niewystarczająco dobry, żeby pokonać ciebie.

Jego oddech owionął mi ciepłym szyć.

– Znowu wracamy do kwestii szczęścia – odszepnęłam w odpowiedzi.

Zamknęłam oczy i w milczeniu przetańczyliśmy do końca piosenki.

– Masz ochotę coś zjeść? – spytał Roy, kiedy wróciliśmy do stolika. – Żeby margarity miały w co wsiąknąć?

Skąd wie, że piłam? – zastanawiałam się.

– Szczerze mówiąc, tak.

Uświadomiłam sobie, że kolejny raz podstępem uniemożliwiono mi zjedzenie zamówionych potraw. Może kiedyś wreszcie mi się uda skończyć posiłek.

– Bardzo chętnie wezmę pieczeń.
– Powinnaś też spróbować chowdera. – Wymawiał to tak samo jak Paula: *czouda*. – Mają naprawdę świetny.

– Okej, jasne. – Doszłam do wniosku, iż mogę zamówić trzecią miskę. Miałam nadzieję, że tym razem zostanie opróżniona.

Roy podszedł do kelnerki krążącej kilka stolików dalej; dziewczyna zanotowała coś na bloczku. Potem wrócił na swoje miejsce.

– Więc gdzie się nauczyłaś two-stepa? – spytał.

Obok mnie stał niewielki biały pojemniczek z cukrem, słodzikami Sweet’N Low oraz Splenda. Zakręciłam nim pośrodku blatu.

– Od Trimmy Taylor.

– Od kogo? – Po jego twarzy przemknął podejrzliwy uśmiezek, jakby sądził, że zmyślam.

Zaczęłam układać pakieciki kolorami. Cukier z jednej strony, sweet’n low pośrodku, a splenda z drugiej.

– Trimmy Taylor. Uczyła tańca wszystkie dzieciaki z Pine Point. To w Connecticut, gdzie dorastałam.

Skinął głową, ale nie wiedziałam, czy to znaczy, że słyszał o tym miasteczku, czy wręcz przeciwnie. Wziął paczuszkę splendy i dołożył do pozostałych. Jego ręka niemal dotknęła mojej.

– Pine Point leży w okręgu Fairfield – wyjaśniłam. – Niedaleko stanu Nowy Jork. Wiesz, gdzie leży Greenwich? Albo West...

– Wiem, gdzie jest okręg Fairfield – uciał.

Kiedy wstał z miejsca, obawiałam się, że wyjdzie – może go obraziłam albo powiedziałam coś głupiego i ma mnie dość. On jednak obszedł stół i usiadł obok mnie na wyściełanej ławeczce.

Poczułam na ramionach gęsią skórę.

– No więc – podjęłam, starając się, by nie dosłyszał drżenia w moim głosie – Trimmy prowadziła studio tańca i uczyła tańców towarzyskich. – Zaśmiałam się. – Miała z milion lat. Nauczyła tańczyć całe miasteczko.

Roy się uśmiechnął.

– Przydałby się nam tutaj ktoś taki.

Kelnerka wróciła z dwiema miskami chowdera i koszykiem bułeczek.

– A ty gdzie się nauczyłaś tańczyć? – Nie umiałam sobie wyobrazić w Beacon studia tańca *à la* Trimmy Taylor.

Podsunał mi koszyk.

– Jeśli chodzi o konkretny taniec... niech się zastanowię... Nauczyła mnie go pewna kobieta.

– O. – Sięgnęłam po bułeczkę. – Twoja dziewczyna? – Staralam się, by wypadło to swobodnie.

Przytaknął ruchem głowy.

– Owszem. Ale to było jakiś czas temu.

Poczułam lekką ulgę, lecz przystopowałam samą siebie kolejny raz. Co ja wyprawiam, flirtując z tym gościem, skoro w Nowym Jorku czeka na mnie Hayden?

Roy zamieszał zupę.

– A co robisz w Beacon?

Odlamałam niewielki kawałek chrupiącej bułeczki i posmarowałam masłem.

– Przyjechałam dla babci. Prosiła, żebym załatwiła dla niej pewną sprawę.

– W Beacon?

– Tak. Mieszkała tutaj.

– Serio? Kiedy?

– Och, dawno temu – odparłam. Chowder tym razem smakował mi jeszcze bardziej. Z jakiegoś powodu drobne gałązki świeżego kopru sprawiały, że był po prostu idealny. – Wiesz, to danie jest naprawdę dobre.

– Słyna z niego w okolicy – powiedział Roy i na parę chwil skupiliśmy uwagę na jedzeniu.

Zjadłam wszystko do samego końca.

– Jak widać, zgłodniałam bardziej, niż podejrzewałam – skomentowałam, odkładając łyżkę.

Popatrzył na mnie i się uśmiechnął.

– To skutek tańca. I gry w rzutki.

Poczułam w jego oddechu piwo; pachniało gorzko i słodko. Siedział tak blisko, że dwa razy musnął mnie ręką. Zastanawiałam się, czy zdawał sobie z tego sprawę.

Podano pieczeń; okazała się fantastyczna. Rozkoszowałam się każdym kęsem, nie wiedziałam, czego do niej dodano, że smakuje tak wspaniale. Przeciągnęliśmy posiłek, zamawiając na zakończenie kawę. Roy spojrzął na zegarek.

– Dochodzi jedenasta. Jutro muszę wcześniej wstać.

Jego dłoń spoczywała na blacie. Miałam ochotę jej dotknąć, musnąć ją tylko.

– Ja też – oznajmiłam. – Chyba pora się zbierać. – Wciąż czułam się podekscytowana po drinkach. – Spacer dobrze mi zrobi.

– Spacer? Mowy nie ma. Odwiozę cię. – Podniósł się z kanapki. – To znaczy, jeśli chcesz.

Owszem, chciałam. Chciałam, żeby ten wieczór się nie kończył. Jeszcze nie. Było mi tak dobrze.

– Jasne, byłoby wspaniale.

Przeszliśmy obok gości stojących w niewielkich grupkach, obok stolików, gdzie pito i opowiadano historie, obok baru, przy którym siedziały zwrócone

ku sobie pary, a Skip zdejmował z półki kieliszki do wina.

Skinął Royowi, po czym zerknął zdziwiony jeszcze raz, widząc mnie obok. Posłał nam serdeczny, szeroki uśmiech ze szczerbą po trzonowcu.

– Hej – rzucił, przywołując mnie gestem. – Nie zapomnij tego.

Gdy podeszłam do baru, podał mi egzemplarz „Forbesa”.

Omal się nie roześmiałam, przypominając sobie własne myśli, kiedy wkładałam gazetę do torebki. Żeby się nie nudzić.

– A, racja, dzięki. – Schowałam ją do torebki.

Na zewnątrz wiała słona bryza; ulica była cicha, dochodził tylko huk fal rozbijających się o brzeg za falochronem.

– Zaparkowałam parę przecznic stąd – odezwał się Roy, kiedy szliśmy wzdłuż witryn zamkniętych na noc sklepów.

Niebo pulsowało od gwiazd.

– Nie mogę uwierzyć, jakie przejrzyste jest powietrze. – Wskazałam prosto w górę. – Patrz, widać Oriona.

– Aha – przytaknął. – Te trzy gwiazdy to pas, a tam są ręce i nogi. – Obrysował kształt palcem.

– Gwiazdy wydają się tutaj o tyle jaśniejsze i bliższe – zauważyłam.

Wisiały nad nami niczym sieć, przytrzymując nas na miejscu.

Roy spojrział na mnie.

– Może to prawda, Ellen. Może to prawda.

Otworzył mi drzwi furgonetki od strony pasażera. Sam zajął miejsce kierowcy i rzucił kurtkę na tylne siedzenie. Przejechaliśmy w milczeniu przez miasteczko, mijając plażę i budowę, gdzie pracował, potem boczną drogą i uliczką dotarliśmy do Victory Inn; światła na ganku jarzyły się miękkim, żółtym blaskiem. Zaparkował przy krawężniku.

Trzymałam torebkę na kolanach; Roy patrzył na moje dłonie. Czułam jego wzrok i mogłam myśleć tylko o Haydenie i o tym, jak by zareagował na wiadomość, że siedzę w furgonetce obcego faceta, który gapi się na moje ręce. A dlaczego siedziałam w furgonetce faceta gapiącego się na moje ręce? Wiedziałam, że muszę jak najszybciej zmykać, ale nie mogłam się poruszyć.

I wtedy Roy delikatnie pogładził mnie po dłoni. Po kostkach, w górę i w dół po każdym palcu. Miałam wrażenie, jakby mnie podłączono do gniazdka w ścianie. Fala gorąca przepłynęła przez całe moje ciało. Ledwie zdołałam oddychać.

Zwrócił ku mnie twarz. Cofnął dłoń i objął mnie ramieniem. A potem znieruchomiał.

– Da się to zabrać z drogi? – spytał, szturchając torebkę na moich kolanach. Jego dołki na policzkach ukazały się znowu.

– Jasne – wydusiłam, ledwie mogąc wydobyć głos. – Postawię ją na podłodze.

Lecz on już po nią sięgnął. Tyle tylko, że chwycił z boku i torebka nagle przekręciła się do góry dnem, rozsypując połowę zawartości. Szminki i długopisy potoczyły się na podłogę. Komórka i jakiś kilogram drobnych zasypały fotel. Portfel oraz iPod wypadły w towarzystwie garści banknotów. Na koniec wyfrunęła koperta z logo Winston Reid – ta z napisem PAN CUMMINGS na wierzchu i listem babci w środku.

– Przepraszam. – Roy pomagał mi w zbieraniu. – Chyba nie umiem się obchodzić z torebkami.

Roześmiałam się. Kiedy podniósł kopertę z listem babci, zobaczyłam, że krzywy uśmieszek znika z twarzy Roya i maluje się na niej niepokój.

– Co to jest? Winston Reid Jennings, Prawnicy?

– Kancelaria prawnicza, gdzie pracuję – wyjaśniłam, podnosząc iPoda.

– Twoja kancelaria.

W jego głosie wyczułam złość. Mężczyzna, który obrysowywał palcem Oriona, nagle zniknął, a ja kompletnie nie pojmowałam czemu.

– Co się stało?

– Wiem, czym się zajmujesz. – Jego wzrok stwardniał. – Powiniennem coś takiego przewidzieć.

Chwyciłam komórkę i szminkę.

– Co powiniennem przewidzieć? O czym ty mówisz?

Machnął kopertą w moją stronę.

– O tym. Pozywasz mnie z powodu pomostu... bo z niego spadłaś.

Pomost. Pozew przeciwko Royowi. Co on wygaduje?

– Nie rozumiem – powiedziałam. – Czemu miałabym cię pozywać z powodu pomostu? Sama spadłam, a ty przecież pomogłeś mi wrócić do brzegu.

Zamierzałam dodać, że nawet gdybym chciała kogoś pozwać z tego powodu, oskarżyłabym właściciela nieruchomości i firmę budowlaną – tłuste misie – a nie kogoś, kto jedynie tam pracował. Ale nie dał mi szansy.

– Wielkomięscy prawnicy – rzucił. – Wszyscy jesteście tacy sami. Nikt już nie bierze odpowiedzialności za siebie. Wszystko jest zawsze winą kogoś innego. I to wyście do tego doprowadzili.

Wszyscy jesteście tacy sami? Ja do tego doprowadziłam? Dlaczego atakował mnie i moją profesję?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, czemu się złościysz – odparłam. – I bardzo mi się nie podoba, że krytykujesz mnie i to, co robię.

Wskazał kopertę.

– Jesteś prawniczką. Prawnicy pozywają ludzi. Sama stwierdziłaś, że kogoś należałoby podać do sądu z powodu tego pomostu.

– Pomostu? – powtórzyłam. – O mój Boże. Miałam tylko na myśli, że trzeba go naprawić.

Pokręcił głową.

– Wcale nie.

Poczułam, jak krew napływa mi do twarzy. Próbował mi przypisywać rzeczy, których nie powiedziałam. Co on sobie wyobraża?

– Jesteś w błędzie – powiedziałam. – Zawartość tej koperty nie ma z tobą nic wspólnego.

Sporunował mnie wzrokiem.

– Och, doprawdy? Więc czemu jest na niej moje nazwisko?

– Twoje nazwisko?

– Owszem, moje nazwisko. Cummings.

Cummings? Nazywał się Roy Cummings? O mój Boże, nosił takie samo nazwisko. Wszystko zaczynało się układać. Teraz powinnam tylko wyjaśnić, że nie on jest tym panem Cummings, z którym chciałam się spotkać. I że nie przyjechałam nikogo pozywać. Przyjechałam wypełnić prośbę babci wypowiedzianą przed śmiercią. Tak należało zrobić. Ale w tym momencie czułam się zbyt zirytowana. Chwyciłam torebkę i wyskoczyłam z furgonetki.

– O niczym nie masz pojęcia – oświadczyłam, stojąc przy otwartych drzwiach; głos mi drżał. – Ani o prawnikach, ani o pozwach, ani przede wszystkim o mnie. I powiem ci jedno: wolę być prawniczką z Nowego Jorku niż ograniczonym typem z Maine, kimś, kto wyciąga absurdalne, pochopne wnioski. – Odrzuciłam głowę i przeszyłam go spojrzeniem niczym pociskiem zmierzającym prosto do celu. – Do zobaczenia w sądzie – rzuciłam, zatrzaskując drzwiczki.

W drodze powrotnej do Victory Inn gotowałam się ze złości. Miałam nadzieję, że uwierzy, iż rzeczywiście zamierzam go pozwać; i że będzie miał z tego powodu koszmary. Zarozumiały sukinsyn. Boże, całe szczęście, że nie pozwoliłam mu się pocałować. Co ja sobie wyobrażałam, do cholery?

Drzwi skrzypnęły, kiedy wchodziłam do hoteliku. Hol był pusty, miękki blask dwóch kinkietów i niebieska poświata od komputera Pauli rozjaśniały wnętrze. Wzięłam głęboki wdech i wolno wypuściłam powietrze, próbując się uspokoić.

A potem pomyślałam: Nie dałam mu się pocałować? Chwileczkę. Nigdy bym do tego nie dopuściła. To by się w ogóle nie wydarzyło. Powstrzymałabym go. Zamierzałam go powstrzymać. Byłam zaręczona, na miłość boską. Na górze, w pokoju numer dziesięć albo numer osiem, albo jakikolwiek numer nosił, czekał mój pierścionek. Miałam narzeczonego, którego gorąco kochałam i który czekał na mnie w Nowym Jorku. Był inteligentny – potrafił rozwiązać każdy problem – i przystojny, świetnie się ubierał, robił zawrotną karierę jako wschodząca gwiazda polityki. Nagle zobaczyłam w wyobraźni Haydena przy biurku; był w garniturze z Savile Row, może tym ciemnoszarym w cieniutkie prążki, w wykrochmalonej białej koszuli i w krawacie od Hermès – błękitnym w literki H, tak drobne, że

wcale nie przypominały liter.

Żaden pocałunek nie wchodził w grę.

Rozdział 7

Dom przy Comstock Drive

Samochodowy klakson zawodził za oknem... dwa długie sygnały. Cisza. Potem kolejny jęk.

Uniosłam do połowy powieki. W pokoju panował półmrok, tylko smuga światła wpadała spod rolety. Przewróciłam się na drugi bok i próbowałam zasnąć, ale nie pozwalał mi ból głowy i wszystkich mięśni.

Margarity.

Próbowałam przełknąć ślinę, lecz w ustach zupełnie mi zaschło.

Margarity.

Kołtun z włosów przywarł mi do czoła, kilka pasm przykleiło się do kącika ust.

Krześło. Ktoś stał na krześle i wrzeszczał.

Odgarnęłam włosy.

To ja stałam na krześle. O Boże.

Ludzie wiwatowali. Unosili kieliszki w toaście. Za mnie. A ja stałam na krześle, wskazując facetów, którzy grali w darta.

Facetów grających...

Och.

Mój żołądek szarpnął niczym planeta próbująca się wyrwać z orbity.

Studolarowy banknot i dziura w nosie Bena Franklina, i zakład, rzucałam strzałkami, i Roy rzucał strzałkami, i...

Roy.

Był tam. Teraz sobie przypomniałam. Graliśmy w darta i tańczyliśmy two-stepa, rozmawialiśmy o Trimmy Taylor po liftingu i o ramie, i jedliśmy pieczeń, i Skip ciągle podsyłał nam drinki, i Roy odwiózł mnie do domu, i pocałował...

Chwileczkę.

Raptownie otworzyłam oczy, przypomniałam sobie odwróconą do góry dnem torebkę i jej zawartość sypiącą się na podłogę furgonetki. A potem on wymachiwał w moją stronę kopertą. Tą z listem babci. Sądził, że zamierzam go pozwać. I nazywa się Cummings. I próbował mnie pocałować.

Klakson na ulicy zawył znowu; miałam ochotę wychylić się przez okno i wrzasnąć: A mówią, że nowojorczyccy są źle wychowani! – ale wymagałoby to zbyt wielkiego wysiłku.

Nakryłam głowę poduszką i jęknęłam. Dzięki Bogu, że do tego nie doszło.

Musiałam być naprawdę pijana. Co mnie uwiodło, wprawa, z jaką posługiwał się gwoździarką i układał rury PCV? Potraktował mnie okropnie. Po prostu po chamsku. Skąd mu strześliło do głowy, że zamierzam go pozwać? I to gadanie o wielkomiejskich prawnikach. Litości...

Przekręciłam się, żeby spojrzeć na budzik. Cyfry płonęły boleśnie jaskrawo: dziesiąta trzydzieści. Jakim cudem może być już dziesiąta trzydzieści? I jaki to dzień? Potrzebowałam minuty, by wykombinować, że czwartek. I że planowałam się zerwać o siódmej.

Głowa mi zaciężała, kiedy podniosłam się do pionu. Posiedziałam chwilę, a potem ostrożnie przemieściłam się do łazienki. Odbicie w lustrze przerażało, szczególnie w żółtawozielonym świetle sufitowej lampy. Pod oczami ciemniały grube smugi zbrylonego tuszu. Tak wyglądałam wczoraj wieczorem?

Starłam makijaż, przysięgłam rzucić picie i się ubrałam. Zabrałam komórkę do łazienki, opuściłam klapę sedesu i wybrałam numer biura Haydena. Jego sekretarka Janice poinformowała, że poszedł na dłuższe zebranie. Rozczarowana rozłączyłam się i odsłuchałam dwie wiadomości głosowe, które nagrała mi mama, kiedy ja hulałam w Ant-lerze. Dostarczyłaś już list? Co się stało? Kiedy wracasz?

Zaczęłam wystukiwać domowy numer, ale zmieniłam zdanie. Nie czułam się teraz na siłach, by stawić czoło długiej, skomplikowanej konwersacji, a jeśli wczoraj niepokoiłam się szóstym zmysłem mamy, to dzisiaj miałam prawdziwe powody do obaw. Zanim zdążyłabym powiedzieć „cześć”, wiedziałyby, że coś jest nie tak. Wysłałam kolejnego esemesa. *Wszystko świetnie. Nie zastałam pana C, ale spróbuję znowu. Wyjeżdżam dzisiaj na pewno. Zadzwoń niedługo. Calusy.*

To ją udobrucha, pomyślałam, chwytając torebkę i kluczyki z biurka. Wkrótce zdam jej pełny raport. Zeszłam dwie kondygnacje schodów w dół i przecięłam hol, gdzie natknęłam się na Paulę pogrążoną w rozmowie z jakimś mężczyzną dzierżącym kurek od wanny i klucz francuski. Skinęła lekko głową, kiedy ją mijałam.

Przedni fotel samochodu był nagrany od słońca. Opuściłam szyby i właśnie miałam włączyć GPS-a, kiedy stwierdziłam, że tego nie potrzebuję. Znałam drogę do domu Cheta Cummingsa. Wkrótce skręciłam w jego uliczkę i zaparkowałam na podjeździe za zielonym audi; wciąż stało w tym samym miejscu.

Nikt nie odpowiedział, kiedy zapukałam do drzwi. Odczekałam minutę i zastukałam znowu, ale wciąż bez reakcji. Zajrzałam przez parę okien, nie dostrzegłam jednak żadnych oznak życia. Dokąd ten mężczyzna chodził każdego dnia? Do pracy? Czy gdzieś w okolicy jest McDonald's? Słyszałam, że zatrudnia wiele starszych osób. Stojąc na ganku frontowym, zastanawiałam się, co dalej. Wyjęłam z torebki kopertę z listem babci. Przesunęłam palcem po nazwisku – PAN CUMMINGS. W porządku, pomyślałam, wystarczy, jeśli zostawisz list tutaj. Musisz go zostawić, wymeldować się z hotelu i ruszać w drogę. Zrobiłaś wszystko,

co się dało. Babcia by zrozumiała.

Na podjazd sąsiedniego domu wjechał samochód – sąsiadka w białym volvo. Pomachałam jej lekko, ale nie odwzajemniła gestu. Wysiadła i ruszyła przez trawnik pana Cummingsa. Była ubrana w czarny podkoszulek bez rękawów i obcisłe białe dżinsy; zauważyłam, że ma niezłą figurę oraz ciemnobrązowe oczy. Weszła prosto na ganek i oparła ręce na biodrach, jakby to miejsce do niej należało.

– Szuka pani kogoś? – Zmarszczyła czoło, mierząc mnie wzrokiem.

Tak mnie to zaskoczyło, że z trudem wydobyłam głos.

– Szukam pana Cummingsa – wyjąkałam.

Zerknęła na kopertę w mojej dłoni.

– A jaką sprawę ma pani do niego?

Za wiele sobie pozwalała. Takie wścibstwo nie mieściło się w głowie.

– To wyłącznie moja sprawa – odparłam.

Nachyliła się do mnie i poczułam zapach korzennych perfum.

– Cóż, jestem jego sąsiadką... oraz dobrą znajomą. Troszczę się o niego.

– To bardzo miło. – Słyszałam w swoim głosie cierpki ton. – Ale sprawy osobistej wołałabym nie omawiać z nikim postronnym.

Włożyłam kopertę z powrotem do torebki i energicznie zesłam z ganku. Za kogo ona się uważa? *Troszczę się o niego*. Wykluczone, żebym teraz zostawiła tu list. Widziałam niemal, jak go trzyma nad parą z czajnika, otwiera i czyta. Wyślę go z poczty w Beacon albo wrzucę do skrzynki, wyjeżdżając z miasteczka, ale za nic nie zostawię pod drzwiami Cummingsa.

Po powrocie do hotelu spakowałam ubrania do walizki. W łazience zebrałam przybory toaletowe, wyciągnęłam z gniazdka nad zlewem ładowarkę od komórki i kabel od laptopa, a potem sprawdziłam w lustrze makijaż.

Ostatni raz rozejrzałam się po pokoju i zauważyłam cienkie jak włos pęknięcie na porcelanowym dzbanku na komodzie. Zabawne, nie dostrzegłam go wcześniej. Zajrzałam raz jeszcze do łazienki, by się upewnić, że wszystko zabrałam. Ostatnią rzeczą, na którą padł mój wzrok, była reprodukcja z latarnią morską i żaglowcem wpływającym o zmierzchu do portu. Nigdy nie zadałam sobie trudu, by spojrzeć na nazwę statku, ale teraz to zrobiłam. Na kadłubie, wypisane niebieską farbą, widniały słowa JE REVIENS. *Wracam*. Zamknęłam za sobą drzwi i zesłam po schodach.

Kiedy mijałam jadalnię, właśnie wydawano lunch. Paula wynurzyła się z kuchni przez wahadłowe drzwi.

– Opuszcza nas pani? – Zerknęła na moją walizkę.

– Owszem. – Czułam wyrzuty sumienia, że nie wypełniłam misji. W każdym razie nie tak, jak życzyła sobie babcia. – Pora na mnie.

Udałam się za nią do biurka i wpisałam swoje nazwisko w księdze meldunkowej w kolumnie z nagłówkiem GOŚCIE WYJEŹDZAJĄCY. Przeciągnęła moją kartę kredytową przez czytnik.

– Mam nadzieję, że miasteczko nie wydało się pani zbyt nudne – powiedziała, kiedy zarzucałam na ramię pasek od torby z laptopem. Na jej twarzy zobaczyłam błysk uśmiechu, niczym iskrę gotową rozpalić się w płomień.

– Nie. Było w porządku.

Sięgnęła po długopis i wsunęła go sobie za ucho.

– Cóż, może kiedyś pani tu wróci.

Wzruszyłam lekko ramionami i spróbowałam się uśmiechnąć.

– Wydaje mi się, że zakończyłam swoje sprawy.

Ciągnąc walizkę na kółkach, wyszłam i zamknęłam za sobą drzwi.

Powietrze było chłodne, lecz uchyliłam lekko szybę samochodu, żeby poczuć wietrzyk. Ustawiłam GPS-a na dom, wybierając malowniczą trasę. Po drodze mijałam zielone pola, sosny, podwórze, na których dzieci bawiły się w berka, i wyobrażałam sobie, jak bym sfotografowała każdą z tych scen, gdybym miała aparat, mijałam borówkowe farmy z ustawionymi przy drodze straganami, gdzie sprzedawano koszyki napełnione czubato jagodami, i ze świeżymi kwiatami ułożonymi na stołach w różnobarwne bukiety. Myślałam o babci i jej borówkowych mufinkach; o tym, jak potrafiła sprawić, by ich skórka była odrobinę chrupiąca, podczas gdy wewnątrz pozostawało idealnie wilgotne. Na samo wspomnienie w brzuchu zaburczało mi z głodu.

Po kwadransie z lewej ukazał się kamienny mur. Wydawało się, że ciągnie się w nieskończoność, ale chwilami migają zza niego pole. Spłowiałe tablice ZAKAZ WSTĘPU wynurzały się w nieregularnych odstępach czasu; czerwone dawniej litery stały się różowe. Pole ciągnęło się i ciągnęło, wciąż w towarzystwie muru i leżących wzdłuż niego kamieni. „Solidne płoty gwarantują dobrych sąsiadów”, powiedziałam na głos, przypomniawszy sobie cytat z wiersza Roberta Frosta.

Potem mur się skończył i znów ukazały się domy. Minęłam podjazd zasmarowany niebieską i różową kredą po grze w klasy, a potem znak, który mnie poinformował, że autostradę mam prosto przed sobą.

Kolejnych sto metrów dalej zauważyłam mały sklepik. Na szyldzie widniał napis EDDY'S FOOD MART, chociaż w słowie „mart” brakowało „r”. Widać było tylko obrys w miejscu, gdzie litera powinna się znajdować. Mat, powiedziałam do siebie. Eddy's Food Mat. Brzmiało, jakby to wypowiedział mieszkaniec Maine. Przed sklepikiem stała samotna, zabytkowa, czerwono-biała pompa do paliwa. Zerknęłam na wskaźnik, stwierdziłam, że zostało mi ćwierć baku, i zjechałam na

pobocze. Zbliżył się rudy i piegowaty nastolatek.

– Zatankować? – spytał, osłaniając oczy od słońca.

– Tak, poproszę. – Zgasiłam silnik. – Zajrzę na moment do sklepu, okej?

Wzruszył ramionami, jakby mówił: jak pani chce.

Wnętrze było chłodne i ciemne, a cztery wąskie alejki pełne pudełek oraz puszek, soków i płatków śniadaniowych, warzyw, chleba, mleka, jajek, czasopism. Deski podłogi zaskrzypiały, kiedy szłam do lodówek w głębi. Nie znalazłam perriera, ale mój wzrok przyciągnęło coś innego: piwo korzenne Higginsa. Na etykiecie wypisano: BUTELKOWANE W MAINE DLA TEGO SZCZEGÓLNEGO SMAKU, cokolwiek to znaczyło. Wzięłam dwie butelki, podeszłam do kasy i postawiłam je na dębowej ladzie. Drewno było pożółkłe i pomazane długopisem. CHARLIE I JUNE. FITZ TU BYŁ. LISA T. PETE RONIN TO LIZUS.

Dziewczyna zza lady spojrzała sennymi oczami tkwiącymi w krągłej jak księżyc twarzy.

– To wszystko?

– To wszystko.

Wyjęłam portfel i wyciągnęłam plik banknotów. Na dnie znalazłam swoją złożoną setkę owiniętą wokół pięciu dwudziestek – wygraną od Roya. Schowałam je i zamiast tego wzięłam dwudziestkę z wierzchu stosu.

Kasjerka włożyła butelki do papierowej torby. Właśnie rozmyślałam o podróży powrotnej, licząc, że nie utknę w żadnym korku, kiedy ktoś mnie postukał w ramię.

– Przepraszam.

Odwróciłam się i zobaczyłam kobietę w czerwonych spodniach i niebieskiej bluzce; ścisnęła pudełko mrożonych brokułów. Była to Arlen Fletch z biura sekretarza rady miejskiej.

Nachyliła się do mnie.

– Miałam nadzieję, że na panią wpadnę – szepnęła, jakbyśmy brały udział w spisku. – Pamięta mnie pani? Z ratusza?

– Tak, oczywiście. – Uśmiechnęłam się, sięgając po torbę. – Rozmawialiśmy o urzędzie skarbowym.

Arlen wzdrygnęła się jak wampir na widok srebrnego krzyża. Potem jej rysy złagodniały.

– Zostawiła to pani w biurze.

Podawała mi karteluszek, na którym napisałam: FRANK I DOROTHY GODDARDOWIE, nazwiska rodziców babci, szukając ich w ewidencji gruntów. Zamierzałam go wyrzucić. Jakie to dziwaczne, że ta kobieta nie tylko go zachowała, ale nosiła ze sobą. I pomyśleć, że ludzie uważają nowojorczyków za dziwaków.

– Dzięki, że... że to pani przechowała. – Zmuszając się do uśmiechu, wzięłam od niej papieraek. – I za pomoc.

Skierowałam się do wyjścia.

Arlen jednak ruszyła obok, gdy mijałam buszle kukurydzy i pomidorów.

– Och, drobiazg – odparła, wymijając piramidę puszek z groszkiem na końcu alejki. – Pomyślałam sobie, że może panią jeszcze spotkam. Przypadki się zdarzają.

– Tak, no cóż, jeszcze raz dziękuję. – Pchnęłam drzwi i wyszłam na zewnątrz.

Zapłaciłam piegowatemu chłopakowi za benzynę i podchodziłam już do samochodu, kiedy się zorientowałam, że Arlen wciąż za mną idzie z pudełkiem brokułów w garści. Zatrzymałam się przy wozie i wyjęłam kluczyki z torebki.

– Mogę dla pani coś jeszcze zrobić?

Na mopsiej twarzy kobiety wykwitł uśmiech.

– Znalazłam coś.

– Tak, wiem.

Uniosłam skrawek papieru, by zobaczyła, że wciąż go mam. Oczekiwała nagrody?

Przechyliła głowę na bok i zmrużyła oczy.

– Nie, patrzy pani z niewłaściwej strony. – Pomachała ręką. – Znalazłam dom. Dom pani babci. Widzi pani? BRADLEY G. PORTER I SUSAN H. PORTER. To obecni właściciele.

Spojrzałam na karteczkę i dopiero teraz dostrzegłam nazwiska, które zapisała na odwrocie. Oraz adres. COMSTOCK DRIVE 14.

– Odszukała pani dom mojej babci?

Wzruszyła lekko ramionami.

– Tak jest.

– Przecież przewertowałam wszystkie katalogi od tysiąc dziewięćsetnego roku i... och, sama nie wiem, wszystko, co się dało, ale ich nie znalazłam.

Arlen znowu się przysunęła.

– Musiała pani coś przeoczyć, bo ja znalazłam.

Puściła do mnie oko.

Miałam ochotę ją uściskać. Porwać w ramiona i zakręcić wokół. Ucałować w mopsią twarzyczkę. Za jej sprawą podróż okazała się warta trudu. Uznałam, że po prostu podziękuję jej jeszcze raz.

– Wpiszę adres w GPS-a i zaraz tam pojadę – oświadczyłam.

– W GPS-a? – Wzdrygnęła się. – Nie potrzebuje pani tego ustrojstwa, żeby znaleźć adres. Dom jest, można powiedzieć, za rogiem.

Wyrecytowała długą listę wskazówek obejmującą cztery skręty, rozwidlenie i strumyk. Chyba zauważyła, że zbladłam.

– Wydaje się pani odrobinę skołowana – stwierdziła. – Momencik.

Poszła do swojego samochodu i wróciła ze złożonym na troje planem miasta. Och, Boże, pomyślałam, dajcie mi tylko użyć GPS-a.

Mapa była pożółkła i cuchnęła wilgotną piwnicą. Arlen zdmuchnęła z niej cienką warstewkę kurzu. Potem rozłożyła na masce czyjejs toyoty.

– To dokładnie tutaj. Comstock Drive. – Wyjęła różowy długopis i coś zakreśliła.

– Pojedzie pani drogą numer pięćdziesiąt pięć i dalej prosto, potem tutaj w lewo, w prawo w Algonquin, skręci pani w Verrick, przejedzie strumień i skręci w lewo na rozwidleniu. – Prześledziła trasę długopisem. – Dojedzie pani do Kenlyn Farm. Taki długi kamienny mur. Nie można go przeoczyć. Minie pani farmę i to będzie dosłownie kilka ulic dalej w prawo.

Zaczynało mi szumieć w głowie. Wzięłam mapę, ignorując wszystko prócz pisowni nazwy „Comstock”, żeby ją wklepać w GPS-a.

– Kenlyn Farm? – spytałam.

Arlen machnęła lekceważąco.

– Dawniej uprawiali tam borówki. Teraz nic tam nie rośnie. To po prostu wielki kawał ziemi, ale nie da się go przeoczyć. Z kamiennym murem ze wszystkich stron.

Byłam prawie pewna, że chodzi o miejsce, które dopiero co mijałam.

– Proszę, niech pani ją weźmie. – Szturchnęła mnie mapą.

Podziękowałam kolejny raz, wsiadłam do samochodu i osunęłam się na fotel. Znalazła dom. Znalazła go. Chciałam go zobaczyć, dotknąć, powąchać. Stanąć przed frontowymi drzwiami, gdzie kiedyś stała moja babcia. Wejść po schodach tak jak ona i wtopić się w drewno, gwoździe i tynk.

Otwarłam butelkę piwa korzennego i wlałam do gardła lodowaty płyn, raz jeszcze myśląc o domu i o tym, jak będzie wyglądał. Tym razem jednak widziałam wyłącznie pozytywy. Będzie mały i przytulny, o krzywych podłogach, stromych schodach i małych pokoikach z pochyłymi sufitami. Będzie miał wąskie korytarze, stare szklane gałki przy drzwiach i mahoniowe wykończenia, zabójcowane i wypolerowane na błysk. Wyczuję obecność babci w krokwiach i w tynku, w warstwach farby.

Rzuciłam mapę na fotel pasażera i wstukałam w GPS-a Comstock Drive czternaście. Wyświetliła się cała lista dróg w okolicy zawierających nazwę „Comstock”. Była więc Comstock Lane w Louderville i Comstock Circle w Tolland, nigdzie jednak, również w Beacon, nie znalazłam Comstock Drive. Z westchnieniem sięgnęłam po mapę Arlen i spróbowałam się połapać na trasie, którą mi narysowała.

Opuściłam parking i wkrótce sunęłam ponownie wzdłuż kamiennego muru. Kenlyn Farm, pomyślałam. Z trzeciej ulicy za nią skręciłam w Comstock.

Numer czternaście okazał się domem w nowoangielskim stylu przy uliczce

obrzeżonej podobnymi budynkami – biały, oszalowany deskami i piętrowy, z okalającym gankiem i białą drewnianą balustradą. Z piętra zerknęły mansardowe okna. Na dziedzińcu od frontu rósł klon, z jednego konara zwieszała się drewniana huśtawka. Trzydziestoparoletnia kobieta w dżinsowych szortach i zielonej bluzie Dartmouth College kołysała małą, mniej więcej siedmioletnią dziewczynkę.

Zaparkowałam i podeszłam do nich.

– Dzień dobry! – zawołałam, machając. – Jestem Ellen Branford. – Wyciągnęłam rękę do kobiety. – Pochodzę z Nowego Jorku, ale właśnie przyjechałam do Beacon. Moja babcia tu dorastała.

– Och, naprawdę? – Uścisnęła mi dłoń. – Susan Porter. To moja córka Katy.

– Przepraszam, że przeszkadzam – ciągnęłam. – Zatrzymałam się tu, bo moja babcia nie dorastała w Beacon, lecz właśnie tutaj.

Ruchem głowy wskazałam budynek.

– W naszym domu? – W oczach Susan zapaliły się iskierki. – Żartuje pani?

Pokręciłam głową.

– Nie. Dostałam adres od urzędniczki z rady miejskiej. Chodzi o to... zastanawiałam się...

– Chciałaby pani go obejrzyć? – spytała, ujmując Katy za rękę.

Odetchnęłam z ulgą.

– O tak, chętnie.

Ruszyłam za nimi przez trawnik w stronę domu; słońce grzało mnie w kark. Pomyślałam o babci, chodziła tą samą drogą. Przed wieloma laty jej obecność przesycała ściany tego budynku. Miałam nadzieję, że dom podzieli się ze mną choć garstką wspomnień.

Weszłyśmy po stopniach na ganek i Susan poprowadziła mnie do zalanego słońcem salonu z bryzą wpadającą przez otwarte okna. Zachwyciłam się kominkiem z polnych kamieni; usłyszałam, że stanowi element oryginalnego wystroju. Próbowałam wyobrazić sobie babcię w tym pokoju jako młodą dziewczynę, lecz bez powodzenia.

Susan pokazała mi pokój rodzinny z zabawkami i pluszakami rozsypanymi na podłodze niczym miny przeciwpiechotne. Przeszłam za nią do kuchni, a potem do jadalni z wbudowanymi szafkami o szklanych drzwiczkach.

– Myślę, że też są oryginalne – powiedziała. Dotknęłam mahoniowej powierzchni, starając się odczuć obecność babci, ale na próżno.

Wąskie schody prowadziły na piętro. Kiedy dotarliśmy do podestu, wydało mi się, że doleciał mnie słaby zapach lawendy. Susan poprowadziła przez bladezieloną główną sypialnię, pokój dziecienny obity materiałem w różową kratkę i pokój dla gości z czymś w rodzaju futonu w kącie.

Był to stary i bardzo piękny dom. Lecz tylko tyle. Nie zastałam ani śladu tego, co spodziewałam się zobaczyć lub poczuć – cokolwiek to było. Nie

zmaterializował się żaden ślad życia babci, jaki pragnęłam wyczarować.

Stałyśmy na korytarzu na piętrze.

– Dziękuję. – Staralam się, by w moim głosie nie było słyhać rozczarowania. – Ma pani piękny dom i jestem bardzo wdzięczna za oprowadzenie.

– Rozejrzałam się wokół. – Próbuję sobie wyobrazić babcię tutaj.

– Jak dawno tu mieszkała? – spytała Susan.

– Ponad sześćdziesiąt lat temu. Goddardowie zamieszkiwali tu w czasach, kiedy...

Susan otworzyła szeroko oczy. Położyła dłoń na mojej ręce.

– Goddardowie?

Skinęłam głową.

– Tak, panieńskie nazwisko babci brzmiało Ruth Goddard.

– Ruth Goddard? – powtórzyła Susan. – Ruth Goddard była pani babcią?

Cofnęłam się o krok, odrobinę zaskoczona jej wylewnością.

– Tak – potwierdziłam ostrożnie. – Czemu? Słyszała pani o niej?

– Proszę za mną – odparła. – Musi pani coś zobaczyć.

Otworzyła drzwi prowadzące z korytarza i obie z Katy poprowadziły mnie po jeszcze jednych stromych, wąskich schodach. Kiedy weszłyśmy na strych, poczułam uwięzione słoneczne ciepło.

– Przeprowadzamy remont – wyjaśniła Susan – więc proszę nie zwracać uwagi na bałagan. Brad chce tu urządzić gabinet do pracy.

Rozejrzałam się po rozległym kwadratowym pomieszczeniu z mansardowymi oknami z obu stron. Okna były przesłonięte staroświeckimi pionowymi żaluzjami z cienkich metalowych listewek. Uchyłono je do połowy i do środka wpadały promienie słońca, rzucając na podłogę geometryczne cienie. Wokół nas unosiły się drobiny kurzu. Obok sterty płyt gipsowo-kartonowych stała piła tarczowa i leżał stos ręcznych narzędzi.

W jednej części pomieszczenia stare płyty zdjęto i widać było słupy szkieletowe. Na sąsiednim odcinku ściany dostrzegłam obie warstwy – płytę i leżący pod nią tynk.

– Ktoś zamocował płyty bezpośrednio do tynku? – spytałam. – Po co?

Susan wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może tynk był w kiepskim stanie, a zależało komuś na czasie.

Podeszła do jednego z półmrocznych kątów.

– Chciałam, żeby zobaczyła pani to. – Wskazała na ścianę.

Wyglądało, że jest tam obraz. Miał około metra wysokości i metra dwudziestu szerokości. Zbliżyłam się o krok. Młody mężczyzna i młoda kobieta stali naprzeciw siebie, trzymając się za ręce. Starannie zakomponowane tło wypełniały samotny dąb przed niewielkim dębowym zagajnikiem oraz zniszczona czerwona stodoła.

Kobieta miała na sobie długą suknię w odcieniu mchu. Mężczyzna nosił spodnie i koszulę o barwie ziemi. Otaczały ich dzikie rośliny i kwiaty oraz lazurowe niebo. Scena miała w sobie coś niemal mistycznego, jak gdyby oboje w jakiś sposób stanowili wytwór przyrody.

Wyciągnęłam rękę, by dotknąć żyłkowania dużego liścia. Farba była ciepła i chłodna równocześnie, szorstka i gładka. Miałam wrażenie, jakby liść ożył pod moim dotykiem. Czułam niemal bijącą od niego energię.

– Co to za obraz? – spytałam.

– Odkryliśmy go po zdarciu starych płyt. Został namalowany wprost na tynku – wyjaśniła.

– Jest niezwykły – powiedziałam. – Niezwykły i piękny.

Skinęła głową.

– Przeczytała pani napisy? Trzeba spojrzeć tutaj, w górę. – Wskazała. – Nad postaciami widnieją imiona, a w prawym dolnym rogu sygnatura autorki.

Podniosłam wzrok i nad głowami obojga młodych zobaczyłam imiona. Nad mężczyzną maleńkimi, starannymi drukowanymi literami „Chet”, a nad kobietą „Ruth”. W prawym dolnym rogu, tak jak powiedziała Susan, znajdował się podpis. Przeczytałam nazwisko skreślone rozciągniętym w pionie, podobnym do górskich szczytów charakterem pisma, który tak dobrze znałam: Ruth Goddard.

Rozdział 8

Wyprawa na północ

Wyjeżdżałam, nie widząc nic prócz nawierzchni drogi przed sobą. Jeśli na poboczu rosły sosny, żółte stokrotki i niebieskie wrzosa, jeśli cętkowany jeleni umknął w lasy, a po pniu dębu przebiegła ruda wiewiórka, nie zauważyłam tego. Myślami wciąż byłam na strychu Susan Porter – wskutek czego przegapiłam skręt i wróciłam do centrum Beacon.

Lekko oszołomiona, wjechałam na parking przed lokalnym bankiem. Po przeciwnej stronie ulicy, na plaży, gdzie były leżaki i rozścielono ręczniki, nad wodą stała grupka ludzi. Podeszłam do falochronu, usiadłam i wzięłam długi, powolny oddech, rozmyślając o babci, Checie Cummingsie i o obrazie.

Niebo było usiane pulchnymi białymi obłoczkami, czerwcowe słońce tańczyło na wodzie. Obróciłam głowę i spojrzałam na rząd budynków – Trzypensowa Kafejka; Antler; Nieruchomości Harborside; Tindall & Griffin, Doradcy Prawni. Coś wydawało się inne. Może odmalowano czerwone cegły budynku Harborside albo ktoś odświeżył myjką ciśnieniową białe oszalowanie kancelarii Tindall & Griffin. Może w skrzynkach przed Trzypensową Kafejką pojawiły się świeże pelargonie. Czerwone kwiaty wydawały się odrobinę bardziej jaskrawe. Wdychałam słone powietrze, oczyma duszy widziałam babcię siedzącą w tym samym miejscu z pędzlem w dłoni i z Chetem Cummingsiem u boku. Znalazłam coś – okno pozwalające zajrzeć w jej życie. Życie, o którym nie mieliśmy pojęcia. To był dar, niespodziewany i wspaniały. Nie wiedziałam, ile jeszcze zdołam odkryć i dowiedzieć się o babci. Ale wiedziałam jedno: nie wyjadę z Beacon. Przynajmniej na razie.

Dotarwszy na parking Victory Inn, stwierdziłam z zaskoczeniem, że połowa miejsc jest już zajęta. Tym lepiej dla Pauli, pomyślałam, zaraz jednak się zaniepokoiłam, czy nie wynajęła mojego pokoju.

– Zapomniała pani czegoś? – spytała, kiedy weszłam do holu. Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. – Może rzutek?

Rzutek? Skąd o nich wiedziała? Zaczynało do mnie docierać, o co chodziło ludziom wyrzekającym na prowincjonalne życie.

– Nie, ja...

– Och, wróciła pani naprawdę. – Wskazała moją walizkę.

– Owszem. – Wyjęłam portfel. – Coś się wydarzyło i muszę zostać jeszcze

parę dni... zapewne do niedzieli. – Z cichym plaśnięciem położyłam na kontuarze kartę kredytową. – Jest u pani wolny pokój, mam nadzieję?

Otworzyła księgę meldunkową oprawioną w skórę, przerzuciła kilka stron i potarła podbródek.

– Mogę panią umieścić z powrotem w apartamencie z widokiem – oświadczyła.

– Idealnie. – Wpisałam swoje nazwisko i adres w kolumnie GOŚCIE PRZYJEŹDŹAJĄCY. Znałam już procedurę.

Paula wręczyła mi klucz z plecioną wstążką i pomaszerowałam w górę po dwóch kondygnacjach schodów. Kiedy weszłam, pokój wydał mi się ciepły i przytulny – reprodukcje o morskiej tematyce, porcelanowa miska i dzbanek, łóżko z białą kapą. Postawiłam walizkę na stojaku na bagaż i rozłożyłam ubrania w szafie. Przybory toaletowe zaniósłam do wiklinowego koszyka w łazience.

Wyjęłam z aktówki żółty prawniczy notatnik oraz plik samoprzylepnych karteczek ozdobionych szkicem Victory Inn i rozłożyłam je na zbiorniku na wodę w toalecie. Z dna teczki wyłowiłam garść długopisów i ołówków, po czym włożyłam je do szklanki, a tę ustawiłam na zbiorniku obok notesów. Odetchnęłam z satysfakcją. Mój nowy gabinet.

Zamknęłam klapę sedesu, usiadłam i wzięwszy głęboki oddech, wystukałam numer komórki Haydena. Odebrał po dwóch sygnałach.

– Haydenie, to ja.

– Hej, gdzie jesteś? – Brzmiał radośnie, szczęśliwy, że słyszy mój głos. – Minęłaś już Portland?

Zacisnęłam zęby i mocniej chwyciłam aparat.

– Prawdę mówiąc, wciąż jeszcze jestem w Beacon. W Victory Inn.

– Nadal w Beacon? Wszystko w porządku? Sądziłem, że o tej porze będziesz już w trasie.

W jego głosie wyczułam niepokój.

– Aha, też tak sądziłam – odparłam. – Ale wydarzyło się coś niesamowitego. Dojeżdżałam do autostrady i przypadkiem spotkałam kobietę z ewidencji gruntów...

– Kobietę skąd?

– Z ewidencji gruntów... w ratuszu. – Zerknęłam na dywanik z różą wiatrów z ozdobnymi literami N, S, E i W.

– Czego chciała?

– Znalazła adres domu, w którym dorastała babcia. Więc tam podjechałam i właścicielka, Susan Porter, wpuściła mnie do środka. I zgadnij, co znalazłam na strychu?

– Na czym?

– Na strychu – powtórzyłam. – Nie uwierzysz. Obraz namalowany przez

babcię... na ścianie strychu. Coś niewiarygodnego, Haydenie. Właściciele znaleźli go, robiąc remont... Przedstawia babcię i Cheta Cummingsa. Razem. Umieściła imiona obojga i swój podpis. I jest naprawdę dobry. To znaczy naprawdę, naprawdę dobry.

Przypomniałam sobie portret dwojga młodych trzymających się za ręce i żałowałam, że Hayden nie może go zobaczyć.

– Nie wiedziałem, że twoja babcia malowała.

– Ja też nie; to coś nadzwyczajnego. – Miałam w pamięci precyzyjnie odtworzone kwiaty i liście, wiernie oddane rysy twarzy babci i Cheta Cummingsa, fakturę stodoły i drzew. – My też nie wiedziałyśmy.

– Zrobiłaś zdjęcia? Miałas ze sobą aparat?

Poczułam wyslizgujący mi się z palców pasek od nikona, zobaczyłam, jak aparat opada cicho w ciemność. Ścisnęło mnie w piersi i zalała mnie fala smutku.

– Nie, nie miałam.

– Wielka szkoda.

Kiwnęłam głową w milczącym potwierdzeniu.

– W takim razie – podjął – wyjedziesz jutro z samego rana. Chyba będzie lepiej, jeśli wyruszysz o świcie, żeby uniknąć piątkowych korków. To długa trasa nawet bez opóźnień, a z nimi nigdy nie wiadomo, więc jeżeli opuścisz Beacon, zobaczymy...

– Haydenie – przerwałam, obracając nerwowo palcami rolkę papieru toaletowego. – Przyjadę dopiero w niedzielę.

Przeczekałam ciągnącą się w nieskończoność chwilę ciszy.

– Zaraz... nie rozumiem. A co z kolacją u Wybitnych Nowojorczyków jutro wieczorem? Chcesz powiedzieć, że się nie zjawisz?

Wbiłam wzrok w podłogę; wyrzuty sumienia ciągnęły mnie w dół jak grawitacja.

– Haydenie, naprawdę bardzo, bardzo żałuję. Ale znalezienie tego obrazu to jak... jak znak, że muszę tu zostać i wypełnić białe plamy w życiorysie babci. – Zobaczyłam w wyobraźni jej wspólny portret z Chetem. – I wiem, kto może mi w tym pomóc – dodałam. – Pan Cummings. Może mi o niej powiedzieć rzeczy, których nie wiem, Haydenie. O jej dzieciństwie, o dorastaniu tutaj, w Beacon. O obrazie. Rzeczy, których nie wie nawet moja mama. Potrzebuję... paru dni.

Nastąpiła kolejna pauza, a potem Hayden powiedział:

– Rozumiem, Ellen. – Głos miał cichy, wyczułam w nim przygnębienie. – Rozumiem, że musisz to zrobić. Tylko nie sądziłem, że sprawa tak się przeciągnie. Naprawdę chciałem, byś mi towarzyszyła na kolacji.

– Wiem – przytaknęłam. – Jakoś ci to wynagrodzę.

Ścisnęłam komórkę, jakby to była jego dłoń.

Następnego ranka zbudziłam się wcześniej z żołądkiem zwiniętym w supeł.

Był piątek, a ja nie wracałam do domu. Wyobraziłam sobie Haydena, który przetrząsa garderobę w poszukiwaniu pasujących do siebie garnituru, koszuli i krawata. Chciałby, żebym pobłogosławiła jego wybór, lecz nie zdołam tego zrobić. Chciałby, żebym towarzyszyła mu podczas kolacji i przyglądała się, jak odbiera nagrodę oraz wygłasza przemówienie. Lecz mnie tam nie będzie.

Niewielki sejf w szafie otworzył się, kiedy wpisałam swoją datę urodzin. Wyjęłam pierścionek zaręczynowy ozdobiony brylantem, który zaiskrzył się w świetle lampy, i spróbowałam go wsunąć na palec, ale nie chciał wejść. Jakoś udało mi się przesunąć go przez staw z pomocą kremu do rąk. Nadal był ciasny, ale przynajmniej znowu go nosiłam.

Usiadłam na brzegu łóżka i poruszając dłonią, podziwiałam, jak fasety klejnotu odbijają światło. Odtwarzałam w pamięci rozmowę z Haydenem i czułam się coraz gorzej. Już samo to, że opuszczę kolację, było okropne, lecz przypomniawszy sobie jego słowa na wzmiankę o obrazie babci, dosłownie poczułam się chora: *Miałaś ze sobą aparat?*

Zamknęłam oczy, nie chciałam myśleć o nikonie, ale stwierdziłam, że nie potrafię się skupić na niczym innym. A potem zdałam sobie sprawę, że nie mogę wrócić do Nowego Jorku bez aparatu. Będę musiała znaleźć sklep tu, na północy – pojechać do Portland, jeśli będzie trzeba – i go odkupić.

Ubrałam się szybko i zesłam do jadalni. Było w niej tłoczno, dużo gości przybyło przez noc. Obejrzałam śniadanie rozstawione na barze, czytając ręcznie wypisane karteczki przy każdej potrawie. Zapiekaną jajeczną z serem i kawałkami kielbasy wyglądała smakowicie; zdawało mi się też, że wyczuwam zapach papryczek *jalapeño*. Przystanąłam przy tacy pieczonych jabłek z pekanami, lśniących od cukrowej glazury, następnie prowadzona aromatem cynamonu, przeszłam do wielkiej misy domowego muesli. Zerknęłam na półmiski z plackiem bananowo-orzechowym i borówkowymi muffinkami, marmurkowym ciastem kawowym, płatkami, bajglami oraz sporą misą świeżo przyrządzonej sałatki owocowej.

Wszystko kusilo, ale niecierpliwiłam się, by udać się w drogę, chwyciłam więc bajgla oraz banana i ruszyłam na poszukiwanie Pauli. Znalazłam ją debatującą z kucharzem przed drzwiami kuchni; spytałam, czy zna jakiś dobry sklep fotograficzny.

Uniosła brwi.

– Nie ma pani aparatu? Zdawało mi się, że niedawno panią z nim widziałam. Zastanowiłam się, czy istnieje coś, czego ta kobieta nie widzi.

– Tak, cóż, trochę się zepsuł – zacytowałam jej własne określenie.

Mało brakowało, żebym się uśmiechnęła, lecz wspomnienie o stracie nikona było zbyt świeże.

– Jest pani fotografem? – Odchyliła głowę, żeby przyjrzeć mi się uważniej.

– Niezupełnie – powiedziałam. – To tylko hobby. Chociaż traktuję je dość poważnie.

– No cóż, w Beacon nie znajdzie pani sklepu z aparatami. Trzeba jechać do Lewisboro. Kiedyś mieli tam sklep, u Brewstera. Możliwe, że wciąż istnieje.

– To daleko?

– Och, jakichś czterdzieści pięć minut jazdy – wyjaśniła. – Oczywiście moim samochodem. Pani swoim dotrze w pół godziny.

Nagle poczułam skrępowanie z powodu swojego bmw, chociaż nie bardzo rozumiałam czemu. Na parkingu sprawdziłam w komórce adres sklepu fotograficznego Brewstera. Nadal działał w Lewisboro, a kiedy zadzwoniłam, mężczyzna na drugim końcu linii oznajmił, że sprzedają nikony. Doskonale. Rozłączyłam się z westchnieniem ulgi i szczęśliwa ruszyłam do domu Cheta Cummingsa.

Gdy tylko skręciłam w jego uliczkę, nastrój zwarzył mi się znowu. Na podjeździe zauważyłam zielone audi, parkowało nieodmiennie w tym samym miejscu. Nie było żadnego innego samochodu, co znaczyło, że właściciel znowu gdzieś wybył. Wolno podjechałam pod budynek, zastanawiając się, czy nie zapukać do drzwi na wszelki wypadek. Wtedy jednak zauważyłam białe volvo na sąsiedniej posesji. Mowy nie ma, bym znowu dała się wciągnąć w sprzeczkę z sąsiadką.

Sfrustrowana minęłam dom, zauważając wsunięty w drzwi kawałek papieru. Była to pierwsza zarejestrowana przeze mnie oznaka życia, jeśli nie liczyć kota. Zawróciłam szybko na końcu uliczki. Gdy wciąż jeszcze dzieliło mnie od budynku kilka posesji, zjechałam do krawężnika i zaparkowałam. A potem pobiegłam w stronę domu Cummingsa, kryjąc się za drzewami, krzewami i płotami, by nie dojrzała mnie sąsiadka. Dotarłam do domu Cheta i śmignęłam po schodach na ganek.

Wiadomość napisano grubym czarnym flamastrem na kawałku białego papieru i przyklejono do drzwi taśmą maskującą.

Mike –
wróć o 5.
CRC

CRC. Chester R. Cummings. Od Cheta. Jednak nie wyjechał. Zamierzał wrócić o siedemnastej, więc jeśli wpadnę nieco wcześniej, uda mi się go złapać. Idealnie. Ogarnęło mnie takie podniecenie, że gotowa byłam zatańczyć two-stepa wprost na jego ganku. Wróciłam po własnych śladach, kryjąc się za krzewami,

drzewami i ogrodzeniami, aż dotarłam do wozu i wskoczyłam na fotel kierowcy.

Postanowiwszy wrócić później, zaprogramowałam GPS-a na Lewisboro – szacowany czas przejazdu czterdzieści pięć minut. Opuściłam Beacon i ruszyłam na północ autostradą wśród sosen. Przed sobą na horyzoncie miałam więcej drzew i olbrzymią kopułę nieba. Wyszłoby świetne zdjęcie; zaczęłam się zastanawiać, jak bym je skadrowała. Postarałabym się, żeby autostrada i zadrzewiony horyzont znalazły się przy dolnej krawędzi, tak aby czysty nieboskłon wypełnił resztę przestrzeni.

Kompozycja.

To było coś, o czym babcia mówiła nieustannie. To ona podarowała mi pierwszy naprawdę porządny aparat, starego nikonu F. Solidnie zbudowany i całkowicie mechaniczny, wymagał stosowania błon fotograficznych, ale w tamtych czasach stanowił ostatni krzyk techniki. Dostałam go w roku, gdy skończyłam trzynaście lat, spędzając dwa tygodnie w domu dziadków przy Steiner Street w San Francisco.

– Myślę, że pora wyrosnąć z tego kodaka, którego używasz – oświadczyła babcia, wchodząc do pokoju, w którym zawsze mieszkałam.

Nazywałam go „pokojem ogrodowym”, bo miał białe drewniane łóżko, bladozielony dywan oraz tapetę we wzór pnączy i kwiatów.

Wręczyła mi pudełko owinięte lawendowym papierem. Wyjęłam ze środka ciężki, czarno-chromowany aparat na czarnym pasku.

Po chwili oniemiałego milczenia zdołałam wyjąkać podziękowanie.

– Cóż, nie jest nowy – wyjaśniła babcia. – Ale człowiek, od którego go kupiłam, bardzo o niego dbał. Profesjonaliści takich używają, wiesz?

Puściła do mnie oko.

Wiedziałam. Aparat stanowił ogromny krok naprzód po moim starym kodaku, w którym wystarczyło spojrzeć przez wizjer i nacisnąć spust.

Nikon to była zupełnie inna klasa, wymagał pewnej wiedzy o lustrzankach jednoobiektywowych. Musiałam nauczyć się samodzielnie nastawiać ostrość i ekspozycję, używać różnych czasów otwarcia migawki oraz przysłon. Jedynym automatycznym elementem był prosty światłomierz.

Udałam się do salonu z instrukcją obsługi; miała pomięte strony i pozaginane rogi. Zwinęłam się na sofie i czytałam przez dwie godziny, aż babcia przysłała mnie szukać.

– Sądziłam, że zdążyłaś już wypstrykać ze cztery rolki filmu – zdziwiła się. – Zostaw to dzieło i chodź ze mną.

Wyszliśmy przed dom.

– Ale ciągle próbuję zrozumieć, o co chodzi z przysłoną i czasem otwarcia migawki – poskarżyłam się, gdy przechodziłyśmy przez ulicę.

Poprowadziła mnie na Alamo Square i wspięliśmy się na szczyt wzgórza;

zachodzące słońce oblewało złotem panoramę miasta.

– Muszę się w tym zorientować, zanim będzie ze mnie jakiś pożytek – ciągnęłam. – To nie mój dawny aparat.

– Nonsens. – Machnęła ręką. – Tym bym się nie przejmowała. Przyjdzie z czasem.

Puściłam aparat, który zawisł mi na szyi na długim pasku, tymczasem babcia stanęła za mną i żartobliwie pociągnęła mnie za warkocz. Następnie obróciła mnie powoli, tak abym obejrzała miasto z różnych perspektyw. Kępy drzew i parkowe ławki, domy mieszkalne desperacko uczipione stromych zboczy, białą Piramidę Transamerykańską, miejski ratusz i szereg barwnych wiktoriańskich domów nazywanych Malowanymi Damami, wśród których uościł się dom dziadków.

– Ale jeśli coś źle ustawię, zdjęcia wyjdą za jasne albo niedoświetlone, albo...

– Cóż za techniczny żargon! – Zaśmiała się.

Żółta taksówka zatrzymała się niedaleko, by zabrać grupkę turystów mówiących z francuskim akcentem. Babcia objęła mnie ramieniem.

– Najważniejsza ze wszystkiego – wyciągnęła rękę w stronę budynków widocznych na horyzoncie – jest kompozycja: co twoje oko wybierze jako temat fotografii. Co zostawisz, a co pominiesz. – Wskazała aparat. – Patrząc przez wizjer, musisz wiedzieć, co ma sens. Zapytać samą siebie, czy istnieje lepszy sposób ujęcia sceny, która rozgrywa się przed tobą: ciekawszy albo taki, o którym wcześniej nie pomyślałaś. Na każdy przedmiot można spojrzeć na wiele sposobów, Ellen.

Pochyliła się, by się znaleźć na moim poziomie, i łagodnie dotknęła mojego podbródka.

– To coś, czego nikt nie może cię nauczyć. Ma się to lub nie. – Pocałowała mnie w czubek głowy. – Ale nie musisz się obawiać. Widziałam twoje zdjęcia. Ty masz.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, by zakwestionować jej wiedzę o fotografii lub kompozycji. Nigdy się nie zastanawiałam, co ją upoważnia do mówienia z takim przekonaniem. Chyba po prostu sądziłam, że babcie wiedzą wszystko.

Później tego wieczoru, kiedy rodzice przygotowywali się do wyjścia na kolację, powtórzyłam jej słowa mamie.

– A cóż ona sobie wyobraża, że zna się na kompozycji? – Roześmiała się, unosząc pojemnik lakieru do włosów.

Wbiłam wzrok w podłogę w łazience, wyłożoną drobnymi czarnymi i białymi kafelkami, gdy rozpylała mgiełkę chemikaliów wokół swojej głowy. Czułam się dotknięta w imieniu babci, ale nie wiedziałam, jak jej bronić. Nie istniało nic konkretnego, czego mogłabym użyć na potwierdzenie jej kompetencji. A mimo to wiedziałam, że jej słowa kryły prawdę.

Trzydzieści dwie minuty po opuszczeniu Beacon skręciłam z autostrady do Lewisboro i ruszyłam za znakami do dzielnicy handlowej. Sklep Brewstera znajdował się na parterze starego, piętrowego ceglanego budynku wciśniętego między Antyki Srebrny Wąż a sklep z odzieżą męską Rossa Martina.

Weszłam do długiego i wąskiego, słabo oświetlonego pomieszczenia. Powietrze było suche, pachniało strychem oraz starymi gazetami, ale zewsząd otaczał mnie sprzęt fotograficzny – korpusy, obiektywy, statywy, filtry, lampy błyskowe i inne przedmioty w staroświeckich przeszklonych gablotkach z dębu. Za ladą stał młody mężczyzna – okulary w szarych oprawkach dodawały mu powagi – zajęty rozmową z nastoletnim chłopakiem oraz jego ojcem o lampach błyskowych.

Skinął mi głową.

– Ktoś zaraz się panią zajmie – zapewnił. Zniknął na zapleczu i usłyszałam, jak woła: – Tato, tato! Przyszła klientka, wyjdiesz?

Chwilę później pojawił się starszy mężczyzna. Czoło miał poryte głębokimi, podobnymi do rowów zmarszczkami; bruzdy po obu stronach ust przypominały nawiasy. Białe jak śnieżna zaspą włosy pokrywały jego głowę delikatnym puchem.

– Czym mogę służyć, panienko? – spytał.

Podaliśmy nazwę swojego modelu aparatu i zapytałam, czy mają taki na składzie.

Podrapał się po policzku i wpatrywał w sufit. Po chwili oświadczył:

– Cóż, panienko, ten model właśnie zastąpiono nowszym, który odrobinę się różni. Ale ma pani szczęście – rzekł z błyskiem w oku. – Nowy mamy w ofercie i zaraz go pokażę. Zobaczymy, czy się pani spodoba.

Wyjął klucz i otworzył gablotkę za swoimi plecami. Przełożył kilka pudełek, wyjął aparat i położył na ladzie.

– Zakładam, że jest pani obznajomiona z nikonami?

– O tak, używam ich od lat.

Uśmiechnął się.

– Od lat, doprawdy? Patrzcie państwo!

– Miałam starego nikonu F. Do dzisiaj lubię mechaniczne modele.

Uderzył dłonią w ladę.

– Co pani powie! – Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. – No, to był porządny aparat – dodał. – Wielka rzecz w swoim czasie, chociaż trudno w to uwierzyć dzisiaj, kiedy sprzedajemy cyfrowki. Wszystko musi mieć w środku przekłętą komputer.

Pokręcił głową.

– Świetnie pana rozumiem – odparłam. – Stare aparaty z pewnością były łatwiejsze w obsłudze. Ale pewnie nie da się powstrzymać zmian.

– Bez dwóch zdań. Jeśli chce pani rzeczywiście poznać subtelności tego modelu, musi pani poczekać, aż mój syn Mark skończy ze swoimi klientami.

Ruchem palców wskazał drugiego mężczyznę.

– Och, nie trzeba – odparłam. – Chyba dam sobie radę sama.

Podał mi aparat.

– Okej, w takim razie, panienko, do dzieła.

Włączyłam aparat i przyłożyłam wizjer do oka.

– Wydaje się trochę cięższy – zwróciłam się do mężczyzny, robiąc najazd na tabliczkę za ladą. Z DUMĄ AKCEPTUJEMY KARTY VISA. Zrobiłam zdjęcie.

Następnie wycelowałam w witrynę i pstryknęłam fotkę przechodzącej na zewnątrz kobiety w różowym rybackim kapeluszu.

– Więc miała pani nikona F – powtórzył starszy pan, skrobiąc się w policzek.

Obejrzałam zrobione zdjęcia na wyświetlaczu. Kapelusz wyszedł żywy i ostry.

– Owszem, dostałam go od babci w któreś wakacje.

– Bardzo sympatyczny prezent – skomentował.

Skinęłam głową.

– To była bardzo sympatyczna babcia. – Zrobiłam zdjęcie gablotki z torbami na aparaty. – Prawdę mówiąc – ciągnęłam, spoglądając ponownie na wyświetlacz, by sprawdzić rezultat – mieszkała dawniej w Maine. Dlatego tu przyjechałam.

Mężczyzna zaczął układać pudełka z fleszami na półce za swoimi plecami.

– Doprawdy? Gdzie dokładnie? Tutaj, w Lewisboro?

Weszłam w menu aparatu i zaczęłam przewijać opcje: USTAWIENIA, FOTOGRAFOWANIE, ODTWARZANIE.

– W Beacon.

Odwrócił się i spojrzał uważnie.

– W Beacon? Też tam dorastałem. Jak się nazywa pani babcia?

– Jej panięskie nazwisko brzmiało Ruth Goddard.

Wytrzeszczył oczy.

– Ruthie? Ruthie Goddard jest pani babcią? – Znowu plasnął w ladę. – Co pani powie! – Odchylił głowę w tył i uśmiechnął się szeroko. – Ba, chodziłem z Ruthie do szkoły.

– Znał ją pan? Znał pan moją babcię?

Czułam, jak puls mi przyśpiesza, a po rękach przebiega dreszcz.

– Jasne, że tak. Od czasów, kiedy byliśmy dziećmi. Od drugiej klasy, jak mi się zdaje. Gdzie obecnie mieszka?

Spuściłam wzrok.

– Odeszła niewiele ponad tydzień temu.

Kiedy podniosłam głowę, mierzył mnie łagodnym, życzliwym spojrzeniem.

– Och, tak mi przykro to słyszeć, panienko... panienko...

– Ellen Branford. – Wyciągnęłam do niego rękę.

– Wade Shelby – odparł, potrząsając nią energicznie. – Ruthie była słodką dziewczyną. I dobrą artystką. Utalentowaną.

Odłożyłam aparat na ladę.

– Tak. Właśnie odkryłam, że malowała.

– Och, jasne – przytaknął. – A niech to, była z niej malarka. Dzięki temu trafiła na uniwersytet. Studiowała sztuki piękne.

Dzięki temu trafiła na uniwersytet? Studiowała sztuki piękne? Nie, był w błędzie. Babcia wyjechała na Uniwersytet Stanforda i zrobiła dyplom z literatury, nie ze sztuki. Pomylił ją z kimś innym.

– Och, pewnie – ciągnął. – Wyjechała, by zostać artystką. Prawdziwie wykształconą. – Uniósł brew. – I nigdy jej nie odzyskaliśmy.

– W jakim sensie?

Nachylił się nieco bliżej.

– Cóż, no tak, spotykała się z jednym gościem, z Chetem – szepnął. – Jego rodzina mieszkała w Beacon od pokoleń. Porządny dzieciak. Mieli poważne zamiary, ci dwoje. Wszyscy wróżyli, że się pobiorą. Ale Ruthie wyjechała na studia, a zaraz potem usłyszeliśmy, że poznała innego. Jakiegoś lekarza czy studenta medycyny. – Wzruszył ramionami i oparł dłonie o ladę. – I tak się skończyło. Miejski lalusz porwał naszą Ruthie.

– Lekarz?

Przytaknął ruchem głowy.

Pomyślałam o babci; umawiała się z Chetem, wyjechała na studia, zerwała z Chetem i wyszła za... Trochę dziwnie usłyszeć, że za „miejskiego lalusia”, jak postrzegano mojego dziadka.

– Nie mogę uwierzyć, że pan ją znał. Tyle się o niej dowiedziałam od przyjazdu do Maine.

Wyjęłam kartę kredytową i położyłam na ladzie.

– Bierze pani aparat?

Kiwnęłam głową i Wade zapakował go do pudełka. Potem przeciągnął kartę kredytową przez czytnik.

– Co się stało z Chetem? – spytałam.

– Z Chetem? A wie pani, nie przypominam sobie – odparł, podając mi potwierdzenie zakupu i długopis. – Ale to był miły dzieciak. – Włożył pudełko do reklamówki. – Żałuję, że nie wiem nic więcej, skoro to była pani babcia i tak dalej. – Obszedł ladę i podał mi torbę. Potem spojrzał na mnie, przymykając oko. – Tak sobie myślę, kto mógłby wiedzieć o niej więcej.

– Kto?

Pokiwał wolno głową.

– Lila Falk. Była najlepszą przyjaciółką Ruth.

Wzięłam torbę.

– Lila Falk?

– Jasne. Podobno wciąż jest w Maine, mieszka w domu opieki. W Kittuck, jak mi się zdaje. Tak, jeśli ktoś będzie coś wiedzieć, to na pewno ona.

Zanotowałam nazwisko „Lila Falk” na odwrocie paragonu.

– Zatrzymałam się w Beacon – powiedziałam. – Gdzie leży Kittuck?

– Na północy. – Wade machnął ręką w nieokreślonym kierunku. – Na północ od Beacon, na północ stąd.

– Jak daleko? – spytałam.

– Jaki ma pani wóz?

– Bmw.

Uśmiechnął się.

– Uwinie się pani w godzinę.

Rozdział 9

Pan Cummings

Siedziałam w samochodzie nieopodal sklepu fotograficznego, szukając Domu Opieki Świętej Agnieszki w Internecie. Z łatwością znalazłam numer telefonu, bo to jedyny taki ośrodek w Kittuck. I zapewne jedyny w promieniu wielu kilometrów. W reklamie, jaka pojawiła się na stronie, informowano: „Służymy społecznościom Kittuck, North Prouty, South Prouty i Lou-don”, a dalej wymieniano jeszcze całą listę innych miasteczek.

Kobieta, która odebrała telefon, wyjaśniła, że Lila Falk istotnie jest ich podopieczną, lecz zasugerowała, że następnego dnia będzie odpowiedniejszy na wizytę.

– Piątkowe popołudnia są dość nerwowe – wyjaśniła. – Za chwileczkę zaczyna się muzyka, a potem część rezydentów ma robótki. Jutro natomiast nie będzie żadnych zajęć. Może pani przyjechać? Powiedzmy, około pierwszej albo drugiej?

Wyjęłam komórkę i sprawdziłam w kalendarzu sobotę. Cały dzień był pusty.

– Owszem – potwierdziłam. – Chyba mi się uda.

O szesnastej skręciłam w Dorset Lane, wiedząc, że zjawiam się za wcześnie, ale nie chciałam ryzykować rozminięcia się z Chetem Cummingssem. Od razu zauważyłam, że coś się zmieniło – obok audi stał zaparkowany niebieski jeep. Udało się, babciu, pomyślałam z szybko bijącym sercem. Nareszcie przekażę twój list.

Zaparkowałam przed domem, wyjęłam kopertę, podeszłam do frontowych drzwi i głośno zapukałam. A potem jeszcze kilka razy, bo nie otrzymałam odpowiedzi.

Musi tam być, powtarzałam sobie, schodząc po stopniach na trawnik. Odwróciłam się i spojrzałam na budynek. Może pan Cummings wyłączył aparat słuchowy. Obeszłam dom, zaglądając w okna. Gdy zajrzałam do jadalni, zobaczyłam na oparciu krzesła granatową wiatrówkę i stwierdziłam, że stopy poczty, które leżały przed dwoma dniami, zniknęły.

Dochodziłam z powrotem do frontowego dziedzińca, kiedy zauważyłam leżącą na ziemi aluminiową drabinę. Zatrzymałam się, zerknęłam na okno na piętrze, a potem znowu na drabinę. A nuż się uda, pomyślałam. Chet Cummings prawdopodobnie wyłączył aparat słuchowy albo oglądał telewizję z głośnością

podkręconą na cały regulator, jak często robiła babcia. Musiał być na piętrze, a istniał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Wsunęłam babciny list do kieszeni i z trudem oparłam drabinę o ścianę. Wspięłam się parę szczebli, rozkazałam sobie: nie patrz w dół, i ruszyłam dalej. Kiedy zajrzałam przez okno na piętrze, zobaczyłam pokój z szarym dywanem, drewnianym biurkiem zarzuconym książkami i papierami oraz rząd białych regałów na książki. Na widok przedmiotu leżącego na półce mocniej zabiło mi serce: stary mechaniczny aparat fotograficzny. Wiedziałam, czym nie był: nikonem – nie potrafiłam jednak określić jego marki. Może leica? Wytężyłam wzrok, by dojrzeć nazwę producenta.

Nagle usłyszałam pod sobą czyjś głos. Męski. I rozgniewany.

– Co pani wyprawia, do cholery?!

Zamarłam; kostki palców aż mi pobielewały, kiedy ścisnęłam drabinę. Spojrzałam w dół. Ubrany w dżinsy i granatowy T-shirt, w spłowiełej bejsbolówce z napisem ARTYKUŁY HYDRAULICZNE TOWN LINE stał Roy. Roy. Wyglądało, że nie mogę się od niego uwolnić. Był wszechobecny. I przyłapywał mnie w każdym upokarzającym momencie. Rozejrzałam się, czy nikt nie robi mi zdjęć.

– Mam tu sprawę do załatwienia – odparłam chłodno.

Wciąż byłam na niego zła za to, jak się zachował po wyjściu z Antlera. A moja obecność tutaj to nie jego interes.

Przysłonił oczy dłonią i zmrużył oczy.

– O mój Boże, to... To ty!

Zeszłam z drabiny najzgrabniej, jak potrafiłam, cały czas czując na sobie jego wzrok.

– Owszem, ja. – Zstępując z ostatniego szczebla, zauważyłam, że się nie ogolił.

– Co tu robisz? Czemu weszłaś tam na górze? – spytał ostro.

– Co ja tutaj robię? – powtórzyłam. – A ty? – Otrzepałam spodnie z brudu. – Śledzisz mnie? Co jest grane?

Spojrzał zaskoczony.

– Ja śledzę ciebie? Powiedziałbym, że jest wręcz odwrotnie.

– Słuchaj, mam coś do załatwienia – powiedziałam ostro. – Próbuje kogoś znaleźć.

Zerknął na drabinę, a następnie na mnie.

– W taki sposób szukasz ludzi? Zaglądając im w okna?

Podrzuciłam głową i wyprostowałam się jak struna.

– Nie sądzę, bym musiała odpowiadać na twoje pytania. – Był tak samo okropny jak sąsiadka Cheta. – Och, a przy okazji – dodałam – wtargnąłeś na cudzy teren.

Wskazał na mnie.

– Nie, to ty wtargnęłaś na cudzy teren. To mój dom.

Jego dom? Jego dom? Mózg mało mi się nie zatarł z wysiłku, gdy próbowałam wykombinować, gdzie popełniłam błąd. Adres wzięłam z listu babci i zweryfikowałam niezależnie w dwóch internetowych książkach adresowych oraz na stronie urzędu podatkowego. „Chester R. Cummings, Dorset Lane 55”. Mimo to, jak widać, gdzieś się pomyliłam. Roy nazywał się Cummings, ale nie był właściwym Cummingsem. Nie mogłam uwierzyć, że zmarnowałam cztery dni. Poświęciłam dzisiejszą imprezę z Haydenem, a wciąż nie ustaliłam, gdzie mieszka Chet Cummings.

– Nie wiedziałam, że to twój dom, inaczej bym tutaj nie przyszła. Dostałam zły adres, to wszystko.

Odwrociłam się i ruszyłam w stronę uliczki.

– Nie zostawisz pozwu?! – zawołał.

Obróciłam się w miejscu.

– Słucham?

Podszedł bliżej, wpatrując się we mnie, a potem zdjął bejsbolówkę i przeczesał palcami włosy.

– A może znalazłaś kogoś innego, kogo możesz oskarżyć? – Włożył czapkę z powrotem. – Nie boję się wielkomiejskich prawników. Jak wszyscy ludzie muszą wkładać spodnie nogawka za nogawką. Chociaż może powinienem powiedzieć: spódnice?

Blade promienie słońca przemykały wśród gałęzi buka, rzucając wzory na trawę.

– Próbowałam tylko dostarczyć list. Podejrzewam, że Cummings to tutaj popularne nazwisko. – Westchnęłam i wzruszyłam ramionami. – Mam nadzieję, że z Chetem Cummingsem łatwiej się będzie dogadać niż z tobą.

Pomaszerowałam przez podwórze do samochodu.

– Szukasz Cheta Cummingsa?! – krzyknął za mną.

Szłam dalej. Nie miałam mu nic więcej do powiedzenia. Wrócę do hoteliku i spróbuję się w tym rozeznać. W którym miejscu popełniłam błąd? Może uda mi się to, a może nie. Tak czy inaczej, to był koniec. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by spełnić prośbę babci, i choć przyznawałam się do porażki z wielkim rozczarowaniem, znalazłam się w ślepej uliczce.

Ale wtedy Roy zawołał znowu:

– Ja go znam!

Zatrzymałam się. Znał Cheta Cummingsa. Znał go. Znalazłam niewłaściwy dom i niewłaściwego pana Cummingsa, ale Roy znał właściwego. W Nowym Jorku szanse na podobny zbieg okoliczności byłyby jak jeden do miliarda...

Nie byłam jednak w Nowym Jorku. Znajdowałam się w Beacon i nagle mi

zaświtało, że tutaj prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest zapewne całkiem spore. Pewnie nie pierwszy raz ktoś pomylił dwie rodziny noszące identyczne nazwisko.

– Znasz go?

– Chyba powinienem. To mój stryjek.

– Twój stryj? Chet Cummings? Jesteś pewien? Rozumiesz, mnie chodzi o Cheta Cummingsa.

Skinął głową.

– Tak. Raczej znam własnych krewnych.

Jego krewny. Ledwie mogłam w to uwierzyć. Wizja Cheta jako sobowtóra Normana Rockwella oraz pogawędki przy herbacie i ciasteczkach w przytulnej kuchni znowu zamajaczyła na horyzoncie.

W tym momencie jednak Roy spojrział na mnie podejrzliwie.

– Więc to ty węszyłaś tutaj przez ostatnich parę dni. – Wskazał gestem dom.

Poczułam, że szyja robi mi się ciepła, a fala gorąca podpływa ku twarzy.

– Nie węszyłam.

– Sąsiadka twierdzi, że jakaś kobieta ciągle tu przyjeżdżała, pukała, zaglądała do okien i wołała mnie po nazwisku. Podobno miała czarny samochód na nowojorskich numerach. – Wskazał moje bmw. – Twój?

Czemu ciągle musiałam się przed nim tłumaczyć? Oparłam ręce na biodrach.

– Owszem, to mój samochód. I tak, byłam tutaj. Szukałam twojego stryjka.

Coś błysnęło w jego oczach.

– Czyli nie szukałaś mnie.

Po co miałabym go szukać z jego niechlujnym popołudniowym zarostem i wytartymi džinsami?

– Ciebie? – zaśmiałam się. – Przed momentem wyjaśniłam: nie.

Zmierzył mnie wzrokiem.

– Do czego ci potrzebny mój stryjek? Jemu też chcesz wytoczyć sprawę?

Tego było za wiele. Wyrzuciłam ręce w powietrze.

– Na miłość boską, nie przyjechałam nikomu wytaczać sprawy. Babcia prosiła, żebym jej zrobiła przysługę, dlatego przyjechałam do Beacon.

Roy pokiwał głową.

– Aha, więc to twoja babcia wnosi oskarżenie.

Nad naszymi głowami pojawiła się szara chmura. Zamknęłam oczy i policzyłam do dziesięciu. Musiałam się uspokoić, inaczej groziło, że jutro znowu wystąpię w „Bugle’u”, tym razem w kronice policyjnej jako oskarżona o morderstwo.

– Nikt nikogo nie oskarża – odezwałam się po chwili. – Nie chodzi o pozew.

Ruszyłam przez trawnik do swojego wozu, myśląc o babci, obietnicy, że dostarczę list, i o tym, w jaki sposób wszystko tak bardzo się skomplikowało.

Wybacz, babciu, przeprosiłam ją w duchu. Ogromnie mi przykro. Łzy napłynęły mi do oczu.

I wtedy poczułam, jak ktoś pociąga mnie lekko za bluzkę.

– Ellen, zaczekaj...

Odwróciłam się błyskawicznie; trzęsły mi się ręce. Doszły do głosu wszystkie uczucia, które tłumiałam w sobie od pogrzebu babci: gniew z powodu jej śmierci, rozpacz, smutek, osamotnienie.

– W zeszłym tygodniu umarła moja babcia! – krzyknęłam; łzy toczyły mi się po policzkach i spadały na bluzkę. – Przyjechałam tu z jej powodu. Tuż przed śmiercią poprosiła, bym przekazała coś twojemu stryjkowi. List. Włożyłam go do koperty firmowej mojej kancelarii, bo... sama nie wiem, żeby się nie zniszczył. – Spuściłam wzrok. – To wszystko. Nie obchodzi mnie już, co myślisz.

Chciałam iść dalej, ale Roy chwycił mnie za rękę.

– Poczekaj moment, Ellen. Proszę. – Gdzieś w sąsiedztwie brzęknęły dzwonki wiatrowe, poruszone powiewem. – Współczuję ci z powodu babci. Szczerze współczuję.

Pszczoła zatoczyła leniwy krąg nad kwiatem koniczyny, lecz odleciała, kiedy niebo pociemniało. A ja uświadomiłam sobie, jak bardzo pragnę porozmawiać o babci; jak ogromnie tego potrzebuję.

– Byłyśmy ze sobą bardzo blisko – wyznałam łamiącym się głosem. – Dużo dla mnie znaczyła. Teraz jej nie ma, a ja jestem tutaj i nie mogę spełnić tego, o co prosiła, i wszystko się sypie. Jestem jednym wielkim rozczarowaniem.

Roy pokręcił głową.

– Z pewnością nie powinnaś tak o sobie myśleć. I jestem ci winien przeprosiny. Naprawdę bardzo mi przykro.

Otarłam łzy.

– Nie rozumiem. Czemu myślałaś, że chcę cię pozwać?

– Tak postępują prawnicy. Kiedy zobaczyłem u ciebie kopertę ze swoim nazwiskiem...

– Prawnicy wcale tak nie postępują – zaprotestowałam. – Ja tak nie postępuję.

Skinął głową.

– Okej.

Staliśmy chwilę w milczeniu, a potem spytał, czy mam przy sobie list. Wyjęłam kopertę z kieszeni i usiedliśmy na drewnianej ławce. Roy zdjął bejsbolówkę.

– Co w nim jest?

Chwycił kopertę, lecz nie wypuściłam jej z palców.

– Przepraszam, ale naprawdę nie mogę tego z tobą omawiać. Spytaj stryjka. To jego dom?

Potwierdził.

– Przykro mi, zostałam poproszona o przekazanie listu jemu.

Roy spojrział na kopertę, a potem na mnie.

– Ellen, zrozum, każda sprawa dotycząca stryjka jest moją sprawą.

– Wiem, że się nim opiekujesz, ale...

– Nie, nie o to chodzi. – Jego oczy przybrały spokojną, bladobłękitną barwę, kąciki ust opadły w wyrazie rezygnacji. Zniżył głos. – Chcąc nie chcąc, będziesz musiała porozmawiać ze mną, bo stryjek nie żyje.

Poczułam, jakby całe powietrze uszło mi z płuc. Jedyna rzecz, jaką mogłam uczynić dla babci, okazała się niewykonalna. Mężczyzna, którego kochała jako młoda dziewczyna, odszedł.

– Tak mi przykro – szepnęłam, patrząc na kopertę, nazwisko pana Cummingsa i na czerwoną szalwią posadzoną wzdłuż trawnika.

– Kiedy on... – Zawiesiłam głos; kropla deszczu pacnęła mnie w ramię.

– W marcu.

Trzy miesiące temu, pomyślałam. Zaledwie trzy miesiące.

– Tak mi przykro – powtórzyłam.

Było mi przykro. Było mi żal Roya, siebie samej, że nie wypełnię misji, i było mi żal babci.

Położył mi dłoń na ramieniu.

– Myślisz, że teraz możesz mi wyjaśnić, o co chodzi?

Siatkowe drzwi domu uchyliły się i czekoladowy kocur, którego widziałam dwa dni wcześniej leżącego na stole w jadalni, zszedł wolno z ganku, a następnie przespacerował się po trawniku. Wskoczył na oparcie ławki między mną a Royem i powąchał moje włosy. Potem otarł się łebkiem o mój policzek.

– To jest Pan Puddy – powiedział Roy i wziął zwierzaka na rękę.

Poklepałam kota po miękkim łebku.

– Powiedziałaś ci wszystko, co wiem – odparłam. – Babcia prosiła, żebym przekazała list twojemu stryjkowi.

Słyszałam ciche, łagodne mruczenie kota wtulonego w ramiona mężczyzny.

– Mogę go przeczytać? – Roy mówił prawie szeptem.

Ścisnęłam kopertę, nie chcąc jej oddać. Nie tak to sobie planowałam. Miałam rozmawiać z Chetem. To było nie w porządku.

Roy puścił kota, który odbiegł w podskokach za dom.

– Ellen, chciałbym przeczytać list. Proszę.

Wyciągnął rękę.

Podaliśmy mu kopertę.

– W porządku.

Trzymał ją moment, nim otworzył. Potem wyjął bladobłękitną kartkę pokrytą pismem mojej babci i zaczął czytać. Po chwili podniósł wzrok.

– Dlaczego sądziła, że stryjek odeśle list albo wyrzuci?
– Przeczytaj resztę – odparłam, czując, jak spada na mnie kolejna kropla deszczu.

Wrócił do lektury, ale wkrótce znowu uniósł głowę.

– Chciała wynagrodzić mu coś, co zepsuła. – Spojrzał pytająco. – Co takiego?

Pokręciłam głową.

– Nie wiem. Liczyłam, że właśnie to mi wyjaśni twój stryjek.

Roy czytał dalej.

– Karolina Południowa – odezwał się chwilę później. – Fakt, stryjek mieszkał tam długi czas, ale wrócił do Beacon jakies trzy lata temu. Wygląda na to, że twoja babcia była mocno zaskoczona, kiedy go tutaj wytropiła.

Wrócił do listu, kiwając od czasu do czasu głową.

– Ach – mruknął po chwili. – Więc byli kochankami.

– Tak. Byli kochankami.

– „Gdybym Cię nie porzuciła – przeczytał – nie opuściłbyś Beacon i nie straciłbyś tego, co znaczyło dla ciebie tak wiele. Zawsze czułam się odpowiedzialna za tę stratę i bardzo przepraszam”. – Spojrzał na mnie. – O co jej chodziło; co to była za rzecz, która znaczyła dla niego tak wiele? Co to było?

Znowu pokręciłam głową.

– Nie wiem. Nie wiem, co to wszystko znaczy. Nie powiedziała mi nic o treści listu. Tylko że chce, bym go przekazała.

Wyglądził kartkę dłonią. Potem przeczytał wszystko cicho raz jeszcze, tymczasem o ławkę zabębniły kolejne krople deszczu.

– Wiemy więc, że go zostawiła dla innego mężczyzny.

Przytaknęłam.

– Dla mojego dziadka.

Brwi Roya podjechały do góry.

– A – mruknął. – Twojego dziadka. – Przysunął się nieznacznie i poczułam, jak trącił mnie nogą. – Ale nie wiemy dlaczego.

– Dlaczego go opuściła? – Spojrzałam w górę na mroczniejące niebo. – A czemu ludzie się rozstają? Pewnie przestała go kochać... albo bardziej pokochała mojego dziadka.

– Stryjek był świetnym facetem – oświadczył Roy.

Uśmiechnęłam się.

– Mój dziadek też.

Zerknął na list kolejny raz, jakby między linijkami mógł znaleźć jakiś ślad stryja. Pogładził palcem niewielką bliznę pod okiem.

– Był przy mnie, kiedy to sobie zrobiłem.

Popatrzyłam na szramę, ledwie widoczną wygiętą kreskę; zastanowiłam się,

jaka by była w dotyku.

– Skąd ją masz?

– Uczyłem się jeździć na rowerze dla dorosłych – wyjaśnił. – Upadłem, rozciąłem sobie twarz i złamałem rękę. – Zerknął na prawe ramię. – Miałem sześć lat.

– A twój stryjek...

– Porwał mnie w ramiona i zaniósł do szpitala. Trzymał mnie za rękę, kiedy nastawiali ramię, zakładali gips i zszywali ranę pod okiem. Myślałem, że umrę ze strachu. Obiecał, że jeśli to przetrwam, dostanę medal za odwagę.

Uśmiechnęłam się.

– To słodkie.

Błysnęły mu oczy.

– Fakt. – Odchylił głowę, jakby mógł wyczytać wspomnienia z nieba. – Wierz lub nie, ale mi go dał. Prawdziwy medal. Zjawił się tego samego wieczoru i wręczył mi pudełko. Obite czarnym aksamitem. A w środku był order. Krzyż za Wybitną Służbę. Należał do mojego dziadka. Dostał go w czasie drugiej wojny światowej i przekazał stryjkowi Chetowi.

– Żartujesz.

– Nie, wcale nie. Stryjek uparł się, żebym go przyjął, chociaż wiedziałem, ile dla niego znaczył. Do dzisiaj mam go w komodzie. W pudełku.

– Niesamowita historia.

Gest ogromnie mnie wzruszył; posmutniałam jeszcze bardziej na myśl, że nie miałam szansy poznać tego mężczyzny.

– Był superfacetem – mówił Roy, przesuwając dłonią po siedzeniu ławki, jakby szukał jakiejś skazy. – Po prostu drugi ojciec. Tato wiele podróżował w związku z pracą i stryjek Chet tak jakby pilnował, żebym nie wpadł w tarapaty, kiedy byłem dzieciakiem. Miał mały pomost i zwykle się tam kręciłem, pomagając mu naprawiać łodzie, łątać kadłuby, pracować przy silnikach i tak dalej. Nauczył mnie posługiwać się narzędziami... kochać narzędzia. Myśl, że możesz naprawić sam, że sam możesz coś zbudować... – Spojrzał z takim natężeniem, że niemal poczułam obecność Cheta Cummingsa obok nas. – Naprawdę go to kręciło.

– Musiał być bardzo zdolnym człowiekiem – zauważyłam, kiedy powiew wiatru zaszeleścił w trawie. – I wspaniałym mentorem.

Roy odchylił się na oparcie ławki i spojrzał na trawnik.

– Jeśli coś się zepsuło – ciągnął – Chet potrafił to naprawić. Nie przyszło mu do głowy, żeby wyrzucać rzeczy i sprawiać sobie nowe. – Chwilę obserwował w milczeniu wróbla polnego śmigającego nad trawą. – Był niesamowitym gościem i cieszę się, że pod koniec przeprowadził się do mnie.

Spojrzałam na budynek; nowe krople deszczu rozprysnęły się na ławce.

– Więc dom należy do ciebie?

- Z całym dobrodziejstwem inwentarza.
- Ale nazwisko właściciela brzmi Chester R. Cummings. To twój stryjek.
- Nie. To ja, Chester Roy Cummings. Ale zawsze wołali na mnie Roy.
- Ach. – Westchnęłam. – To wyjaśnia kilka rzeczy.

Przyglądałam się, jak liście buka połyskują mierzwione wiatrem, i rozmyślałam o Checie Cummingsie przekazującym swoją wiedzę i umiejętności Royowi oraz o tym, jaka to wspaniała spuścizna.

– Szczęściar z ciebie, że miałaś ojca i takiego stryjka jak Chet – powiedziałam. – Ja prawie nie znałam swojego ojca. Zmarł, kiedy miałam czternaście lat.

– Bardzo wcześnie.

Skinęłam głową, próbując sobie przypomnieć twarz ojca, wyostrzyć szczegóły, które z czasem przybladły. Wiedziałam, że to samo stanie się z moimi wspomnieniami o babci.

– To trudne stracić kogoś w tak młodym wieku – podjął Roy. – Cóż... w każdym wieku. – Spuścił wzrok na list. – Chciałbym ci pomóc, Ellen, ale nie wiem, o co tu chodzi... z tymi przeprosinami. – Rozpostarł list i przebiegł go wzrokiem raz jeszcze. – Twoja babcia opowiadała coś o moim stryjkę?

– Nie. Prawie nie wspominała o Beacon. Dlatego bardzo chciałam go poznać.

Roy westchnął.

– Tak, no cóż...

Oddał mi list.

Powietrze przenikał metaliczny zapach nadciągającego deszczu; zastanawiałam się, kiedy upusty się otworzą i ulewa przemoczy nas do nitki. Zauważyłam, że Roy przygląda się kartce w mojej ręce. A potem uświadomiłam sobie, że gapi się na mój pierścionek zaręczynowy.

Po długiej chwili milczenia odezwał się Roy.

– Wychodzisz za mąż.

Wzrok wciąż miał utkwiony w pierścionek.

– Owszem. – Nagle poczułam się niezręcznie i uświadomiłam sobie, że coś ściska mnie w dołku.

Sięgnął w dół, zerwał kilka źdźbeł z trawnika i przyjrzał im się uważnie.

– Tak się składa, że go nie zauważyłem.

– Musiałam go zdjąć – wyjaśniłam tonem winowajczynie, jakbym go wprowadziła w błąd. – Pierwszego dnia po przyjeździe spuchły mi palce. – Próbowałam się roześmiać. – Jeszcze bardziej niż teraz. – Uniosłam dłoń. – Może to morskie powietrze...

Skinął głową i obrócił trawkę w dłoniach, a potem pozwolił jej odlecieć z wiatrem.

Kropla deszczu spadła na list, tworząc błękitną, atramentową kałużkę. Starłam ją palcem, złożyłam kartkę i schowałam z powrotem do koperty.

Pan Puddy zbliżył się spacerkiem i zaczął ocierać o nogę mężczyzny.

– Czyli historia była taka – podsumował Roy, wstając – on kochał ją, ale ona kochała twojego dziadka.

Krople deszczu zabębniły po moich ramionach; miałam wrażenie, jakby ktoś kłuł mnie szpilkami. Wstałam i spojrzałam na niebo wiszące nad nami jak dymny, szary całun.

– Jak brzmiała tamta linijka? – spytał Roy. – „Tak było prościej – zerwać całkowicie. Tak przynajmniej sądziłam w tamtym czasie”. Coś mi się zdaje, że twoja babcia mogła poniewczasie żałować porzucenia mojego stryjka.

– Och, nie; była szczęśliwa w małżeństwie – zapewniłam, wzdrygając się od smagających mnie kropel.

Milczeliśmy oboje. Podałam mu kopertę.

– Powinieneś to zatrzymać.

Wyciągnął rękę i chwilę trzymaliśmy kopertę oboje, potem wypuściłam ją z palców.

– Cóż, więc to pewnie koniec. Wkrótce wyjadę z miasteczka.

Roy westchnął.

– Pewnie to koniec – powtórzył, kiedy w oddali rozległ się stłumiony grzmot.

Oczy miał zamglone i pełne znużenia. Uścisnęliśmy sobie ręce, lecz w ostatniej chwili, gdy już się miały rozłączyć, Roy przytrzymał moją. Jego spojrzenie było tak przeszywające, że musiałam odwrócić wzrok. Wciąż ścisnął moją dłoń, kiedy deszcz zabębnił o liście i huk gromu rozległ się głośniejsze.

Lada moment groziło oberwanie chmury. Pan Puddy miauknął i popędził przez dziedziniec, śmignął po stopniach na ganek. Patrzyłam, jak siada przed frontowymi drzwiami, i zastanowiłam się przelotnie, co bym powiedziała, gdyby Roy zaprosił mnie na ganek, do wnętrza domu.

On jednak puścił moją rękę.

– No to w porządku – powiedział, wkładając czapkę. – Bezpiecznej podróży powrotnej, Pływaczko.

Deszcz lunął wściekle, gdy biegłam do samochodu. Kiedy zatrzaskiwałam drzwiczki, niebem wstrząsnął huk grzmotu. Włączyłam wycieraczki w samą porę, by zobaczyć, jak Roy wbiega do wnętrza domu, a kot za nim. Ganek opustoszał; odjechałam w strugach deszczu, zalewającego przednią szybę.

Rozdział 10

Biblioteka

Kiedy następnego ranka podniosłam rolety, niebo było czyste. Różowe chmurki wisały na błękitnym tle, przesycone słońcem i pewne siebie. Wszelkie ślady wczorajszej ulewy zniknęły, lecz wspomnienie Roya Cummingsa trwało we mnie niczym barwna smuga w skale – łagodność w jego oczach, kiedy mu opowiadałam o babci; czułość, z jaką wspominał stryjka; to, jak aż za dobrze rozumiał, co znaczy utrata ukochanej osoby.

Przysunęłam się bliżej do szyby i zauważyłam, że coś się dzieje po sąsiedzku, przed Towarzystwem Historycznym w Beacon. Wzdłuż ulicy po obu stronach stały zaparkowane samochody i ludzie podążali do szarego budynku niczym sznur mrówek. Wciągnęłam do płuc chłodne, słone powietrze, obserwując chłopca, który pędził ulicą na rowerze; terkot przerzutki cichł, w miarę jak rowerzysta się oddalał. Idealny dzień na przejażdżkę, pomyślałam. Żałowałam, że nie mam roweru, i zastanawiałam się, czy mogłabym go tu gdzieś wypożyczyć. Wyobraziłam sobie, jak pedałuję krętą wiejską drogą z aparatem na ramieniu, bez GPS-a, by mną kierował. I wtedy sobie przypomniałam, że jest sobota i mam spotkanie z Lilą Falk.

Sobota.

Och, Boże, kolacja Wybitnych Nowojorczyków odbyła się wczoraj, a ja wciąż jeszcze nie zadzwoniłam do Haydena. Pomyśli, że w ogóle mnie to nie obchodzi. Fantazjuję sobie o rowerach i... Royu Cummingsie.

Złapałam komórkę, wyrывая z gniazdka kabel ładowarki, i pobiegłam pędem do łazienki. Na wyświetlaczu widniał napis: HAYDEN CROFT: NIEODEBRANE POŁĄCZENIE. Usiadłam na toaletowym tronie; z podrygującą nerwowo stopą odsłuchałam wiadomość. *Hej, Ellen, jest około pierwszej trzydzieści nad ranem i właśnie dotarłem do domu. Straciłaś naprawdę świetny wieczór. Wszyscy o Ciebie pytali. Myślę, że przemówienie z okazji przyjęcia nagrody poszło mi całkiem nieźle. Chyba byłabyś ze mnie dumna.*

Zwiesiłam głowę na dłonie i zamknęłam oczy. Czułam się okropnie. Oczywiście, byłabym z niego dumna. I nie miałam wątpliwości, że wystąpienie świetnie mu poszło. Mogłam go sobie wyobrazić, jak stoi przy pulpicie bez notatek i przemawia prosto z serca. Później zapewne wymienił uścisk dłoni z burmistrzem, opowiedział jakąś zabawną historyjkę.

Po wybraniu jego numeru od razu zostałam przełączona na pocztę głosową. Zostawiłam wiadomość – dziarską, radosną wiadomość; pogratulowałam mu

i zapewniłam, że nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę. Na zakończenie dodałam kilka pocałunków.

Rozłączyłam się, myśląc, ile mam szczęścia, że Hayden pojawił się w moim życiu. Kochany, lojalny, uczciwy. Mężczyzna, jakiego każdy facet chciałby mieć za przyjaciela. Mężczyzna, na którego każda kobieta musiała zwrócić uwagę. Nie wspominając o tym, że był z rodu Croftów. I żenił się ze mną.

O co mi więc chodziło? Dlaczego obudziłam się z myślą o Royu Cummingsie? Nie jestem zainteresowana Royem. W każdym razie nie w tym sensie. Wydawał się całkiem sympatyczny, kiedy mu minęła antyprawnicza paranoja. Niewątpliwie jest czarujący na swój sposób – małomiasteczkowy, chłopięcy sposób. I, muszę przyznać, przystojny. Prawdę mówiąc, bardzo atrakcyjny. Gdybym go nie znała i zobaczyła go idącego ulicą na Manhattanie, z pewnością...

Ścisnęłam komórkę w dłoni. Muszę z tym skończyć. Zaczynało to wyglądać, jakby mnie pociągał. Jestem zaręczona, kocham Haydena, wychodzę za mąż. Musi istnieć logiczne wyjaśnienie, skąd się biorą te dziwne uczucia wobec Roya. Nie mogły pojawić się znikąd. Spojrzałam na reprodukcję z latarnią morską na ścianie łazienki i spróbowałam rozgryźć tę kwestię, jakbym analizowała problem prawniczy: układając elementy na różne sposoby, aż wszystko nabierze sensu. Ja, Hayden, nasz ślub. Babcia, Beacon, Roy, pomost, Antler.

Po chwili rzeczywiście coś mi zaświtało. Za trzy miesiące miałam wyjść za mąż. To znaczyło, że wkrótce wypadnę z obiegu. Żadnych flirtów, żadnych randek. Będę kobietą zamężną. Nie wydaje się więc logiczne, że chcę się przekonać, czy nadal pociągam mężczyzn? Wciąż mam ten dar? Tak, oczywiście, że tak. Jeśli czułam małą iskierkę fascynacji Royem... Cóż, jasne, że z tego powodu. Udowadniałam po prostu, że wciąż mam to coś. Czy nie miało to sensu? Obróciłam na palcu pierścione zaręczynowy, znowu oddychałam swobodnie. Oczywiście, że miało.

– Co to za impreza u sąsiadów? – spytałam Paulę, łapiąc z bufetu śniadaniowego muffinę z borówkami i szklankę soku pomarańczowego.

Wymieniła pusty dzbanek po kawie na pełny.

– Doroczny piknik, jak zawsze chodzi o zebranie funduszy. Będą gry, konkursy, licytacja różnych drobiazgów. – Na jej twarzy pojawił się kokietyjny uśmiešek. – W zeszłym roku Troy Blanchard wylicytował cały rok wizyt z manikiurem i pedikiurem w Magicznych Nożycach. Kojarzy pani ten salon?

Skinęłam głową.

– Tak, widziałam go.

– Twierdził, że dla żony – ciągnęła, pełna zachwytu. – Ale Poppy Norwich

przyuważyła go, pewnego dnia siedział tam, trzymając rękę w misce z płynem do zmiękczenia skórek. – Zachichotała. – Och, ależ dałyśmy mu w kość. Nie sądzę, by jeszcze kiedyś tam się wybrał.

– Pewnie nie. – Odrywałam kawałek muffinki i włożyłam do ust.

Była odrobinę za sucha i znajdowało się w niej za mało borówek. *Jaki sens nazywać coś muffinką borówkową, skoro nie sposób w niej znaleźć borówek?* – skomentowałyby babcia. Pociągnęłam długi łyk soku i pomyślałam, że mogłabym nauczyć tutejszych mieszkańców paru rzeczy.

Paula położyła na stole stos serwetek i zwróciła się do mnie:

– Powinna pani tam zajrzeć, skoro chce się pani czegoś dowiedzieć o Beacon. Mają całkiem interesującą wystawę.

– Doprawdy?

– Jasne. Wie pani, historyczne przedmioty. Skoro pani babcia pochodziła z Beacon i w ogóle...

Moja babcia pochodziła z Beacon... Czyżbym wspominała o tym Pauli?

Sporo ludzi przybyło na piknik, gromadzili się już na dziedzińcu, gdzie rozmawiali ze znajomymi lub obserwowali swoje dzieci, jak sobie radzą w zawodach: rzucie jajkiem albo wyścigu w workach.

Chętnie zostałam w środku, gdzie było spokojniej. Przemierzałam budynek, drewniane podłogi skrzypiały pod nogami, kiedy przechodziłam z sali do sali. W jednej z nich natknęłam się na niezwykłą kolekcję litografii Curriera i Ivesa. W innej eksponowano stare sepiowe fotografie centrum Beacon. Byłam podekscytowana, uświadomiwszy sobie, że sporo domów widocznych na zdjęciach wciąż istnieje. Kolejne pomieszczenie wypełniały zabytkowe meble, między innymi urocza drewniana ławeczka, biurko i wysoka wiśniowa komoda.

W ostatniej sali zebrano obrazy miejscowych artystów. Najstarszy przedstawiał statek na morzu i pochodził sprzed dwustu pięćdziesięciu lat. Były też spokojne sceny portowe oraz wdzięczne widoczki z dziewczętami; brodziły w oceanie, unosząc wzdymane wiatrem spódnice. Także krajobrazy – pola, lasy i farmy z krowami pasącymi się leniwie na zielonych jak mięta wzgórzach.

Obrazek, na którego widok przystanęłam i serce szybciej mi zabiło, przedstawiał skromny piętrowy domek, oszalowany i pomalowany na żółto, z białymi obramowaniami okien. Czerwone ceglane schodki prowadziły do niebieskich drzwi frontowych, nad którymi wisiał szyld CUKIERNIA I KAWIARNIA „APETYCZNA BORÓWKA”. Na prawo od drzwi bujne, różowe róże pięły się po drewnianej kracie, a przez okna widać było klientów siedzących przy małych drewnianych stolikach.

Znałam ten budynek. Był teraz biały, nie żółty, stopnie zaś wyglądały na

drewniane, nie ceglane – ale rozpoznałam sklep krawca z centrum miasteczka. Znałam też artystę. Rozpoznałabym ten styl wszędzie, a podpis potwierdził moje przypuszczenia. W prawym dolnym rogu babcia wpisała swoje nazwisko.

Podeszłam blisko do płótna i pogłodziłam ramę, śledząc palcem ozdobne rzeźbienia. Potem dotknęłam obrazu, niebieskich drzwi i szyldu nad nimi, wyobrażając sobie babcię, jak miesza farby, komponuje odcienie i nanosi je pędzlem na płótno. Nie mogłam uwierzyć, że znalazłam jej kolejne dzieło, już drugie. Beacon odkrywało swoje tajemnice, a ja przyjmowałam je z zachwytem. Przystudiowałam całe płótno fragment po fragmencie – to, jak babcia uchwyciła szczegóły: splekane deski oszalowania, odbicie róż w szybie okiennej, intensywny błękit drzwi. Potem przeczytałam opis na ścianie. BORÓWKOWA KAWIARNIA, RUTH GODDARD. OBRAZ ZDOBYŁ PIERWSZĄ NAGRODĘ NA FESTIWALU SZTUKI W BEACON W 1950 R.

Festiwal Sztuki w Beacon. Pierwsza nagroda. Fantastycznie. Babcia otrzymała najwyższe wyróżnienie. Ale co to był za festiwal? I czy istniały jeszcze inne obrazy? Znalazłam dwa. Mogło ich być więcej. Skoro babcia malowała tak dobrze, skoro zajęła w konkursie pierwsze miejsce, musiało ich istnieć więcej.

Zaczepiłam kobietę z przypiętą do swetra plakietką WOLONTARIUSZKA i zapytałam, czy mają więcej informacji o obrazie albo o artystce. To moja babcia, wyjaśniłam, wskazując obrazek, zaskoczona, że nieznajoma nie wydaje się tak przejęta, jak ja.

– Och, musi pani porozmawiać z Flynnem, skarbie.

– Z Flynnem?

– Z Flynnem Sweeneyem – wyjaśniła. – Jest tu dyrektorem. On będzie wiedział.

Podprowadziła mnie do tylnego wyjścia i wskazała wysokiego mężczyznę z bulwiastym nosem, z postury trochę podobnego do Humpty'ego Dumpty'ego. Kręcił się przy długim stole, przed którym ustawiono tabliczkę z napisem CICHĄ AUKCJA. Na blacie rozstawiono dziesiątki przedmiotów, w tym wielki gliniany wazon, komplet podręczników o domowych naprawach, szydełkowy koc, wędziska, knagi, pudełko używanych płyt DVD z filmami science fiction i osiem kieliszków ozdobionych podobizną Kaczora Donalda. Zastanawiałam się, czy salon Magiczne Nożyce ponownie zaoferował bezpłatny manikiur i pedikiur.

Przedstawiłam się i opowiedziałam Flynnowi Sweeneyowi o obrazie babci.

– To ten, który przedstawia kawiarnię Apetyczna Borówka – dodałam.

– Och, naprawdę? – Spojrzał na mnie głębokimi, brązowymi oczami o barwie orzechów pekanowych i przesunął komplet noży do steków z jednej strony stołu na drugą, jakby próbował rozstrzygnąć, gdzie będą się lepiej prezentować. – Rzeczywiście to namalowała?

– Tak, nazywała się Ruth Goddard i...

– Pochodziła stąd? – Przechylił głowę i cofnął się o krok, by spojrzeć na stół z dystansu.

– Tak, dorastała w Beacon.

– Kawiarnia należała do Chapmanów – oznajmił, ostatecznie pozostawiając noże z prawej strony obok siodełka rowerowego. – Przez całe lata interes prowadził ktoś z rodziny. Siostra albo brat, wujek albo inny krewniak... aż ją zamknęli. To było – zrobił pauzę – och, chyba ze dwadzieścia lat temu.

Skinęłam głową.

– Zastanawiałam się, czy ma pan może więcej obrazów babci. Jak dotąd wiem o...

– Naprawdę straszna szkoda, że ją zlikwidowali – ciągnął, przesuając lokówkę na koniec stołu. – Piekli świetne muffinki borówkowe. W dzisiejszych czasach nigdzie nie można dostać przyzwoitych muffinek z borówkami.

– Nie można, fakt – zgadzałam się z nim. – To zawsze przykre, kiedy znika miejsce z dobrym jedzeniem – dodałam. – Jak się panu wydaje, są tu jeszcze jakieś jej obrazy? Mojej babci. Ruth Goddard. Widzi pan, nie jestem z miasteczka i przyjechałam tu na północ, żeby...

– Turystka, tak?

Pokiwałam głową.

– Owszem, ja...

– Widzi pani, turyści uwielbiali naszą kafejkę. Od rana ustawiali się w kolejce po muffinki prosto z pieca. Głowę daję, że w życiu nie kosztowała pani podobnych.

– Bez wątpienia – przytaknęłam. – Jestem pewna. Ale czy ma pan inne prace mojej babci?

Spojrzał, jakby pytanie go zdumiało.

– Gdybyśmy mieli inne prace pani babci – oznajmił, sięgając po dzbanek z mlecznego szkła – znajdowałyby się na wystawie.

– A archiwum? – spytałam. – Czy istnieją tu archiwa, gdzie mogłabym poszukać informacji o niej? Macie jakąś dokumentację?

Obrócił dzbanek do góry dnem.

– Nie wiem, kto go ofiarował – mruknął. – Nalepka odpadła. A to pech.

Czekałam, gdy oglądał przedmiot. Wreszcie zerknął na mnie.

– Hmm...? A, tak, archiwa... – Poskrobał się w podbródek. – Wszelkie informacje, jakie posiadamy, znajdują się na tabliczce obok obrazu.

– Więc to wszystko? Tylko to, co na kartce? Wspomniano tam, że babcia wygrała jakiś konkurs. Festiwal Sztuki w Beacon.

– A, tak. Urządzali coś takiego co roku. – Spojrzał na mnie z ukosa. – Mówi pani, że wygrała?

Skinęłam głową.

– Hm, w takim razie może pani spróbować w bibliotece. Proszę sprawdzić w starych rocznikach „Beacon Bugle”. Może o tym napisali.

„Bugle”. Świetny pomysł.

– Okej. Dzięki za sugestię.

– Tylko niech pani sprawdza w numerach z czerwca, lipca i sierpnia – dodał Flynn. – Festiwal odbywał się latem.

Odwrocił wzrok i potarł dzbanek niczym lampę Aladyna, jakby w nadziei, że pojawi się džinn.

– Lato – powtórzył z westchnieniem. – Sezon na borówki. – Mówił teraz prawie szeptem. – Ach, ci Chapmanowie. Naprawdę umieli robić muffinki. Konkurs, mówi pani? Wygraliby wszystkie konkursy cukiernicze każdego dnia w tygodniu, każdego tygodnia w miesiącu, każdego miesiąca w...

Reszty nie słyszałam. Mijając lusterko do makijażu, grę w chińczyka oraz srebrną ramkę z wgniecionym rogiem, zmierzałam szybko do wyjścia.

Biblioteka publiczna w Beacon mieściła się w otoczonym płotem, dużym białym domu w stylu kolonialnym, w bocznej uliczce kilka przecznic od centrum. Na tablicy nad wejściem widniała data tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty. Idąc za znakami, dotarłam do stanowiska obsługi w słonecznej sali, gdzie kilkanaście osób siedziało i czytało przy stolikach lub w fotelach.

Za biurkiem stał mężczyzna w okrągłych okularach i rozmawiał ze starszą czytelniczką.

– Okej, Molly. Darujmy sobie grzywnę... kolejny raz. Obiecay tylko, że te książki postarasz się zwrócić na czas, dobrze?

Na blacie leżał wysoki stosik publikacji o obserwowaniu ptaków. Bibliotekarz zapakował je do torby na zakupy i kobieta odeszła. Zwrócił się do mnie:

– Czym mogę służyć? – Posłał mi znużony uśmiech. – Pani też dostała karę za przetrzymanie książki i chce negocjować?

– Nie, ja w innej sprawie. Interesują mnie stare numery „Beacon Bugle”.

– A konkretnie?

– Z lata tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku – odparłam. – Nie jestem pewna, z którego miesiąca.

Okulary w czarnych oprawkach zjechały mu z nosa; podsunął je palcem.

– Och, aż takie stare.

Zaraz powie, że ich nie mają, pomyślałam z obawą.

– Tutejsze archiwa obejmują tak długi okres? – spytałam.

Zawahał się i otaksował mnie szybkim spojrzeniem. Potem wyjaśnił:

– Owszem, jasne, ale znajdują się na piętrze. Będę panią musiał

zaprowadzić.

Otworzył szufladę i wyjął pęk kluczy na kółku.

– Marge – zawołał do kobiety próbującej właśnie wcisnąć szarą teczkę do wypchanej szuflady. – Idę do archiwum. Wrócę za minutkę.

Gestem polecił, żebym udała się za nim; przeszliśmy wypełnione książkami sale oraz czytelnię z wygodnymi sofami i krzesłami. Wspięliśmy się po schodach z lśniąca mahoniową poręczą. Na piętrze otworzył kluczem drzwi niewielkiego pomieszczenia. Słoneczny blask wlewał się przez okno z pionowymi filarkami i pyłki kurzu tańczyły w powietrzu jak maleńkie baletnice.

– Wszystkie stare periodyki są tutaj. – Bibliotekarz wskazał drewniane regały ustawione wzdłuż ścian.

Przesunął dłonią po półkach, zatrzymując się przy szeregu sporych tomów oprawionych w brązowe płótno. Wyjął ten oznaczony datą *1 czerwca 1950 – 15 lipca 1950* wytłoczoną na grzbiecie i położył na stole pośrodku pokoju.

– Zaczęłbym od przejrzenia tego – wyjaśnił. – A jeśli nie znajdzie pani potrzebnych informacji, warto sprawdzić tutaj. – Wskazał pięć kolejnych, zawierających resztę letnich numerów. – To są oryginały – dodał zniżonym głosem, jakby sama wzmianka o tym skłaniała go do zadumy. – Są bardzo podatne na uszkodzenie.

– Proszę się nie obawiać – zapewniłam. – Będę ostrożna.

Przypatrywał mi się chwilę, a potem, widocznie usatysfakcjonowany, opuścił pomieszczenie.

Otworzyłam pierwszy z dwóch czerwcowych tomów; zaskoczyło mnie, jak pożółkły i kruchy stał się papier. Poglądziłam dłonią pierwszą stronę, zaskoczona jej gładkością. Zaczęłam przewracać kartki – wolno, ostrożnie, obawiając się je uszkodzić lub zniszczyć. Miałam przed sobą historię Beacon. Nie mogłam uwierzyć, że patrzę na numer „Beacon Bugle” wydrukowany ponad sześćdziesiąt lat temu.

Nie spodziewałam się, że wertując gazety z tamtego lata, znajdę w nich tak wiele rzeczy wartych przeczytania. Wciąż coś przyciągało mój wzrok. Artykuł o pierwszym przeszczepie nerki, którego dokonano w Chicago. Wojna w Korei właśnie się zaczęła i prezydent Truman wysłał lotnictwo oraz marynarkę wojenną do udziału w konflikcie. Na kanale NBC odbyła się premiera programu muzycznego *Your Hit Parade*, a w kinach wyświetlano musical *Annie Get Your Gun*.

Reklamy i zdjęcia też były niesamowite. Fotki kobiet w szytych na miarę kostiumach, z dopasowanymi w talii żakietami i ołówkowymi spódnicami sięgającymi sporo za kolano. W wypadku mężczyzn ostatnim krzykiem mody wydawały się szare flanelowe garnitury; wszyscy nosili kapelusze. Za osiem tysięcy dolarów można było kupić dom, a za tysiąc siedemset – samochód.

Wreszcie znalazłam to, czego szukałam, w numerze z piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku. Nagłówek brzmiał: LICEALISTKA ZWYCIĘŻA W MIEJSKIM KONKURSIE SZTUKI. Towarzyszyło mu zdjęcie babci w swetrze, długiej układanej spódnicy i naszyjniku z pereł. Stała przy sztalugach, na których ustawiono obraz. Z drugiej ich strony zajął miejsce mężczyzna w garniturze i pod krawatem. Trzymał pamiątkową tabliczkę. Jak się zdaje, fotografię zrobiono na Paget Street, w samym centrum miasteczka. Zauważyłam w tle falochron i ocean oraz fragment posągu kobiety z ceberkiem winogron.

Ruth Goddard, lat 18, z Beacon, z uśmiechem przyjmuje nagrodę za zajęcie pierwszego miejsca w dorocznym Festiwalu Sztuki w Beacon. Jej obraz *Borówkowa kawiarnia* nagrodzono jako najlepszy z wystawionych. Panna Goddard, która otrzymała pełne stypendium Instytutu Sztuk Pięknych w Chicago, w przyszłym miesiącu rozpocznie naukę w tamtejszym college'u. Gratulujemy zwycięzcy!

Instytut Sztuk Pięknych w Chicago. Gapiłam się na pożółkłą stronicę. Dokładnie to samo twierdził sprzedawca ze sklepu fotograficznego Brewstera. Że babcia dostała stypendium. Ale to nie miało sensu. Zawsze opowiadała o Stanfordzie i skończyła Stanford. Nigdy nie wspomniała o Instytucie Sztuki w Chicago. Ani słoweczkiem. A jednak miałam to przed sobą czarno na białym.

W moim brzuchu zaczęło narastać nieprzyjemne uczucie: podejrzenie, że nie wiedzieliśmy o babci bardzo wielu rzeczy. Przeczytałam artykuł jeszcze raz i uważnie obejrzałam fotografię. Następnie zaniósłam tom na dół, położyłam na szklanej tafli kopiarki i wrzuciłam monety. Maszyna jęknęła i zaskomlała, a chwilę później wypluła kartkę, która sfrunęła na podłogę. Podniosłam ją i zerknęłam na zdjęcie. Kim była ta dziewczyna? – pomyślałam.

===OA9pWm4LaA1uV28KO1hrDzgJMFZiAGZQMlY1V29ca1s=

Rozdział 11

Lila

Gdy opuściłam bibliotekę i ruszyłam autostradą na północ do Kittuck, wybiło południe. Włączyłam muzykę, *My Funny Valentine* Sarah Vaughan, ale nie podziałała na mnie uspokajająco. Nie rozwiała uczucia dezorientacji, jakie obudził we mnie artykuł z „Bugle’a”.

Wstążka autostrady przecinała lasy Maine. Za oknami przemykały rozmazane zielone sosny; zanim przełączyłam się na stare przeboje Oscara Petersona, minęłam zjazd do Lewisboro i sklepu fotograficznego. Zgodnie z przewidywaniami tamtejszego sprzedawcy udało mi się dotrzeć z Lewisboro do Kittuck w godzinę.

Tuż po drugiej weszłam do Domu Opieki Świętej Agnieszki, niewielkiego, dwupiętrowego budynku z cegieł, który w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku mógł uchodzić za nowoczesny. We wnętrzu unosił się zapach środków dezynfekcyjnych, jak w gabinecie lekarskim, zmieszany z czymś przywodzącym na myśl stare koce oraz kulki na mole. Recepcjonistka dała mi plaketkę z napisem „gość” i poinstruowała, że mam wjechać windą na drugie piętro.

Wysiadłam na wprost stanowiska pielęgniarek. Za kontuarem krzątały się dwie kobiety w białych strojach; jedna wpatrywała się w migocący ekran komputera, druga coś pisała na białej ścieralnej tablicy umieszczonej na ścianie. Duży zegar wysoko nad ich głowami odmierzał czas. Pielęgniarka przy monitorze obejrzała się i spytała, czy potrzebuję pomocy. Na jej plastikowym identyfikatorze widniało imię NOREEN.

– Przyszłam się zobaczyć z Lilą Falk – wyjaśniłam. – Nazywam się Ellen Branford. Dzwoniłam wczoraj.

Kiwnęła głową i gestem dała znać, żebym z nią poszła.

– Jest pani znajomą?

– Była przyjaciółką mojej babci – odparłam. – Z czasów dzieciństwa.

– Zjawia się pani w dobrym momencie – skomentowała, prowadząc mnie korytarzem. – W soboty przyjeżdża zwykle jej córka Sugar, ale dzwoniła z wiadomością, że będzie jutro.

Kiedy mijałyśmy otwarte drzwi sal, dolatywały nas odgłosy audycji telewizyjnych. Niektórzy podopieczni siedzieli w fotelach na kółkach przed swoimi pokojami. Mężczyzna z kilkoma kosmykami białych włosów zbliżył się wsparty na lasce. Noreen zwróciła się do mnie:

– Lila ma blisko osiemdziesiątkę, wie pani.

Wiedziałam.

– Tak, moja babcia miała osiemdziesiąt lat, kiedy... – Urwałam i odetchnęłam płytko. – Miała osiemdziesiąt lat.

Szłyśmy na koniec korytarza.

– I cierpi na demencję – ciągnęła Noreen. – Bardzo poważną.

Demencja. Miałam nadzieję, że nie przyjechałam na próżno. Po tym, co powiedział sprzedawca ze sklepu fotograficznego, bardzo liczyłam, że Lila Falk będzie mi mogła opowiedzieć o dzieciństwie babci.

– Miewa lepsze i gorsze dni – mówiła pielęgniarka, kiedy usunęłyśmy się na bok, by przepuścić mężczyznę z balkonikiem. – Czasem czuje się nieźle. W inne dni trochę gorzej. Nie wie, kim jest ani gdzie się znajduje. – Zatrzymałyśmy się przed otwartymi drzwiami. – Chciałam tylko panią uprzedzić.

Skinęłam głową, kiedy zapukała, i weszłyśmy do środka. Ściany były bladoniebieskie; poczułam słaby zapach wybielacza. Drobnutka kobieta o włosach przypominających kłębek szarej bawełny siedziała na pierwszym z dwóch szpitalnych łóżek. Oglądała powtórkę starego telewizyjnego teleturnieju *The Match Game*, którego uczestnicy starali się odgadnąć, jakich odpowiedzi na dane pytanie udzielili celebryci.

– Cześć, Dorrie – przywitała się pielęgniarka, machając do kobiety.

Staruszka podniosła wzrok i na jej twarzy zakwitł uśmiech jak wolno otwierający się kwiat.

– Witaj, Noreen – odparła półgłosem; pochwyciłam ślad angielskiego akcentu.

Podeszłyśmy do drobnej kobiety siedzącej w dużym fotelu obok drugiego łóżka. Wydawało się, że jej błękitne oczy skradły blask niebu. Była ubrana w kremowe spodnie pasujące odcieniem do włosów oraz bluzkę w pączki różowych różyczek. Na jej kolanach leżał różowy szydełkowy pled, a na nim otwarty egzemplarz pisma „Glamour”.

– Lilu, masz gościa – powiedziała Noreen. Staruszka uniosła głowę i spojrzała najpierw na pielęgniarkę, a potem na mnie. – To pani Branford. Chciałaby z tobą porozmawiać o kimś, kogo znasz.

Lila sięgnęła po gazetę i obróciła ją, by obejrzeć strony do góry nogami.

– Zostawię was same – stwierdziła pielęgniarka.

Podziękowałam i przysunęłam sobie krzesło.

– Proszę pani – zaczęłam. – Wiem, że nigdy się nie spotkałyśmy, ale chyba знаła pani moją babcię Ruth Goddard. – Wolno wymówiłam nazwisko. – Dorastałyście razem w Beacon.

– Beacon – powtórzyła, nie odrywając wzroku od czasopisma. – Kto to jest Beacon?

– Miasteczko Beacon. Mieszkała tam pani w dzieciństwie. Tutaj, w stanie

Maine.

Poprawiła pled na kolanach, przesuwając go ostrożnie, jakby przeprowadzała skomplikowaną operację.

– Pamięta pani Ruth? – spytałam. – Za młodych lat przyjaźniłyście się.

Lila, ciągle wpatrzona w czasopismo, zaczęła przerzucać strony.

– Musiałyście razem chodzić do szkoły – dodałam. – Do szkoły Littleton. – Przypomniało mi się sękate drzewo na trawniku. – Przejeżdżałam tamtędy kilka dni temu i wie pani co?

Czekałam na odpowiedź, ale staruszka tylko pociągnęła skraj rękawa, który ktoś jej podwinął. Skubała materiał w różyczki.

– Szkoła stoi do dziś – ciągnęłam. – Budynek z czerwonej cegły. Pamięta go pani?

Nadal próbowała odwinąć rękaw.

– Proszę, pomogę pani. – Rozprostowałam materiał. Uważnie obserwowała moje dłonie, kiedy go wygładzałam. – To trzeba tylko odgiąć... o tak.

Spojrzała na mnie; błękitne oczy płonęły życiem w spokojnej poza tym twarzy.

– Ruth?

Ruth? Uśmiechnęłam się.

– Nie, nie jestem Ruth, panno Falk. Tylko jej wnuczką Ellen.

Przechyliła głowę na bok. Potem wyciągnęła rękę i dotknęła zapięcia naszyjnika po babci; pogładziła palcem srebrną muszelkę.

– Dobrze cię widzieć, Ruth. – Westchnęła i uśmiechnęła się lekko.

Już miałam poprawić ją znowu, ale się powstrzymałam. Jej krucha dłoń zawisała nad zapinką.

– Ciebie też dobrze widzieć – odpowiedziałam.

Wpatrywała się we mnie przeszywającym błękitnym spojrzeniem.

– Littleton?

Cienkie jak włos zmarszczki na jej twarzy rozbiegły się we wszystkie strony.

Przysunęłam krzesło trochę bliżej.

– Właśnie, Szkoła Podstawowa Littleton.

Spuściła wzrok na czasopismo, wskazując reklamę perfum o nazwie Siedem Sekretów. Umieszczona na stronie próbka wydzielala zapach po potarciu; Lila wyjęła ją i poskrobała paznokciem. Podsunęła mi kartonik pod nos.

– Powąchaj, Ruth. – Powachlowała próbką.

Wciągnęłam lekko powietrze, spodziewając się silnego aromatu, ale pachniała gardeniami. Przypomniał mi się pokój babci w San Francisco z kwiatami w wielkich glinianych donicach, ich białe płatki lśniące niczym śnieg na tle ciemnozielonych liści.

– Śliczny.

Odchyliła głowę i przypatrzyła mi się uważnie.

– Twoje włosy wyglądają inaczej.

– Słucham? – Musnęłam ich końce.

Wzruszyła ramionami i się uśmiechnęła.

– Ładne – stwierdziła. – Ale przecież zawsze byłaś ładna. – Przytuliła próbkę do twarzy jak coś, co chciałaby zachować z czułością. – Pamiętasz sprzedawcę z kwiaciarni...? Często dawał nam kwiaty.

Patrzyłam na staruszkę z perfumowanym kartonikiem przytulonym do policzka, ze wzrokiem skupionym na czymś ponad moim ramieniem.

– Tak.

Wsunęła mi karteczkę do ręki.

– Stokrotki i goździki. – Westchnęła. – Ale czasem także gardenie.

Widziałam cienką skórę na jej węzlastych palcach, biegły pod nią bladoniebieskie żyłki.

– A my wstawiałyśmy je do wazonów – powiedziałam.

– Och, ja wstawiałam – sprostowała Lila. Zerknęła w stronę okna, jakby mogła za nim zobaczyć krzew. Zwróciła się do mnie: – Ty swoje malowałaś.

Poczułam, jakby otwarła okno do pokoju, w którym długo panowały ciemności. *Ty swoje malowałaś*. Oczywiście, że istniało więcej obrazów. Właśnie tak podejrzewałam. Chciałam jej zadać milion pytań – o obrazy, o jej przyjaźń z babcią, o Cheta Cummingsa. Chciałam wypuścić na swobodę okruchy informacji, jak wiedziałam, wirujące w jej umyśle. Siedziałam jednak z mocno splecionymi dłońmi, czekając cierpliwie, aż Lila zacznie mówić dalej.

– Co najbardziej podobało ci się w obrazach? – spytałam wreszcie.

– Można było niemal... – Zamknęła oczy i uniosła rękę w powietrze. – Można ich było niemal dotknąć. – Poglądziła materiał bluzki, a ja zastanawiałam się, co widzi, które płótna mojej babci wspomina.

Odwróciła wzrok; obserwowałam jej palce, gdy zaczęła się bawić rogiem okładki magazynu, zaginając go i wygładzając, w dół i w górę, w dół i w górę.

– To było dla niego straszne, no wiesz... kiedy wyjechałaś – odezwała się nagle drżącym głosem.

Odczekałam chwilę, a kiedy nie powiedziała nic więcej, zapytałam:

– Dla kogo?

– Dla Cheta – odparła niemal szeptem.

– Tak. – Pokiwałam głową. – Chet.

– Widzisz, on nie rozumiał... jak mogłaś zmienić zdanie. – Podciągnęła pled pod szyję i objęła go rękami. – I to tak nagle. Kochałaś go, a potem... no cóż, potem zjawił się Henry.

Wzdrygnęłam się na dźwięk imienia dziadka; spróbowałam go sobie wyobrazić jako element trójkąta miłosnego sprzed wielu lat. Współmieszkanka Lili

poruszyła się na łóżku i wymamrotała coś przez sen.

– Chet wierzył, że wrócisz, ale ja wiedziałam, że tak się nie stanie. Kiedy otrzymał wiadomość... kiedy się dowiedział...

Westchnęła.

– Wiadomość – powtórzyłam, chcąc ją naprowadzić.

– Że się zaręczyłaś. Nie mógł w to uwierzyć, Ruthie. Całe szczęście, że go wtedy nie widziałaś. Biedny chłopak był zrozpaczony. Musiał rzucić...

Spuściła wzrok na pled.

Co musiał rzucić? – zastanawiałam się.

Uniosła ręce w górę.

– A wtedy wszystko się rozsypało.

– Chodzi ci o Cheta i o mnie?

– Nie, chodzi mi o...

Kobieta z drugiego łóżka zaniósła się piskliwym śmiechem i obie z Lilą odwróciłyśmy się, by na nią spojrzeć. Obudziła się i znowu oglądała telewizję.

Lila usiadła prosto i pled zsunął się jej na kolana. Jej oczy, głębokie jak lodowiec, badały mnie uważnie.

– Musisz się koniecznie spotkać z Sugar, Ruthie. Ma trochę twoich rzeczy. U mnie po prostu nie było miejsca... Rozumiesz, prawda? – Zamknęła oczy, jakby chciała zobaczyć każdy przedmiot. – Trochę fotografii, jak mi się zdaje. Jakieś listy.

Fotografie i listy. Byłam podekscytowana.

– Z Sugar? Twoją córką?

Ziewnęła i lekko kiwnęła głową.

Oczywiście, że się z nią spotkam. Jeśli może mi coś powiedzieć o babci albo przekazać jakieś jej drobiazgi, zobaczę się z nią z największą radością.

– Tak, bardzo chętnie spotkam się z nią – zapewniłam.

Lila westchnęła i spojrzała na swoje dłonie, jakby należały do kogoś innego. Z głośnika popłynął komunikat: „Doktor Martin proszony do recepcji. Doktor Martin do recepcji”.

Powieki zaczęły jej opadać.

– Mają tu w hotelu lekarza na stałe? Jakie to dogodne.

Ziewnęła znowu i jej powieki zatrzepotały jak skrzydełka kolibra.

– Lilu? – Szturchnęłam ją w rękę.

Zamknęła oczy, głowa opadła jej na piersi i zasnęła.

Popołudniowe słońce zalewało autostradę płynnym złotem, gdy zmierzałam z powrotem do hoteliku. Milion sosen później wjechałam na parking. Dochodziła osiemnasta, kiedy weszłam do holu. Powitał mnie zapach smażonej cebuli,

przypominając, że od śniadania nic nie miałam w ustach.

Przy biurku nie zobaczyłam Pauli. Za kontuarem siedziała pulchna młoda kobieta o krótkich, kręconych włosach w odcieniu czerwieni niespotykanym w naturze.

– Dzień dobry. Czym mogę służyć? – spytała z uśmiechem przeciągłym, głębokim głosem.

– Nazywam się Ellen Branford. Mieszkam tutaj – wyjaśniłam. – W pokoju numer osiem albo dziesięć, czy jaki tam ma numer. Apartament z widokiem na ocean. – Wskazałam w stronę schodów, z trudem unosząc rękę. – Drugie piętro, pierwsze drzwi z prawej.

Nosiła niewielki czarny znaczek z imieniem TOTTY wypisanym białymi drukowanymi literami.

– W porządku, kochanie – odparła. – Miło panią poznać.

Jej głos wznosił się na końcu każdej frazy, jakby nieustannie zadawała pytania. Miło panią poznać?

– Paula gdzie wyszła dziś wieczorem? – spytałam, przetrząsając torebkę w poszukiwaniu klucza.

– Owszem. – Totty uśmiechnęła się; dołeczki w policzkach nadawały jej dziecinny wygląd.

Podziękowałam i ruszyłam w stronę schodów, mijając jadalnię. Prawie wszystkie stoliki były zajęte; kelner podawał właśnie zupę oraz sałatkę parze siedzącej niedaleko wejścia. Zbliżył się, kiedy skinęłam.

– Czy można zamówić kolację na górę do pokoju?

– *Sí, sí*, naturalnie – odparł z silnym włoskim akcentem. – Pani wybiera, my przynosimy. Przyniosę kartę.

Wrócił po chwili z menu, które przebiegłam wzrokiem.

– Chyba spróbuję sałatki Victory. – Wskazałam pierwszą na liście:

WIOSENNE WARZYWA, ŻURAWINA, ORZECHY WŁOSKIE I KOZIE SER Z MALINOWYM SOSEM WINEGRET.

Kiwnął głową i nabazgrał coś na bloczku.

– Z pieczonym kurczakiem. – Wybrałam pierwsze z wymienionych dań głównych:

POŁÓWKA SOCZYSTEGO KURCZAKA Z WOLNEGO WYBIEGU PIECZONA NA MAŚLE ZE ŚWIEŻYMI ZIOŁAMI, Z DODATKIEM TŁUCZONYCH ZIEMNIAKÓW I MARCHEWKI PROSTO Z OGRÓDKA. Nigdy w życiu nie pochłonęłam pół kurczaka, ale miałam wielką ochotę spróbować.

– Pieczony kurczak – mruknął, notując znowu.

– Co jest na deser? – Porzuciłam wszelką roztropność i obiecałam sobie odpokutować za to po powrocie na Manhattan. Może nawet potrenuję do

jesiennego biegu na dziesięć kilometrów sponsorowanego przez kancelarię Winston Reid.

Kelner wyjął z kieszeni świstek papieru i przeczytał ofertę: sernik; deser lodowy z ciasteczkami brownies; ciasto z borówkami oraz lody.

– Ciasto borówkowe – rzuciłam bez zastanowienia. – O, i jeszcze poproszę kieliszek białego wina. Powie mi pan, które serwujecie na kieliszki?

Poskrobał się w podbródek.

– A, na kieliszki. Mamy stołowe i kilka innych rodzajów. Zaraz znajdę listę i...

Machnęłam ręką.

– Nie trzeba, wezmę stołowe.

Gdyby to Hayden usłyszał, nie obyłoby się bez soli trzeźwiących. *Wino stołowe, Ellen? I nawet nie wiesz jakie?*

– *Sí, sí*, przyślemy na górę. – Kelner pokiwał głową kilkanaście razy.

Wdrapałam się na piętro, otworzyłam drzwi kluczem i pozwoliłam, by torebka wyslizgnęła mi się z ręki na podłogę. Następnie wyciągnęłam się na łożku, obejmując rękami poduszkę. Długa jazda do Kittuck i z powrotem kompletnie mnie wykończyła. A może chodziło o Lilę. Tak czy inaczej, musiałam odpocząć pięć minut. Przyłożyć głowę do poduszki.

Ziewnęłam, myśląc o miłosnym trójkącie – babcia, Chet Cummings oraz mój dziadek. Pomyślałam o Lili Falk i jej córce Sugar; o tym, jakie babcine drobiazgi może przechowywać, a potem o rozkosznych dotyku poduszki pod moją głową.

Pół godziny później ktoś zapukał do drzwi. Poderwałam się gwałtownie, próbując sobie przypomnieć, gdzie jestem.

– Proszę pani, tu Rodolfo z dołu. – Kolejne pukanie. – Proszę pani, przyniosłem kolację.

Kolację?

– Tak, już otwieram.

Usiadłam, odgarnęłam włosy z twarzy i spróbowałam wygładzić pomięte ubranie. Potem otworzyłam drzwi. Kelner stał w korytarzu, przestępując z nogi na nogę. Trzymał niebieską tacę malowaną w muszelki. Znajdowały się na niej staroświecki kieliszek z rżniętego kryształu z białym winem, sałatka z różnobarwnych warzyw i żurawiny, duży biały talerz nakryty lśniąca, srebrną kopułą, kawałek ciasta borówkowego oraz różowa róża w smukłym wazoniku.

Nie mogłam oderwać od tego wzroku. Zestaw wyglądał tak pięknie. Przywołałam się do porządku.

– Proszę, niech pan wejdzie. – Zaprosiłam go gestem.

Rozejrzał się po pokoju.

– Gdzie postawić?

Uznałam, że żartuje. Tacę można było umieścić tylko na łożku.

– Tutaj, jak sądzę. – Pokazałam.

– *Śi, śi.*

Przetrząsnęłam portfel w poszukiwaniu drobnych.

– Dziękuję. – Wręczyłam mu napiwek.

– To ja dziękuję. – Skłonił się lekko, nim wyszedł.

Usiadłam na łożku i skosztowałam sałatki. Warzywa były chrupkie, świeże, z mnóstwem dużych kawałków ostrego koziego sera. Karmelizowane orzechy włoskie chrzęściły mi w zębach. Uniosłam srebrną pokrywę. Kiedy podziwiałam kurczaka, w powietrze uniosła się chmurka aromatycznej pary. Był przypieczony na złoto i posypyany gałązkami świeżego estragonu oraz innymi ziołami, których nie umiałam zidentyfikować. Tłuczone ziemniaki wyglądały na kremowe i gładkie, a marchewki pokrywała gęsta, ciemna glazura. W kilka minut pochłonęłam wszystko, także pokryte chrupiącą skórką ciasto z wciąż jeszcze ciepłymi borówkami. Zastanawiałam się, czy Paula zechciałaby podzielić się przepisem. Nie doceniłam jej. To nie ulegało wątpliwości.

Zbyt najedzona, by się ruszać, odsunęłam tacę i położyłam się znowu, gapiąc na pęknięcie na suficie – przypominało kształtem stan New Hampshire. Moje ciało zaczęło się odprężać. Nie zasypiaj, powiedziałam sobie. Musisz zadzwonić do Haydena i do mamy, i do Sugar...

Idziemy przez wielkie, zarośnięte pole otoczone zewsząd kamiennym murem. Niektóre głazy stoczyły się na ziemię; Hayden podnosi je i próbuje znaleźć dla każdego odpowiednie miejsce, obraca i przesuwa, póki nie będzie usatysfakcjonowany. Ogląda się co chwila, oceniając swoje dzieło, a niekiedy wyjmuje kamień i przenosi gdzie indziej. Zbieram mniejsze głazy i wyszukuję w murze szpary, w które dadzą się wpasować.

– Tak bywa po każdej zimie – wyjaśnia. – Skały kurczą się i rozszerzają.

– Podobnie z dziurami w jezdni – odpowiadam. – Drogi też się rozszerzają i kurczą, i przez to robią się wyboje.

– Ależ z ciebie miejska dziewczyna. – Obejmuje mnie za szyję i przyciąga do siebie.

Później siedzimy na murze i patrzymy, jak na polu wiatr czochra chwasty.

Mężczyzna zeskakuje i odgina cierniste łodygi.

– Borówki – stwierdza.

W miejscu, gdzie odgarnął chwasty, wyrastają z ziemi zielone pędy.

– Skąd wiedziałeś, że tu będą? – pytam.

– Zostaną tu na zawsze – mówi.

A potem całuje mnie z namiętnością, która zapiera dech.

Ktoś pukał do drzwi. Próbowałam się otrząsnąć ze snu, opuścić pole z kamiennym murem, chwastami i borówkami.

Pukanie rozległo się znowu, trochę głośniejsze. Rodolfo. Przyszedł po tacę. Doleciał mnie octowy zapach sosu; nie wydawał się już apetyczny. Usiadłam i przetarłam oczy.

Kelner stukał uparcie.

Próbowałam sobie przypomnieć, o co chodziło we śnie, ale już się rozwiewał jak mgła w blasku słońca. Naraz jednak wróciła wizja mnie i Haydena naprawiających mur. Głazy i chwasty, i zarośnięte pole. Podnosiliśmy kamienie i umieszczaliśmy je z powrotem w murze.

Pukanie nie milkło. Rodolfo był bardzo natarczywy. Niemal niegrzeczny.

– Jedną chwileczkę – wymamrotałam, pełznąć niezgrabnie po materacu. – Już idę.

W porządku, zabierz tę głupią tacę, pomyślałam, zsuwając się z łóżka. W tym samym ułamku sekundy, kiedy moje stopy dotknęły podłogi, uświadomiłam sobie, że mężczyzna ze snu wcale nie był Haydenem. To Roy Cummings. Roy. O mój Boże, to Roy mnie pocałował. I był to niesamowity pocałunek, nawet bardziej niesamowity niż tamten na plaży. Wciąż czułam na szyi jego ramiona. Jego wargi na swoich. Czułam jego smak. Smakował słonym, wodnym pyłem jak zmierzch długiego letniego dnia.

Wzięłam tacę i podeszłam do drzwi. Trzymając ją na jednej ręce, drugą przekręciłam gałkę. Chwasty, borówki i pocałunek. Pragnęłam tego snu. Pragnęłam tego pocałunku. I pragnęłam Roya. Głęboko w swoim wnętrzu poczułam ból.

Otworzyłam drzwi, by podać tacę kelnerowi, tymczasem przed sobą zobaczyłam – w szytym na miarę jasnobrązowym płaszczu przeciwdeszczowym z włoskiej gabardyny, z aktówką w jednej ręce i walizką od Louisa Vuittona w drugiej – Haydena.

Rozdział 12

Walka kogutów

– Hayden! – Upuściłam tacę; talerze i sztucce wylądowały na podłodze. Jakaś kobieta otworzyła drzwi na korytarz, wyjrzała i zaraz je zamknęła. – Co tu robisz?

Jego zmierzwione włosy wydawały się złote na tle szarego garnituru z Savile Row. Pod kołnierzykiem wyprasowanej białej koszuli widać było węzeł żółtego, jedwabnego włoskiego krawata, który podarowałam mu w zeszłym roku na Gwiazdkę. Wyglądał bardzo atrakcyjnie.

– Wszystko w porządku? – Spojrzał z uśmiechem na rozsypane naczynia.

Objęłam go, odsuwając ostatnie myśli o Royu, i wdychałam zapach skóry, sal sądowych, pokojów posiedzeń, boazerii z solidnego mahoniu oraz kilkusetletnich dywanów w stylu Aubussona.

– Wszystko okej – zapewniłam. – Zaskoczyłeś mnie, tylko tyle.

Przywarł do moich ust w długim, pełnym uczucia pocałunku i w tym momencie znalazłam się z powrotem w Nowym Jorku, podróżowałam taksówkami, odbywałam rozmowy konferencyjne, jeździłam limuzynami i odwiedzałam imprezy charytatywne w operze oraz w muzeach. Widziałam siebie samą w naszym mieszkaniu, wyciągniętą na sofie w niedzielny ranek, z kubkiem kawy, z gazetami rozłożonymi na stoliku i słońcem wlewającym się strugami przez okna. Przyjemnie było się tam znajdować.

Pozbieraliśmy rozsypane naczynia i Hayden wszedł za mną do pokoju.

– Czemu nie uprzedziłeś, że przyjeżdżasz? – spytałam.

– Bo nie wiedziałem, czy przyjadę, do dzisiejszego popołudnia.

Odwróciłam się, by wziąć od niego płaszcz, i zobaczyłam, jak się rozgląda po numerze.

– To tutaj mieszkasz?

Przebiegł wzrokiem od miski z pękniętym dzbankiem do niewygodnego krzesła z drabinkowym oparciem oraz ciasnej łazienki ze szklanką pełną długopisów na zbiorniku z wodą.

Powiesiłam płaszcz na oparciu krzesła.

– Nie jest tak źle.

Posłał mi sceptyczne spojrzenie.

– Ellen Branford, królowa maratonów po pięciogwiazdkowych hotelach, oświadcza, że nie jest tak źle. Imponujące.

– Poważnie – zapewniłam, biorąc od niego marynarkę. – Uważam, że to

słodkie.

Uniósł podbródek i przyjrzał mi się uważnie.

– Wydajesz się odrobinę... sam nie wiem. – Zrobił pauzę. – Coś się zmieniło. – Chwilę studiował moją twarz. – Ach, nie masz makijażu.

– Nie? – Dotknęłam policzka.

– Nie bądź taka przerażona. – Wybuchnął śmiechem. – Nie potrzebujesz go. Zastanawiałam się, jakim cudem zapomniałam o makijażu.

– Rano wybiegłam w wielkim pośpiechu – powiedziałam. – Pojechałam odwiedzić dawną przyjaciółkę babci w domu opieki.

– Jej przyjaciółka tu mieszka? – Hayden, odgarniając mi włosy z twarzy, patrzył uważnie w oczy.

– Tak. Nie uwierzysz, czego się dzisiaj dowiedziałam. – Opowiedziałam o mężczyźnie ze sklepu fotograficznego, o obrazie w Towarzystwie Historycznym i o artykule znalezionym w bibliotece. – O wielu sprawach dotyczących babci nie mieliśmy pojęcia.

Spojrzał z zaciekawionym.

– Niemal jakby prowadziła sekretne życie.

– No cóż, może nie całe życie, przynajmniej tak nie sędzę. To znaczy mam nadzieję, że nie. Ale bez wątpienia istnieją rzeczy, o których nigdy nie wspominała.

– To trochę jak rozwiązywanie zagadki kryminalnej – zauważył, kiedy usiedliśmy na łóżku. – Bardzo bym chciał zobaczyć te obrazy. Musisz mi je pokazać.

– Pokażę. Chcę, żebyś je obejrzał. Ale zanim o tym pogadamy, musisz mi wyjaśnić, skąd się tu wzięłeś. Sądziłam, że cały dzień spędzisz na naradzie dotyczącej ugody w sprawie Dobsona.

Rozpromienił się w uśmiechu.

– O co chodzi? Powiedz – nalegałam.

– Zawarliśmy ugodę dzisiaj rano.

– Serio? Och, Haydenie, to wspaniale! – Zarzuciłam mu ręce na szyję. – Mówiłeś, że chyba nigdy się nie dogadają.

– Dwadzieścia dziewięć i pół – dodał, kręcąc głową, jakby sam nie mógł w to uwierzyć. – Nigdy bym nie sądził, że się zgodzą na tak wysoką sumę.

Wiedziałam, że mowa o milionach, nie o tysiącach dolarów. Pieniądze miał otrzymać nasz klient, ale kancelarii skapnie z tego spore honorarium. Kolejny sukces Haydena.

– Uau, to fantastycznie.

Skinął głową.

– Jestem szczęśliwy. Członkowie zarządu Dobsona wpadli w ekstazę. To dla nich korzystne rozwiązanie. Ja się po prostu cieszę, że się udało. Koniec końców, zrobili niezły interes. Czasami wszystko idzie tak, jak trzeba, i to właśnie jeden

z tych przypadków.

– Gratulacje – powiedziałam, dumna z niego. – Musiałeś być niezwykle przekonujący.

– Och, potrafię być niezwykle przekonujący, jeśli chcę – odparł z szelmowskim uśmiechem. – O ile pamiętam, kilka razy wykorzystałem swoją umiejętność perswazji na tobie.

– Możliwe – udałam obojętność – ale ze mnie nigdy nie wyciśniesz dwudziestu dziewięciu i pół miliona.

Ujął mnie za rękę.

– Dość żartów. Wiesz, co było najlepsze w tej sprawie?

Pokręciłam głową.

– Że mogłem przyjechać do ciebie tutaj, na północ. Siedziałem w taksówce w drodze powrotnej do domu i nagle pomyślałem, czemu właściwie nie pojechać do Maine? Więc złapałem parę rzeczy i wskoczyłem w samolot.

– Och, Haydenie. – Umiał sprawić, że cała topniałam.

– Tęskniłem za tobą – mruknął, przyciągając mnie blisko. – Nie lubię być sam w domu.

Przytuliłam głowę do jego piersi.

– Mnie też ciebie brakowało.

– Wciąż rozmyślałem, że tkwisz tutaj sama – ciągnął. – Pomyślałem, że w ten sposób będziesz mieć towarzystwo i wrócimy do Nowego Jorku razem. – Wstał. – A skoro mowa o Nowym Jorku... coś ci przywiozłem.

Mrugnął do mnie, wyjmując z teczki jakąś paczkę.

– Co takiego?

– Otwórz – powiedział, sadowiąc się z powrotem obok mnie.

Rozdarłam papier, w który była zapakowana, i stwierdziłam, że to album. *Świat Henriego Cartiera-Bressona*.

– Mój ulubiony fotograf.

– Wiem. To pierwsze wydanie.

– Piękny album. – Zaczęłam przerzucać strony pełne czarno-białych fotografii. – Był ojcem współczesnego fotoreportażu.

– Tak.

Zatrzymałam się przy zdjęciu mężczyzny jadącego na rowerze wąską uliczką gdzieś we Francji. Zrobiono je ze schodków przed domem.

– Bardzo mi się podoba. Spójrz na krzywiznę stopni i metalowej poręczy, jak piękne są te kształty. I mężczyzna przemykający na rowerze, prawie smuga. Miał pół sekundy na zrobienie tej fotki. Niewiarygodne. „Przysłona jedenaście i być na miejscu”.

– Hmm?

– Stare powiedzonko fotografów – wyjaśniłam. – Rozumiesz, znaczy, że

kwestie techniczne nie są tak ważne, jak to, by znaleźć się we właściwym miejscu w odpowiedniej chwili. – Przyciągnęłam go do siebie i pocałowałam. – Co za niesamowity prezent. Nie mogę się doczekać, żeby obejrzeć dokładnie każde zdjęcie.

– Cieszę się, że ci się podoba.

Zamknęłam album i przycisnęłam do piersi.

– Jestem zachwycona.

Uśmiechnął się.

– No to opowiadaj, co tu się działo. Udało ci się ostatecznie spotkać ze słynnym panem Cummingssem?

Spuściłam wzrok i pokręciłam głową.

– Nie. Już się z nim nie spotkam.

– Dlaczego? Co się stało?

Pociągnęłam luźną nitkę na kapie.

– Chet Cummings... umarł.

Hayden ujął mnie za rękę.

– Och, skarbie, tak mi przykro.

Skinęłam głową.

– Mhm. Mnie też.

– Kiedy to się stało?

– Przed trzema miesiącami.

– Co za okropny zbieg okoliczności. Jechałaś taki kawał drogi i... no cóż, współczuję ci.

Przez okno wpadł chłodny powiew. Przeniknął mnie dreszcz, więc zamknęłam okno o wielu szybkach, podeszłam do termostatu i podkręciłam temperaturę. Coś jęknęło i zastukało, zafurkotał wentylator. Z umieszczonego na podłodze otworu grzejnika rozszedł się metaliczny swąd i dmuchnęło letnie powietrze.

Hayden oparł poduszki o zagłówek łóżka, zrzucił buty i wyciągnął się wygodnie. Poluźnił krawat, a potem zaprosił gestem, żebym się do niego przyłączyła. Umościłam się w zgięciu jego ręki.

– Opowiedz o wszystkim – powiedział. – Nie mogłaś doręczyć listu i...

– Nie; doręczyłam go – zaprotestowałam. – Przekazałam go bratankowi.

Popatrzył na mnie.

– Bratankowi? Jakiemu bratankowi?

– Facetowi nazwiskiem Roy Cummings. Chet u niego mieszkał.

– Och. – Umilkł na chwilę, potem spytał: – A co bratankowi przyjdzie z listu?

– Nie wiem, ale pomyślałam, że powinien go otrzymać. Nie sądzisz?

Hayden spojrział zagadkowo.

– Nie wiem, Ellen. Jestem zdumiony, że to zrobiłaś. List nie był do niego adresowany. Przekazałbym list wykonawcy testamentu albo wyznaczonemu przez sąd administratorowi... Ten gość jest wykonawcą?

Próbowałam sobie przypomnieć, co Roy powiedział na podwórzu przed swoim domem. *Każda sprawa dotycząca stryja to moja sprawa.* Mniej więcej tak to brzmiało. Nie oświadczył wprost, że jest wykonawcą testamentu stryja, ale odniosłam wrażenie, że zajmował się jego sprawami. Miałam nadzieję, iż nie pośpieszyłam się z wnioskami. A jeśli postąpiłam niewłaściwie? Czyżbym straciła swój instynkt?

Skinęłam głową.

– Mhm, tak mi się wydaje.

– Wydaje ci się?

– Nie; chciałam powiedzieć, że jest wykonawcą.

– W takim razie nie widzę żadnego problemu.

Przeciągnął się i westchnął głośno. Pomogłam mu wyjąć z mankietów złote spinki ozdobione klejnotem rodowym. Odłożył je na szafkę nocną i zaczął pieścić wargami moją szyję. Zamknęłam oczy; czułam jego oddech, ciepły i dobrze znany, włosy muskające delikatnie moją skórę. Pachniały cytrusami jak szampon w naszym mieszkaniu.

Rozpiął mi bluzkę; jego palce lekko pogładziły materiał. Zdjęłam mu krawat i rozpięłam guziki koszuli. Całując mnie, nachylił się nade mną. Pęknięcie na suficie w kształcie stanu New Hampshire straciło ostrość; zrzuciliśmy ubranie i kochaliśmy się, a świerszcze grały za oknem.

Hayden już nie spał, kiedy się ocknęłam w niedzielny poranek. Stukał w komputer, siedząc na łóżku w bokserkach i niebieskim T-shircie.

– Dzień dobry. – Ziewnęłam i przetarłam oczy. – Która godzina?

Spojrzał na zegarek.

– Trochę po dziewiątej.

Pod roletą zobaczyłam pasek światła.

– Zapowiada się ładny dzień?

Nadal bębnił w klawisze.

– Nie wiem. Nie sprawdzałem.

– Nie wyjrzałeś przez okno?

Pokręcił głową.

– Pracowałem.

Cmoknął mnie w policzek.

– Wiesz co, Haydenie? Naprawdę mi zależy, żebyś zobaczył obrazy babci. Wątpię, by Towarzystwo Historyczne było dzisiaj otwarte, ale może pojedziemy

do Porterów i zajrzemy na strych.

– Brzmi nieźle – pochwalił. – Bardzo chętnie.

– Zaraz zadzwonię do Susan.

Zaburczało mi w żołądku i uświadomiłam sobie, że umieram z głodu. Coś się działo z moim apetytem. Wciąż czułam się głodna, a potrawy, na które miałam ochotę, nie były z gatunku superzdrowych, do jakich przywykłam. Ale z pewnością poprawiały nastrój. Pieczeń z tłuczonymi ziemniakami, kurczak z kluseczkami, makaron z serem, duszona wołowina z warzywami. Zwróciłam się do Haydena:

– Masz ochotę na śniadanie?

– Pewnie, daj mi tylko minutkę. Muszę skończyć jedną rzecz. – Chwycił mnie za rękę, kiedy podchodziłam do komody, i przesunął dłonią po moim bicepsie. – Mmm, jakie piękne mięśnie. – Uśmiechnął się. – Ćwiczyłaś?

– Niezupełnie. – Zastanawiałam się, czy w ogóle mają tu siłownię. Wyjęłam z szuflady szorty i top. – A nie, zaraz – rzuciłam. – Zapomniałam... trochę pływałam.

– Pływałaś? – Rzucił mi szybkie spojrzenie. – Prawda, należałaś do reprezentacji. W Exeter, prawda?

Zdjął skuwkę z pióra i zaczął coś gryzmolić w notesie.

– Aha, w Exeter. – Zasunęłam zamek szortów i włożyłam top przez głowę.

Podciągnęłam roletę i do pokoju wdarło się słońce. Wychylona przez parapet rozejrzałam się i wciągnęłam do płuc chłodne, pachnące trawą powietrze.

Po chwili Hayden podniósł głowę.

– Tak tu cicho.

Nie potrafiłam określić, czy mu się to podoba, czy wręcz przeciwnie.

– Owszem, jest cicho.

Weszłam do łazienki po szczoteczkę do zębów i stanęłam jak wryta. W róg lustra nad zlewem ktoś wsunął karteczkę z kremowego papieru. Czarne litery wytłoczono, rozpoznałam krój pisma: French Script. Podeszłam bliżej i odczytałam tekst.

Pani Cynthia Parker Branford

zaprasza serdecznie

na ślub swojej córki

Eleanor

z

Panem Haydenem Stewartem Croftem

w sobotę 7 października

o godz. 18.30

w kościele Świętego Tomasza

w Nowym Jorku, stan Nowy Jork

Poczułam lekkie ukłucie w piersi. Sięgnęłam po zaproszenie i usiadłam na krawędzi wanny, trzymając je w dłoniach. Sobota, siódmego października. Litery były czarne, wyraźne, wytłoczone w papierze.

– I jak brzmi wyrok? – zawołał Hayden z sypialni.

– Wyrok?

Próbowałam sobie przypomnieć, ile zaproszeń zamówił. Dwieście? Dwieście pięćdziesiąt? Jedyne, co pamiętałam, to liczbę gości – trzysta trzydzieści siedem osób. Aż tyle zaproszono na świadków naszego ślubu. Krewnych, znajomych, partnerów w interesach...

– W sprawie zaproszenia – wyjaśnił zniecierpliwionym tonem. – Co powiesz? Czyż nie jest świetne?

Wyobraziłam sobie kościół – zapalone świece, bukiety kwiatów, pełne ławki, kwintet smyczkowy grający wybrane przez nas utwory. Poczułam w brzuchu coś kolczastego.

– Tak, piękne.

– Nie mówiłem, że Smythson jest najlepszy? – ciągnął, stając w wejściu. – Nie bez powodu ma tytuł królewskiego rytownika.

Kiwnęłam głową.

– Z pewnością zasługuje – powiedziałam.

– W Stanach nie dostaniesz takiej jakości.

Przesunęłam palcem po literach, zastanawiając się, czemu nagle ogarnęło mnie lekkie zdenerwowanie. Może na myśl o tym, jak te zaproszenia wędrują po kraju do dziesiątków ludzi, zwołując ich na wielkie wydarzenie: by byli świadkami, jak Hayden i ja składamy sobie nawzajem przysięgę małżeńską.

Może każda panna młoda robi się nerwowa, widząc pierwszy raz zaproszenie na własny ślub. Zapewne to normalna reakcja. Ostatecznie wydarzenie ma w sobie coś... nieodwracalnego. Tak samo na zaproszeniach mogłyby widnieć słowa: *Od tej pory nie ma miejsca na pomyłkę.*

Na pomyłkę? Cóż, to nie było właściwe słowo. Coś innego miałam na myśli. Chodziło mi po prostu o... O co właściwie?

Chyba popadam w obłąd, pomyślałam, patrząc w lustro. Jestem zaręczona z najfantastyczniejszym mężczyzną na świecie i czeka nas piękny ślub.

Nagle stanął obok mnie Hayden; jego głowa ukazała się nad moim ramieniem. Wyjął mi z ręki zaproszenie, spojrzął na nie, uśmiechnął się zadowolony i wsunął je z powrotem w róg lustra.

– Królewscy rytownicy – powtórzył z lekkim skinieniem.

– Owszem.

Objęłam go ramionami i przytuliłam najmocniej, jak potrafiłam.

Kiedy szliśmy na śniadanie, w recepcji nie było Totty, pracownicy nocnej zmiany. Wróciła Paula, która zamarła z zaskoczenia na widok mojego towarzysza.

Uśmiechnęłam się radośnie.

– Mój narzeczony Hayden Croft. Właśnie przyjechał z Nowego Jorku. – Zwróciłam się do niego: – Paula Victory, właścicielka hoteliku.

Paula zamrugła.

– Pani narzeczony? – Przeciągnęła słowo, jakby miało co najmniej sześć sylab. Następnie spojrzała na Haydena. – Jak brzmi pańskie nazwisko?

– Croft – powtórzył. – C-R-O-F-T.

– Pierwszy raz słyszę.

– Jest angielskie. Moi przodkowie...

– Och, nie, chodziło mi o imię. Powiedział pan „Haven”?

Poprawił kołnierzyk koszulki polo.

– Nie, Hayden, przez „y”.

– Aha – mruknęła, zerkając na mnie. – Pani narzeczony. – Kącik jej ust uniósł się w półuśmiechu. – Czy to nie urocze?

Zmierzyła go wzrokiem i leciutko skinęła z aprobatą.

– Chcę pani podziękować za opiekę nad Ellen – powiedział Hayden, obejmując mnie ramieniem.

Roześmiała się.

– Nie ma potrzeby dziękować mnie – odparła. – Jak się zdaje, Ellen potrafi o siebie zadbać.

Pociągnęłam go do wyjścia, zanim Paula zdążyła powiedzieć coś więcej.

– Przepraszam, wychodzimy na śniadanie. Do zobaczenia później.

– Weźmiemy wóz? – spytał Hayden, zatrzymując się przy stopniach wejściowych. – Ja poprowadzę.

– Jechać? To pięciominutowy spacer.

Wydawał się zaskoczony.

– Można stąd dojść piechotą do centrum?

– Naturalnie – zapewniłam.

Ruszyliśmy nieśpiesznie Prescott Lane, mijając domy, gdzie kępy białych róż przeciskały się przez sztachety płotów. Zerwałam jedną i przysunęłam do nosa. Pachniała rosą i porannym słońcem. Na końcu кварталу skręciliśmy w prawo w Putnam i skierowaliśmy się do oceanu.

Przy Paget Street skręciliśmy znowu i ukazał się nam widok na wodę: mozaika błękitów i bieli pod roziskrzonym słońcem.

– To już całe miasteczko? – Hayden spojrzał wzdłuż ulicy, poprawiając

okulary od słońca.

Ujęłam go za rękę.

– Owszem. Oto Beacon.

Poprowadziłam go do Trzypensowej Kafejki. Prawie wszystkie stoliki były zajęte i został tylko jeden wolny boks. Młoda kelnerka, z którą rozmawiałam pierwszego dnia po przyjeździe, podeszła do nas z kartami. Miała rude włosy opadające w półksiężycach; błysnęła uśmiechem i skierowała nas do boks. Usiedliśmy naprzeciw siebie, zamówiliśmy kawę i przejrzelśmy menu.

– Wiem, na co mam ochotę – oznajmiłam. – Na pączki z cydrem. Musisz ich skosztować. Są niesamowite.

– Pączki? – Spojrzał zbity z tropu. – Od kiedy je jadasz?

– O co ci chodzi?

– Czy ja wiem? O węglowodany? Kalorie? Nigdy ich nie zamawiałaś. Po prostu jestem zaskoczony.

Zagłębił się z powrotem w kartę, a ja pomyślałam o pączkach prosto z frytownicy obsypanych cukrem, o skórce chrupiącej, kiedy odgryza się kęs, o rozpływającym się w ustach miękkim wnętrzu smakującym jabłkami. Niemożliwe, żeby były zdrowe. Hayden miał rację.

Kelnerka wróciła i postawiła przed nami dwa kubki kawy.

– Zdecydowali się państwo?

Wiedziałam, że powinnam zamówić owsiankę albo zapytać, czy gdzieś na zapleczu kryją się pełnoziarniste płatki, lecz wspomnienie cydrowych pączków było zbyt świeże. Zamówiłam jeden i z uczuciem lekkiej rezygnacji oddałam kartę.

Hayden przyglądał mi się chwilę, ale nic nie powiedział. Następnie uśmiechnął się szeroko do dziewczyny.

– Mam wielką ochotę na omlet z białek ze szczypiorkiem, pomidory w plasterkach jako przystawkę oraz na tosta z dwunastu ziaren... bez masła, proszę.

Dziewczyna pstryknęła kilka razy długopisem.

– Przepraszam, proszę pana, ale nie serwujemy takich rzeczy. Nie mamy nawet szczypiorku ani takiego chleba.

– Okej. – Uniósł rękę w pojednawczym geście. – Omlet z białek z pomidorami w plasterkach i... jakiego rodzaju chleb macie?

Znowu pstryknęła długopisem.

– Białe, pszenne pełnoziarniste i żytnie.

Zastanowił się moment, po czym zdecydował:

– Wezmę pszenne pełnoziarniste.

Uśmiechnęła się i szybko odeszła.

Upiłam łyk kawy. Smakowała orzechami laskowymi i wieczorami przy ciepłym ognisku.

– Bardzo bym chciał gdzieś znaleźć „Wall Street Journal” – rzucił Hayden. – Myślisz, że to możliwe?

– Niedaleko jest niewielki sklepik, tam mogą go mieć – powiedziałam.

Wstał i rozejrzał się wokół.

– Kiedy wchodziliśmy, widziałem gazety... O, tam są.

Podszedł do kasy i wrócił z „Boston Globe” oraz „Bea-con Bugle”.

– To powinno być ciekawe – zauważył, spoglądając na nagłówek na pierwszej stronie „Bugle’a”: KAMIENIE NA DRODZE NR 9 TAMUJĄ RUCH. Poniżej widniało zdjęcie samochodów w korku oraz skał, które wysypały się z ciężarówki na szosę.

Dzięki Bogu, że nie ogląda mojej podobizny, pomyślałam.

– Pewnie akurat nie wydarzyło się nic ciekawego – odparłam.

Hayden rzucił „Bugle’a” na stolik i sięgnął po „Globe’a”.

– Zdumiewające, że w tak małej miejscinie może się utrzymać codzienna gazeta. Ile egzemplarzy zdołają sprzedać: czterysta, pięćset dziennie?

– Prędzej trzy tysią...

Podniósł wzrok.

– Hmm?

Machnęłam ręką.

– Nic.

Gdy kelnerka wróciła z naszym śniadaniem, spróbowałam nakłonić Haydena do spróbowania pączka.

– Daj spokój, jesteś w Maine. – Szturchnęłam go. – Chad nigdy się nie dowie.

– Ha! – odparł. – Jest moim trenerem od siedmiu lat. Zorientuje się.

Potem jednak sięgnął po ciastko, ostrożnie odgryzł niewielki kęs i przeżuł wolno, rozkoszując się smakiem – tak samo robił setki razy, gdy kosztował wino.

– Uau – skomentował – pączki tutaj to prawdziwe delicje.

– Witaj w Maine.

W moim wnętrzu coś zakipiało z radości. Dzień był piękny i mieliśmy go spędzić razem. Miniwakacje w Bea-con będą miłym wytchnieniem.

Przekartkowałam „Bugle’a”; przebiegłam wzrokiem artykuł o policjancie, który otrzymał specjalną pochwałę, ogłoszenie o wyprzedaży dobroczynnej w kościele Najświętszej Marii Panny oraz list do redakcji ze skargą na podwyżkę podatku od nieruchomości. Przewróciłam stronę i zobaczyłam reklamę wiejskiego jarmarku sponsorowanego przez Stowarzyszenie Ekologicznych Farmerów i Ogrodników Stanu Maine. Zastanowiłam się, jak może wyglądać taka impreza. Wyścigi w ubijaniu masła przez dziewczyny w białych fartuchach? Degustacja mleka? Mogło być zabawnie.

– Haydenie, chyba powinniśmy się tam wybrać. – Pchnęłam gazetę w jego

stronę.

– Wiejski jarmark? – przeczytał. – Z końmi i krowami?

– Tak myślę. Czemu nie sprawdzić?

Zjadł kęs omletu i oznajmił:

– Niezbyt mnie fascynują konie i krowy, ale zrobię to dla ciebie, Ellen.

Posiedzieliśmy jeszcze parę minut, biorąc dolewkę kawy, a następnie złożyłam „Bugle’a” i wyszliśmy z kafejki. Zadzwoiłam do Porterów, ale nikt nie odbierał. Włączyła się poczta głosowa, więc zostawiłam wiadomość, pytając, czy mogłabym przyprowadzić Haydena, by zobaczyć obraz.

W drodze powrotnej do hoteliku minęliśmy sklep z artykułami przemysłowymi; na witrynie piętrzyły się dżinsowe stroje, robocze buty oraz sprzęt kempingowy.

– Zajrzyjmy na moment. – Pociągnęłam go za rękę. – Chcę kupić dżinsy.

– Ja ciebie widziałem w dżinsach? – spytał, kiedy wchodziliśmy do środka.

Roześmiałam się.

– Nie pamiętam, kiedy je ostatnio nosiłam. Ale też nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam na wiejskim jarmarku.

Przymierzyłam parę spłowiałych biodrówek o prostych nogawkach, z ozdobnymi stebnowaniami na kieszeniach i szwach. Hayden gwizdnął, kiedy wynurzyłam się z przymierzalni.

– Biorę je – powiedziałam sprzedawcy. – I od razu w nich pójdę. – Zwróciłam się do swojego towarzysza: – A ty?

Spojrzał na swoje spodnie khaki i stylowe mokasyny marki Top-Sider.

– Chyba zostanę przy tym.

Wróciliśmy pod hotelik, do samochodu.

– Jeśli pojedziemy na ten jarmark – zagadnął Hayden – będę musiał oglądać kurczęta albo jeszcze coś innego z wiejskiego inwentarza?

Wsunęłam się na fotel pasażera i uniosłam rękę jak przy składaniu przysięgi.

– Żadnych kurcząt, obiecuję. Może najwyżej parę świń.

Pokręcił głową.

– Świnie. Błę. – Potem oczy mu błysnęły. – Coś ci powiem. Pojadę na jarmark, jeśli znajdziesz mi tu w okolicy miejsce, gdzie można rozegrać partyjkę golfa.

Pokręciłam głową.

– Przykro mi, skarbie. W okolicy nie ma żadnego pola golfowego.

– To może chociaż strzelnica do trenowania wybić?

Zapalił silnik, ja tymczasem przeglądałam „Bugle’a”. W gazecie wydrukowano mapkę przedstawiającą lokalizację jarmarku. Odbывał się niedaleko Kenlyn Farm.

Jechaliśmy kwadrans, minęliśmy farmę, a następnie dom Porterów.

– To dawny dom babci. – Wskazałam, kiedy przejeżdżaliśmy obok pustego podjazdu.

Zaraz potem skręciliśmy na teren jarmarku i jakiś mężczyzna skierował nas na gruntowy parking, gdzie odwiedzający wypakowywali się z samochodów z dziećmi i wózkami. Nastolatki opierały się o burty furgonetek.

Wokół parkingu pleniły się polne kwiaty, tworząc szerokie obramowanie. Zatrzymałam się, żeby zerwać bukiet złotych jaskrów i żółto-białych złocieni. Ułamałam gałązkę dzikiej marchwi, patrząc, jak czarny motyl podobny do pazia królowej przysiadł na nawłoci. Przeciągnęłam się i odetchnęłam głęboko. Powietrze było łagodne i świeże.

– W porządku, jestem gotowa – oświadczyłam, podziwiając bukiet, kiedy podążaliśmy za tłumem do wejścia.

Na tablicy wypisano atrakcje obejmujące wystawę osłów i mułów, tor przeszkód dla koni pociągowych, wyścigi starych traktorów, wystawę psów pasterskich, konkurs na najsmaczniejszą szarlotkę oraz prezentacje zatytułowane: „Ostrzenie kos europejskich”, „Kompostowanie z użyciem dżdżownic” lub podobnie.

Jarmark ze swymi namiotami, straganami, sprzedawcami, pokazami produktów żywnościowych oraz terenami wystawowymi zajmował kilkanaście akrów. Do karuzeli, diabelskiego młyna oraz czegoś wirującego z gondolami ustawiały się kolejki. Ojcowie nosili maluchy na ramionach, staruszkowie odpoczywali na składanych krzeselkach. W powietrzu unosił się aromat pizzy z pieca opalanego drewnem oraz jabłecznika.

Podeszliśmy do straganów, gdzie sprzedawano kwiaty oraz zioła. Uniosłam do twarzy doniczkę z tymiankiem. Pachniała jak pieczony kurczak w kuchni u mamy. Zobaczyłam doniczkę z werbeną cytrynową, zerwałam liść i roztarłam między palcami. Teraz znalazłam się na dziedzińcu przed domem babci, popijając mrożoną herbatę.

Spacerując, oglądaliśmy lokalne specjały – syrop klonowy, sucharki dla psów, ręcznie farbowaną przędzę, wyroby garncarskie i obrazy. Kupiliśmy pudełko borówek i zjedliśmy. Podziwialiśmy kobiety, które przędły wełnę, oraz owczarki niemieckie demonstrujące zaganianie stada.

– Wejźmy tam. – Wskazałam duży namiot.

Przed nim roili się zwiedzający. Gdy podeszliśmy bliżej, doleciało nas pianie koguta.

Hayden uśmiechnął się złośliwie.

– Chyba się umawialiśmy: żadnych kurczaków.

– No chodź. – Wzięłam go za rękę. – Zobaczmy tylko, co tam mają.

Już od wejścia uderzył mnie zapach ziarna i zwierząt. Pierwsze, co zobaczyłam, to dwa tuziny klatek z drewna i drutu. W każdej gdakała, dziobała

i grzebała jakąś kura, obok przechadzali się pełni podziwu gapie.

– Och, Haydenie, spójrz, jakie piękne.

Wskazałam czarnego koguta rasy Jersey Giant oraz niebieską kurę Andalusian z pierzastym ogonem. Andaluzyjka przechyliła głowę i pogrzebała o dno klatki.

– Zapewne posiadają swoisty, hm, urok. – Hayden wzdrygnął się z odrazy. – Sprawdź, co tu mają oprócz kur. – Ruszył naprzód.

Przeszłam do kolejnej klatki, gdzie Barred Plymouth Rock hałasował ile sił. Czarno-białe zygzaki na piórach sprawiały, że przypominał abstrakcyjny obraz. Schyliłam się, by się lepiej przyjrzeć.

– Ładny z ciebie ptaszek, co? – Kucnęłam i znalazłam się na wysokości jego wzroku. Przekrzywił głowę, patrząc na mnie.

– Tak, śliczny jesteś.

– Ellen?

Obejrzałam się. Za mną stał mężczyzna w dżinsach i spłowiałym czerwonym T-shircie New England Patriots. Na głowie miał bejsbolówkę Red Sox, na twarzy jednodniowy zarost. Roy.

Miałam wrażenie, że cała krew spłynęła mi do stóp. Z trudem wyjąkałam „cześć”.

Kogut Plymouth Rock wybrał ten właśnie moment, żeby zapiąć, posyłając swe donośne powitanie na cały namiot.

Roy dotknął daszka czapki.

– Cześć tobie. Sądziłem, że wyjeżdżasz.

Oczy miał zbyt niebieskie. Nic nie mogło być aż tak błękitne.

– Planowałam jechać dzisiaj. Ale wczoraj musiałam się z kimś spotkać, a teraz nastąpiła drobna zmiana planów.

– W takim razie mądrze wykorzystujesz czas. – Uśmiechnął się. – Na oglądanie kogutów i zbieranie... – Ujął mnie za rękę i rozgiął palce. Zapomniałam, że wciąż ściskam w niej kwiaty.

– Hmm – mruknął. – Jaskrów oraz dzikiej marchwi.

Kiedy puścił moją dłoń, odniosłam wrażenie, jakby stała się pusta. Ledwie mogłam wydobyć głos.

Mała, może czteroletnia, dziewczynka podeszła z ojcem do jednej z klatek.

– Nie zbliżaj się za bardzo – ostrzegł. – To może być niebezpieczne.

Roy zerknął na mnie, przechylił głowę i poskrobał się po podbródku.

– Włożyłaś dżinsy. Wiedziałem, że coś się zmieniło.

Nie potrafiłam zgadnąć, czy mu się to podoba.

– Dobrze ci w nich – dodał. – Teraz w Antlerze wyglądałabyś jak swoja.

Uśmiechnął się.

Andaluzyjka z ozdobnym ogonem nastroszyła pióra i przechylając łeppek,

spojrzała na sąsiednią klatkę, jakby próbowała przyciągnąć uwagę swego sąsiada koguta.

– Co ona robi, tatusiu? – Dziewczynka wskazała kurę. – Czemu ona tańczy? Ojciec zmarszczył czoło.

– Nie wiem, skarbie. Może chcą porozmawiać.

Mała zachichotała i oboje oddalili się bez pośpiechu.

– W porządku, obejrzałem już każdego cholernego kuraka...

Hayden zmierzał w naszą stronę. Na widok Roya przystanął.

Pozwoliłam, by kwiaty wyslizgnęły mi się z dłoni.

– Haydenie. – Dodałam do swojego tonu ekstraradosną nutę. – To jest Roy Cummings. Pamiętasz, opowiadałam ci o nim... bratanek Cheta Cummingsa. – Zwróciłam się do Roya: – Mój narzeczony Hayden Croft.

Zaschło mi w gardle, gdy patrzyłam, jak wymieniają uścisk dłoni. Wydało mi się, że na twarzy Roya dostrzegam zmianę. Jakby zacisnął szczęki.

– Hayden zrobił mi niespodziankę wczoraj wieczorem – wyjaśniłam. – Zjawił się w Victory Inn.

Plymouth Rock zaczął się przechadzać dumnie, sprawiając wrażenie lekko pobudzonego, stroszył czarno-białe pióra i gdakał.

Roy wsunął ręce w kieszenie dżinsów.

– To wspaniale. Przyjechałeś skąd? Z Manhattanu?

Hayden skinął głową.

– Tak, wczoraj zamknąłem pewną sprawę i pomyślałem, czemu nie przylecieć tutaj, by to uczcić. Więc przyleciałem. – Zrobił pauzę, a potem dodał: – Ellen wspomniała, że pochodzisz z Beacon.

– Tak jest. – Roy pokiwał głową. – Dorastałem tutaj.

– Wygląda na sympatyczne miejsce – powiedział Hayden. – Bardzo spokojne. Jak ludzie spędzają tutaj wolny czas? Są jakieś pola golfowe w okolicy?

Roy zmierzył go uważnym spojrzeniem, od top-sidersów po pomarańczową koszulkę polo.

– Och, golfista?

Hayden przytaknął.

– Owszem, ale zbyt rzadko ćwiczę. Ty też?

– Nie. Nigdy mnie to nie wciągnęło na poważnie. Ale można tu robić mnóstwo innych rzeczy. Zimą biegać na nartach, wędrować na raketach śnieżnych albo jeździć na łyżwach. Prowadzić skutery śnieżne. – Zamilkł na chwilę i odsunęliśmy się od klatek, bo przechodziła grupa nastolatków.

– Latem – ciągnął – można łowić ryby. Mnóstwo ludzi ma łodzie motorowe albo żaglówki. Niektórzy pływają. – Zerknął na mnie.

– Ellen mówiła, że trochę pływała – przytaknął Hayden.

Posłałam Royowi ostrzegawcze spojrzenie.

– Hayden się ucieszył, że miałam okazję poćwiczyć.
– Nigdy bym nie sądził, że wejdiesz do takiej zimnej wody – skomentował.
Roy zsunął czapkę na czubek głowy.
– Ale skoro byłaś w reprezentacji pływackiej Exeter i doszłaś do eliminacji krajowych, powiedziałbym...

– To było dawno temu – ucięłam, piorunując go wzrokiem. Zauważyłam, że hamuje śmiech.

Oparł się o tablicę informacyjną.

– Jak długo zostaniecie?

– Tylko kilka dni. – Hayden objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie. – Pomyślałem, że lepiej będzie przyjechać, skoro, jak widać, nie mogę skłonić Ellen do powrotu.

Uśmiechnęłam się z wysiłkiem.

Roy przechylił głowę i spojrzał na mnie.

– Czyżby Beacon zaczynało ci się podobać, Ellen? To się zdarza niektórym, wiesz? Bywa, że przyjeżdżają i zostają na dobre.

– Ja tylko na parę dni dłużej – zapewniłam. – Żeby domknąć kilka spraw dotyczących babci.

Hayden ścisnął mnie za ramię.

– Nie obawiam się, by Ellen, stuprocentowa dziewczyna z miasta, utknęła tu na dłużej. Chyba by nie przetrwała w takiej miejscinie. Przywykła do szybszego tempa życia... brak jej cierpliwości.

Nie byłam pewna, czy podoba mi się ta uwaga. Owszem, mieszkałam w dużym mieście od lat, i nie, nie miałam najmniejszej ochoty nigdzie się przeprowadzać. Ale czy to znaczyło, że nie mogłabym tego zrobić, gdybym naprawdę zechciała? W ustach Haydena zabrzmiało to, jakbym była niezdolna do zmiany.

Roy wzruszył ramionami.

– Czasem ludzie nie mają pojęcia, że mogą zwolnić, póki tego nie zrobią. – Przeniósł wzrok z Haydena na mnie. – Uważam, że Ellen mogłaby żyć i odnosić sukcesy wszędzie, również w Beacon.

– Dzięki za wotum zaufania. – Próbowałam się roześmiać i potraktować lekko pochwałę.

Rozmowa miała w sobie dziwny podskórny ton, ledwie dające się zarejestrować napięcie. Czułam się nieswojo.

Ręka Haydena na moim ramieniu zeszywniała.

– Nie chodziło mi o to, że nie mogłaby tego zrobić – zaprotestował. – Po prostu nie sądzę, by była szczęśliwa poza wielkim miastem. – Zwrócił się do mnie:
– Prawda, skarbie?

Co tu się działo? Miałam wrażenie, jakby mnie ciągnięto w dwie różne

strony.

– Nie wiem – odparłam, czując, jak jego dłoń na moim ramieniu nagle robi się ciężka. – Mieszkam tam teraz i jestem szczęśliwa, ale chyba potrafię być elastyczna.

– Nie mówiłem? – Roy się uśmiechnął.

Dołki w policzkach pokazały się znowu.

– Za kilka dni wyjeżdżamy – oświadczył Hayden; jego ton wskazywał, że nie ma zamiaru przedłużać rozmowy.

Uwolniłam się od jego ręki.

– Chyba powinniśmy się zbierać, nie sądzisz? – Ujęłam jego dłoń, żeby go pociągnąć za sobą. – Może Porterowie już wrócili i będziemy mogli do nich zajrzeć. – Zwróciłam się do Roya: – Znalazłam dom, w którym dorastała babcia, i chciałam go pokazać Haydenowi. Więc chyba...

– Och, to świetnie, że go odnalazłaś – odparł Roy. – Gdzie mieszkała?

– Przy Comstock Drive.

Skinął głową.

– Niedaleko Kenlyn Farm.

– Tak, obok. Minęliśmy farmę w drodze tutaj. Ktoś mi mówił, że kiedyś uprawiali tam borówki.

– Aha, to prawda – przytaknął. – Dawno temu.

– Teraz wygląda, jakby zupełnie popadła w ruinę – wtrącił Hayden. – Wielka szkoda. Taka duża nieruchomość i niezagospodarowana. Dziwne, że nikt się nie zjawił i czegoś tam nie zbudował. Domów albo apartamentowców. – Uśmiechnął się, spoglądając na mnie. – Albo na przykład pola golfowego?

– Haydenowi golf padł na mózg – zażartowałam, kiedy do namiotu weszła grupa dzieci pod eskortą dwóch młodych kobiet pouczających, by nie oddalać się od grupy.

– Dlaczego trzeba ją zagospodarować? – spytał Roy z lekką irytacją w głosie. – Czemu wszędzie trzeba budować domy albo apartamentowce, albo... pola golfowe? Czemu pewnych miejsc nie można po prostu zostawić w spokoju?

Czarny Jersey Giant z jaskrawoczerwonym grzebieniem zaczął nerwowo dziobać coś na dnie klatki.

– Mówiąc o polu golfowym, żartowałem. – Hayden zerknął na mnie. – Ellen może ci powiedzieć, że zawsze...

Roy mu przerwał.

– Znam mnóstwo opowieści o sympatycznych miejscach, które zostały zrujnowane przez nadmierne zagospodarowanie. – Pokręcił głową. – Ludzie przyjeżdżają na północ z wielkiego miasta, inwestorzy chcą zrobić interes... Znać to. Znajdują miasteczko takie jak Beacon i zachwycają się nim, bo jest śliczne i spokojne. Więc budują kilka domów albo apartamentowców.

Spojrzał w stronę czarnego koguta, ale wiedziałam, że widzi coś innego.

– Potem dodają pole golfowe i country club – mówił. – Wielką przystań jachtową i kilka restauracji. Ani się obejrzysz, jak tuż pod bokiem wyrastają Gap, Victoria's Secret oraz Bed, Bath and Beyond. A potem się dziwią, czemu już nie jest ślicznie i spokojnie. – Spojrzał na mnie. – Po czym przenoszą się w inne miejsce, a ludzie, którzy tu mieszkali od początku, zostają w mieście, którego nie poznają.

Kogut Jersey Giant zamachał skrzydłami i wydał najgłośniejsze pianie, jakie słyszałam w życiu. Aż podskoczyłam.

– To coś ma niezły głos – skomentowałam z nerwowym śmiechem.

– Owszem – rzucił Roy; jego zaciśnięte usta wyglądały jak kreska narysowana na twarzy.

Pomasowałam ręce, by się pozbyć gęszej skórki, która nagle pokryła mi ramiona.

– Miejmy nadzieję, że Beacon nigdy nie zostanie uszczęśliwione galerią handlową i sieciówkami. To byłby koszmar.

Roy rozejrzał się po namiocie.

– No cóż... zobaczymy. – Kiedy zwrócił się znowu do nas, błękit w jego oczach zastąpiła łupkowa szarość. – Możliwe, że to się właśnie dzieje. – Jego głos był płaski i zimny jak coś leżącego głęboko pod ziemią. – Kenlyn Farm dzielą na milion kawałków i sprzedają po trochu. Więc twój pomysł, by ją zagospodarować – spojrzał na Haydena – właśnie się ziszcza. Niewykluczone, że następane będzie pole golfowe.

Ani Hayden, ani ja nie odezwaliliśmy się. Nim zdążyłam wymyślić sensowną odpowiedź, Roy musnął daszek bejsbolówki, mruknął „Do zo”, odwrócił się i tyle go było.

Spojrzeliliśmy na siebie z Haydenem.

– O co mu chodziło? – spytał.

Skrzywiłam się.

– Nie jestem pewna. Nie wydawał się szczególnie zachwycony myślą, że farma zostanie przerobiona na pole golfowe.

Pokręcił głową zakłopotany.

– Co ja takiego powiedziałem? Nie chciałem obrazić gościa.

– Wiem, Haydenie. Po prostu puśćmy to w niepamięć.

– I ten wykład o inwestorach? – Ruszył do wyjścia z namiotu. – Lepiej się stąd wynieśmy.

Udałam się za nim; stopniowo przyśpieszał kroku, lawirując wśród sprzedawców w sekcji LOKALNE PRODUKTY Z MAINE, gdzie oferowano artykuły żywnościowe, wyroby artystyczne oraz rzemieślnicze.

– Zaczekaj! – zawołałam, kiedy wysforował się zbyt daleko naprzód.

– Pośpiesz się! – odkrzyknął. – Wynośmy się z tego przybytku buractwa.

Odwrócił się, by na mnie spojrzeć, i potknął się o pryzmę artystycznie ustawionych pułapek na homary. Runął jak długi na ziemię, lądując na brzuchu z rozłożonymi rękami i nogami.

– Hayden! – Podbiegłam i kucnęłam obok niego.

Powieki miał zaciśnięte, twarz wykrzywioną. Kilka osób przystanęło, by się pogapić; zza pobliskiego straganu wyskoczył zaciekawiony staruszek.

– Moja kostka – jęknął Hayden.

– Co z nią?

– Nie wiem, ale boli jak diabli. Po co ustawili te głupie klatki na samym środku drogi?

Spróbował usiąść.

– Pomóc ci? – Wyciągnęłam rękę.

Zbył mnie machnięciem.

– Nie, dam sobie radę – odparł szorstko.

Etapami podniósł się do pozycji siedzącej. Potem chwycił się za kostkę i wziął kilka głębokich oddechów.

– Może wezwę pomoc? – zaproponowałam.

– Nie, po prostu chodźmy stąd.

Przy mojej pomocy wstał wolno i otrzepał ubranie.

– Myślisz, że to nic poważnego? – spytałam, kiedy kuśtykał w stronę parkingu, wspierając się na moim ramieniu jak na kuli.

– Przeciwnie, sądzę, że to coś poważnego. Chyba skreśliłem cholerną kostkę. Uprzedzałem, że nie chcę oglądać żadnych kurczaków.

To były koguty, pomyślałam. Ale nie zamierzałam go poprawiać.

Rozdział 13

Nigdy nie zadzieraj z mediami

Hayden nie odezwał się, póki nie dotarliśmy do samochodu. „Lepiej ty prowadź”, rzucił, wsuwając się na fotel pasażera i ostrożnie wciągnął za sobą zranioną nogę niczym pakunek zabrany na przejażdżkę. Z głośnym trzaśnięciem zapiął pasy.

Wycofałam i ruszyłam wzdłuż szeregu wozów do wyjazdu z parkingu.

– Przykro mi, że jarmark skończył się dla ciebie tak... hm... no wiesz.

Jęknął i wysunął stopę z buta. Kostka spuchła mu do rozmiarów grejpfruta.

– Och, Boże, spójrz na to. – Skrzywił się.

– Trzeba ją obłożyć lodem – stwierdziłam, wyjeżdżając na szosę. – Zatrzymam się w pierwszym odpowiednim miejscu, jakie zobaczę.

Opuścił osłonę, żeby nie raziło go słońce.

– Nie mogę uwierzyć, że się potknąłem o te przeklęte klatki.

Zagryzłam wargę, by nie wybuchnąć śmiechem, ale nie zdołałam całkiem zapanować nad twarzą.

– Co jest?

– To były pułapki na homary.

Zbył mnie machnięciem ręki.

– Tak, wiem. Właśnie o to mi chodziło.

Skręciłam przy tablicy z napisem TRASA WIDOKOWA, zbyt późno uświadamiając sobie, że chyba nie tędy jechałam wcześniej. Meandrowałam przez niewielkie miasteczko z domami obitymi gontem, a potem przez port, gdzie ludzie pakowali turystyczne lodówki do łodzi motorowych i stawiali żagle na słupach. Minęliśmy zatoczkę, nad którą pełniły straż smagane wiatrem domy stojące na zboczu, a małe dzieci w kostiumach kąpielowych dźwigały srebrne, cynkowane cebrzyki ze skarbami, które mogłam sobie tylko wyobrazić. Drobnymi rybkami połyskującymi w wodzie z oceanu. Piaskiem. Muszelkami.

Hayden wyciągnął szyję i rozejrzał się dokoła.

– Wiesz, dokąd jedziesz? Nie jechaliśmy tą drogą. Może powinnaś włączyć GPS-a.

Nie miałam pojęcia, gdzie się znajdujemy.

– Jasne, że wiem. – Szukałam jakiegoś znajomego punktu orientacyjnego.

Czego potrzebowaliśmy, to lodu oraz najkrótszej trasy z powrotem do hoteliku, nie było natomiast potrzeby wprawiać Haydena w jeszcze gorszy humor. Nad wodą zobaczyłam restaurację z dziedzińcem, na którym stały stoliki pod

parasolami.

– Skoczę po lód.

– Chętnie bym coś zjadł – stwierdził Hayden. – Pójdę z tobą.

Pokuśtykał na dziedziniec, gdzie było pół tuzina stolików nakrytych plastikowymi obrusami w biało-czerwoną kratę. Kobieta w T-shircie skierowała nas do wolnego stolika. Zamówiliśmy drinki i poprosiłam o woreczek lodu, tymczasem Hayden ułożył nogę na niezajętym krześle.

Menu zawierało kilka apetycznych dań z homara, zrezygnowałam z nich jednak, kiedy sobie przypomniałam o przyczynie obrażeń mojego towarzysza.

– Wezmę smażone małże – oznajmiłam, zamykając kartę. – I sałatkę firmową.

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Smażone małże? Smażone?

– Tylko ten jeden raz. Są pyszne i nie jadam ich codziennie, więc nie umrę od tego. – Uścisnęłam jego rękę. – Daj spokój, dostaniemy lód na twoją kostkę, wszystko będzie dobrze.

– Pewnie masz rację. – Westchnął, kręcąc z rezygnacją głową.

Kelnerka wróciła z dwiema mrożonymi herbatami oraz woreczkiem lodu i Hayden natychmiast udrapował go sobie na nodze. Potem zamówił dla mnie małże, a dla siebie kanapkę z rybą granikiem.

– Tylko czy mogłaby pani zadbać, by ryba była pieczona na ruszcie? – poprosił.

Po odejściu kobiety siedzieliśmy, obserwując właścicieli łódek, którzy wędrowali tam i z powrotem po molo z wędkami oraz skrzynkami na sprzęt. Zsunęłam się niżej na krześle i zamknęłam oczy, przyjemnie było czuć na ramionach ciepło słońca.

– Czekałem na właściwy moment, żeby ci to powiedzieć – odezwał się Hayden.

Otworzyłam oczy.

– Co?

Nie potrafiłam wyczuć, czy chodzi o dobrą, czy złą nowinę. Nie uśmiechał się, ale nie wydawał się też zaniepokojony.

Poprawił się na krześle.

– Na kolacji Wybitnych Nowojorczyków poznałem redaktora z „New York Timesa”, z działu styl życia.

– Tak?

Nie brzmiało to jak zła wiadomość. Upiłam łyk mrożonej herbaty i sięgnęłam po pakiecik z cukrem.

– Owszem, Toma Frasiera. Chciałby napisać o naszym weselu.

– Och – mruknęłam, zaczynając mieszać posłodzoną herbatę. – Jeden z tych

kawałków w rodzaju „jak się poznali”?

Z tym potrafiłam się zmierzyć. Pewnie przeprowadzą z nami szybki wywiad telefoniczny i opublikują lekki tekst.

Hayden poprawił woreczek z lodem.

– Hm, prawdę mówiąc, to trochę bardziej skomplikowane. Chodzi o reportaż o nas i naszym ślubie. Ze zdjęciami... no wiesz, pełny serwis.

Reportaż... zdjęcia. Zabrzmiało poważniej. Poczułam ukłucie w piersi.

– Jakiego rodzaju reportaż? Co ich interesuje? Powiedział ci?

– Najróżniejsze rzeczy. Kto szył twoją suknię? Gdzie zrobiłaś sobie włosy? Jaki kolor lakieru do paznokci wybrałaś? Czy ja wiem?

– Lakier do paznokci? Sama tego nie wiem – odparłam.

– Cóż, o to pewnie nie pytają, Ellen. Mówię tylko, że...

Jego głos ścichł w tle, kiedy odkładałam łyżkę. Nowina spadła na mnie niczym coś zimnego i zatechłego. Jasne, pisywano już o mnie w gazetach. Internetowa wyszukiwarka wyrzuciłaby dziesiątki wzmianek na mój temat, choćby artykuły w samym „Timesie” dotyczące projektu Sullivana, teksty z „Wall Street Journal” o transakcjach dotyczących Cleary Building oraz Battery Park, nie wspominając o kilku wywiadach radiowych i wzmiankach w czasopiśmie. Ale to wszystko miało związek z pracą. Tym razem chodziło o życie osobiste. Nie chciałam, żeby media wkraçały w moje prywatne życie.

Patrzyłam na grupkę opalonych chłopaków w wieku studenckim, którzy ładowali się na pokład Boston Whalera, taszcząc lodówkę turystyczną i sprzęt wędkarski. W głębi duszy zateęskniłam, by wyruszyć razem z nimi i nigdy nie wracać.

Hayden położył rękę na mojej dłoni.

– Uda się doskonale, skarbie – zapewnił. – A im częściej bierze się udział w tego rodzaju rzeczach, tym bardziej się do nich przywyka.

Wcale nie poprawiło mi to samopoczucia.

– Jak zamierzają coś takiego zorganizować? – spytałam. – Spotkają się z nami osobiście? Razem? Osobno?

Miałam nadzieję, że nie będą mi zadawać podchwytliwych pytań, prowokować do powiedzenia jakiejś bzdury albo czegoś, co mogłoby wywołać zakłopotanie Haydena lub jego krewnych.

– Spotkają się z nami obojgiem, tak?

– Nie rób takiej wystraszonej miny. Z pewnością będziemy mogli wystąpić razem.

Pociągnęłam wielki haust mrożonej herbaty.

– A zdjęcia? Gdzie planują sesję?

– Na pewno będą w kościele – odparł. – I przyjadą do Metropolitan Club na przyjęcie weselne.

Ślub i przyjęcie. Zamierzają zrobić materiał o jednym i drugim. Sięgnęłam po kolejną saszetkę z cukrem.

– I... no cóż, jest jeszcze coś – dodał Hayden.

Wsypałam cukier do szklanki.

– Tak?

– Interesuje ich środowisko, z jakiego się wywodzimy. Moje z powodu... koneksji politycznych. A twoje, bo twój ojciec był finansowym guru i tak dalej...

Zaczęła mnie swędzieć skóra.

– Tak czy siak, Tom Frasier zadzwonił do mnie dzisiaj z samego rana, kiedy spałaś, a gdy wspomniałem, gdzie jesteśmy i co robisz tutaj, na północy, był podekscytowany. Powiedział, że być może włączy tę historię w formie krótkiego artykułu, jako uzupełnienie głównego materiału. No wiesz, dziewczyna z małego miasteczka wchodzi przez małżeństwo do rodu znanych polityków.

Moja rodzina w charakterze artykułu uzupełniającego?

– Haydenie, nie chcę być uzupełnieniem. W ogóle nie chcę tego wszystkiego.

Spojrzał mi w oczy i pogładził mnie po policzku.

– Posłuchaj, kochanie, wiedziałem, że możesz się trochę zaniepokoić, dlatego zapewniam cię, że przemyślałem wszystko bardzo starannie. Przeanalizowałem z każdego możliwego punktu widzenia. I bez względu na to, z jakiej perspektywy to rozważałem, dochodziłem do tego samego wniosku: powinniśmy to zrobić.

– Ale... – Uniosłam rękę.

– Tylko mnie wysłuchaj. Proszę. – Nachylił się bliżej; wzrok miał skupiony, ton głosu taki, jakiego używał w sądzie: spokojny i przekonujący. – Przede wszystkim – zaczął, prostując palec wskazujący, jakby odliczał kolejne punkty – ojciec zawsze mi powtarza, że z mediami nie wolno zadzierać. I ma słuszość. Nie chcemy ich rozzłościć. Media nigdy nie zapominają. – Wyprostował kolejny palec. – Po drugie, możemy to obrócić na naszą korzyść. Żadnemu z nas nie zaszkodzi w karierze zawodowej, jeśli napiszą o nas w gazecie i jeśli pozwolimy, by ludzie lepiej nas poznali, prawda?

Nie czekał na moją odpowiedź.

– Zadbamy tylko, by poruszano kwestie, na których nam zależy – ciągnął – bez względu na to, czego od nas zażądatają. – Wyobrażałam sobie, że może się to okazać trudniejsze, niż sądzi, ale wiedziałam, że nie ma sensu mu przerywać. – I po trzecie – zakończył, unosząc ostatni palec – pomogłoby mi to także w wyborach do rady miejskiej w przyszłym roku. Jeden więcej sposób, by wypromować moje nazwisko i twarz.

Spojrzał, czekając, że się z nim zgodzę.

Moja stopa pod stołem zaczęła podrygiwać.

– Haydenie, naprawdę nie czuję się z tym dobrze. Wymieniłeś wszystkie argumenty przemawiające za tym, by to zrobić, ale wcale mnie nie uspokoiły. Chodzi o nasz ślub.

Odwrocił wzrok i utkwiał oczy w jakiś punkt po przeciwnej stronie dziedzińca.

– Nie mogę im odmówić, Ellen. „Times” nazwał go już wydarzeniem towarzyskim sezonu. Istnieją kwestie, w których trzeba stanowczo postawić granicę, ale to nie jedna z nich. A poza tym zapraszamy ponad trzysta osób. Paru fotografów ledwie da się zauważyć.

Wydarzenie towarzyskie sezonu? Zaczęłam obgryzać paznokcie.

– Mam wrażenie, że nasz ślub zaczyna się zmieniać w materiał do Entertainment Tonight.

Pokręcił głową.

– Nie, wcale nie, kochanie. Nigdy bym do tego nie dopuścił.

Kelnerka wróciła i postawiła na stole dwa słomiane koszyki z zamówionymi potrawami. Spojrzałam na smażone małże, ale nie czułam już głodu.

Hayden zdjął górną połowę bułki ze swojej kanapki i obejrzał rybę.

Odsunęłam talerz na skraj stołu i zagapiłam się na port. Łódź do połowu homarów sunęła z sapaniem w stronę pomostu.

Hayden dotknął mojego podbródka, zwrócił moją twarz ku sobie i mnie pocałował. Nie czułam nic prócz paniki. Wiedziałam, że nie zdołam go przekonać i muszę zaakceptować plan, na który się zgodził. W głowie miałam mętlik. W co ja się wpakowałam? Co ja robię? Starłam się opanować. Wpakowałam się w to, co, prawdę mówiąc, było nieuniknione, miałam tego świadomość. Wychodziłam za Haydena Crofta, a to się wiązało z pewnymi obowiązkami. Od początku naszego związku powtarzałam sobie, że w swoim czasie będę musiała stawić czoło tego rodzaju sprawom. I ta chwila nadeszła.

– Haydenie – zmusiłam się do uśmiechu – zrobię to. Dam radę i wszystko będzie okej. – Zacisnęłam dłonie, w duchu powtarzałam sobie z nadzieją, że muszę brzmieć przekonująco. – Zgadzasz się z tobą: im więcej będę mieć do czynienia z tego rodzaju rzeczami, tym szybciej do nich przywyknę. Tutaj, na północy, nie jestem do końca sobą, ale wiem, że zaraz po powrocie do Nowego Jorku wejdem w tryb profesjonalny, zaskoczę raz-dwa i po paru tygodniach będę gotowa na wszystko. Możesz rzucić do ataku cały nowojorski korpus prasowy, a stawię mu czoło.

Spojrzał na swoją kanapkę, a potem znowu na mnie; brwi miał zmarszczone.

– Cóż, jest jeszcze jedno...

Tym razem wyglądało to na złą nowinę.

– Przyjeżdżają tutaj za dwa dni.

Poczułam za oczami palący ból głowy. Zsunęłam się na skraj krzesła.

– Kto przyjeżdża? I co to znaczy tutaj?
– „Times”. Przysyłają do Beacon dziennikarza z fotografem.
– O mój Boże! – Zerwałam się, strącając ze stołu łyżkę. Uderzyła z brzękiem o cementowy dziedziniec. – Dlaczego tutaj? Dlaczego za dwa dni? – Chwyciłam się obrusa. – Nie jestem na to gotowa.

Dotknęłam włosów. Wydawały się przesuszone i kruche. Spojrzałam na swoje palce, na odpryskujący różowy lakier, poobgryzane i połamane paznokcie.

Hayden chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

– Wiesz – zauważył – poza uszczęśliwieniem prasy popularność w mediach może nam przynieść inne korzyści.

Popatrzyłam na niego.

– Prowincjonalny, rustykalny wizerunek dobrze nam zrobi. Ukaże inną twarz pary bezwzględnych manhattańskich prawników.

Sięgnął po smażonego małża.

– To jak, rozejm?

Spróbowałam się uśmiechnąć. Warkot łodzi do połowu homarów przybliżał się coraz bardziej. W głowie mi pulsowało. Podniosłam łyżkę z ziemi, a kiedy spojrzałam na swoje odbicie w jej wygiętej powierzchni, zauważyłam, że moja twarz jest odwrócona do góry nogami.

– Czemu mi pozwoliłaś zjeść tego małża? – Hayden, kuśtykając do wnętrza hoteliku, trzymał się za brzuch.

– Chodźmy na górę – powiedziałam.

Paula wytrzeszczyła na niego oczy.

– Co się panu stało?

Zmarszczył brwi.

– Pułapki na homary.

– A niech mnie! Wdepnął pan w pułapkę na homary? Bawił się pan w kłusownika? To nielegalne, wie pan?

Poczerwieniał na twarzy.

– Jestem praworządnym obywatelem – zapewnił. – A poza tym nie wiedziałbym nawet, jak się kłusuje na homary.

Przymknęła jedno oko, jakby się nad tym zastanawiała. Potem skinęła mi głową.

– Ktoś do pani dzwonił. – Wyciągnęła białą kartkę. – Jakiś dżentelmen.

Zerknęła na Haydena.

Na górze widniał szkic hoteliku Victory Inn. Hayden przyszurzał do mnie i przeczytał mi wiadomość przez ramię.

14.15

Ellen Branford –

Dzwonił Roy. Powiedział, że mu przykro.

– Okej, dzięki – rzuciłam, starając się, by zabrzmiało to obojętnie; patrzyłam na imię Roya wypisane drobnym, ścisłym pismem Pauli.

– Niech no spojrzę. – Hayden wyjął mi papier z ręki. – Przynajmniej miał tyle rozumu, żeby przeprosić... w każdym razie ciebie.

Zerknął na mnie z lekkim, drwiącym uśmiechem.

Wspinaliśmy się po schodach jak himalaiści, jeden wolny i rozważny krok za drugim, z Haydenem robiącym pełny użytek z poręczy i mojego ramienia. Gdy otworzyłam drzwi, poszurał prosto do łóżka i oparł nogę na poduszce.

– Sądzisz, że wygląda gorzej? – spytał. – Bo ja tak.

– Wydaje mi się, że trochę lepiej.

Miał skłonność do hipochondrii. Z dwojga złego lepiej było przesadzić z optymizmem.

– Czuję się jednak gorzej – stwierdził. – Przydałoby mi się więcej lodu.

– Pójdę poszukać. – Wylałam stopione resztki z plastikowego woreczka do zlewu w łazience.

– Naprawdę mnie boli, wiesz? – powiedział, kiedy stałam już z dłonią na gałce drzwi. – Żołądek też nieźle daje mi w kość. Okropne skurcze. Wiem, że przez tego małża.

– Wezwać lekarza?

Pokręcił głową.

– Nie, nie. Dojdę do siebie.

Zeszłam na dół, zdumiona trudnym do pojęcia dziwactwem mężczyzn. Naprawdę boli, ale nie sprowadzaj lekarza. Mam okropne skurcze, ale nie potrzebuję pomocy. Pewnie fajniej narzekać, pomyślałam.

Jedna z pokojówek napełniła woreczek lodem. Kiedy wróciłam, Hayden podłożył pod nogę obie poduszki. Udrapowałam mu torebkę na kostce.

– Och, wspaniale. – Westchnął. – Dzięki, skarbie. – Właśnie zamierzałam usiąść, kiedy dodał: – Tylko zastanawiałem się...

– Tak?

– Czy nie pomógłby mi bandaż elastyczny. I pepto-bismol na żołądek.

Bandaż. Pepto-bismol. Rozejrzałam się po pokoju, jakby mogły się nagle pojawić za sprawą czarów.

– Okej, pojedę do apteki w miasteczku.

– Ellen, jesteś najlepsza. – Poklepał mnie po ręce. A kiedy się podnosiłam

z miejsca, dodał: – Mogłabyś też kupić alka-seltzer? Mogę go potrzebować.

Spojrzałam na niego, gdy tak leżał na łóżku. Wyglądał żałośnie, niepewnie z torebką topniejącego lodu na spuchniętej kostce.

– Drobiazg – zapewniłam. – Zależy mi tylko na tym, żebyś wyzdrowiał.

Rozdział 14

Kenlyn Farm

Pokonałam trzy kondygnacje schodów, stąpając ciężko, przytłoczona niepokojem z powodu zaplanowanej za dwa dni inwazji prasy. Wsiadłam do samochodu i chwilę gapiłam się na cienką warstewkę soli pokrywającą szyby. Następnie pojechałam do miasteczka i znalazłam wolne miejsce do zaparkowania naprzeciw sklepu o nazwie Winna Piwnica. Szyld był śliczny – burgundowa butelka pod łukiem fioletowych winogron. Otorzyłam drzwi i znalazłam się w przytulnym pomieszczeniu zastawionym starymi mahoniowymi regałami na wino. Setki butelek iskrzyły się w blasku malutkich lampek wprawionych w sufit. Zauważyłam tabliczkę „wina francuskie” i nie obiecując sobie wiele, ruszyłam w tę stronę. Ku swojemu zdumieniu znalazłam kilka niezłych bordeaux, w tym Château Beychevelle 2000 Saint-Julien. Sięgnęłam po butelkę; jednomasztowy okręt na etykiecie był jak stary znajomy.

Na ścianie w głębi umieszczono długą, dębową ladę pokrytą tak grubą warstwą lakieru, że przyprawiłaby o rumieniec wstydu tor w kręgielni. Siedzący za nią mężczyzna o okrągłej, spalonej słońcem twarzy czytał czasopismo żeglarskie.

Podeszłam i postawiłam butelkę na blacie.

– I poproszę też korkociąg.

– Bardzo sympatyczny Saint-Julien – skomentował, patrząc na etykietę. – Kosztowała go pani?

Potwierdziłam.

– Owszem... bardzo sympatyczny. – Wyjął plastikowy korkociąg i papierową torbę. – Uwielbiam ten lukrecjowy posmak z nutą czarnej porzeczki.

Wygrzebałam z dna torebki garść banknotów dwudziestodolarowych i położyłam na ladzie.

– Fakt – przytaknęłam. – Ja też.

– Nie sprzedaję go dużo. – Pakował butelkę i korkociąg. – Czasem trafi się turysta, który to wino weźmie; pewien gość z miasteczka co jakiś czas zamawia parę skrzynek.

Podsunał mi torbę.

Bez wątpienia dobry klient, pomyślałam, wiedząc, że jest drogie. Podziękowałam i ruszyłam do wyjścia.

– Panienko? Hm, panienko? – Musiało chodzić o mnie, więc się obejrzałam. Sprzedawca machał czymś w powietrzu. – To chyba pani zostawiła?

Cofnęłam się i zobaczyłam, że trzyma karteczkę, którą dostałam od Pauli.

O telefonie od Roya.

– Zaplątało się między banknoty – wyjaśnił.
Spojrzałam na ściśle pismo.

14.15

Ellen Branford –

Dzwonił Roy. Powiedział, że mu przykro.

Podziękowałam i wyszłam.

Na zewnątrz w blasku słońca obejrzałam notkę jeszcze raz i zastanowiłam się, za co Roy przepraszał. Za to, że odszedł tak nagle? Za wykład o deweloperach i ich domniemanym wpływie na małe miasteczka? Rzeczywiście uważałam, że był przewrażliwiony na punkcie zmian w Beacon. Nie miałam pojęcia, czemu zrobił scenę. Hayden tylko żartował, mówiąc o polu golfowym. Próbowałam to wyjaśnić.

Wsiadłam do samochodu i wyjechałam z miasteczka, ignorując skręt w Prescott Lane, który zaprowadziłby mnie z powrotem do hoteliku. Zmierzałam w kierunku Dorset Lane i domu Roya, wmawiając sobie, iż chcę mu tylko powiedzieć, że otrzymałam wiadomość i wcale się nie gniewam.

W połowie uliczki zobaczyłam lśniące audi pośrodku podjazdu, podobne do zielonego światła na skrzyżowaniu. Zatrzymałam się za nim, weszłam na ganek od frontu i nacisnęłam dzwonek trzy razy. Nic.

Wróciłam do miasta, mijając sklepiki i plażę, na budowę. Zaparkowana na gruntowym placu od frontu, stała niebieska furgonetka Roya; popołudniowe słońce odbijało się od maski.

Poszłam na tyły budynku, spodziewając się, że zobaczę otwarte drzwi, usłyszę wizg piły albo stukanie młotka, zobaczę Roya z pasem narzędziowym na biodrach. Panowała jednak cisza i wtedy sobie przypomniałam, że jest niedziela.

Spojrzałam w kierunku oceanu i zobaczyłam na skałach kogoś, kto rzucał kamienie we wzburzone fale. Chociaż stał zwrócony do mnie plecami, wiedziałam, że to Roy. Zawołałam go po imieniu, ale nie usłyszał. Ruszyłam w tę stronę; fale z hukiem rozbijały się o brzeg, w powietrzu wisiała słona mgiełka. Krzyknęłam znowu.

Odwrócił się błyskawicznie, wypuszczając kamienie z ręki.

– Ellen. Co tu robisz?

Włosy miał mocno skręcone i zmierzwił od wiatru, twarz opaloną, jakby spędził popołudnie na łodzi. W jego oczach malowało się zmęczenie, a może wściekłość – nie potrafiłam odgadnąć.

Och, nie, pomyślałam. To nie był dobry pomysł. Wsunęłam ręce

w kieszenie.

– Dostałam twoją wiadomość.

Fala rozbiła się o skały i cofnęłam się o krok.

Roy trzymał w dłoni szary odłamek skały i pocierał go palcami.

– Aha, w porządku. Cieszę się – odparł, ciskając kamień do oceanu.

Milczenie rozdzieliło nas niczym przepaść.

– Nie miałam twojego numeru – ciągnęłam. – A chciałam potwierdzić, że ją otrzymałam. To znaczy wiadomość. Dzięki za przeprosiny.

Na kamienistym brzegu znalazłam niebieską muszlę. Była ciemna i gładka. Patrząc na skłębione fale sunące ku skałom, pomyślałam o dotyku ramion Roya, kiedy mnie obejmował; o wyrazie determinacji w jego oczach tamtego dnia, gdy załamał się pode mną pomost.

– Aha. Okej – mruknął, rzucając kolejny kamień.

Poleciał daleko, zakreślił wdzięczny łuk i zalsnił w słońcu, nim zniknął.

– Przejeżdżałam obok domu – mówiłam – ale cię nie było.

Zadrżałam, kiedy wiatr przewiał mi koszulę na wylot.

– Dzwoniłem – odparł Roy – bo chciałem cię przeprosić. Wiem, że odszedłem wkurzony.

– Nie mogliśmy zrozumieć, co się stało.

– Trochę się zdenerwowałem... tym, co powiedział twój narzeczonny.

Zadygotałam znowu i roztarłam ramiona.

– Nie miał nic złego na myśli.

– Jest deweloperem? Jakimś kombinatorem?

– Hayden? – Wybuchnęłam gromkim śmiechem. – Kombinatorem?

Pomyślałam o jego pracy prawnika, specjalisty od sporów sądowych; o zaangażowaniu w projekty dobroczynne; o zbliżającym się wyścigu do rady miejskiej; o dziennikarzu i fotografii z „New York Timesa”, którzy mieli się tu zjawić za parę dni. Kombinował na całego.

– Jest prawnikiem.

– Właściwie to bez różnicy, nieprawdaż?

Westchnęłam.

Mewa nad naszymi głowami zmieniła kierunek lotu, przechylając się w powietrzu, zatoczyła krąg i odleciała. Roy zwrócił się do mnie:

– Chcę ci coś pokazać. Masz parę minut?

Spojrzałam na zegarek. Kwadrans po siedemnastej. Hayden czekał na mnie, na bandaż, pepto-bismol i alka-seltzer. Musiałam wracać.

Roy trzymał w dłoni kluczyki, słońce odbijało się od metalu.

– Tak. Mam parę minut.

Jechaliśmy drogami, które stały się już dla mnie znajome, Roy pędził, majstrując przy radiu, próbował złapać jakąś stację. Dotarliśmy do kamiennego muru, który mijałam trzy dni wcześniej, i skręciliśmy w drogę równoległą do niego. Słońce zmienione w żółtą mgiełkę na horyzoncie rozpoczynało popołudniową wędrówkę w dół. Wreszcie w murze pojawiła się przerwa szeroka tylko na tyle, by pomieścić gruntowy szlak, i wjechaliśmy do środka.

– Kenlyn Farm – wyjaśnił Roy, gdy furgonetka zagrzecotała na wyboistym kawałku gruntu.

– Wiem, przejeżdżałam obok kilka razy.

– Należała kiedyś do moich dziadków.

– Byli właścicielami tego wszystkiego? – Pierwszy raz oglądałam to, co mur skrywał przed wzrokiem.

Całe akry polnych kwiatów i wysokiej trawy rosły nie niepokojone przez nikogo. Wystawiłam głowę za okno, prześlicznie wyglądały rudbekie, jaskry, dzika marchew, fioletowy łubin i nawłóć, pleniące się bujnie na wzgórzach. Nagle dowiedziałam się o Royu znacznie więcej i zrozumiałam, czemu był tak przeczulony na punkcie tego miejsca.

– Rodzina już dawno straciła do niej prawa – rzucił.

– Jest pięknie – szepnęłam w obawie, że przerwę czar. – To w porządku, że tutaj jesteśmy?

Wzruszył ramionami.

– Pokażę ci, skąd jest najładniejszy widok. Ze szczytu tamtego zbocza.

Wskazał wzniesienie przed nami i ruszył w tym kierunku; lodygi i gałęzie chrzęściły i trzeszczały pod kołami furgonetki, szorowały o metalowe podwozie. Zatrzymał wóz parę jardów od muru i wysiadł.

Następnie obszedł go dokoła i otworzył mi drzwiczki.

– Ostrożnie.

Ujął moją rękę i pomógł mi wysiąść. Polne kwiaty rosły gęsto i bujnie, sięgały mi prawie do kolan. Dolatywało od nich miarowe brzęczenie koników polnych, świerszczy i pszczół.

– To prawda, że kiedyś wszędzie tu rosły borówki? – spytałam, obracając się w miejscu, by zobaczyć widoki ze wszystkich stron.

– Aha, kiedyś wszędzie rosły borówki – potwierdził.

Podeszliśmy do kamiennego muru sięgającego w najwyższym punkcie wysokość prawie metra. W wielu miejscach był niższy skutek działania czasu i pogody oraz widocznej obojętności właścicieli. Skały oraz otoczaki leżały rozsypane na ziemi, jakby skoczyły w nieznane, wyrrywając się na swobodę.

Roy poszukał oparcia dla stopy i wspiął się na szczyt. Potem znowu podał mi rękę, więc wdrapałam się i usiadłam obok niego na dużym płaskim kamieniu, zwiesiwszy nogi przez krawędź.

Spojrzałam nad opadającym polem na kępę sosen w dole.

– Miałeś rację co do widoku.

Wspaniale byłoby zrobić tu zdjęcie w świetle późnego popołudnia.

Zgarnął kilka luźnych odłamków skały ze stosu na szczycie muru i wcisnął je w pobliskie szczeliny.

– Jest wiersz o murze – powiedziałam.

Skinął głową.

– Roberta Frosta. *Naprawianie muru*.

Podniosłam luźny odłamek.

– „Istnieje siła murom granicznym przeciwna”.

Popatrzył na pokryte porostami kamienie i kępki zielonych chwastów wytryskujące ze szpar.

– „Która pod nimi ziemię zmarzniętą rozsadza” – podjął. – „Lub słońca żarem wierzchnie osłabia kamienie, aż się wyrwy wytworzą wielkie na dwu ludzi”*.

Otworzyłam usta ze zdumienia.

– Znasz go w całości?

Uśmiechnął się, zmieszany.

– Kiedyś znałem. Chodziłem do szkoły. Pewnie wygrzebałbym go z pamięci w całości, gdybym musiał.

– Niesamowite.

Obok moich stóp leniwie zabrzęczała pszczoła.

Roy gapił się na pole.

– Pomyślałem, że jeśli to zobaczysz, może zrozumiesz, czemu się wkurzyłem dzisiaj po południu.

– Och... Chodzi ci o tamten wykład o deweloperach?

Skinął głową.

– Chyba rzeczywiście rozumiem. Wiem, że zagospodarowywanie terenu bywa obosieczną bronią.

– Nie zrozum mnie źle – odpowiedział. – Nie jestem jednym z tych stukniętych aktywistów, ludzi sprzeciwiających się każdej nowej idei. Nie uważam, że zagospodarowanie to zawsze zło. Ale widziałem sporo złych rzeczy zrobionych w imię postępu i rozwoju.

Przysunął się trochę bliżej. Wstrzymałam oddech.

– I wywodzę się z długiej linii upartych Cummingsów z Maine, a oni uważali tak samo – zakończył.

– Od jak dawna twoja rodzina tu mieszka?

– Pięć pokoleń. – Wskazał na słońce, które zmieniło się w kulę z miękkiej gliny na horyzoncie. – Piękne, nie?

– Bardzo.

– Moi krewniacy, wszyscy co do jednego, pochodzili z Augusty. – Wpasował kolejny zbłąkany kamień w wąską szparę pomiędzy nami. – To stolica stanu – dodał, puszczając do mnie oko.

– Wiem.

Znowu mi się przyjrzał.

– Masz ładne oczy. Trochę zielone, trochę niebieskie. Nie umiem zdecydować.

Nadal mi się przypatrywał, nachylając się blisko.

– Są niebieskozielone – odparłam i się odsunęłam.

– Zdaje się, że właśnie to powiedziałem.

Uśmiechnął się, jego spojrzenie spoczywało na mnie zbyt długo.

Poczułam się nieswojo. Nie mogłam pozwolić, żeby mnie zaczął podrywać. Nie, to byłby koszmar. Lecz z drugiej strony po co tu przyjechałam? Jedyne powiedzieć, że dostałam wiadomość? A może jego awanse mi pochlebiały?

– Więc twoi przodkowie pochodzili z Augusty? – skierowałam rozmowę z powrotem na jego rodzinę.

Roy podniósł niewielki kamień i pokazał mi lśniąca, różową smugę na środku.

– Aha, póki dziadek nie zerwał z tradycją i nie przeprowadził się do Beacon.

– Czemu to zrobił?

– Poznał tu kobietę. I się zakochał.

Lekki powiew poruszył polnymi kwiatami w dole. Poczułam, że Roy znowu się na mnie gapi.

– To była moja babcia – dodał i pogładził mnie lekko po ręce.

Zeskoczyłam z muru, czując znajome iskierki w całym moim ciele.

– Cóż, trafił w piękne miejsce. – Rozejrzałam się dokoła. – Spójrz na te wszystkie kwiaty.

Próbowałam jeden zerwać, mały i błękitny, ale łodyga była twarda i nie chciała się złamać.

Podszedł do mnie.

– Tak się tego nie robi. – Czułam tuż obok siebie ciepło jego ciała. Prawie się dotykaliśmy. – Trzeba to zrobić w ten sposób.

Złamał łodygę w dłoni, muskając ramieniem mój bok. Potem zerwał jeszcze kilka i mi podał; nasze palce zetknęły się na mgnienie.

Ruszyliśmy z powrotem wzdłuż muru; słońce opadało za horyzont, brzęczenie owadów cichło.

– Co było dalej? – spytałam. – Z twoimi dziadkami?

– Och... No cóż, kupili ten kawałek ziemi. Dziadek chciał założyć farmę borówkową.

Obserwowałam konika polnego, który wyskoczył z kępy zarośli przed nami.

– Brzmi sympatycznie.
Roy kiwnął głową.
– Aha, w tamtych czasach to był świetny teren pod borówki. Widziałaś posąg w miasteczku?
– Posąg?
– Kobietę z cebrzykiem borówek.
Przypomniałam sobie posąg, który próbowałam sfotografować, ale załamano się przede mną pomost.
– Chyba wiem, o który chodzi.
– Jest inny, prawda? – zauważył. – W większości miasteczek stawia się pomniki założycielom, tego rodzaju ludziom. A my mamy damę z borówkami.
– Myślałam, że to winogrona.
Uniósł brwi.
– Winogrona? Nie waż się o tym wspomnieć nikomu w Beacon. Wywiozą cię na taczkach.
Roześmiałam się.
Wyciągnął rękę i dotknął miejsca nad moim prawym okiem.
Wzdrygnęłam się.
– Masz coś na twarzy. – Próbował to zetrzeć.
– To pieprzyk. Nie zejdzie.
Nachylił się bliżej.
– Och, tak, teraz widzę.
Ruszyłam przed siebie.
– I co się stało potem?
– Co się stało? A, z farmą? Dziadek nauczył się wszystkiego, czego się dało, o borówkach. Wykombinował, które odmiany udadzą się najlepiej na jego ziemi.
– Nawet nie wiedziałam, że istnieje więcej niż jedna.
Zdawał się zaskoczony.
– Jasne, że tak.
– Interesujące – stwierdziłam. Zastanawiałam się, jak rosną. Z jakiegoś powodu wyobraziłam je sobie jako rozpięte na drewnianych kratownicach pnącza obwieszane gęstymi kiśćmi owoców. – To pnącza, tak?
Zmarszczył czoło i strącił z koszuli jakiegoś owada.
– Pnącza? Borówki? Rosną na krzakach.
– A, tak, na krzakach. Oczywiście.
Zerwał rudbekię i mi podał.
– Podoba mi się – powiedział.
– Rzeczywiście śliczna. – Obróciłam łodygę w palcach.
– Nie mówiłem o kwiatku.
Roześmiałam się nerwowo, czując, że się czerwienię. Musiałam skierować

jego myśli z powrotem na opowieść.

– I co było dalej?

Uśmiechnął się.

– Myślę, że dziadek potrafiłby uprawiać każde zielsko, od lucerny po topinambur. Stryjek Chet zawsze to powtarzał. Wiedział, co się uda, a co nie. Jak sprawić, żeby rośliny były bujniejsze, owoce większe i tak dalej.

– Wygląda, że odnalazł swoje powołanie – zauważyłam.

– Aha, pewnie to było jego powołanie. – Odgarnął mi pasmo włosów z czoła. – Tak lepiej – stwierdził. – Zasłaniały ci oczy, a są za ładne, by je ukrywać. Spuściłam wzrok na bukiet, żeby mój rumieniec był mniej widoczny.

– Zatem prowadzili farmę.

– Ano prowadzili całkiem udany interes. Sprzedawali do sklepików spożywczych, restauracji, hoteli, tego rodzaju miejsc. A babcia miała stragan z borówkami.

Pomyślałam o wszystkich borówkowych kramach, które widziałam do tej pory w Maine.

– I dobrze im się powodziło?

– Całkiem nieźle. Potem babcia urodziła stryjka Cheta. Odkąd nauczył się chodzić, ganiał wśród krzewów, zrywał borówki i je pałaszował. Opowiadał, że zawsze miał na ubraniu fioletowe plamy. Odziedziczył po dziadku cały talent. A może nawet więcej. Uwielbiał to miejsce.

Zatrzymał się, widząc, że kilka kamieni stoczyło się z muru na pole. Pozbierał je, ułożył na szczycie i wytarł dłonie.

Wyobraziłam sobie chłopca w ogrodniczkach biegającego między rzędami borówkowych krzaków w ciepłym letnim słońcu.

– Brzmi uroczo.

– Na pewno było urocze. – Roy umilkł na chwilę. – Ale nic nie trwa wiecznie.

Skupił uwagę na rudziku, który siadł na murze i poprawiał sobie piórka.

– Dziadkowie sprzedali farmę. Postarzel się, brakowało sił, by ją prowadzić dalej.

Doszliśmy do narożnika zajętego przez gęsty dębowy zagajnik z jednym wielkim drzewem, które stało w pewnym oddaleniu niczym gość na przyjęciu koktajlowym trzymający się na dystans od pozostałych.

– Twój stryjek nie mógł im pomóc? Skoro tak bardzo kochał tę ziemię...

Roy podszedł do samotnego dębu i oparł się o pień.

– Nie, wyjechał z Beacon, kiedy miał zaledwie dwudziestkę, i wrócił dopiero po wielu latach. – Spojrzał w górę, na rzeźbione sklepienie z gałęzi i liści nad naszymi głowami. – Coś się wydarzyło... Nie chciał o tym mówić, ale widok farmy sprawiał mu przykrość.

Pozwoliłam, by moje spojrzenie powędrowało od kamiennego muru na szczycie wzniesienia ponad łąką ku sosnom na samym dole.

– Nie wierzę, że za nią nie tęsknił.

Przez drzewa przebiła się migotliwa słoneczna plama i padła na ramię mężczyzny.

– Och, na pewno tęsknił. Co prawda, ze mną o farmie nie rozmawiał, ale inni opowiadali, jak trudno było mu się z tym pogodzić, gdy po powrocie odkrył, że przeszła w obce ręce; mieszkał w miasteczku i wciąż obok niej przejeżdżał.

– Dlaczego wrócił? – spytałam.

Słoneczny zajaczek przesunął się na jego twarz.

– Myślę, że dlatego, iż to nadal był jego dom.

Zastanowiłam się nad tym. Czy kiedykolwiek można zapomnieć o swoim prawdziwym domu? Chyba nie.

– Do kogo należy teraz ziemia?

– Jakiś gość z Bostonu kupił ją kilka lat temu, ale zmarł i odziedziczyły ją jego dzieci. Nie mieszkają w okolicy. Chcą ją sprzedać, ale wcześniej podzielić na mniejsze działki. Rozumiesz, dziel i rządź.

Dziel i rządź. Owszem, rozumiałam. Tym właśnie się zajmowałam w imieniu bardzo wielu klientów i nigdy nie zastanawiałam się głębiej nad sprawą – pomijając kwestię, jaką cenę za akr ostatecznie uzyskam. Nigdy nie pomyślałam, czym dany kawałek gruntu był wcześniej ani co podział mógł oznaczać dla ludzi, którzy na nim mieszkali.

– Nie mógłbyś jej wykupić? – spytałam.

Wybuchnął śmiechem.

– Nie sądzę. Zresztą co bym zrobił z tysiącem akrów? Nie jestem farmerem.

– Nie wiem. To tylko takie pobożne życzenie. Pomyślałam, że mógłbyś ją odzyskać dla rodziny. Dzięki temu kiedyś, gdy się ożenisz, mógłbyś ją jakoś wykorzystać. Albo przekazać swoim dzieciom.

Zerwałam łądygę dzikiej marchwi i dodałam do bukietu.

– Nie planuję rychłego ożenku.

– Nie? Taki fajny, sympatyczny, pracujący facet jak ty? Sądziłabym, że masz wielkie powodzenie.

Przystanął i spojrzał ze wzgórza.

– W moim życiu nie ma właściwej dziewczyny. – Pokręcił głową. – Żeby się ożenić, trzeba znaleźć kogoś odpowiedniego.

Zastanawiałam się, czy był już żonaty. Przystanął; patrzyłam pełna podziwu, jak ostrożnie zdejmuje z rękawa biedronkę i sadza ją na łądydze fioletowego łubinu.

– Raz byłem bliski małżeństwa – podjął, jakby czytając w moich myślach. – Ale zbyt długo zwlekałem. Znalazła sobie innego. Z tego, co ostatnio słyszałem,

mają dwójkę dzieci.

– Jak dawno to było?

Zastanawiał się chwilę.

– Och, jakieś sześć lat.

– I od tamtej pory nie masz nikogo?

– Nikogo ważnego. – Podniósł odłamek skały i położył go z powrotem na murze. – Jeśli jeszcze będę miał szczęście i znajdę odpowiednią dziewczynę, nie sknozę tego drugi raz. Nie pozwolę jej odejść.

Uśmiechnęłam się.

– Co zrobisz? Założysz jej kajdanki?

– Nie wiem. Chyba nie. – Podrapał się w kark i przymknął powieki. Potem się uśmiechnął. – Może coś jej zbuduję. Na przykład pałac.

– Pałac... hm, to jest myśl. Jak ten cesarz, który wzniósł Tadź Mahal dla swojej żony. Bardzo romantyczne, co?

– Ona chyba zmarła przy porodzie? – zapytał. – I dlatego indyjski szach wzniósł monumentalny grobowiec?

Fakt. To chyba nie był najlepszy przykład. Coś pomyliłam.

– Zdaje się, że rzeczywiście zmarła, rodząc dziecko – przytaknęłam. – Ale jeśli to pominąć, która kobieta nie chciałaby pałacu?

– Pewnie kiedyś się dowiem.

Milczeliśmy.

– Lepiej cię odprowadzę – powiedział Roy.

Wróciliśmy do furgonetki; obejrzałam się, żeby ostatni raz spojrzeć na okolicę.

– Cóż – zauważyłam – skoro nie możesz jej kupić, nie zapobiegiesz podziałowi ziemi.

Zwrócił się do mnie; jego błękitne oczy były spokojne, zrezygnowane.

– Nie zapobiegnę, Ellen.

Staliśmy tak chwilę; nad naszymi głowami przeleciał jastrząb, ledwie poruszając skrzydłami, zawieszony w powietrzu jak szept. Roy otworzył drzwiczki od strony pasażera.

– Zaczekaj moment. – Zauważyłam coś obok przedniego koła furgonetki.

Obok odcisku opony, gdzie łożyska kwiatów leżały zmiażdżone i zbite, mój wzrok przyciągnęła kępka czegoś fioletowo-niebieskiego. Odgarnęłam kwiaty i pociągnęłam węzlasty pęd. Złamał się i kawałek został mi w dłoni. Wisiały na nim trzy malutkie borówki.

Wydawało mi się, jakby wszystko wokół zamarło – brzęczenie owadów, wiatr, wolno zachodzące słońce. Uniosłam gałązkę w drżącej dłoni.

– Spójrz. Wciąż tu rosną.

Dotknął czubka gałązki.

– Borówki potrafią być bardzo wytrzymałe. W odpowiednich warunkach mogą długo przetrwać. – Uśmiechnął się. – W pewnym sensie miło o tym wiedzieć, prawda? Pewne rzeczy trwają, nieważne, co dzieje się wokół.

Pomyślałam o zdrewniałej gałęzi z trzema fioletowymi owocami – żyła tu po odejściu Cheta, babci. Trzymając ją, wsiadłam do kabiny. Słońce rzucało nad polem złotoczerwone nici. Owady przycichły, jakby one też wiedziały, że koniec dnia jest bliski. Roy zapalił silnik, wyjechaliśmy z farmy na główną drogę, chłodne wieczorne powietrze wpadało przez otwarte okna.

– Nie wyjaśniłaś mi, czemu nadal jesteś tutaj, w Beacon – powiedział.

Pojechaliśmy wzdłuż farmy, a potem skręciliśmy na skrzyżowaniu w lewo, kierując się z powrotem do miasteczka.

– Pamiętasz – zaczęłam – jak mówiłam, że znalazłam dom, w którym dorastała babcia?

Roy zwolnił, by przepuścić wiewiórkę na drugą stronę szosy.

– Aha. Wspomniałaś, że stoi przy Comstock Drive.

– Na strychu jest obraz namalowany wprost na tynku. Właściciele domu odkryli go podczas remontu, kiedy usunęli gipsową płytę. Babcia była artystką. To naprawdę niesamowite dzieło, a przedstawia ją i twojego stryjka.

Roy raptownie zwrócił się do mnie i utkwiał we mnie wzrok.

– Mojego stryjka? I twoją babcię? Namalowała ich oboje?

Skinęłam głową.

– Nastolatków stojących pod dębem. Obraz jest... niemal mistyczny, jak mi się zdaje. I piękny. Naprawdę cudny.

– Chciałbym go zobaczyć.

Też tego pragnęłam, chociaż nie wiedziałam do końca, jak to zorganizować. Opowiedziałam mu o płótnie w budynku Towarzystwa Historycznego w Beacon, o archiwalnym artykule w „Bugle’u”, o sklepie fotograficznym i o swoim spotkaniu z Lilą Falk.

– Uau – mruknął. Droga meandrami wspinała się na wzgórze, a potem skręcała. – Uwijałaś się jak mrówka. Te wszystkie fakty, które odkryłaś... Nie znałaś ich wcześniej?

Mówił z takim ożywieniem, a ja byłam jeszcze bardziej podekscytowana.

– Nie, o niczym nie wiedzieliśmy – odparłam. – I dowiaduję się wciąż nowych rzeczy. Dlatego zostałam. Nie wiedzieliśmy, że babcia była artystką ani że studiowała na akademii sztuk pięknych. A jej obrazy są świetne. – Spojrzałam przez okno na gęsty sosnowy las uciekający w tył. – Żałuję, że zachowywała to w tajemnicy.

Roy zredukował bieg i skręcił.

– Może przysłała cię tutaj, na północ, żebyś odkryła sekret. Może stanowiło to element jej planu.

Czy mogło tak być? Czy możliwe, że chciała, oczekiwała, iż odkryję to wszystko? Chciałabym w to wierzyć, lecz nie wydawało się prawdopodobne.

– Skąd miałyby wiedzieć, że znajdę jej obraz na strychu u Porterów? Do niedawna był zakryty. Albo że trafię do sklepu fotograficznego, a potem spotkam się z Lilą Falk?

Zwolnił, bo dojeżdżaliśmy do znaku stopu.

– Może nie wiedziała dokładnie, jak to odkryjesz, uważała jedynie, że jeśli przyjedziesz, to czegoś się dowiesz. – Spojrzał na mnie i się uśmiechnął. – I tak się stało. Odnalazłaś spuściznę po niej, która przepadłaby na zawsze, gdybyś się nie zjawiała.

Może miał rację. Może babcia liczyła, że dostarczając list, odsłonię jej przeszłość.

– Chyba to możliwe – przyznałam.

Jechaliśmy w milczeniu; słychać było jedynie szum opon. Potem Roy skręcił w Paget Street i ukazał się ocean oraz budynki w centrum Beacon. Kiedy dotarliśmy do budowy, zatrzymał samochód obok mojego, obszedł furgonetkę i otworzył mi drzwiczki.

– Dzięki za pokazanie mi farmy – powiedziałam, wysiadając.

Stał obok maski.

– Dzięki za znalezienie borówek.

Włożył ręce do kieszeni; zauważyłam cień uśmiechu na jego twarzy, w drobnych zmarszczkach wokół oczu.

– Co? – spytałam. Sposób, w jaki na mnie patrzył, wytrącał mnie z równowagi. – O co chodzi?

Ścisnęłam w dłoni bukiet kwiatów i gałązkę borówki.

Podszedł o krok.

– Dlaczego przyjechałaś tu dzisiaj, Ellen?

Pytanie było trudniejsze, niż się zdawało. Czemu przyjechałam? Sama wciąż nie byłam pewna. Czy tylko poinformować, że odebrałam wiadomość? A może chodziło o coś więcej? Czyżbym zaczynała się w nim zakochiwać? To właśnie się działo? Chciałam odwrócić wzrok, ale czułam się jak w pułapce.

– O co ci chodzi? – zapytałam.

Dosłyszałam w swoim głosie nerwowe drżenie.

– O to, co cię skłoniło, by tu przyjechać.

Zbliżył się jeszcze bardziej. Czułam go niemal, nie dotykając.

– Przecież wyjaśniłam. Myślałam o tym, co się wydarzyło rano i... – Zaczęłam gestykulować, moje palce zadrgały jak ręce marionetki. – Wiedziałam, że się zdenerwowałeś, więc kiedy zadzwoniłeś, uznałam, że byłoby dobrze, gdybym... to znaczy pomyślałam, że może powinnam... że...

Odwrociłam wzrok. Och, Boże, co ja wygaduję? To nie miało sensu.

Roy, wciąż z uśmiechem na wargach, przechylił głowę. Przypatrywał mi się, niemal jakby wiedział, że jeśli będzie patrzył dostatecznie długo, sprowokuje mnie do jakiegoś szaleństwa, na przykład do tego, że znowu zarzucę mu ręce na szyję i wyznam, że nieustannie o nim myślę. Jeszcze sekunda lub dwie i znajdę się całkowicie pod jego urokiem. Oczy miał tak jasne i tak błękitne jak morze na Karaibach, przejrzyste, głębokie, pełne jaskrawożółtych ryb, fioletowych wodorostów i czerwonych koralowców; te oczy wciągały mnie coraz głębiej, a ja się zanurzałam, gotowa wstrzymać oddech i zanurkować, i...

I wtedy usłyszałam jego głos:

– Aha, w porządku. Chciałaś się upewnić, że dawne urazy poszły w zapomnienie. – Uśmiechnął się i dodał z lekkim wzruszeniem ramion: – Okej, nie ma sprawy.

I to było wszystko? Tak po prostu pozwalał mi odejść? Lecz już tego nie chciałam. Chciałam tu zostać i zatonać w jego oczach.

Otworzył drzwiczki mojego wozu; oszołomiona wsunęłam się na fotel kierowcy. Patrzyłam za Royem, gdy wsiadał do furgonetki. Patrzyłam, jak zatrzaskuje drzwiczki. Patrzyłam, jak przekręca kluczyk, i usłyszałam krztuszący się silnik. Uniósł rękę w pozdrowieniu. Odpowiedziałam takim samym gestem i poczułam niemal, jak nasze dłonie się dotykają.

Wyjęłam z torebki klucz z plecioną wstążką i otworzyłam drzwi pokoju. Byłam zszokowana, zobaczywszy w środku Paulę oraz jakiegoś mężczyznę w białym lekarskim fartuchu. Co tu się wydarzyło pod moją nieobecność?

Hayden wciąż leżał na łóżku, nieznajomy w fartuchu, podobny do mojego nauczyciela fizyki z ostatniej klasy liceum, bandażował mu kostkę.

– Co się stało? – Podbiegłam do chorego.

– Wszystko pod kontrolą. – Paula machnęła do mnie uspokajająco. – Lekarz się nim zajmuje.

Spojrzałam na mężczyznę, który rozwijał bandaż. Potem zwróciłam się do Haydena:

– Co się dzieje?

– Poczuję się gorzej – wyjaśnił z kwaśną miną. – Kostka spuchła jak piłka do koszykówki. – Nagle wydał mi się blady i bardzo drobny. – Zadzwoń mi po więcej lodu, a kiedy Paula go przyniosła, wystarczyło jej jedno spojrzenie i wezwała doktora Herberta.

– Dzięki Bogu. – Westchnęłam, ujmując go za rękę. Gryzło mnie sumienie, jak mogłam być taka bezduszna? Urządziłam sobie przechadzkę po Kenlyn Farm z Royem Cummingsem, gdy powinnam trwać u boku narzeczonego.

– Trudno kogoś ściągnąć w niedzielę – włączyła się Paula. – Szczególnie na

wizytę domową. – Uśmiechnęła się do lekarza. – Ale obecny tutaj pan doktor to mąż mojej kuzynki Laurie, więc wiedziałam, że przyjedzie.

– Dziękuję panu – powiedziałam. – Jestem Ellen, narzeczona Haydena.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. – Doktor Herbert przymocował bandaż zapinką. – Wypiszę leki – zwrócił się do mnie. – Przeciwbólowy i drugi na opuchliznę. – Wyjął z kieszeni bloczek i coś nagryzmołił. – Prawdopodobnie pan zerwał więzadło, ale za dzień lub dwa powinien wydobrzeć. – Podał mi recepty. – Proszę tylko zadbać, żeby przez parę dni oszczędzał nogę.

– Obiecuję, doktorze. Bardzo dziękuję. To ogromnie miłe z pańskiej strony, że pan przyjechał. Dam panu swoją wizytówkę, proszę mi przysłać rachunek.

Sięgnął po swoją czarną walizeczkę, gdy wręczałam mu wizytówkę, i wyszedł z Paulą.

Usiadłam na łóżku obok Haydena, przytłoczona wyrzutami sumienia.

– Kochanie. – Nachyliłam się, by go objąć. – Strasznie, strasznie przepraszam, że nie wróciłam szybciej. Nie miałam pojęcia, że czujesz się aż tak źle. – Pocałowałam go w czoło.

– Wszystko w porządku. Wiedziałem, że potrzebujesz trochę czasu w samotności na dojście do siebie.

– Nawet nie dotarłam do apteki – przyznałam ze wstydem. – Dzięki Bogu, że Paula ściągnęła lekarza tutaj.

Poprawił zabandażowaną nogę na poduszkach.

– Ale teraz pewnie będziesz musiała pojechać. A przy okazji, co przepisał?

– Zobaczmy. – Spojrzałam na pierwszą receptę. – Tylenol z kodeiną.

W tym momencie zauważyłam coś dziwnego: ślady małych łapek wzdłuż górnego marginesu recepty.

Ślady łapek?

Poniżej widniało nazwisko: „Peter Herbert, lekarz weterynarii, Szpital dla zwierząt Herberta”. Pan doktor był weterynarzem.

* Robert Frost *Naprawianie muru*, w przekładzie Leszka Elektorowicza.

Rozdział 15

Sugar

Następnego ranka lało jak z cebra. Rzuciłam jedno spojrzenie na deszcz tłukący o szyby i pożałowałam, że nie mogę przeleżeć w łóżku całego dnia. Był jednak poniedziałek, a mnie czekało ważne spotkanie.

Hayden już nie spał; leżał obok, czytając książkę *Sztuka negocjacji: Argumentuj jak pięciolatek*, która przez dwadzieścia sześć tygodni była na liście bestsellerów.

– Czujesz się lepiej? – spytałam.

Kiwnął głową.

– O wiele. Myślę, że z nogą wszystko w porządku.

Spojrzałam na jego kostkę. Moim zdaniem wciąż była spuchnięta.

– Cóż, musisz uważać. Wiesz, co powiedział... hm... lekarz.

Informację o tym, że pacjenci doktora mieli przeważnie cztery nogi, postanowiłam zabrać ze sobą do grobu.

Hayden wziął mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Potem objął mnie i pocałował, przeczesując mi palcami włosy.

– Kocham panią, pani Haydenowo Croft.

– Ach – mruknęłam. – Ja też pana kocham, Haydenie Crofcie.

– Może pewnego dnia – ciągnął, całując mnie po szyi tak, że czułam na skórze jego ciepły oddech – zostaniemy senatorostwem Croft.

– Może zostaniemy – szepnęłam.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie nas oboje w strojach wieczorowych na imprezie dobroczynnej w Muzeum Historii Naturalnej w Waszyngtonie. Meandrujemy przez zatłoczoną salę ze szkieletami dinozaurów. Goście zaczepiają nas, wymieniają uściski dłoni. *Senatorze, pani Croft, tędy*. Mam na sobie suknię od Oscara de la Renty i przesyłam w powietrzu pocałunki.

– Brzmi nieźle, prawda?

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Hayden uśmiecha się do mnie. Pocałował mnie raz jeszcze i podciągnął mi T-shirt. Istotnie czuł się lepiej.

– Nie jedziesz ze mną – oświadczyłam, popychając go z powrotem na łóżko.

Włożył już spodnie i koszulę, a teraz próbował naciągnąć skarpetkę na zabandażowaną kostkę. Czasami potrafił być strasznie uparty.

– Sugar mieszka w Pequot, kawał drogi na północ – tłumaczyłam. – To co

najmniej dwie godziny jazdy. Zostajesz tutaj.

Kiedy zadzwoniłam, Sugar, córka Lili Falk, nie wyraziła szczególnej ochoty na spotkanie ze mną. Prawdę mówiąc, dopiero gdy zasugerowałam, że chętnie uiszczę symboliczne „składowe” za przechowanie rzeczy babci, ożywiła się i stała odrobinę bardziej gościnna.

– Nie mogę puścić cię samej na spotkanie z tą kobietą. – Hayden wciąż walczył ze skarpetką.

– Co ty wygadujesz? Mówisz, jakby była obłąkana, niebezpieczna. Uwierz mi, nie jest. Poza tym zjeździłam już samotnie ten stan wzdłuż i wszerz.

Podciągnął skarpetkę do końca.

– Możliwe, ale teraz, gdy tu jestem, pojedę z tobą.

– Miałeś przecież oszczędzać nogę. Polecenie lekarza. – Zagryzłam wargę.

Machnął z irytacją.

– Opuść oparcie fotela i się połóż. Co za różnica, czy będę leżał tutaj, czy w samochodzie?

Rozważyłam to. Nie bez kozery był prawnikiem.

– Okej, ale kiedy dotrzemy na miejsce, zostaniesz w wozie i nie będziesz nigdzie chodził, tak?

Uśmiechnął się i posłał mi to swoje mrugnięcie oznaczające, że usłyszał, ale niczego nie obiecuje. Pożyczyliśmy w hoteliku dwa parasole; Hayden maksymalnie odchylił oparcie fotela pasażera, podczas gdy ja ustawiałam GPS-a. Wyjechaliśmy na autostradę, zmierzając w kierunku Pequot, miasteczka na północny zachód od Beacon.

Trzy godziny później zwolniłam przed niewielkim, szarym parterowym domkiem. Nad drzwiami frontowymi trzepotała w deszczu wystrzępiona amerykańska flaga, obok budynku w wielkiej kałuży stał na pustakach rozpadający się wóz kempingowy.

– To jest to? – Hayden, zdziwiony, rozglądał się po podwórzu. – Jesteś pewna? Wygląda jak wysypisko śmieci.

– Spójrz na skrzynkę na listy – odparłam, obgryzając paznokiec. – Dwa siedem siedem. Taki numer mi podała. – Wjechałam na podjazd.

Hayden zerknął na skrzynkę, a potem zagapił się na kamper z zardzewiałymi zderzakami, pokryty plamami podkładu oraz farb w rozmaitych kolorach.

– Nie pozwolę ci tam wejść samej.

Popatrzyłam jeszcze raz na dom i nie protestowałam. W strugach deszczu ruszyliśmy do wejścia, omijając kałuże; Hayden kuśtykał obok mnie. Schroniliśmy się przy drzwiach wejściowych pod niewielkim daszkiem z częściowo spróchniałego drewna. Poszukałam dzwonka, a nie widząc go, zastukałam mocno.

Moment później drzwi się otworzyły i w wejściu stanęła chuda jak patyk, na oko pięćdziesięcioletnia kobieta z brudnymi włosami. Z papierosem zwisającym

z ust niczym pytanie bez odpowiedzi, zmierzyła nas wzrokiem i zaprosiła gestem do środka.

– Spodziewałam się tylko jednej osoby – oznajmiła, kiedy weszliśmy do ciasnego saloniku cuchnącego dymem i kapustą. Pod ścianą stała brązowa sofa ze sztucznej skóry pokrytej pajęczyną pęknięć, a obok niej stolik do kawy z koła od wozu przykrytego okrągłą taflą zakurzonego szkła.

Sugar ponownie obejrzała nas od stóp do głów, wciągając głowę w ramiona jak żółw. Otaksowała uważnie moje jedwabne spodnie i sweter, aż zaczęłam żałować, że nie włożyłam džinsów i T-shirtu.

– Z pewnością to pani jest Sugar – zaczęłam. – Mam na imię Ellen, a to mój narzeczony Hayden Croft.

Wyciągnęłam rękę, sądząc, że ją uściśnie, lecz zamiast tego sięgnęła obok mnie i strząsnęła popiół z papierosa do doniczki ze sporą przywiedłą rośliną. Potem wydmuchnęła cienką, krętą smugę fioletowego dymu.

Obejrzała sobie Haydena.

– Croft, co to właściwie za nazwisko?

Rozpromienił się.

– W zasadzie brytyjskie. Moi przodkowie przyплыли na statku Mayflower.

Uniosła brwi i ściągnęła wargi.

– A ja raz byłam na rejsie wycieczkowym, więc jesteśmy sobie równi.

Znowu wciągnęła głowę w ramiona i wydała kaszłący dźwięk – jak sobie uświadomiłam po paru sekundach, śmiała się. Po twarzy Haydena przemknął wyraz zaniepokojenia.

– Chcecie usiąść? – Sugar żarzącym się końcem papierosa wskazała sofę.

Podeszłam ostrożnie, oglądając lepkie plamy oraz pęknięcia, z których wylażyły kępki szarej wyściółki. Zerknęłam na swoje spodnie i przycupnęłam ostrożnie na skraju poduszki. Hayden przysiadł obok; przypominaliśmy parę ptaków gotowych się zerwać do lotu. Sugar zajęła miejsce naprzeciw, zwieszając rękę z papierosem przez poręcz zapadniętego fotela.

– Czyli widziała się pani z mamą.

Skrzywiła się w półuśmiechu i nadgarstkiem odsunęła z twarzy sięgające podbródka włosy. Zdradzały efekty licznych eksperymentów z farbą – kępki siwizny, miedzianego złota i kasztanowego brązu sąsiadowały zgodnie z łatami zieleni w odcieniu pleśni na stęchłym chlebie.

– Tak, widziałam się z pani matką. Odbyłyśmy miłą pogawędkę. Jest bardzo sympatyczna.

Sugar się skrzywiła.

– Hmm. Każdy ma prawo do własnego zdania.

Odrzuciła głowę i zaśmiała się znowu, do tego zaniósła kaszlem i machała papierosem niczym gimnastyczka swoją wstążką.

Poczułam, jak Hayden dotyka mnie kolanem.

– Tak, no cóż... – podjęłam. – Jak już mówiłam przez telefon, matka wspomniała, że ma pani jakieś rzeczy mojej babci. Powiedziała, że powinnam przyjechać i je zabrać.

– Jakieś rzeczy? – Sugar wyprostowała się w fotelu i spiorunowała mnie wzrokiem z głową otoczoną chmurą dymu. – Och, jasne, trzymam rzeczy wszystkich. – Skrzyżowała ręce na piersi. – Mamy, Ronny’ego, Douga. Czterdziestoletnie komiksy, butelki po piwach z całego świata, bluzy piłkarskie z Bóg wie skąd. I chciałam się spytać, czy ten dom wygląda na duży? To znaczy tak czy nie?

– Nie jestem pewien, czy...

Zerknęłam na Haydena, gdy się odezwał, ale Sugar mu przerwała.

– Nie, nie, panie Mayflower. Ja odpowiem. Nie jest duży. Jest mały. – Wydmuchnęła w naszą stronę smugę dymu.

Zauważyłam, jak mięśnie na szyi Haydena się napięły.

– Pani Hawley, przyjechaliśmy tutaj jedynie zabrać ruchomości pani Ray – oznajmił. – Rzeczy, które pani matka...

– Mam na imię Sugar. I w tym rzecz, Mayflower. – Uśmiechnęła się, demonstrując martwy ząb z prawej strony górnej szczęki. – Trzymam tu graty wszystkich i przechowywanie sporo mnie kosztuje.

Hayden poczerwieniał na twarzy.

– Proszę posłuchać, nie nazywam się Mayflower. Mam na imię Hayden. Hayden Croft i...

Zbyła go machnięciem.

– E, daj spokój. – Wzruszyła ramionami. – To był tylko mały żarcik.

Wciągnął powietrze i wypuścił je wolno, by się opanować. Rozejrzał się pobieżnie po pokoju, rejestrując pryzmy winylowych płyt oraz kartonowe pudła, z których wysypywały się bardzo stare na pierwszy rzut oka, oprawione w skórę książki.

– Może powinna się pani zastanowić nad sprzedaniem części przedmiotów – podsunął. – Jeśli są cenne.

Sugar wybuchnęła kolejną salwą charczącego śmiechu.

– Ależ z pana bystrzak! Właśnie to robię! – Pokręciła głową. – Tylko wolno idzie z wypisywaniem ogłoszeń i fotografowaniem wszystkiego. Aparat mam niezbyt dobry. Przydałby się lepszy. – Puściła do mnie oko.

– Lepszy aparat? – powtórzyłam. Nachyliłam się do Haydena i szepnęłam: – Rzeczywiście jej wspomniałam, że być może zapłacę trochę za przechowywanie.

– Ona mnie przeraża – szepnął w odpowiedzi. – Nie przesadz.

Otworzyłam torebkę, by poszukać książeczki czekowej.

– Rozumiem, że było dla pani kłopotliwe przechowywanie rzeczy mojej

babci – powiedziałam. – Naprawdę musimy zaraz jechać, ale jeśli przyniesie mi pani jej drobiazgi, chętnie zapłacę za niedogodność.

Hayden chwycił mnie ostrzegawczo za rękę.

– Myślę, że powinniśmy najpierw zobaczyć, co pani... hm, co Sugar ma, Ellen.

Kobieta wstała.

– Pójdę przynieść. Jedno pudło mniej.

Spojrzała z ukosa na stół do kawy, gdzie stała popielniczka w kształcie fioletowej żaby, przesunęła ją o jakieś pięć centymetrów, kiwnęła głową i wyszła z pokoju.

Zerknęłam na Haydena.

– Naprawdę dziwna – wypowiedział bezgłośnie.

Potaknęłam.

– Łapmy rzeczy i wynośmy się stąd.

Sugar wróciła z pudełkiem nie większym od tych, w jakich trzyma się męskie buty. To nie zajęło wiele miejsca, pomyślałam, kiedy mi je podawała.

Otworzyłam je, wyjęłam po kolei znajdujące się w środku przedmioty i ułożyłam sobie na kolanach. Był tam niewielki szkicownik z okładką z różowego papieru; plik zapisków, jak się zdaje, zrobionych charakterem babci; jedwabna apaszka w lilie wodne na błękitnym tle; czarne pióro wieczne z ozdobną srebrną opaską; tomik wierszy poetów amerykańskich z zagiętymi gdzieś stronami (zaknotowałam sobie w pamięci, by sprawdzić, czy znajduje się wśród nich *Naprawianie muru*); szkło powiększające z rzeźbioną drewnianą rączką; książka zatytułowana *Rodzime kwiaty Nowej Anglii* w zniszczonej płóciennej oprawie; kolejna oprawiona w płótno pozycja pod tytułem *Przewodnik uprawy owoców jagodowych* oraz plik dwudziestu spłowiałych czarno-białych zdjęć. Kilka przedstawiało babcię, reszta – ludzi, których nie znałam. Liczyłam, że znajdę jakąś kronikę szkolną lub pamiętnik, ale nie czułam się rozczarowana. Ścisnęłam pudełko, niecierpliwając się, by wracać do hoteliku, gdzie będę mogła rozłożyć wszystko na łóżku i dokładnie obejrzyć każdy przedmiot.

– A więc to wszystko – powiedziałam, gładząc pokrywkę. – Dziękuję.

Sugar utkwiała wzrok w mój pierścionek zaręczynowy.

– Ładny kamyczek. On go pani dał? – Ruchem głowy wskazała Haydena. – Pan Mayflower?

Wstał z miejsca z zaciśniętymi szczękami.

– Chodźmy, Ellen. Chyba zajęliśmy pani Hawley zbyt dużo czasu. Zresztą nic tutaj nie ma prócz hałdy rupieci. – Spojrzał ze złością na Sugar. – Mniejsza o eBay. Nie udałoby się pani rozdać tych gratów.

Oczy kobiety zapłonęły.

– Patrzcie go, jaki arogancki! Całkiem jak pani babka. – Wskazała na mnie.

– Och, wiem o niej wszystko. Mama opowiadała mi różne historie. Ruth to i Ruth tamto. Jakimi to były wielkimi przyjaciółkami. Osobiście uważam, że pani babka była po prostu wielką snobką. Uroiła sobie, że jest zbyt dobra na Beacon.

– Co pani wygaduje? – Podniosłam głos z oburzenia. – Przecież nawet jej pani nie znała. Nie ma pani prawa tak mówić.

– Wiem dość, by wyrobić sobie własne zdanie. Zdanie Sugar. – Wskazała na siebie. – Znam ten typ. Pani babka nie mogła się doczekać, żeby się stąd wyrwać. Nie zamierzała spędzić życia na zrywaniu borówek, więc uciekła z jakimś nadętym doktorkiem z Chicago.

Jak ona śmie, pomyślałam. Zwróciłam się do Haydena:

– Jestem gotowa. Wynośmy się stąd.

Sugar pociągnęła mnie za rękaw.

– Och, nie ma pośpiechu. Jedną minutkę. – Jej głos stał się cichy, niemal słodki jak sacharyna. – Myśli pani, że stara Sugar trzyma same śmieci? Może panią zainteresuje, co jeszcze przechowałam... tak panią fascynują rodzinne pamiątki. – Uniosła brew. – Proszę za mną.

Spojrzeliliśmy na siebie z Haydenem. Widziałam, że nie ma ochoty już nigdzie iść.

– A jeśli ona rzeczywiście ma jeszcze jakieś rzeczy babci? – szepnęłam.

Ruszyliśmy za Sugar wąskim korytarzem do ciemnej sypialni pachnącej syropem na kaszel. W świetle wpadającym przez dwa małe okna zobaczyłam spiętrzone wysoko kartony, zapchany regał na książki oraz torby na zakupy i pojemniki do przechowywania rzeczy, z których wysypywały się zbiory Sugar. Ostrożnie wślizgnęłam się do środka, kiedy zapalała lampę.

– No więc rzeczy pani babci są tam. – Wskazała przeciwny koniec pokoju.

– Rzeczy mojej babci? – Zerknęłam na Haydena. – Więc jest coś więcej.

Sugar okrążyła łóżko i poprowadziła nas do kąta, gdzie stało opartych o ścianę pięć stosów prostokątnych płyt, niektóre nawet wielkości metr na półtora.

– Co to takiego? – Hayden przykuśtykał bliżej.

Wysunęłam się naprzód i zauważyłam, że niektóre mają przybite wzdłuż krawędzi drewniane listewki oraz druty przeciągnięte od boku do boku.

– Obrazy – wyjaśniłam, podchodząc szybko. – Patrzymy na nie od tyłu.

Chwyciłam jeden i odwróciłam. Mierzył około sześćdziesięciu centymetrów na metr i przedstawiał regaty żeglarskie oddane za pomocą energicznych pociągnięć pędzla oraz roztańczonych smug koloru. Trzy małe żagłówki pędzone wiatrem wypełniały pierwszy plan. W oddali za nimi garść mniejszych łódek ślizgała się po wodzie. Fale kłębiły się cętkami błękitu, biała piana tryskała nad pokłady. To było Maine. Czułam zapach soli. Spojrzałam w prawy dolny róg i zobaczyłam nazwisko skreślone pełnym zawijasów, rozciągniętym w pionie charakterem pisma, który znałam tak dobrze. Ruth Goddard.

Hayden wziął obraz i postawił na ziemi. Cofnęliśmy się, żeby go obejrzyć; zaschło mi w ustach.

– Uau. – Westchnęłam.

– Rzeczywiście „uau” – przytaknął. – Twoja babcia to namalowała?

Kiwnęłam głową.

– Tak sędzę.

Podeszłam krok bliżej i dotknęłam farby, którą zmieszała, by stworzyć wodę. Musnęłam powierzchnię żagli. Niemal słyszałam, jak łodzie tną wodę. I niemal mogłam sobie wyobrazić babcie tworzącą ten obraz. Nie wiedziałam, kiedy ani gdzie go namalowała; ukazała mi się jednak, jak stoi przed sztalugami i nakłada warstwy farby.

Chwyciłam następne płótno, odrobinę mniejsze, i odwróciłam do nas. Przedstawiało młodego mężczyznę na polu borówek z czerwoną stodołą w oddali. Stał między rzędami krzewów, zrywając jagody jedną ręką, w drugiej trzymał czerwony cebrzyk. Słońce odbijało się od cebrzyka, roślin i piaskowobrazowych włosów młodzieńca. Miał piegi na nosie. Wyglądał jak młodsza wersja Cheta Cummingsa na strychu u Susan Porter.

– Spójrz – szepnęłam; gładząc palcem obraz, wyczułam granice kolorów, pociągnięcia pędzla. – Myślę, że to Chet Cummings.

Przeciągnęłam ręką do prawego dolnego rogu i musnęłam nazwisko. Ruth Goddard.

– Piękny. – Hayden ustawił go obok pierwszego. – Sprawdźmy tutaj. – Wyciągnął płótno z innej przyzmy.

Szarowłosa kobieta w białym fartuchu stała dumnie przed małą chatką, gdzie wystawiono na sprzedaż kosze owoców. Na innym malunku dwóch chłopców bawiło się żółtymi drewnianymi łódkami w kałuży pozostałej po przypiływie. Podpisy na obu obrazach: Ruth Goddard.

Zwróciłam się do Sugar:

– Wszystkie namalowała babcia, prawda?

Wydmuchnęła w moją stronę pasmo dymu.

– Jasne.

Usiadłam na skrawku wolnego miejsca na brzegu łóżka i zapatrzyłam się na wyścigi żaglówek. Coś w odbiciu łódek w wodzie, czerwony kadłub lśniący milionem kolorów w błękitno-czarnym morzu – obudziło wspomnienie.

Stoimy na nabrzeżu z babcią, w porcie. Patrzymy na odbicia w wodzie, na kadłuby łodzi, gdy naraz pyta:

– Jakie kolory widzisz, Ellen?

Wskazałam pomalowaną na żółto łódź.

– Żółty – odparłam.

– Ach, i jakie jeszcze? – dopytywała. – Jakie inne barwy zauważasz? W tym

odbiciu jest mnóstwo odcieni.

Wtedy przyjrzałam się uważniej i dostrzegłam inne kolory – pomarańczowy i zielony, fioletowy i odrobinę szarości, złota, a nawet różu. Wymieniłam je, a ona odpowiedziała:

– Słusznie, a jeśli będziesz obserwować częściej, zaczniesz dostrzegać coraz więcej. To właśnie znaczy być obserwatorem, Ellen. Wokół nas zawsze dzieje się więcej, niż sądzimy.

Hayden obejrzał płótno fragment po fragmencie, analizując pociągnięcia pędzla. Wstałam z łóżka i stanęłam obok niego.

Nachylił się do mnie.

– To prace dobrej jakości – szepnął. – Bardzo starannie wykonane. – Wpatrywał się z zachwytem w portret chłopców nad kałużą. – Niewiarygodne. – Przywodzi na myśl amerykańskiego impresjonistę Childe’a Hassama.

– Słyszałam o nim – odszepnęłam – ale nie pamiętam jego prac.

– Niektórzy uważają go za największego amerykańskiego impresjonistę w historii – wyjaśnił. – Potrafił wspaniale ukazać blask słońca. Malował scenki z codziennego życia, takie jak te.

Kiwnęłam głową i spojrzałam na stosy obrazów, zdumiona, że babcia stworzyła je wszystkie.

– Boże, musi ich tu być ze dwadzieścia – zauważyłam.

– Dwadzieścia pięć – skorygowała Sugar.

Są piękne, pomyślałam, gdy drżącymi dłońmi odwracałam płótno przedstawiające sześć koni na bujnym, zielonym pastwisku i następne z trojgiem dzieci łowiących ryby na brzegu spokojnej rzeki. Przejrzeliśmy pozostałe prace.

– Ledwie mogę uwierzyć – powiedziałam, zwracając się do Haydena. – Wszystkie obrazy w jednym miejscu. Teraz musimy sprawnie i bezpiecznie je stąd przewieźć. – Zastanawiałam się, jaki pojazd wynająć, by je zabrać do domu mamy.

– Pewnie będzie potrzebna furgonetka albo coś w tym rodzaju.

Sugar, która trzymała się na stronie, podeszła bliżej.

– Co zabrać? Po co wam furgonetka? – Zabiła pająka wędrującego po ścianie.

– Do przewiezienia obrazów.

Jej spojrzenie stwardniało.

– Nigdzie ich nie przewiezicie.

Zamarłam.

– Jak to?

– Nie zabierzecie ich. Tak to.

– Należą do mojej rodziny, do mojej mamy. – Spojrzałam na Haydena.

Światło żarówki zamigotało i przygasło, po chwili rozległ się grzmot.

– Bo je sprzedalam.

Poczułam, jak ziemia usuwa mi się spod nóg.
– Co pani zrobiła?
Powtórzyła słowa wolno, po jednym.
– Sprzedałam. Je.
– Jak pani mogła? Należą do mojej rodziny.
– Ha! – Odrzuciła głowę do tyłu. – W takim razie gdzie była pani rodzina przez ostatnich sześćdziesiąt lat? Jakim cudem nikt się po nie nie zjawiał?
Hayden wystąpił naprzód.
– Co pani opowiada? Krewni nawet nie wiedzieli o istnieniu obrazów.
Sugar wskazała na mnie.
– Jej babka podarowała obrazy mojej matce.
Zbliżyłam się do niej o krok.
– Proszę posłuchać – powiedziałam. – Babcia z pewnością nie podarowała ich pani matce. Niewątpliwie nastąpiła pomyłka.
– Och, nie ma żadnej pomyłki. Pani babka ich nie chciała. Zamierzała się wszystkich pozbyć.
– Kłamstwo – zaprotestowałam. – Nie wierzę w to.
Uśmiechnęła się, błyskając martwym zębem.
– Sugar nie kłamie. I owszem, sprzedałam je. Dostanę za ten cały kram dziesięć tysięcy dolców. – Szerokim gestem wskazała pryzmę. Potem oparła ręce na biodrach. – Chyba że...
– Dziesięć ty... – Nie zdołałam nawet dokończyć.
Jak mogła je oddać tylko za dziesięć tysięcy dolarów? To była obraza. To była głupota.
– Na miłość boską, powiedziała pani, że jest ich tu dwadzieścia pięć sztuk, i...
Hayden położył mi dłoń na ręce – sygnał, żebym opanowała emocje.
– Pozwól, Ellen – wtrącił.
Następnie zwrócił się do Sugar:
– Chyba że co?
– No cóż... Mayflower... – Wskazała go, niemal dotykając, aż cofnął się o krok. – Tak sobie tylko pomyślałam, że wy dwoje może zechcecie mi złożyć lepszą ofertę, a w takiej sytuacji...
– Ile? Czego pani chce? – Zaczęłam szukać książeczki czekowej.
Hayden mnie powstrzymał.
– Minutkę. – Zwrócił się do kobiety: – Nie ma mowy, żebyśmy tak po prostu wypisali pani czek in blanco.
Spiorunowałam go wzrokiem.
– On chciał powiedzieć, że suma musi być... jak by to ująć... rozsądna. To wszystko. Prawda, że o to ci chodziło?

Zamachał rękami.

– Spokojnie, spokojnie. Mówi pani, że już je sprzedała?

– Hm, no tak. Nawet wziął jeden obraz i za niego zapłacił.

– Kto?

Wzruszyła ramionami.

– Handlarz sztuki z Bostonu.

– Okej, a czy coś pani podpisała? – dopytywał. – Potwierdziła cokolwiek na piśmie?

Wstrzymałam oddech.

– Jasne. Podpisałam jakiś papier, który mi podsunął.

– Jakiś papier – powtórzył. – Ma go pani? Możemy go zobaczyć?

Wyszła z pokoju i wróciła ze złożoną na troje kartką.

Hayden przeczytał ją i spojrzał na mnie.

– Sprzedała jakiejś Millbank Gallery w Bostonie.

Zwrócił się do Sugar:

– Pani Hawley. Jako prawnicy możemy zapewnić, że te obrazy nie należały do pani i nie miała pani prawa ich sprzedać. Zostały złożone na przechowanie przez pani matkę, która życzy sobie, by zostały przekazane pani Branford. Zamierzamy zablokować dalszą tak zwaną sprzedaż obrazów owej Millbank Gallery.

Sugar skrzyżowała ręce i zacisnęła wargi.

– No cóż, spróbujcie, dobra?

Kot wślizgnął się do pokoju i przystanął obok metrowej piramidy z pustych słoików po galaretkach. Wyglądało, jakby zamierzał na nią wskoczyć.

– Chodźmy stąd – szepnęła Hayden. – Nie zdołamy zabrać obrazów dzisiaj, ale zdobędę je dla ciebie. Nie martw się.

Pokuśtykał korytarzem, podpierając się o ścianę. Tuż przy drzwiach zwrócił się do Sugar ostatni raz:

– Pani Hawley, radziłbym zadbać o to, by obrazy zostały dokładnie tam, gdzie są teraz, chyba że chce się pani wplątać w bardzo kosztowną batalię prawną.

Stała tam, gdzie wcześniej, z lekko uchylonymi ustami.

– Nie zastraszysz mnie, Mayflower. Nikt nie zwraca się do Sugar w taki sposób.

– Jeszcze się odezwiemy – odparł, kiedy otworzyłam drzwi.

Na dworze wciąż lało, zimne płachty deszczu smagały splekany, szary podjazd; strugi błota spływały z podwórza aż na szosę. Przystanęliśmy pod daszkiem, a potem ruszyliśmy najszybciej, jak to możliwe, do samochodu, Hayden zgięty w pół nad chorą nogą przytrzymał skarpetkę, by nie zerwał jej huraganowy wiatr. Ostatnie, co usłyszeliśmy, schodząc z ganku, to głośny huk z wnętrza domu, jakby sto słoików po galaretkach Welcha runęło na ziemię, tłukąc się

w drobny mak.

Rozdział 16

Całkiem jak Cici Baker

Hayden miał rację, myślałam, siedząc na łóżku w naszym pokoju następnego ranka. Sugar Hawley to wariatka. I właśnie dlatego mimo jego dziarskich zapewnień, że zdobędzie obrazy, wiedziałam, że nie będzie to łatwe. Rozejrzałam się wokół, zatrzymując wzrok na pęknięciu na suficie, i podsłuchiwałam, jak Hayden rozmawia przez komórkę w łazience.

– Sądzę, że mamy spore szanse na przepchnięcie wniosku – tłumaczył innemu prawnikowi z naszej kancelarii. – I tak właśnie powiedziałem Elizabeth. Rozumie to, ale mają teraz nowe procedury i nie uda się zgarnąć wszystkiego.

Wsunęłam głowę do łazienki i wskazałam na swój zegarek. Kwadrans po jedenastej. O jedenastej trzydzieści mieliśmy się zjawić u Porterów, bym mogła mu pokazać obraz i zrobić kilka zdjęć.

Zasłonił ręką mikrofon i szepnął:

– Lepiej jedź beze mnie. To Ashton Pharmaceuticals. Kolejny kryzys.

– Jesteś pewien? – odszepnęłam rozczarowana.

Przytaknął ruchem głowy.

– Zrób mnóstwo zdjęć. Możliwe, że ludzie z „Timesa” też będą je chcieli zobaczyć.

Ludzie z „Timesa”. Och, Boże, przyjadą dzisiaj wieczorem, a na jutrzejszy rano zaplanowali wywiad oraz sesję zdjęciową z nami obojgiem. Wzięłam aparat i zesłam po schodach, starając się zająć myśli czymś innym.

Długą chwilę siedziałam w samochodzie, gapiąc się na deskę rozdzielczą. Następnie zaczęłam przetrząsać swoje muzyczne zbiory, chciałam znaleźć coś absorbującego. Zdecydowałam się na Ellę Fitzgerald i jej *Skylarka*, a gdy skąpiane w miodzie nuty popłynęły przez okno, ruszyłam do Porterów. Babcia uwielbiała Ellę; ja też. Jej głos oraz kojące dźwięki Nelson Riddle Orchestra były idealnym lekarstwem na moje nerwy.

Spędziłam u Porterów około pół godziny, porozmawiałam z Susan i jej mężem, potem sfotografowałam obraz babci. Wyglądał dokładnie tak, jak zapamiętałam – wibrujący życiem i niemal magiczny, ukazywał z czułością babcię oraz Cheta, dęby i stodołę. Wychodziłam w dużo lepszym nastroju.

W drodze powrotnej do hoteliku minęłam Kenlyn Farm, przyłapując się na tym, że na sam widok przerwy w murze oraz gruntowej drogi prowadzącej do środka skręcam w tę stronę. Słońce lśniło na masce samochodu, kiedy starałam się posuwać po ścieżce wygniecionej w trawie parę dni wcześniej przez koła

furgonetki Roya. Zaparkowałam pod murem i zaczęłam się wspinać po zboczu, tam, gdzie on przejechał, idąc po odcisniętych śladach.

Na szczycie przysunęłam do oka wizjer aparatu i obróciłam się wolno w miejscu, jak uczyła babcia. Co chwila pojawiała się coś nadzwyczajnego – kępa dzikich czerwonych orlików, geometryczne wzory pod murem utworzone przez spadłe kamienie, spękane zielone porosty drążące skałę, wilga w kępie zarośli, a u moich stóp konik polny uczepiony łodygi fioletowego astra. Mogłabym tu spędzić cały dzień i jedynie musnąć powierzchnię.

Słońce grzało mnie w ramiona, kiedy się schyliłam, żeby uchwycić kwiaty żółtego twardoszka, pierzaste, fioletowe płatki cętkowanego chabra oraz koronkowe skrzydełka dwóch małych os, które przysiadły na drobnych, białych kwiatach bagna zwyczajnego. Zanim skończyłam fotografować motyla monarcha na trojeści, uświadomiłam sobie, że upłynęła godzina.

Ruszyłam z powrotem w dół zbocza do samochodu, rozkoszując się paplaniną ptaków, aromatem wiotkiej trawy i polnych kwiatów, ziemistym zapachem gruntu pod moimi stopami. Z prawej zauważyłam kępę drzew i samotny dąb, pod którym Roy stał dwa dni temu.

Fajnie by to wyszło na zdjęciu, pomyślałam – jedno samotne drzewo o spękany pniu i parasolowatych konarach oraz grupka drzew skupionych w tyle niczym dzieci wlokące się w ślad za rodzicem. Podeszłam bliżej, podnosząc aparat do oka; przekręcałam głowę w prawo i w lewo, korygowałam przysłonę, przybliżałam i oddalałam obraz, by skomponować ujęcie, które najbardziej będzie mi odpowiadać.

Musisz obejrzeć przedmiot z najróżniejszych stron, zanim go naprawdę zobaczysz, radziła babcia. Obchodziłam drzewo dokoła, pstrykałam zdjęcia jego i zagajnika z rozmaitych punktów, aż zauważyłam coś i stanęłam jak wryta.

Wycelowałam aparat tak, aby samotny dąb znalazł się z lewej, a większa część zagajnika po prawej. Daleko w prawym rogu obrazu dostrzegłam coś, czego nie widziałam, nie mogłam zobaczyć dwa dni wcześniej. Na wpół ukryte wśród polnych kwiatów majaczyły ruiny starych kamiennych fundamentów. Dąb, zagajnik i fundamenty były rozmieszczone dokładnie w taki sam sposób jak drzewo, zagajnik i stodoła na obrazie ze strychu Susan Porter. Zrozumiałam, że tutaj, naprzeciw mnie, gdzie wciąż można dostrzec ślady fundamentów, stała kiedyś stodoła. Jedyne, czego brakowało tej scenie, to babci i Cheta.

Dreszcz przebiegający mi po plecach sięgnął ramion, kiedy ostrożnie podeszłam bliżej. Z dywanu kwiatów wynurzały się fragmenty trzech rozsypujących się ścian. Spod roślinności wyglądały kamienie, pozłocone wielkimi plamami żółtych i zielonych porostów, jakby ktoś pochłapał je farbą w przypiływie twórczego szaleństwa.

Otoczona brzęczącą łąką rozmyślałam o babci i Checie Cummingsie.

Czułam ich obecność w glebie pod swoimi stopami, w nagranych od słońca głazach, które tworzyły dawniej fundament stodoły, w łodyżkach kwiatów muskających mnie po nogach niczym upominające się o uwagę wspomnienia.

Przejęta weszłam do holu Victory Inn z aparatem w ręce, chcąc opowiedzieć Haydenowi o swoim odkryciu. Przed kontuarem naprzeciw Pauli stała kobieta w kremowych spodniach, z popielatoblond włosami ułożonymi schludnie w luźne fale, jej okulary od słońca zsunięte na czubek głowy miały oprawki ozdobione brylancikami. Obok postawiła niewielką walizkę z wytłaczanej skóry.

Zamrugałam ze zdumienia.

– Mama?

Odwróciła się.

– Kochanie!

Wyciągnęła do mnie ramiona; złote bransoletki zadzwoniły, kiedy mnie całowała w oba policzki.

– Mamo, co tu robisz? – Obejrzałam ją od stóp do głów, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Cofnęła się i przyjrzała mi się uważnie.

– Zmieniłaś fryzurę. Wygląda... inaczej.

Przesunęłam dłonią po głowie.

– Naprawdę? – Roześmiałam się. – Pewnie po prostu zapomniałam wyszczotkować włosy.

Nagle znowu miałam jedenaście lat. Przegarnęłam je palcami, próbując zrobić przedziałek.

– Czemu przyjechałaś? Co...

Wpatrywała się we mnie takim wzrokiem, jakbym oświadczyła, że porwałam jej trenera jogi.

– Skarbie, za trzy miesiące wychodzisz za mąż. To nie jest moment, żeby przestać dbać o swój wygląd.

Paula odchrząknęła i obie się odwróciłyśmy.

– Zamierza pani zapłacić kartą?

– Och, tak, naturalnie. – Mama wyjęła portfel.

Paula ujęła kartę, kawałek całkowicie przezroczystego plastiku, i uniosła ją do światła. Zmrużyła oczy.

– Nigdy jeszcze takiej nie widziałam.

– Nie spotyka się ich często – odezwałam się, czując potrzebę, by wyjaśnić.

– Nie można ich zamówić. Prawdę mówiąc, to niemożliwe – ciągnęłam. – To bank wybiera niektórych klientów.

Paula nie kryła zdumienia.

Odciągnęłam mamę na bok.

– Mogłabyś mi wyjaśnić, co tutaj robisz? – szepnęłam. – Co jest grane?

– Poproszę też o prawo jazdy – odezwała się Paula.

Mama położyła dokument na kontuarze. Następnie przeniosła wzrok na mnie i skrzyżowała ręce na piersi.

– Co tutaj robię? To chyba oczywiste, Ellen. Od wielu dni nie dzwonisz.

Staralam się unikać jej spojrzenia.

– Wysłałam ci kilka esemesów.

– Ja do ciebie dzwoniłam – oświadczyła. – Wiele razy. I spodziewałam się tego samego w odpowiedzi. No wiesz, chodzi o ten staroświecki zwyczaj, kiedy rzeczywiście słyszysz, co mówi druga osoba.

– Przepraszam – mruknęłam. – Byłam po prostu trochę zakręcona.

Próbowałam się uśmiechnąć i kombinowałam, co jest nie tak, kiedy taksowała mnie wzrokiem, prześwietlając za pomocą swojego szóstego zmysłu.

– Który pokój dla mojej mamy? – spytałam dziarsko, kiedy Paula jeszcze raz spojrzała na przezroczystą kartę kredytową i oddała ją właścicielce.

– Dwunastka. Dokładnie naprzeciw pani.

– Uroczo – ucieszyła się mama, patrząc na mnie. – Musimy nadrobić mnóstwo zaległości.

Nie uśmiechała się.

Brwi Pauli uniosły się niczym para tresowanych psów.

– Ja myślę – mruknęła.

Matka wyjęła złotą puderniczkę.

– Pójdę się odświeżyć do swojego pokoju. – Spoglądała w lusterko, spulchniając włosy z tyłu. – Potem możesz mnie zabrać na latte, której rozpaczliwie potrzebuję, i opowiedzieć mi o wszystkim, co tu się naprawdę dzieje.

Co się naprawdę dzieje, pomyślałam. To by wymagało czegoś solidniejszego niż café latte.

– Też pójdę na górę – oznajmiłam. – Muszę pogadać z Haydenem. Powiem mu, że przyjechałaś.

– Z Haydenem? – Przeniosła spojrzenie z lusterka na mnie. – Co za niespodzianka. Nie wiedziałam, że przyjechałaś.

– Skończył sprawę. To długa historia.

– Cudownie – ucieszyła się. – Chodźmy się przywitać.

Paula podała jej pokwitowanie.

– Prawdę mówiąc, pana Crafta nie ma w pokoju. Wszedł niedawno z dwojgiem innych gości. Mężczyzną i kobietą. Niezłą laską – dodała, zerkając na mnie.

– Nazywa się Croft – poprawiłam.

Mężczyzna i kobieta. Musiało chodzić o ludzi z „Timesa”.

- Przyjechali z Nowego Jorku?
- Na sto procent – potwierdziła, sprawdzając w księdze gości.
- Chodzi o interesy – wyjaśniłam. – Są z „New York Timesa”.

Niezła laska, dobre sobie. Zastanawiałam się, jakie myśli kłębią się w głowie Pauli. Jak widać, miała za dużo wolnego czasu.

Mama zatrzasnęła puderniczkę, nachyliła się do mnie i szepnęła:

- Dlaczego Hayden rozmawia z kimś z „Timesa”?
- To też długa historia.

– Świetnie. Bardzo chętnie jej wysłucham. – Wskazała swój bagaż. – Czy ktoś mógłby to zanieść do mojego pokoju? – Spojrzała znowu na mnie. – Nie odmówiłabym też słodkiej bułeczki albo croissanta, albo czegoś w tym rodzaju. Umieram z głodu.

- Zabiorę cię do Trzypensowej Kafejki.
 - Kafejki?
 - Mają pyszne pączki z cydrem.
- Przechyliła głowę na bok.
- Od kiedy to jadasz pączki?

Kiedy weszłyśmy, kafejka była pusta. Ruszyłam przodem do stolika przy oknie.

- Czy tu nie ślicznie? Widać ocean.

Mama odsunęła zniszczone drewniane krzesło i usiadła. Obejrzała miniaturową szafę grającą i blat z zielonego laminatu.

– Interesująco. – Patrzyła na winyle zawieszzone na ścianach oraz na czarno-białe fotografie Buddy’ego Holly’ego, Jerry’ego Lee Lewisa, Plattersów i innych zespołów z lat pięćdziesiątych.

- Mam wrażenie, jakbym się cofnęła w czasie. Myślisz, że to celowy zabieg? Pokręciłam głową.

- Nie wiem, mamo. Podejrzewam, że po prostu właścicielowi tak się podoba.

Kelnerka o gęstych, siwych włosach, jak futro jakiegoś zwierzęcia, podała nam karty i zniknęła.

- Nie ma latte? – Mama przeglądała zawartość. – Ani croissantów...

Podczas gdy wertowała menu, ja obserwowałam gromadkę dzieci na plaży bawiących się łopatkami i wiaderkami oraz grupę nastolatków przy falochronie. Myślałam o babci, czy biegła po tej plaży w słońcu jako dziecko, czy przesiadywała przy księżycu na falochronie wraz z Chetem.

Kelnerka wróciła i mama zamknęła kartę.

– Poproszę kawę i muffinkę borówkową. – Westchnęła i spojrzała na mnie. – Twoja babcia była doskonałą kucharką. Piekła nadzwyczajne muffinki

z borówkami.

– Owszem, to prawda – przytaknęłam i znowu znalazłam się w kuchni przy Steiner Street, otoczona płynącym z piekarnika aromatem przypieczonego cukru, gdy wyjmowałyśmy z babcią muffinki z metalowych foremek i ustawiały je na drucianej podkładce, żeby ostygły; zobaczyłam błękitne strugi na powierzchni babeczek w miejscach, gdzie borówki rozpląnęły się od gorąca.

Zwróciłam się do kelnerki:

– Chyba też jedną wezmę.

Mama splotła dłonie i położyła je na blacie.

– Skoro rozmawiamy o babci, Ellen, chciałam ci coś powiedzieć.

Podniosłam wzrok.

– To ma związek z funduszem powierniczym.

Fundusz. Dawno temu babcia wspomniała, że założyła go dla mnie, nie znałam jednak żadnych szczegółów, nie wiedziałam nawet, czy nie został zlikwidowany.

– Więc istnieje?

– Tak, oczywiście. Parę dni temu widziałam się z Everettem. – Był to prawnik zarządzający spadkiem po babci. Nachyliła się nad stołem. – Na koncie jest spora sumka, Ellen.

Kelnerka postawiła przed nami kubki z kawą. Doleciał mnie lekki zapach orzechów pekanowych.

– Muffinki będą dosłownie za minutkę – zapewniła. – Właśnie je wyjmują z pieca.

Nalałam mleka do kawy i zaczęłam mieszać.

– Co to znaczy? – zwróciłam się do mamy.

Zniżyła głos do szeptu.

– Sześć milionów dolarów. W funduszu.

Zamarłam i wytrzeszczyłam oczy.

– Co?

Nawet nie mrugnęła.

– Widziałam wyciągi.

– To chyba żart.

– Mówię poważnie, Ellen.

Odebrało mi mowę. Babcia zostawiła mi sześć milionów dolarów. Sześć milionów. Nie potrafiłam znaleźć słów. Niezłe zarabiałam i Hayden też. Ale fundusz w wysokości sześciu milionów... To było jak parasol ochronny. Bardzo wielki parasol ochronny.

Pokręciłam głową.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Wyobraziłam sobie babcię w gabinecie Everetta, jak siedzi wyprostowana na

mahoniowym krześle, plik dokumentów na stole przed nią. Widziałam, jak trzyma wieczne pióro, jak jej ręka sunie po stronach, pozostawiając szlak podpisów skreślonych jasnoniebieskim atramentem.

– Chciałabym, żeby tu była – powiedziałam, czując ciężar w piersi. – Żebym jej mogła podziękować. Tak wiele dla mnie zrobiła i wciąż robi. Tęsknię za nią.

Mama sięgnęła przez stół i wzięła mnie za rękę.

– Mnie też jej brakuje.

– Nie zdołałam jej za to podziękować.

– Już podziękowałaś – zaprzeczyła. – Podziękowałaś przez to, jak bardzo ją kochałaś.

Siedzieliśmy w milczeniu, kiedy kelnerka stawiała przed nami muffinki. Po chwili mama pokroiła swoją na drobne kawałeczki i wsunęła jeden do ust.

– Mmm – mruknęła. – Wiesz, są naprawdę wyśmienite... chociaż nie tak dobre, jak twojej babci.

– Za babcię. – Uniosłam w toaście kubek z kawą. Mama podniosła swój i stuknęliśmy się.

– Za babcię – powtórzyła.

– Chciałam cię o coś spytać – rzuciła, kiedy kończyłyśmy przekąskę. – Jakim sposobem trafiłaś do tego dziwnego małego... jak to nazwać, pensjonatu? W pokoju nie ma nawet minilodówki.

Jeszcze chwila i spyta, czemu brakuje gabinetu odnowy.

Obejrzała paznokcie swojej prawej ręki.

– Chciałam się wybrać na manikiur. I może na masaż. Naciągnęłam mięsień w nodze, grając w tenisa w zeszły weekend, i bardzo mi dokucza. – Zaczęła rozcierać łydkę.

Och, mój Boże, naprawdę o tym myślała.

– Ogromnie mi przykro, ale gabinet odnowy zamknięto z powodu remontu – odparłam. – Otworzą go na nowo razem z centrum fitnessu... i polem golfowym.

Nie zdołałam pohamować uśmiechu.

Skrzywiła się zabawnie.

– Okej, zrozumiałam. Nici z odnowy. – Rozejrzała się po kafejce, a potem zerknęła przez okno. – To rzeczywiście małe miasteczko, nieprawdaż?

– Jest małe, ale mają tu sporo ciekawych miejsc. Na przykład...

– Nie wątpię, że jest urocze – przerwała mama, nachylając się do mnie – lecz nie mogę się doczekać, by zabrać cię do domu. Mamy tyle do zrobienia przed ślubem i tak niewiele czasu. Nie potrafię sobie wyobrazić, co cię tu zatrzymało.

Otworzyła torebkę i wyjęła listę spraw do załatwienia.

– Zobaczmy. – Przesunęła palcem w dół strony. – Musimy umówić ciebie...

i druhny na ostatnią przymiarkę sukien. – Zrobiła pauzę. – Jeszcze raz obejrzeć stroiki z kwiatów. – Odwróciła kartkę. – I naturalnie zaadresować zaproszenia. – Zakreśliła coś długopisem, a potem położyła listę na blacie. – Och, omal nie zapomniałam ci powiedzieć. Beezy i Gary Bridgesowie jednak przyjadą. Przesunęli termin safari, żeby być na ślubie.

Łamałam sobie głowę, kim są Beezy i Gary Bridgesowie, podczas gdy wizja ślubu krystalizowała się w moim umyśle. Kościół Świętego Tomasza, dziesięć druhen, dziesięciu družbów, trzystu gości, przysięgam ci wierność, w chorobie i w zdrowiu. Czułam, jak ściska mi się gardło. To wszystko było takie... ostateczne.

– Miło z ich strony. – Staralam się, by w moim głosie brzmiało ożywienie. I przypomniawszy sobie, o kogo chodzi, dodałam: – Zdaje się, że zamierzali się rozwieść.

Mama okręciła jedną z bransoletek na nadgarstku.

– Owszem – przytaknęła radośnie. – Zamierzali. Ale zamiast tego postanowili kupić nowy dom.

Kiwnęłam głową, starając się zrozumieć logikę tego posunięcia, podczas gdy mama odstawiała kubek na spodek z cichym stuknięciem.

– Więc mi wyjaśnij – podjęła. – Czemu wciąż tkwisz tutaj i czemu nie oddzwoniłaś? Jak dostarczenie jednego listu mogło ci zabrać tyle czasu? I co robi tutaj Hayden? Co tu się dzieje, Ellen?

Zastanawiałam się, ile powiedzieć i od czego zacząć. Od obrazu na strychu? Lili Falk? Od Sugar? O pomoście nie zamierzałam wspominać. To by ją wprawilo w popłoch.

Zaczełam od tego, jak przekazałam list Royowi i odkryłam, że Chet Cummings zmarł. Potem opowiedziałam wszystko o obrazach oraz o miejscach, w jakich je znalazłam, kończąc na wizycie u Sugar Hawley.

– Wiedziałaś, że babcia była malarką? – spytałam.

Mama napiła się kawy.

– Trudno mi w to uwierzyć, Ellen. Myślę, że autorem musiał być ktoś inny. Twoja babcia nie była artystką.

Nachyliłam się przez stół.

– Mamo, widziałam je. Wyścigi żaglówek, portrety, borówkowa farma należąca dawniej do rodziny Cheta Cummingsa. Namalowała to wszystko. A jeśli sądzisz, że nie była artystką – zakończyłam trochę wyzywająco – to żałuj, że nie było cię przy tym, kiedy mnie uczyła fotografii.

Słuchała, udając zainteresowanie.

– Sądzę, że gdyby miała talent, dowiedziałabym się o tym.

– Zaprowadzę cię do Porterów i do Towarzystwa Historycznego, będziesz mogła przekonać się sama – powiedziałam. – Wtedy zrozumiesz.

Podeszła kelnerka z dzbankiem kawy.

– Dolewkę, drogie panie?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała mama.

– Mnie też już wystarczy – dodałam.

Kobieta zerknęła na mnie, a potem drugi raz uważniej. Gapiła się uporczywie. Odeszła, ale chwilę później wróciła, trzymając coś zwiniętego pod pachą.

– Ha, tak myślałam. – Przyglądała mi się z przechyloną na bok głową. – Nie pomyliłam się. Miałam nadzieję, że się pani zjawi i będę mogła poprosić o autograf.

– Auto... – zaczęłam, ale głos uwiązł mi w gardle.

– Jasne, zachowałam gazetę na wszelki wypadek.

Rozwinęła egzemplarz „Beacon Bugle” i położyła na blacie. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie, na którym stałam po pas w oceanie w białym T-shircie klejącym się do ciała, obejmowałam Roya mocno za szyję i całowałam go namiętnie w same usta.

Wzdrygnęłam się.

Kelnerka położyła przede mną długopis.

– Wie pani, że nigdzie nie można dostać tego numeru? Wyprzedził się do końca. Niezwykle, prawda?

Kiwnęłam głową, wciąż niezdolna do mówienia.

– Podpisze mi go pani? – poprosiła. – Mogłaby pani dodać: „Dla Dolores z serdecznymi pozdrowieniami od Pływaczki”?

– Co to takiego? – Mama przekręciła gazetę do siebie, wkładając okulary do czytania i zasłoniwszy usta, szepnęła na stronie: – Czemu chce twój autograf?

– Lepiej, jeśli wszystko ci wytłumaczę – odparłam.

Poczułam, jak dno mojego żołądka ląduje na podłodze.

– „Beacon Bugle”? – Mama wygładziła zagięcie.

Jej oczy przebiegały po stronie.

Uniosłam rękę.

– Mamo, koniecznie muszę z tobą o tym porozmawiać. Czy mogłybyśmy, proszę, wrócić do...

– O, w tym miejscu. – Kelnerka wskazała moją podobiznę. – Mogłaby pani podpisać tutaj, obok zdjęcia?

Mama zobaczyła, co tamta wskazuje. Zaczęła czytać podpis. Miałam ochotę porwać gazetę i wybiec, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Wszystko zamarło. Mogłam jedynie siedzieć, czułam na plecach zimny pot.

Mama podsunęła okulary wyżej na nosie, oglądając fotografię. Po chwili wykrzyknęła zdławionym głosem:

– O mój Boże!

Przysunęła stronę do oczu, a potem odsunęła na długość ramienia, jakby właściwa odległość mogła zmienić wydrukowane słowa albo lepiej – sprawić, by zniknęły.

– To ty! Ellen, co robisz w tej gazecie? I kim, na miłość boską, jest mężczyzna, którego całujesz?

– Mówiłam, że muszę ci to wyjaśnić.

Oczy miała szeroko otwarte z przerażenia, z twarzy odpłynęły wszystkie kolory. Chwyciłam długopis i nabazgrałam obok fotki: „Dla Dolores z serdecznymi pozdrowieniami od Pływaczki”.

– Proszę to zabrać. – Wcisnęłam gazetę kelnerce. Ulotniła się szybko, dziękując wiele razy.

– Chyba potrzebuję jeszcze jednej kawy – powiedziałam słabym głosem.

– A ja szkockiej.

– Nie pijasz szkockiej, mamó.

– To niezły moment, by zacząć. – Spojrzała na mnie; stalowoszare oczy o mocy wykrywacza kłamstw prześwietlały mnie bacznie. – Co tu się dzieje? Tonęłaś? Kim jest ten mężczyzna?

Z każdym pytaniem jej głos wznosił się o kilka nut.

Uniosłam palec.

– Tylko w ramach wyjaśnienia: nie uważam, że rzeczywiście tonęłam. W tym punkcie się mylą. Poczulałam się po prostu trochę...

– Dlatego do mnie nie zadzwoniłaś? Bo romansowałaś z tym mężczyzną? Och, mój Boże.

Patrzyła w sufit, masując czoło.

– Nie, mamó. Posłuchaj. Nie romansuję. Mogę to wyjaśnić. Załamał się pode mną pomost i...

– Pomost? – Wyprostowała się jak struna.

Och, Boże, czemu o tym wspomniałam?

– Tak, ale nic mi się nie stało, naprawdę. Tylko w tym miejscu był prąd odpływowy i mnie porwał...

– Porwał cię prąd odpływowy? Ellen!

Prawda wypływała teraz na wierzch, czy tego chciałam, czy nie.

– Mamó, tłumaczyłam, nic mi się nie stało. Ten gość ze zdjęcia... skoczył do wody i mnie przyholował.

– Kiedy to wszystko się stało?

– Pierwszego dnia po moim przyjeździe.

Schyliła się nad blatem, zniżyła głos i spytała surowo:

– Czemu mi nie powiedziałaś?

– Nie chciałam, żebyś się martwiła.

– Cóż, teraz się martwię.

– Nic mi nie jest.

– Nieważne. I tak powinnaś mi powiedzieć. – Posłała mi krępująco przeciągłe spojrzenie. – A ten mężczyzna? Ten bohater, jak go nazywają w gazecie? Co cię z nim łączy?

– Nic mnie nie łączy, mamó. – Zbyłam ją machnięciem ręki.

– Sądząc ze zdjęcia, nie wygląda mi to na nic.

– Samo tak wyszło – wyjaśniłam. – Chyba tak się ucieszyłam, gdy stanęłam znowu na twardym gruncie, że... sama nie wiem.

Spojrzałam za okno, tam, gdzie błękitny, wzburzony ocean spotykał się z niebem, a ja przypominałam sobie, jak Roy postawił mnie w wodzie; jak moje stopy dotknęły ziarnistego piasku i jak zarzuciłam mu ręce na szyję; przypominałam sobie dotyk jego ust smakujących solą oraz popołudniowym słońcem.

– Po prostu samo tak wyszło... Tyle.

Uniosła podbródek i spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

– Nie powiedziałaś wszystkiego. Coś przede mną ukrywasz.

– Nie, skąd. Nic nie ukrywam. Jesteśmy tylko... jesteś-my tylko przyjaciółmi. – Spuściłam wzrok i przesunęłam palcem po krawędzi kubka z kawą. – Cóż, on chyba chciałby zostać kimś więcej, ale wie, że jestem zaręczona. W każdym razie teraz już wie.

Uniosła brew.

– Teraz już wie?

– Tamtego wieczoru w Antlerze nie wiedział. Kiedy zemdlałam i mnie złapał... – Urwałam, uświadamiając sobie, że powiedziałam za dużo.

Mama sapnęła.

– Zemdlałaś? Ellen!

Podniosłam ręce.

– Mamó, nic się nie stało. Zdążył mnie złapać. Miałam szczęście, że tam był. A potem... trochę tańczyliśmy i, no cóż, sympatyczny z niego facet. Naprawdę. Ma w sobie coś czarującego.

Przypomniał mi się Antler i two-step, i to, jak lekko płynęłam po parkiecie w ramionach Roya.

– To już wszystko? – spytała mama. – Nie ma nic więcej?

Patrzyłam w stronę plaży, gdzie chłopiec puszczał latawca. Niebieski plastikowy kształt trzepotał i łopotał na wietrze, w miarę jak dzieciak stopniowo odwijał sznurek. Mama przewiercała mnie wzrokiem.

– Okej. Może rzeczywiście uważam go za dość atrakcyjnego. – Zacisnęłam dłonie pod blatem. – Ale to po prostu dlatego, że za trzy miesiące wychodzę za mąż i miło jest mieć świadomość, że wciąż potrafię zwrócić uwagę mężczyzny.

Na twarzy mamy nie drgnął nawet jeden mięsień. Nie byłam pewna, czy mi

wierzy.

Znów spojrzałam na plażę. Latawiec wzbił się w powietrze, chłopiec trzymał koniec sznurka. Mama nie odzywała się ani słowem. Niepostrzeżenie rozdzielił nas mur milczenia.

– Może to niecała prawda. – Uległam. – Może jest coś jeszcze. Tylko sama nie wiem, co to takiego. Nie jestem w nim zakochana ani nic... Kocham Haydena. Ale Roy ma w sobie coś... i nie potrafię...

Mama pobladła.

– Och, dobry Boże. Ellen, co to za człowiek? Skąd pochodzi? Kim są jego krewni?

– Jest z Beacon, mamo.

– Z Beacon?

– To bratanek Cheta Cummingsa.

Opowiedziałam, jak kilkanaście razy odwiedzałam dom Cheta, aż natknęłam się na Roya i usłyszałam, że Chet zmarł, a Roy jest jego bratankiem.

– Czym się ten człowiek zajmuje?

– Jest cieślą. Buduje domy.

Zamrugnęła.

– Cieślą. Takim, który nosi pas narzędziowy i jeździ furgonetką? Tego rodzaju?

– Właśnie.

Odwróciła wzrok, jakby wypatrywała czegoś daleko na plaży. Może żółtego psa wbiegającego do wody albo kobiety z małą dziewczynką. A może nie patrzyła na nic.

Na koniec wstała i zajęła wolne miejsce obok mnie. Słoneczna plama zatańczyła na laminowanym blacie. Mama położyła rękę na mojej dłoni. Oczy miała łagodne jak niebieskie szkiełko wyłowione z morza.

– Kochasz Haydena? – spytała.

Skinęłam głową.

– Oczywiście.

– I nadal chcesz za niego wyjść?

– Tak, tak.

Pokiwała głową.

– Okej, skarbie, wiem, o co tu chodzi, i to zupełnie zrozumiałe. – Jej twarz przybrała wszystko rozumiejący, matczyzny wyraz i poczułam się, jakbym znowu miała sześć lat. – Mogę ci powiedzieć, że twoja reakcja jest całkowicie naturalna. – Odgarnęła mi włosy z ramienia i się uśmiechnęła. – Dzięki Bogu, bo obie możemy odetchnąć z ulgą.

– O czym ty mówisz? Reakcja na co?

Odchyliła się na krześle.

– Nigdy ci nie opowiadałam historii Cici Baker?

– Kogo?

– Cici Baker. Mojej dawnej partnerki od tenisa. Nie pamiętasz jej?

– Och, tak, chyba tak.

– No więc jakichś pięć lat temu dowiedziała się, że ma raka. – Mama spojrziała z ukosa. – Z pewnością ci opowiadałam... Okej, w każdym razie poszła do lekarza... onkologa z Manhattanu... nazywał się Sloan-Kettering. Bez cienia wątpliwości uratował jej życie, a ona zakochała się w nim do szaleństwa.

– W onkologu?

– Tak, oczywiście. A wcale nie był atrakcyjny... Niski, krępy i chyba miał zagęszczane włosy. – Skrzywiła się. – Lecz Cici nie dostrzegła tego wszystkiego. Ocalił jej życie. Wielbiła ziemię, po której stąpał.

– Wzięli ślub?

– Ślub? Skąd! Okazało się, że facet jest gejem.

Skrzyżowałam ręce.

– I o co ci chodzi w związku z tą historią?

Położyła mi rękę na ramieniu.

– Dwa miesiące później wywietrzył jej z głowy. Chodzi mi o to, że to naturalne zadurzyć się... może nawet uznać, że się zakochałaś... w kimś, kto ci uratował życie. Ale to nie musi nic znaczyć.

Obserwując, jak na jej policzki wracają kolory, przypomniałam sobie całą sekwencję zdarzeń: od upadku z pomostu, poprzez wpadnięcie do wody i pojawienie się Roya do ostatniej chwili, kiedy mnie doholował do brzegu, gdy poczułam pod stopami piasek i obdarzyłam go... pocałunkiem. Czy moja fascynacja wynikała jedynie z tego, co dla mnie wtedy zrobił? Skoro Cici Baker sądziła, że zakochała się w swoim onkologu... rozumiecie, gość zagęszczał sobie włosy!

Mama obserwowała mnie uważnie.

– Ellen, nie jesteś zakochana w cieśli z Beacon w stanie Maine. Wierz mi, nie jesteś. – Uśmiechnęła się. – Pracowałaś zbyt ciężko, by dotrzeć do tego punktu w swoim życiu, gdzie się znajdujesz. To chwilowe zauroczenie człowiekiem, który pomógł ci w trudnej sytuacji. Nie nadawaj temu przesadnego znaczenia. – Uniosła mój podbródek. – Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi.

Rozdział 17

Chet

Wędrowałam za mamą chodnikiem w stronę Victory Inn, podziwiając jej przenikliwość. Dokładnie tak, jak twierdziła, Roy z pewnością pociągał mnie wskutek tego, że mnie ocalił, kiedy zdarzył się wypadek. Musiało tak być. Ktoś ratuje ci życie, więc go traktujesz z nabożną czcią. Doskonale rozumiałam, że mogło to doprowadzić do... no cóż, zauroczenia, i to chociaż miałam w swoim życiu kogoś tak cudownego jak Hayden.

– A teraz – mama zatrzymała się przed schodkami prowadzącymi do hotelu – co powiesz na to, żebyś wybrała najsympatyczniejszą restaurację w miasteczku... albo gdzieś w okolicy – dodała z szybkim ruchem nadgarstka – a ja zaproszę tam was na kolację dzisiaj wieczorem.

Najsympatyczniejsza restauracja. Zastanowiłam się, która mogłaby to być i czy mama podoła takiej próbie. Przywykła... wystarczy powiedzieć: do pewnego poziomu. Nie byłam przekonana, czy mam ochotę na kolację na mieście. Nie żebym nie doceniała jej zaproszenia lub faktu, że jechała taki kawał drogi do Beacon. Powinnam jednak pobyć z Haydenem sam na sam, nadrobić zaległości, i pomyślałam, że moglibyśmy zacząć od romantycznej kolacji w hotelowej jadalni. Blask świec, stolik w rogu, butelka przyzwoitego wina... no, w każdym razie butelka wina...

– Mamo, co najmniej wyskoczmy wszyscy razem na drinka, a jutro wieczorem to my ciebie zabierzemy na kolację, okej? Dzisiaj wołałabym pobyć trochę tylko z Haydenem.

– Dobry pomysł – pochwaliła, ale uciekła wzrokiem.

Moja komórka zadzwoniła dokładnie w chwili, kiedy mama otwierała drzwi do hoteliku. Kierunkowy wyglądał znajomo, ale numeru nie poznałam.

– Porozmawiam na zewnątrz – powiedziałam. – Nie mają tu baru. – Ruchem głowy wskazałam budynek.

Skinęła lekko i weszła do środka.

Przyłożyłam aparat do ucha.

– Tak?

Przez sekundę nikt się nie odezwał.

– Ellen? – Męski głos. – Hej. Tu Roy Cummings.

Roy Cummings? Poczułam, jak coś zatańczyło w moim wnętrzu. Dziwnie było go słyszeć przez telefon. Dziwnie i niemal intymnie.

– Och... cześć – odparłam, o włos od tego, by zacząć obgryzać paznokcie.

Czemu zawsze wprawiał mnie w zdenerwowanie?

– Paula dała mi twój numer – wyjaśnił.

Przekazała Royowi mój numer. Hmm.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz, ale muszę z tobą pogadać. Ważna sprawa. – Umilkł na sekundę. – Chcę ci coś pokazać. Mogłabyś do mnie podjechać?

– Do twojego domu?

– Tak.

Teraz miałam podstawy do zdenerwowania. Dom Roya Cummingsa? Raczej niezbyt dobry pomysł.

– Kiedy?

– Teraz byłoby idealnie, gdyby się dało.

– W tej chwili? Co takiego chcesz mi pokazać?

– Uważam, że powinnaś przyjechać – powtórzył. W jego głosie brzmiało naleganie. – To ma związek z twoją babcią i moim strykiem.

Spojrzałam na zegarek. Kwadrans po trzeciej po południu. Może Hayden wciąż jeszcze jest z ludźmi z „Timesa”. Może zdołam wyskoczyć dosłownie na dziesięć minut.

– Okej. Zaraz będę.

Otworzył drzwi w parę sekund po tym, kiedy zapukałam. Weszłam do ciasnego przedpokoju i ruszyłam za nim do salonu. Podłoga była z drewna w kolorze orzecha, po obu stronach ciemnego stolika do kawy stały biała sofa i dwa krzesła. Mimo prostoty wyglądało to efektownie. Jedną ścianę pokrywały wbudowane regały zastawione zdjęciami i przedmiotami wyglądającymi na stare narzędzia – drewniana poziomiczka, komplet hebli z pięknie lakierowanymi rączkami, drewniana linijka z zawiasami pozwalającymi ją składać. Zastanawiałam się, czy należały dawniej do Cheta. No i książki. Setki – małych, dużych, w twardych i miękkich okładkach. Zastanawiałam się, czy te starsze, w spłowiałych płóciennych oprawach, również odziedziczył po Checie.

Roy zaprosił gestem, bym usiadła.

– Masz ochotę na drinka albo coś innego? Wodę, wodę gazowaną, sok? Wino? Mam niezłego beychevelle’a, może ci posmakuje.

Beychevelle? Więc to on był klientem Winnej Piwnicy? W głębi duszy miałam ochotę się zgodzić, wiedziałam jednak, że to nie najlepszy pomysł.

– Nie, dzięki. – Zdecydowałam, że lepiej, jeśli zobaczę to, co ma do pokazania, i sobie pójdę.

– Zaraz wracam – powiedział.

Podeszłam do regału.

Leżał na nim przedmiot mogący, moim zdaniem, być mosiężnym ciężarkiem od pionu, choć w zasadzie nie wiedziałam, jak taki ciężarek wygląda. Obok oprawiona w ramki fotografia przedstawiała Roya, wyglądającego na dwadzieścia parę lat, oraz dwóch starszych mężczyzn tak do siebie podobnych, że mogliby niemal być bliźniakami. Rodzinne podobieństwo całej trójki było oczywiste.

– Mój tato. – Roy podszedł od tyłu i wskazał mężczyznę po lewej. – A to stryjek Chet.

– Ach, te oczy Cummingsów – zauważyłam, zwracając się w jego stronę. – Wszyscy je macie. Intensywnie błękitne.

Usiedliśmy, Roy na jednym końcu sofy, ja na krześle naprzeciw. Trzymał w dłoniach drewnianą skrzynkę, trochę mniejszą od pudełka na buty, pomalowaną z zewnątrz satynowym lakierem. Wyglądała na cedrową.

– Po śmierci stryjka – zaczął – zostało mnóstwo rzeczy... ubrań, przedmiotów osobistych, sama wiesz. – Rozsiadł się wygodniej. – Naprawdę nie chciało mi się ich wtedy przeglądać. Byłem zbyt przygnębiony. Zresztą uznałem, że nie ma pośpiechu. – Zerknął na pudełko. – Lecz kilka dni temu, kiedy tu przyszedłaś i przydybałem cię na drabinie...

Spuściłam wzrok.

– A potem opowiadałem ci o pomoście... No cóż, wiedziałem, że stryjek miał stare zdjęcia nas obu nad wodą. I uznałem, że może pora przejrzeć jego rzeczy. Ciągle myślałem o tobie i o wszystkich pamiątkach po babci, które znajdujesz, aż zdecydowałem: Skoro Ellen może to zrobić... no więc wykombinowałem, że poszukam fotografii. Znalazłem je. – Zawahał się. – Ale znalazłem też coś innego.

Podał mi skrzynkę.

– Otwórz, proszę.

Odchyliłam mosiężną klapkę i uniosłam pokrywkę, wypuszczając obłoczek cedrowego aromatu. W środku był plik kopert różniących się nieco kształtem i rozmiarem, związanych kawałkiem zetłalego sznurka.

Koperty miały pozaginane i zniszczone brzegi, papier spłowiał, przybierając kremową lub jasnobrazową, a nawet pomarańczową barwę. Zauważyłam kilka znaczków. Wydrukowane w odcieniach stłumionego błękitu, czerwieni i zieleni, przypominały maleńkie dzieła sztuki ze wzorami tak delikatnymi, że zdawały się niemal nieostre. Duże, okrągłe pieczęcie zwrotu wskazywały, że każdy list wysłano nie raz, lecz dwukrotnie.

Na kopercie leżącej na wierzchu przyklejono fioletowo-brązowy znaczek za trzy centy z podobizną Caseya Jonesa między dwiema lokomotywami. Pośrodku widniało nazwisko „Ruth Goddard”, a poniżej adres w Chicago. Atrament, dawniej zapewne niebieski albo czarny, spłowiał do ziemistego brązu, lecz charakter pisma wciąż był czytelny, ścisły i śmiały.

Ostrożnie przesunęłam po nim palcem.

– Od twojego stryja do mojej babci.

Roy nachylił się bliżej.

– Nie chciałem ich czytać bez ciebie.

Sięgnął i delikatnie pociągnął za sznurek, który pękł mu w palcach.

Wzięłam pierwszą kopertę. Papier był w dotyku cienki i suchy. Na skrzydełku od tyłu wypisano nazwisko Cheta Cummingsa, a niżej adres w Beacon. Przejrzałam pozostałe listy. Wszystkie adresowane do babci w Chicago i wszystkie pochodziły od Cheta. Żaden nie został otwarty. Na każdym babcia przekreśliła swoje nazwisko oraz adres i swoim schludnym charakterem napisała: „Zwrócić do nadawcy”.

Spojrzałam na Roya, czując wzbierający smutek.

– Wszystkie napisał do niej.

Skinął głową.

– Od drugiego grudnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku – powiedziałam, sprawdzając daty na pieczętkach zwrotu – do dziewiątego lipca pięćdziesiątego pierwszego. Tyle listów, lecz nie otwarła nawet jednego.

– Na to wygląda.

Roy wspomniał, że chce je przeczytać, ja jednak miałam wątpliwość, czy powinnam. Musiały to być listy miłosne. Ścisnęło mnie w żołądku.

– Naprawdę myślisz, że powinniśmy? – Odstawiłam pudełko na stolik. – Zawierają najintymniejsze myśli twojego stryja, a były skierowane do mojej babci.

– Owszem – odpowiedział z tak całkowitym przekonaniem, że niemal się wzdrygnęłam. – Uważam, że powinniśmy je przeczytać.

Podszedł do okna, spojrzał na coś i przegarnął włosy palcami.

– Nie mówię, że czuję się z tym całkowicie swobodnie. Jasne, to trochę jak wdzieranie się w czyjąś prywatność... ale posłuchaj, Ellen, ciebie wciągnęła w to twoja babcia, a teraz, jak mi się zdaje, mój stryjek wciągnął mnie. Musimy się z tym uporać ze względu na nich i na nas samych, a potem żyć dalej. Cokolwiek ich spotkało, wszyscy musimy zamknąć przeszłość.

Zwróciłam uwagę na to, co powiedział. *Wszyscy musimy zamknąć przeszłość.* Wszyscy, włączając także przodków, którzy nas w to wciągnęli. Zrozumiałam sens jego słów. Zastanawiałam się, czy sama o tym nie wiedząc, nie dźwigałam na barkach części brzemienia babci, odkąd zrozumiałam, że nie zdołam przekazać listu Chetowi. *Musimy się z tym uporać, a potem żyć dalej.* Miał rację.

– Okej – ustąpiłam. – W takim razie myślę, że ty powinieneś zacząć.

Wziął pierwszą kopertę ze stosu, tę z najstarszymi datami zwrotu, i przesunął palcem pod klapkę. Pojedyncza kartka, którą wyjął ze środka, dawniej biała lub kremowa, spłowiwała na ciepły, jasnobrązowy kolor. Rozprostował ją, wygładzając głębokie ślady złożenia, i podczas gdy ja siedziałam przycupnięta na

krawędzi krzesła, zaczął wolno czytać.

2 grudnia 1950

Kochana Ruth,

wciąż jestem w szoku, odkąd wróciłem ze spotkania z Tobą w Chicago. Przeczytać coś w liście to jedno, a zupełnie co innego – usłyszeć osobiście. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę go kochasz. Rozumiem, że jego awanse mogły Ci pochlebiać. Studiuj medycynę. Kiedyś zostaniesz lekarzem. Różni się od wszystkich ludzi, których znałaś dotąd. I pierwszy raz w życiu wyjechałaś z domu. Ale proszę, spytaj własnego serca i upewnij się, czy Twoje uczucia są szczere.

Czy tak łatwo potrafisz się odwrócić od wszystkiego, co ze sobą dzieliliśmy? Czy naprawdę umiesz zapomnieć ostatnie trzy lata? Jesteśmy tak podobni, Ty i ja. Pochodzimy z tego samego miejsca; pragniemy tych samych rzeczy. Wiem, co myślisz, zanim jeszcze sama się zorientujesz. Czy to samo możesz powiedzieć o Henrym? Jakim cudem mógłby Cię znać tak dobrze jak ja? Albo kochać tak, jak ja Cię Kocham?

To, co wydaje Ci się miłością, może być zaledwie zauroczeniem, które ulotni się po kilku miesiącach. My dwoje mamy wspólne wspomnienia. Mamy przeszłość – farmę i letnie borówki, słuchanie radia na ganku u Twoich rodziców, Twoje sztalugi i farby pod dębem przy stodole. Wiem, że mamy wspólną przeszłość, i sądziłem, że mamy też przyszłość. Proszę, nie ryzykuj tego wszystkiego. Nie śpiesz się i zastanów dobrze. Nie rób czegoś, czego mogłabyś żałować. O to tylko proszę. Pamiętaj, nie ma na świecie człowieka, który kochałby Cię bardziej niż ja.

Chet

Westchnęłam przeciągle. Dziwnie było słuchać, jak Roy czyta list swojego stryja do mojej babci. Czułam, że w pewnym sensie powinnam w zastępstwie za nią przeprosić, że nie chciała wysłuchać tych wyznań, odwzajemnić uczuć Cheta. Nie byłam jednak babcią, a Roy nie był stryjem, więc jaki miałyby to sens?

– Stryjek nie należał do facetów, którzy się łatwo poddają. – Roy schował list do koperty i podał mi kolejny.

Był datowany niespełna tydzień po pierwszym. Chet ponownie prosił babcię, by się nie śpieszyła, i powtarzał, jak bardzo ją kocha. Następnie opisywał, jak wyglądało jego życie w Maine tamtej zimy.

Widziałem wczoraj, jak George Cleary i Ruby Swan szli z toboganiem na Hubbard Hill, i pomyślałem o Tobie. Przypomniała mi się ostatnia zima, gdy wspinaliśmy się razem na to samo wzgórze, świeży śnieg skrzypiał pod nogami, nasze oddechy wisiały w powietrzu niczym obłoki. Zimno tu bez Ciebie. Krzewy borówek okryły się lodem i całą noc wiatr wyje jak głodne zwierzę. Tęsknię za Tobą. Kocham Cię.

– Piękne – szepnęłam z zamglonymi oczami.

Czemu, dumalam, nie mogła tego przeczytać? Czemu nie mogła mu odpisać? Czułam się okropnie ze względu na Cheta. Żałowałam, że nie mogę wywołać duchów obojga i pozwolić, by ze sobą porozmawiali, wypowiedzieli to wszystko, co powinni sobie wyznaczyć za życia.

– Nie miałem pojęcia, że stryjek był takim poetą – przyznał Roy, zerkając na mnie. – Bez wątplenia kochał się w twojej babci.

Kiwnęłam głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Podałam mu następny list, pisany w styczniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku.

W świąteczny tydzień szukałem Cię po całym miasteczku. Liczyłem, że przyjechałaś do domu i migniesz mi gdzieś w studebakerze Twojego ojca albo zobaczę Cię ślizgającą się na łyżwach na stawie. A potem usłyszałem, że pojechałaś do Kalifornii, by spędzić Boże Narodzenie z rodziną Henry'ego. I znowu pękło mi serce. Zima bez Ciebie jest taka długa.

Dwa tygodnie później donosił:

Chapmanowie powiesili Twój obraz na ścianie w kawiarence. Dobrze się tam prezentuje. Ludzie pokazują go sobie i wspominają, że wygrałaś konkurs. Ciesz się, że malowałaś go latem. Przypomina mi, jak to miejsce wygląda bez śniegu.

W lutym Chet dał znać, że słyszał o zaręczynach babci z moim dziadkiem. „Zastanawiam się, jak będę dalej żył”, pisał, „wiedząc, że zostaniesz jego żoną; wiedząc, że zajął miejsce, które ja pragnąłbym zajmować”.

Majowy list wysłano ze stanu Vermont.

Przeniosłem się tutaj, bo musiałem wyjechać z Beacon. Kuzyn Ben załatwił mi robotę w tartaku. Choć wreszcie przyszła wiosna, nie mogłem wytrzymać na farmie. Bez Ciebie jej piękno uleciało, a wszystko, co czułem dawniej wobec ziemi, zniknęło. Zostały tylko bolesne wspomnienia. Ojciec tego nie rozumie. Wciąż nalega, bym przejął farmę. Mówi, że się starzeje i nadszedł czas, żebym go zastąpił. Lecz tego nigdy nie było w planach. Mieliśmy to zrobić razem, Ty i ja. Czy to nie dziwne, że coś, co uważaliśmy za bardzo ważne, nagle staje się pozbawione znaczenia?

Podobno opuszczasz Chicago i od jesieni będziesz studiować w Kalifornii. Przykro mi słyszeć, że znajdziesz się jeszcze dalej. Podobno też rzuciłaś malowanie. Jeśli to prawda, popełniasz straszny błąd. Masz ogromny talent, Ruth. Nigdy nie przestawaj malować.

Zanim Roy skończył czytać, moje serce krwawiło nad Chetem. Babcia zlekceważyła jego listy, z jej powodu porzucił farmę i rodzinne miasteczko.

Wzięłam kartkę od Roya i przeczytałam po cichu, zaczynając rozumieć, czego w istocie dotyczyły przeprosiny babci; z jakiego powodu czuła tak wielkie wyrzuty sumienia.

– Rozumiem już, o co chodziło w liście mojej babci – powiedziałam. – W tym fragmencie, gdzie pisała, że twój stryjek porzucił coś, co kochał najbardziej. – Spojrzałam na mężczyznę. – Miała na myśli farmę.

Pokiwał głową.

– Aha. – Jego głos brzmiał cicho. – Chyba masz rację.

Siedzieliśmy kilka minut zapatrzeni w cedrowe pudełko, po czym Roy wyjął i otworzył ostatnią kopertę.

9 lipca 1951

Droga Ruth,

w zeszłym tygodniu widziałem Cię w Beacon. Czy to nie dziwne, że oboje wróciliśmy do miasteczka w tym samym czasie? Przyjechałem pomóc matce posprzątać dom. Nie wiem, czy słyszałaś, ale sprzedali farmę.

Widziałem Cię siedzącą z Henrym na falochronie. Trzymałaś go za rękę. W pierwszej chwili zobaczyłem Cię od tyłu, ale od razu wiedziałem, że to Ty. Znam

każdą falę Twoich włosów, kształt Twojej twarzy, pochylenie głowy. Obserwowałem was chwilę. Zwróciłaś się do niego i się roześmiałaś. Oparłaś mu głowę na ramieniu. Coś Ci pokazał, może latającą rybę. Obserwowałem was chwilę, a potem pożegnałem dziewczynę, którą dawniej znałem.

Przez wiele miesięcy sądziłem, że jeśli kiedyś spotkam Henry'ego albo Ciebie z nim, nie przeżyję tego. A jednak przeżyłem. Może dlatego, że zdawałaś się taka szczęśliwa. A może, bo rozumiem teraz, że to, co się wydarzyło po Twoim wyjeździe z Beacon, było Ci przeznaczone.

Chet

Rozpłakałam się, łzy popłynęły mi po policzkach.

– Nie mogę się pogodzić z tym, że nigdy tego nie przeczytała. Szkoda, że nie mogę przeprosić w jej imieniu.

Roy odłożył list.

– Ellen, nie musisz przeproszać. Twoja babcia już to zrobiła. Napisała list. Przysłała cię tutaj, byś go doręczyła. Pragnęła wszystko naprawić. – Nachylił się bliżej. – A jeśli chcesz znać prawdę, ja żałuję jej.

Otarłam łzę ręką.

– Serio?

– Tak. Umierając, wciąż myślała o moim stryju. Czy to o czymś nie świadczy? Że tak naprawdę nie czuła się szczęśliwa. Nosiła w sobie to wszystko przez lata. I chyba bardzo cierpiała.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Jaki wpływ na życie babci miały zdarzenia, które rozegrały się ponad sześćdziesiąt lat wcześniej?

– Może masz rację. – Sięgnęłam po jedną z kopert i wygładziłam zagniecenia. – Tylko dlaczego to musiało być takie skomplikowane?

Pokręcił głową, a potem wzruszył lekko ramionami.

– Nie wiem. Pewnie dlatego, że miłość jest skomplikowana. – Włożył listy z powrotem do skrzynki. – I to jest w tym wszystkim najsmutniejsze. Pomyśl: na czym polegał jej najgorszy błąd?

Wpatrywał się we mnie tak intensywnie, że jego błękitne oczy przypominały pulsujące gwiazdy, i pomyślałam, że zdoła zajrzeć w moją duszę. Spuściłam wzrok.

– Zakochała się w kimś innym, Ellen. Tak bywa. Nie lekceważę tego, że mój stryj został zraniony, ale takie już jest życie. Uporał się z tym i później ożenił się z moją ciotką. Widzisz, wszystko się ułożyło.

Położył dłoń na mojej ręce.

- Więc puśćmy to w niepamięć. Można powiedzieć, że zawarli pokój.
- Masz rację – przyznałam, zapamiętując jego dotyk. – Zawarli pokój.

Przekręciłam kluczyk i przesunęłam dźwignię na pozycję „D”, ale nie wcisnęłam pedału gazu. Przełączyłam z powrotem na „P” i okrąglą minutę tkwiłam przed domem Roya. Co takiego powiedział? *Zakochała się w kimś innym... tak bywa.* Czy chodziło mu tylko o moją babcię, czy również o mnie?

Zerknęłam na dom. Czyżby Roy sądził, że jestem w nim zakochana? Naprawdę tak uważał? Zacisnęłam palce na drążku sprzęgła.

Nie, nie byłam... A może?

Rozdział 18

Powrót do Antlera

Siedziałam na łóżku w Victory Inn zawinięta w ręcznik, z włosami ociekającymi wodą po prysznicu. Wciąż rozmyślałam o babci, Checie i listach. Roy miał rację. Pora puścić to w niepamięć. Zawarli pokój. Zegar na szafce nocnej wskazywał siedemnastą pięćdziesiąt. Hayden od wielu godzin krążył gdzieś z dziennikarzami z „New York Timesa”, lecz kiedy byłam pod prysznicem, przysłał esemesa, że już wraca.

Sięgnęłam po buteleczkę z czerwonym lakierem, potrząsnęłam i zaczęłam pokrywać nim paznokcie lewej stopy, raz jeszcze rozważając plany na wieczór. Wypijemy drinka z moją mamą w hotelowym holu. Potem kolacja przy ustronnym stoliku, który zamówiłam w jadalni, i wrócimy na górę na szampana. Udało mi się wycygnąć od Pauli kilka świeczek, w kubelku z lodem chłodziła się butelka Dom Pérignon. Wolałabym rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty, ale zgodziłam się na dziewięćdziesiąty ósmy, bo tylko taki mieli w Winnej Piwnicy. Wszystko czekało gotowe. Zjemy pyszną kolację, otworzymy szampana, lekko się odprężymy i ogarnie nas romantyczny nastrój. Brzmiało wspaniale. Brzmiało...

– Och, świetnie, że jesteś prawie gotowa.

Poderwałam głowę i zobaczyłam wpadającego do pokoju Haydena.

– Idziemy na kolację z Jimem i Tally. – Zerknął na zegarek. –

O dziewiętnastej.

– Z kim? – Zakręciłam buteleczkę.

Rzucił na komodę kluczyki od samochodu.

– Z dziennikarzem i fotoreporterką z „Timesa”. Obiecałem, że zjemy z nimi kolację.

– Dzisiaj wieczorem? – Niemożliwe, by mu chodziło o dzisiejszy wieczór. O ten jedyny wieczór, kiedy chciałam, żebyśmy zostali sami; gdy potrzebowałam, żebyśmy zostali sami.

Otworzył drzwi szafy.

– Przykro mi, kochanie. Wiem, że cię nie uprzedziłem, ale ogromnie chcę cię poznać, a nie mieli żadnych planów, więc... och, *à propos*, Paula wspomniała, że jest tu twoja mama. To niespodzianka.

– Tak, przyjechała. Wpadła w panikę, bo do niej nie oddzwoniłam. Wiesz, jaka ona...

– Weźmiemy ją ze sobą. – Rozłożył na łóżku spodnie i koszulę.

– Och, Haydenie, myślałam, że może zjedlibyśmy dzisiaj wieczorem tutaj.

Rozumiesz, cicha, spokojna kolacja w jadalni... tylko we dwoje. Spędzimy z nimi cały jutrzejszy ranek na zdjęciach i wywiadzie. Kupiłam butelkę Dom...

Usiadł obok mnie na łóżku i objął mnie ramieniem.

– Skarbie, to jedna z rzeczy, które należy zrobić. Obiecałem im wyjście na miasto. Bardzo chcą zobaczyć Beacon. – Pogładził mnie po policzku. – Szampana napijemy się po powrocie. A przy okazji – dodał, zaczynając się przebierać – zgadnij, gdzie dorastała Tally, fotoreporterka?

– Nie wiem, Haydenie.

I w gruncie rzeczy niewiele mnie to obchodzi, pomyślałam, potrząsając znów buteleczką z lakierem, zajęta nakładaniem drugiej warstwy. Dlaczego ci ludzie mieli nam urządzać wieczór?

Zapiął pasek.

– Mieszkała kilka domów dalej od mojego wujka Greera w Locust Valley. Zna moją kuzynkę Debbie.

Zniknął w łazience, nim zdążyłam odpowiedzieć. Widziałam, jak się czesze przed lustrem.

– Będziesz zachwycona Jimem i Tally – zawołał, zapinając koszulę. – Zresztą to tylko jeden wieczór. Wybrali miejsce, które nazywa się Anchor.

Puścił wodę do zlewu.

Anchor.

– Oby to było gdzieś niedaleko – powiedziałam. – Nie mam ochoty na długą jazdę.

Jeśli skończymy wystarczająco wcześnie, może zdołam jeszcze wcisnąć pół romantycznego wieczoru we dwoje.

– Wspominali chyba, że w Beacon.

Zastanawiałam się moment z pędzelkiem od lakieru w dłoni.

– Anchor? Nie słyszałam o takim.

Co znaczyło, że restauracja może się znajdować w odległości trzydziestu kilometrów. Nie poprawiło mi to nastroju.

Hayden stanął w drzwiach, wycierając ręce.

– Och, może nie Anchor. Ale jakoś podobnie. Antler? Aha, chyba tak.

Pędzelek wypadł mi z dłoni, pozostawiając jasnoczerwoną kropkę lakieru na mojej kostce.

– Antler?

Nie zamierzałam wrócić do Antlera! Nie mogłam wrócić do Antlera. A jeśli barman mnie rozpozna?

– Podobno ich kuchnia nie należy do najlepszych – rzuciłam, próbując zetrzeć plamkę palcem. – Może byśmy poszli gdzie indziej?

– Tally zależało na Antlerze – wyjaśnił Hayden, poprawiając przed lustrem w łazience przedziałek.

Znowu Tally. Czemu to ona miała decydować?

Zwrócił się do mnie:

– Powiedziała, że chce poznać lokalny koloryt, a Antler wygląda na odpowiednie miejsce.

Koloryt lokalny. Za kogo ona się uważała, za Margaret Mead?

Widziałam, że jestem na straconej pozycji.

– Okej, w porządku – mruknęłam, starając się przekonać samą siebie, że nie mam powodów do obaw. Z pewnością zatrudniają więcej niż jednego barmana. Może Skip będzie miał wolny wieczór.

Reklama na tablicy przed wejściem głosiła: MUZYKA NA ŻYWO W WYKONANIU GRUPY RIPCHORDS & KARAOKE! Mama podążyła do wnętrza za Haydenem; udałam się w jej ślady. Pozbyła się kostiumu *à la* country club na rzecz bawełnianych spodni i indyjskiej drukowanej tuniki, której nie widziałam nigdy wcześniej; złote bransoletki zastąpiła prostą opaską z koralików.

Jeszcze zanim mój wzrok przyzwyczaił się do przytłumionego światła i pomarańczowej poświaty, zorientowałam się, że restauracja pęka w szwach. Ludzie śmiali się i wołali do siebie, zewsząd dolatywał miarowy szmer rozmów.

Hayden spojrzał na mnie.

– Dość tłumnie jak na wtorkowy wieczór.

Zagryzłam wargę i kiwnęłam głową.

– Widzisz gdzieś naszych gości?

Rozejrzał się.

– Nie, ale wejdźmy dalej. Znajdziemy ich.

Mijałyśmy ściśle otoczone stoliki zastawione jedzeniem i dzbankami piwa. Będąc w połowie sali, odniosłam wrażenie, że doleciało mnie słowo *plywaczka*. Nie wpadaj w paranoję, skarciłam siebie, kiedy przeciskaliśmy się przez jakąś grupkę.

Ktoś zawołał Haydena po imieniu i wysoki, czterdziestoparoletni mężczyzna pomachał od stolika w rogu.

– Chodźcie – ponaglił Hayden. – To Jim.

Ruszyłam w tamtą stronę, gapiąc się na kobietę, która siedziała obok niego, i pomyślałam, że wyglądam zbyt skromnie w białych bawełnianych spodniach oraz jasnobrązowym swetrze. Fotoreporterka była wysoka, szczupła, w bladobłękitnej sukience podkreślającej kolor oczu przywodziła na myśl opływowy sportowy samochód. Sięgające podbródka włosy, bardzo gładkie i w naturalnym odcieniu blond, wyglądały, jakby je przycięto i wyprostowano pasmo po paśmie, tak idealnie układały się wokół twarzy.

Jim stanowił jej przeciwieństwo – wyluzowany, w spodniach khaki

i koszulce polo, z nieco zmierzwionymi włosami i w lekko przekrzywionych okularach w szylkretowych oprawkach. Hayden przedstawił nas, a kiedy dziennikarz z uśmiechem ścisnął mi rękę, zauważyłam, że górny siekacz z przodu ma skrzywiony, co nadawało mu rozczulający wygląd.

Mama usiadła obok Jima, Hayden i ja zajęliśmy miejsca po przeciwnych stronach stolika.

– Chyba nigdy dotąd nie spotkałam się z imieniem Tally – zwróciłam się do fotoreporterki. – To jakaś rodzinna tradycja?

Uśmiechnęła się i zatrzepotała długimi rzęsami.

– Nie w zwykłym sensie – odparła.

Głos miała niski i mówiła wolno, jakby wybierała każdą myśl z ustalonego od dawna repertuaru. Podkreśliła „z” w słowie „zwykły”, przeciągając dźwięk, aż stał się czymś więcej niż pierwszą literą.

– Naprawdę mam na imię Sally, ale młodsza siostra zawsze je przekręcała, i tak zostało. Wiesz, jak to bywa.

Nie mając rodzeństwa, niezupełnie wiedziałam, kiwnęłam jednak głową.

– Hayden wspomniał, że mieszkałaś w Locust Valley niedaleko jego wuja.

– Póki nie wyjechałam do szkoły z internatem – potwierdziła. – Znałam jego kuzynkę Deborah. – Uśmiechnęła się do Haydena. – Nieźle grała w tenisa.

– Owszem, nadal jest dobra – przytaknął.

– Ale pokonałam ją w finałach klubowych – dodała Tally z promiennym uśmiechem, potrząsając włosami.

– Cóż, w tamtych czasach... – Uśmiechnął się lekko. Zwrócił się do Jima: – Byłeś już w tych okolicach?

– Chodzi ci o Maine czy o Beacon? – wtrąciła Tally, mimo że pytanie nie zostało skierowane do niej. – A może... – szepnęła z nieznacznym uśmiechem na wargach – ...o Antlera?

– O Maine albo o Beacon – uściśliłam, patrząc na nią, na Jima i na moją mamę, która uśmiechnęła się uprzejmie raz czy dwa, choć wiedziałam, że rejestruje każdy drobiazg.

Tally objęła nóżkę kieliszka długimi, wypiełgnowanymi palcami.

– Moja rodzina ma niewielki domek w Kennebunkport, więc znam trochę Maine, ale w Beacon nigdy nie byłam.

Jim wybuchnął śmiechem.

– Niewielki domek w Kennebunkport?

Gwizdnął cicho.

Szturchnęła go łokciem.

– Nie zaczynaj mi znowu dogryzać.

Wyłowił oliwkę z kieliszka martini i wrzucił sobie do ust.

– Cóż, nie jest niewielki. Z tym chyba musisz się zgodzić.

Tally zbyła go machnięciem dłoni i poprawiła złoty naszyjnik, tak aby wisiołek w kształcie żaglówki leżał płasko na skórze.

– To miejsce musi być bardzo popularne. – Mama zerkała na tłum otaczający bar podwójnym pierścieniem.

Jim uniósł kieliszek.

– Całe szczęście, że zrobiłem rezerwację.

Hayden omiółł wzrokiem wiszące latarnie, sepiowe fotografie Beacon z dawnych lat, grubo lakierowany bar w pomarańczowym odcieniu.

– Owszem, całe szczęście – powtórzył, oglądając z konsternacją głowy łosi i jeleni na ścianach.

Podeszła kelnerka z plikiem kart oraz bloczkiem na zamówienia. Długopis zatknęła za ucho.

– Skip, barman, prosił o przekazanie, że macie kolejkę drinków na koszt firmy. – Posłała mi szeroki uśmiech. – Ostatecznie jest pani u nas sławna.

Obejrzałam się w stronę baru i ujrzałam Skipa – gapił się wprost na mnie. Pomachał i uśmiechnął się, aż na jego okrągłych policzkach pojawiły się dołki.

– Hej, Pływaczko, witamy z powrotem!

Hayden zmierzył wzrokiem nas oboje.

– Co on do ciebie wołał i czemu stawia nam drinki?

Zauważyłam, że twarz mamy lekko przybladła.

Tally uniosła brew.

– Jesteś sławna w Antlerze? – Zaśmiała się cicho i nachyliła w moją stronę. – Co takiego trzeba zrobić, żeby zyskać tu sławę? – spytała półgłosem.

Potem uśmiechnęła się konspiracyjnie, jakbyśmy były starymi przyjaciółkami dzielącymi wspólny sekret.

Potrząsnęłam głową i wzruszyłam ramionami.

– Chyba mnie wziął za kogoś innego.

Hayden zerknął ponownie na Skipa i zwrócił się do mnie. Chciał coś powiedzieć, lecz przerwała mu kelnerka.

– Co państwo wezmą?

Wydawał się zdezorientowany, miał minę jak ktoś, kto nie zrozumiał żartu, zaraz jednak zniknęła. Zwrócił się do mojej mamy:

– Może ty pierwsza, Cynthio?

– W porządku – odparła. – Poproszę bacardi daiquiri.

– Sądziłam, że rzuciłaś rum – mruknęłam. Nie zapomnę żalostnego widoku matki tańczącej na urządzonym przez sąsiadkę przyjęciu z okazji rocznicy ślubu.

– Och, daj spokój. – Machnęła ręką.

– Jasna rzecz. – Kelnerka pokiwała głową, bazgrząc na bloczku. Zwróciła się do mnie. Właśnie chciałam poprosić o kieliszek wina, kiedy dodała: – Och, strasznie żałuję, że mnie ominął wielki wieczór w zeszłym tygodniu. – Spojrzała

przepraszająco. – Pojedynek w darta, a potem Martwi prezydenci. Tak trzymać!

Pojedynek w darta i Martwi prezydenci. Poczułam, jak moje gardło się zaciska.

– Martwi prezydenci? – zdziwił się Hayden. – Kto to? Jakiś zespół muzyczny?

Kelnerka się roześmiała.

– To było dobre. Ma pan niezłe poczucie humoru.

Klepnęła go w plecy. Rozkaszał się, a potem spojrzał na mnie zaskoczony.

Kelnerka rozłożyła przed nami tekturowe podkładki.

– Wie pan, że ma pan tutaj rywala? – zwróciła się ponownie do Haydena. – A pani była naprawdę niezła. Uau.

Hayden, mama, Jim i Tally wytrzeszczyli na mnie oczy.

– Rywala? – powtórzył dziennikarz z uśmiechem. – O co w tym wszystkim chodzi?

Omam nie zabiłam kobiety wzrokiem.

– Chyba myli mnie pani z kimś innym.

Obejrzała się w stronę baru.

– Przecież Skip powiedział, że była pani...

Uniosłam rękę.

– Tak, wiem, ale myślę, że przydałyby mu się okulary.

– Nosi kontakty.

– W takim razie nowe kontakty.

– Ma nowe kontakty.

– Wobec tego cokolwiek – brnęłam, kompletnie roztrzęsiona.

Ostatnie, czego mi było trzeba, to żeby Hayden usłyszał o moich wyczynach, a ta kobieta właśnie zamierzała mnie zdemaskować.

– Proszę posłuchać, możemy po prostu skończyć zamawianie drinków? – spytałam. – Ja poproszę o dietetyczną colę.

Mowy nie ma, bym wzięła coś zawierającego choć odrobinę alkoholu. Musiałam być w pełni władz umysłowych. To nie ulegało wątpliwości.

– Jasne, w porządku.

Pokręciła głową, mruknęła coś i zebrała zamówienia od pozostałych, po czym odeszła.

Hayden nachylił się do mnie.

– Czy ona powiedziała, że powinnaś częściej tonąć? O co jej chodziło, na miłość boską?

– Obawiam się, że słuch ci się pogarsza. A nie masz jeszcze czterdziestki. – Uśmiechnęłam się z wysiłkiem.

Jim się zaśmiał, Hayden jednak przypatrywał mi się nadal, jak gdyby się domyślał, że coś jest nie w porządku. Temperatura w pomieszczeniu wzrosła co

najmniej o dwadzieścia stopni. Poczułam, że się rumienię, i teraz wszyscy przy stoliku utkwili wzrok we mnie, spodziewając się usłyszeć coś więcej, lecz milczałam jak zakłeta.

I wtedy zdarzył się cud. Tylne drzwi się otwały i weszli hurmem członkowie zespołu, niosąc gitary, perkusję, keyboard oraz rozmaite inne instrumenty, cała sala zaś zaczęła klaskać i pohukiwać.

– Muszą być popularni – zauważył Hayden z zaskoczeniem.

– Miejmy nadzieję, że są coś warci – skomentowała Tally, wysuwając lekko podbródek, jakby zamierzała go wykorzystać w charakterze podstawki. – Znajdujemy się dość daleko od cywilizacji.

Kapela zaczęła stroić instrumenty, a po kilku minutach wróciła kelnerka z napojami i kolejno przyjęła zamówienia na kolację.

Nawet nie zajrzałam do karty, z pierwszego wieczoru zapamiętałam jednak dwie potrawy: pieczeń i homara. Nie chciałam drugi raz brać tego samego, rzuciłam więc:

– Homary z topionym masłem. Och, i frytki.

Zatrzasnęłam menu i splotłam dłonie na kolanach.

Haydenowi oczy omal nie wyszły z orbit.

– Topione masło? Frytki? Oszalałaś? Zawsze sądziłem, że dbasz o swój poziom cholesterolu, Ellen. Zanim stąd wyjedziesz, będziesz potrzebowała recepty na lipitor.

Pokręcił głową, przyglądał mi się jeszcze moment, po czym zwrócił się do Tally. Usłyszałam, że pyta ją o coś związanego z Kennebunkport.

No ładnie, pomyślałam. Pociągnęłam łyk dietetycznej coli i wyteżyłam słuch, chcąc pochwycić odpowiedź, ale na próżno, bo właśnie w tym momencie kapela zagrała *Ring of Fire* Johnny’ego Casha. Kilka par wstało, by zatańczyć – między innymi mąż i żona w identycznych T-shirtach z hasłem „I ♥ Maine”. Obserwowałam, jak prowadzi partnerkę, co chwila depcząc jej po palcach. Kapela skończyła *Ring of Fire* i zaczęła *Wild Night* Vana Morrisona.

Jim nachylił się przez blat, pytając, jak długo zamierzamy zostać w Beacon. Próbowalam prowadzić z nim rozmowę, ale niezręcznie było do siebie krzyczeć, więc pokazałam, że nic nie słyszę.

Spojrzałam na parkiet, który przeobraził się w dżunglę wirujących w przytłumionym świetle kończyn. Następnie zerknęłam w stronę wejścia i ujrzałam wchodzącego Roya Cummingsa. W granatowej wiatrówce lawirował bez pośpiechu przez tłum, od czasu do czasu muskał daszek bejsbolówki Red Soxów albo kiwał do kogoś z uśmiechem.

Och, nie. Oddech uwiązał mi w płucach niczym schwyty w potrzask pęcherzyk powietrza. Roy i Hayden ponownie w jednym miejscu. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Roy, zauważywszy mnie, pomachał i podszedł do naszego stolika.

– No, no, co za niespodzianka, Ellen. – Dotknął daszka. – Widzę, że rzeczywiście zostałam fanką Antlera.

Czując na sobie wzrok Haydena, przywitałam się i niezgrabnie przedstawiłam mamę, Jima oraz Tally, kończąc:

– Haydena pamiętasz.

– Jasne... pola golfowe. – Roy uściśnął mu dłoń.

Roześmiałam się nerwowo, zerkając to na jednego, to na drugiego pod czujnym spojrzeniem rodzicielki.

– Masz ochotę się przysiąść? – spytał Jim. – Możemy dostawić krzesło.

Rysy Haydena stwardniały.

– Nie – powiedział Roy – ale dzięki. Ja tylko na chwilę.

– Jim i Tally są z „New York Timesa” – rzuciłam, szukając tematu do rozmowy.

– Z „Timesa”? – Roy zwrócił się do dziennikarza. – Powinieneś poznać Scotty’ego Bluffa. Tam siedzi. – Wskazał drugą stronę sali. – To wydawca „Bugle’a”. Naszej lokalnej gazety. – Zerknął na mnie. – Ellen chyba ją kojarzy.

Poczułam, jak twarz zalewa mi fala żaru.

Roy położył dłoń na oparciu mojego krzesła.

– Hej, Ellen, mogę z tobą zamienić słówko?

Podniosłam na niego wzrok. Dwudniowy zarost zniknął. Twarz miał gładką. W oku błysk.

– Wiesz, mam gości i...

– Wystarczy minuta.

– Haydenie, nie pogniewasz się? – szepnęłam. – Pewnie chodzi o moją babcię i Cheta.

– Rób, co musisz – odparł, kładąc mi rękę na dłoni.

– Zaraz wracam – obiecałam.

Ruszyłam za Royem, torując sobie drogę przez tłum do wyjścia. Następnie poprowadził ulicą obok pół tuzina sklepów i zatrzymał się przed Zakładem Krawieckim Franka. Widziałam w środku ubrania na wieszakach okrytych cienkim jak pajęczyna plastikiem – spódnice i sukienki w letnich barwach oraz męskie garnitury. W witrynie wystawiono staroświecką suknię ślubną. Przez ułamek sekundy wyobraziłam sobie piekarnię, która mieściła się tu przez tyle lat: ciastka i babeczki w koszach na ladzie, zapowiedź czegoś ciepłego i smacznego, gdy otwierało się drzwi.

– Dzięki, że ze mną wyszłaś – odezwał się Roy.

– Aha, cóż, kto by pomyślał, że wpadniesz do Antlera.

Lekkie drżenie w moim głosie wróciło.

Roy zdjął bejsbolówkę i przegarnął włosy palcami.

– To nie przypadek. Szukałem cię w hotelu.

Sądziłam, że się przesłyszałam.

– Co?

Włożył czapkę z powrotem i lekko szarpnął daszek.

– Szukałem cię w Victory Inn.

Szukał mnie. Poczułam, że zaraz się rozplynę.

W sklepie zamigotała świetlówka, rozsiewając słaby poblask jak letnia błyskawica.

– Paula powiedziała, że poszliście do Antlera.

Pytał Paulę, gdzie jestem. Poszedł mnie szukać. Z pewnością odkrył coś na temat swojego stryja, coś więcej o Checie i babci.

– Do czego ci byłam potrzebna? Dowiedziałeś się czegoś nowego?

Wpatrywałam się w „B” na jego czapce, aż litera straciła ostrość.

Pokręcił głową.

– Nie, nie o to chodzi. – Zrobił pauzę. – Rano wyjeżdżam. Nie będzie mnie tu parę tygodni... w związku z pracą.

Światło w zakładzie krawieckim zamigotało znowu, a mnie ścisnęło się serce. On rano zniknie. Ja wyjadę po południu, zaraz po skończeniu wywiadów i sesji zdjęciowej. To znaczy, że nie zobaczymy się więcej. Poczułam, jakby ziemia usunęła mi się spod nóg.

Roy oparł się o witrynę.

– Zależało mi, żeby z tobą porozmawiać przed odjazdem – powiedział, a potem potarł kark i bite pół minuty wpatrywał się w chodnik.

Wreszcie wyjął z kieszeni niewielką torebkę i mi podał.

Cokolwiek znajdowało się w środku, nie było ciężkie.

– Otwórz, Ellen.

Wsunęłam rękę do środka i wyjęłam coś niewielkiego i kwadratowego. Uniosłam to do światła padającego z witryny i serce mi zamarło. Był to miniaturowy, kunsztownie wyrzeźbiony drewniany domek. Pomalowany na białe, z błękitnymi jak niebo wykończeniami, mierzył nie więcej niż dwanaście centymetrów szerokości i wysokości. Miał dokoła ganek, trzy kominy oraz dwa mansardowe okna z drewnianymi okiennicami i szybami z prawdziwego szkła. Zdumiewające, że miniaturka została wykonana tak precyzyjnie.

– Skąd go masz? – spytałam niemal szeptem.

Uśmiechnął się.

– Podoba ci się?

– Jest piękny.

Zahipnotyzowana obracałam domek w dłoniach, oglądając go uważnie z każdej strony.

– Sam zrobiłem – powiedział Roy.

Nie mogłam uwierzyć. Był to jeden z takich drobiazgów, których wykonanie wymaga użycia pęsety, wykałaczek, przede wszystkim niewyobrażalnej dla mnie cierpliwości.

– Niesamowity. – Westchnęłam, podziwiając małą balustradę i pomalowane na czerwono cegły na kominie.

– Ellen – odezwał się Roy, kiedy uniosłam model, by zajrzeć przez miniaturowe okna. – Wspomniałem ci, że jeśli jeszcze kiedyś poznam odpowiednią dziewczynę, podaruję jej pałac. Nie Tadż Mahal, ale właśnie taki pałac zbudowałbym dla nas obojga.

Zbudował dla mnie pałac. Powiedział, że jestem odpowiednią dziewczyną. Patrzyłam na niego, na dołki w policzkach i uśmiech; wydawał się taki przystojny, taki pewny siebie i zdolny.

Pogładził mnie po policzku.

– Kocham cię, Ellen. To chciałem powiedzieć. Jestem w tobie zakochany i chcę, byśmy byli razem. Wiem, że mogę ci zapewnić dobre życie. Wiem, że potrafię dać ci szczęście. To obietnica.

Spojrzałam na domek w zagłębieniu swojej dłoni. Jak miałam mu wyznać, że coś czuję? Że oczywiście coś czuję. Że nieustannie myślę o naszym tańcu tamtego wieczora w Antlerze. Że kiedy na farmie ujął moją dłoń z bukietem polnych kwiatów, zadrżałam niczym struna skrzypiec, na której ktoś zagrał *vibrato*. I że chociaż próbowałam przekonać samą siebie, że moje uczucia do niego to tylko zauroczenie, bo podniósł mi samoocenę i uratował życie – w tej chwili zrozumiałam, że chodzi o coś głębszego.

Zdeklarowałam się jednak wobec Haydena i oboje zaszliśmy na tej drodze zbyt daleko. Nie mogłam się już wycofać. Było szaleństwem nawet rozważać taką myśl.

Wzięłam głęboki oddech.

– Jesteś miłym facetem – powiedziałam. – Prawdę mówiąc, wręcz wspaniałym. Masz w sobie coś... pewien wdzięk odróżniający cię od mężczyzn, których znałam dotychczas. – Och, Boże, to brzmiało tak głupio. – I doceniam wszystko, co powiedziałaś. To bardzo piękne, naprawdę piękne. – Urwałam, żeby zebrać myśli. – I ten domek – uniosłam model – to prawdziwy pałac. Jest wspaniały i niezwykły i zasługuje, by trafił w ręce kogoś, kto będzie cię kochał i dzielił twoje marzenia.

Spuściłam wzrok.

– Ale ja nie jestem tym kimś. Nie mogę z tobą być. – Pokazałam pierścioneł zaręczynowy, pozwalając, aby brylanty błysnęły w świetle lampy ulicznej. – Zaręczyłam się z Haydenem. I wychodzę za mąż za kilka miesięcy. Wszystko zaplanowane, a mama odhaczyła już połowę punktów ze swojej listy rzeczy do załatwienia.

Pomyślałam o mamie; o tym, jak bardzo zawiodłabym ją również. Była zachwycona Haydenem. Oraz myślą, że zostaniemy małżeństwem.

– Mama wszystko zaplanowała – dodałam – po powrocie zaczniemy rozsyłać zaproszenia. Już są wydrukowane. Prawdę mówiąc, mam jedno w swoim pokoju.

Wskazałam w stronę hoteliku.

– Zaproszenia – mruknął Roy, patrząc gdzieś ponad moim ramieniem.

– Właśnie – potwierdziłam, wyobrażając sobie kremową kartkę wsuniętą za lustro; datę, godzinę, miejsce. – Wszystko zaplanowane – powtórzyłam. – Nieodwołalne.

Pochwycił mój wzrok i go przytrzymał.

– A Hayden jest dobrym człowiekiem – dodałam pośpiesznie. – Cudownym, naprawdę. Zostaliśmy ulepieni z tej samej gliny. Wiem, że będę z nim szczęśliwa. – Pokiwałam z przekonaniem głową. – I nie oszukujmy się, mieszkam w Nowym Jorku. Setki kilometrów stąd. Moja kariera świetnie się rozwija. W branży naprawdę cieszę się szacunkiem.

– Nie proszę, byś rzuciła pracę – zaprotestował. – Mówię tylko, że umiałbym cię uszczęśliwić, Ellen. Wiem to.

Dwoje nastolatków na rowerach minęło nas leniwie w półmroku. Obserwowałam ich, aż zniknęli za rogami.

– Posłuchaj. Nawet jeśli pominąć to wszystko, zupełnie mnie nie znasz. A gdybyś znał, z pewnością byś mnie nie polubił. Jestem uparta, zachowuję się, jakbym wszystko wiedziała najlepiej, mam kosztowne przyzwyczajenia i zgrzytam zębami przez sen.

Roy oparł się o ścianę sklepu.

– Wiem już o tym wszystkim – powiedział. – Pomijając fragment o zgrzytaniu zębami. I chyba wiem o tobie więcej, niż sądzisz. Sprawdziłem nawet stronę internetową kancelarii Winston Reid. Niezła fotka, tak przy okazji.

Szukał informacji o mnie na stronie internetowej. Podobało mu się moje zdjęcie. Och, Boże, czemu musiał ciągle mówić takie rzeczy?

– To zdjęcie jest okropne.

– Wcale nie, dobre – upierał się. – I cała reszta na twój temat w Internecie... Przeczytałem wszystko. A potem odszukałem każdy artykuł, w którym o tobie wspominali. I znalazłem twoje zdjęcia.

– Moje zdjęcia?

– Aha, z twojego bloga. Te, które zrobiłaś we Włoszech... Najbardziej mi się podobały. To, w jaki sposób widzisz różne rzeczy, Ellen... – Zrobił pauzę. – Sposób, w jaki patrzysz na świat, jest naprawdę niezwykły. Piękny. To dar.

Poczułam, jak serce zabiło mi szybciej. Chciałam paść mu w ramiona. Chciałam, by tulił mnie w nieskończoność, powtarzając te słowa raz po raz.

Nie mogłam jednak tego zrobić. Wychodziłam za męża.

– Roy – odpowiedziałam. – Zebrałeś informacje. Dowiedziałeś się trochę o mnie, ale...

– Nie, zaczekaj. – Podeszedł bliżej. – Wiem o tobie mnóstwo, Ellen.

Znowu uwięził mój wzrok i nie potrafiłam się wyzwolić.

– Wiem, że jesteś inteligentna i zabawna. I wiem, że bardzo kochasz rodzinę. Świadczy o tym chociażby sposób, w jaki opowiadasz o swojej babci, i to, że przyjechałaś do Beacon dla niej. Wiem też, że jesteś lojalna i można na tobie polegać, że nie chcesz nikogo zawieść, jeśli dasz słowo. I że jesteś artystką, jak twoja babcia. Nawet jeśli fotografowanie w tej chwili traktujesz jako hobby, powinnaś się nim zajmować, bo jesteś w tym świetna.

Odchylił głowę w tył i spojrzał na mnie przymrużonymi oczami.

– Owszem, masz rację. Żyjesz w przekonaniu, że wszystko wiesz najlepiej. Dałaś temu wyraz już od pierwszej chwili w oceanie. Tkwiąc pośród grzywaczy, próbowałaś mi wmawiać, że nie potrzebujesz najmniejszej pomocy, bo w Exeter należałaś do reprezentacji pływackiej.

Uśmiechnął się i mimo woli odpowiedziałam uśmiechem.

– Ale wiem, że to tylko pozory – dodał. – I wiesz co? – Uniósł mi podbródek i spojrzał w oczy. – Kocham to w tobie. Kocham to w tobie, bo... no cóż, bo cię kocham.

Odwróciłam wzrok, by nie zauważył łez wzbierających mi w oczach. Suknia ślubna w witrynie iskrzyła się od koralików i koronek. Patrzyłam na drobne perły, którymi obszyto stanik, na całe metry materiału przymarszczonego starannie z myślą o magicznym dniu sprzed wielu lat. Pomyślałam o wszystkim, co powiedział Roy. A potem powiedziałam mu to, w co bardzo chciałam wierzyć.

– Posłuchaj, ogromnie mi przykro. – Naprawdę bardzo, bardzo mi przykro, ale po prostu nie jestem w tobie zakochana, Roy. Zauroczona tobą, może. Zainteresowana, może. Ale nie zakochana. Kocham Haydena. – Zrobiłam pauzę i zmusiłam się do uśmiechu. – I zamierzam wyjść za niego za męża.

Zerknął na księżyc, srebrny sierp na niebie. Stałam przed nim niepewna, czy chcę, by mi uwierzył. Znowu popatrzył na mnie.

– Rozumiem – powiedział. Wsunął ręce w kieszenie. – Nie mogę zmienić twoich uczuć, Ellen. Sądziłem, że nieźle potrafię oceniać ludzi... naprawdę mi się wydawało, że czujesz do mnie coś podobnego, inaczej nigdy bym tu nie przyszedł dzisiaj wieczorem. Ale teraz wiem, że się pomyliłem.

Spojrzał na chodnik, potem znowu na mnie.

– Cóż, w takim razie to chyba wszystko.

Jego głos brzmiał niepewnie, w oczach dostrzegłam znużenie. Sięgnął do kieszeni wiatrówki i wyjął złożoną niebieską kartkę. List babci.

– Nosilem go ze sobą, ale teraz myślę, że powinnaś go dostać z powrotem.

– Ale chciałam, żebyś zatrzymał...

– Nie, Ellen. Ty powinnaś go mieć. To zapewne ostatnie słowa, jakie skreśliła twoja babcia.

Spojrzałam na list i wyciągnęłam rękę. Roy ujął ją, przytrzymał chwilę, a potem pozwolił, by moje palce wyslizgnęły się z jego palców.

– Cóż, Pływaczko, żegnaj.

Skinął mi lekko głową, odwrócił się i odszedł ulicą.

Dolatywał mnie stukot jego kroków. Patrzyłam, jak wsiada do furgonetki, usłyszałam cichy warkot silnika. Patrzyłam, jak zapalają się reflektory i jak odjeżdża, aż czerwone tylne światła rozplynęły się w ciemności.

Rozdział 19

Wyznanie

Wróciłam do Antlera; słone powietrze ciążyło mi w płucach. Postąpiłam właściwie; zrobiłam jedyne, co mogłam zrobić. Byłam tego pewna. Otworzyłam drzwi i ruszyłam przez tłum. Kapela grała *Don't It Make My Brown Eyes Blue*, stary kawałek Crystal Gayle. Frontmenka, wysoka brunetka, śpiewała zbyt dobrze, głosem pełnym smutku, i nagle poczułam, że lada moment wybuchnę płaczem.

Wolno torując sobie drogę wśród gości, wróciłam do stolika. Hayden rozmawiał z Jimem i Tally. Przy drugim końcu stał jakiś mężczyzna z podkreślonymi wąsami, gawędząc z mamą. Usiadłam przy Haydenie.

– I o co chodziło? – spytał.

– O nic ważnego. – Staralam się, by zabrzmiało to dziarsko. – Parę faktów o jego stryju. O farmie.

– O farmie? – Spojrzał uważniej. – Przyszedł tutaj, żeby ci opowiedzieć o farmie?

– Wyjeżdża na kilka tygodni.

Hayden upił łyk wina. Widziałam, jak obraca nowinę w myślach. Czułam, że patrząc na mnie, zastanawia się, czy w całej historii nie kryje się coś więcej. Gdybym zeznawała pod przysięgą, właśnie od tego momentu zaczęłyby metodyczne wypytywanie świadka.

Kątem oka dostrzegłam kelnerkę i przywołałam ją do nas.

– Prosiłabym o coś do picia. W miarę szybko.

– Kolejną wodę gazowaną?

– Jakiego rodzaju szkockiej macie?

– Hm, momencik. – Zaczęła wymieniać marki, odliczając na palcach: – Dewar's, J&B, Johnniego Walkera... – Wyrecytowała jeszcze kilka innych.

Hayden zamrugął.

– Szkocka, Ellen? Od kiedy pijasz szkocką?

Zobaczyłam, jak Jim nadziewa na widelec oliwkę ze swojego drinka.

– Od teraz – odparłam. – Poproszę czarnego Johnniego Walkera. – I jakbym świetnie wiedziała, co robię, dodałam: – Z lodem.

– Tak jest. – Kelnerka zebrała kilka pustych kieliszków i oddaliła się szybko.

Hayden nachylił się do mnie.

– Co się z tobą dzisiaj dzieje? Zachowujesz się jak obca osoba. Ludzie tutaj biorą cię za kogoś innego, pijesz szkocką, zajadasz homary z frytkami. Może jesteś kimś innym?

– Może chciałabym być – mruknęłam.

Spojrzał zaskoczony.

– O co ci chodzi?

– O nic. – Zbyłam go machnięciem ręki.

Wąsacz odszedł i mama przesiadła się na miejsce naprzeciw mnie.

– Właśnie poznałam wydawcę miejscowej gazety – powiedziała. – Wiecie, że przeprowadził się tu z New Jersey? Fascynujący człowiek. Chce, żebym później zagrała z nim w darta.

– W darta? – spyaliśmy równocześnie z Haydenem.

– Owszem, w darta. Takiego z tarczą i rzutkami. – Uśmiechnęła się jak mała dziewczynka i zatarła dłonie. – Co za zabawa.

Tego było za wiele. Miłosne wyznania Roya Cummingsa; moja mama grająca w rzutki z wydawcą „Bugle’a”. Kiedy przyniesiono szkocką, pociągnęłam wielki haust, pozwalając, by alkohol spłynął jak płomień przez moje gardło. Rozkaszałam się, czując, jakbym dostała skurczu płuc.

– Smakuje jak paliwo lotnicze – sapnęłam.

– To się sączy łyčzkami – pouczył Jim; przyglądał mi się z drwiącym uśmieszkiem.

– Tak słyszałam.

Upiłam kolejny długi łyk. Wypalił sobie drogę do samego żołądka.

Kapela zaczęła grać *Proud Mary*, starą piosenkę Creedence Clearwater Revival.

– Zawsze lubiłem ten kawałek – rzucił Hayden.

– Ja też – przyłączyła się Tally. – Może Ellen pozwoliłaby nam zatańczyć?

Puściła do mnie oko, jakbyśmy uknuły to wspólnie.

Ma tupet, przemknęło mi przez głowę, zaraz jednak udobruchała mnie inna myśl: to ja będę się śmiać ostatnia. Hayden nigdy by nie zatańczył w takim miejscu.

– Nie bierz tego do siebie, Tally – zaczęłam – ale Hayden niezbyt lubi...

Umilkłam, bo właśnie się podnosił z krzesła, by ją eskortować na parkiet. Patrzyłam za nimi zła i nieszczęśliwa.

Wrócił wąsaty wydawca „Bugle’a” i następne, co zobaczyłam, to wstającą również mamę. Mrugnęła do mnie i wykonała nieznaczny gest, jakby rzucała strzałkę. Poczułam się opuszczona przez wszystkich.

Jim przesiadł się na miejsce obok mnie, chrupiąc kostkę lodu.

– Zatańczysz?

– Raczej nie. – Podniosłam szklaneczkę, żeby napić się znowu, lecz natrafiłam jedynie na lód.

Kiwnął głową i zamieszał palcem swojego drinka.

– Wiesz – zaczął po chwili – masz ciekawą metodę picia szkockiej; wlewasz

ją w siebie za jednym zamachem.

– Zwykle pijam wino – odparłam. – Po łyczku.

Wyglądało, jakby się zastanawiał. Potem nachylił się przez stół.

– Mój szef Tom bardzo się przejął tym materiałem o tobie i Haydenie.

Zanosi się na wspaniałe weselisko.

Sięgnęłam po swoją szklaneczkę i zagrzechotałam lodem.

– Nie miałam pojęcia, że zostaniemy wzorcową parą nowożeńców – przyznałam, pociągając kilka łyżków zimnej wody.

Uniósł brwi.

– Och, nie? Odnoszę wrażenie, że wszystko, co robisz, robisz bardzo dobrze.

Uśmiechnął się szeroko i rozgryzł kolejną kostkę. Podobał mi się jego uśmiech i krzywy ząb.

– Skąd miałbyś wiedzieć, skoro ledwie się poznaliśmy?

Zerknęłam na parkiet, szukając Haydena, ale zobaczyłam tylko skłębioną masę poruszających się ciał.

– Potrafię szukać informacji. A jedną z rzeczy, które o tobie czytałem, był artykuł z „New York Magazine”.

– Och, Boże, sprawa Larka-Hawkinsa? – burknęłam. – Nie wiem, czemu tak to rozdmuchali. Spory o zagospodarowanie przestrzenne zwykle działają na ludzi jak środek nasenny.

– Chodziło o budowę wielkiego osiedla – wyjaśnił. – Stawka była bardzo wysoka.

– Artykuł właściwie nie został poświęcony mnie. Zresztą to było wieki temu.

Jim zsunął się trochę niżej na krześle i spojrzał na mnie uważnie.

– Trzy lata. I autor przedstawił cię bardzo pochlebnie.

Pokazał swoją pustą szklaneczkę kelnerce, która przemknęła obok, nawet się nie zatrzymując.

– Pochlebnie? Nienawidził mnie. O ile pamiętam, nazwał mnie „rekinem w spódnicy”.

Wzruszył ramionami.

– Możliwe. Ale przyznał, że twój plan był genialny. Dobrze pamiętam.

– To w porządku, jestem genialna.

– Fakt. – Wyciągnął szyję, szukając kelnerki, po czym wskazał moją szklaneczkę. – Jeszcze jednego? Idę do baru.

Przytaknęłam.

Wrócił z całym naręczem drinków.

– Starczy dla wszystkich przy stole – zauważyłam.

– Tak jest, kapitanie. Barman Skip się uparł. Powiedział, że to na koszt firmy.

Cóż, pomyślałam rozsądnie, skoro nie możesz ich pokonać, przyłącz się do

nich. Wychyliłam szkocką do dna, pozwalając, by bursztynowy napój spłynął mi do gardła. Zaczynał smakować całkiem nieźle – niemal aksamitny, rozgrzewał.

Kelnerka przyniosła tacę zastawioną talerzami z jedzeniem.

Spojrzałam na homary na półmisku przed sobą i nagle ogarnął mnie wilczy głód.

– Sądzisz, że powinniśmy poczekać na pozostałych?

Jim rozłożył sobie serwetkę na kolanach i ujął widelec.

– Nie, nie sądzę.

Spałaszowałam kilka frytek, gapiąc się na homara. Wyglądał imponująco.

– Więc – podjął Jim – jak się czujesz obecnie, parę miesięcy przed?

– Parę miesięcy przed czym? – spytałam, patrząc na metalowe kleszcze do miażdżenia pancerza i zastanawiałam się, czy gdzieś na ich powierzchni znajduje wypisaną drobnym druczkiem instrukcję użycia. Obejrzałam je, ale nic nie znalazłam. Nigdy nie byłam szczególnie wprawna w ich używaniu.

– Kilka miesięcy przed ślubem.

– Och, czyżby to był początek wywiadu?

Sala zrobiła się nagle ciepła i nieostra, lampy promieniowały czerwonym blaskiem.

– Jedynie tło.

– Okej. – Przeciągnęłam ostatnią sylabę, próbując sobie przypomnieć, jak brzmiało pytanie. A, tak – coś o tym, jak się czuję tuż przed ślubem. Jestem szczęśliwa – zapewniłam. – Oczywiście. To znaczy co innego powinnam czuć?

– Och, czy ja wiem – odparł Jim. – Niektórych ogarnia lekki niepokój, kiedy zbliża się ostateczny termin. No wiesz, martwią się, czy wszystko pójdzie dobrze, czy będzie idealnie, tego rodzaju rzeczy.

Wzruszyłam ramionami.

– Ja nie. Wszystko jest pod kontrolą. Pomaga mi mama, a ona jest bardzo...

– Chciałam powiedzieć, że jest doskonale zorganizowana, nim jednak zorientowałam się, co się dzieje, z moich ust padło coś innego. – Prawdę mówiąc, zajmuje się profesjonalnie organizowaniem wesel. Tak, i jest bardzo dobra, więc nie muszę się o nic martwić.

Co ja wygaduję i dlaczego? Bez wątpienia przemawiała przeze mnie szkocka, ale nie umiałam nic na to poradzić.

Jim zdawał się zaskoczony.

– Organizatorka wesel. Uau, masz szczęście.

Uniósł szklaneczkę, żeby pociągnąć łyk; kostki lodu pływały w niej niczym malutkie góry lodowe.

– Nie żartuj. – Czuję się, jakbym opuściła własne ciało. – Szczęście to było, że udało jej się nas wcisnąć między inne zlecenia.

Wyglądał na zszokowanego.

– Chcesz powiedzieć, że jest aż tak bardzo zajęta? Istniała możliwość, że nie zdoła się zająć twoim weselem?

– Och, jasne. – Słowa toczyły się teraz szybciej i mój mózg nie potrafił dotrzymać im kroku. – Zresztą nie chodzi tylko o wesela. Bardzo dużo podróżuje. – Zrobiłam pauzę. – Jeździ na turnieje darta.

Zamieszałam drinka palcem tak samo jak przedtem Jim.

Przyglądał mi się sceptycznie, uśmiechając się jednym kącikiem ust.

– Darta?

– Aha. – Wskazałam w głąb restauracji, gdzie wisiała tarcza do rzutek. Nie można było dojrzeć, co się tam dzieje, bo widok przesłaniały tłumy gości. – Właśnie w tej chwili tam stoi i pewnie udziela porad graczom.

– To... zdumiewające – odparł.

Widziałam, że nie wie, co myśleć.

– Słyszałeś – dodałam, nachylając się w jego stronę – że kupiła nam letni domek w Nantucket za wygrane z jednego roku?

Bawiłam się coraz lepiej.

Gwizdnął cicho.

– Imponujące. – Przechylił głowę na bok. – Wątpię, czy wielu ludzi umiałoby jej dorównać. Organizatorka wesel i gracz w darta na poziomie turniejowym. – Dostrzegłam lekki uśmiech na jego wargach. – Moja mama jest zwykłą, nudną rewidentką księgową.

Sięgnęłam po kolejną szklaneczkę. Alkohol smakował doskonale, a ja nareszcie czułam się dobrze, lekko i zwiewnie. Zaczęłam stukać stopą w takt muzyki. Kapela grała *The Lucky One* Faith Hill.

– A więc – podjął Jim po chwili – zastanawiałem się... Poznaliście się w kancelarii Winston Reid?

Rozsiadłam się wygodniej.

– Tak, w kafeterii. Została tylko jedna sałatka *pak choi* z makaronem i Hayden mi ją odstąpił.

– Prawdziwy dżentelmen.

– Tak, to prawda. Na pierwszą randkę zabrał mnie na przyjęcie dobroczynne do gubernatora. Po prostu... – splótłam razem dłonie – coś między nami zaiskrzyło.

– Słyszałem, że jest zainteresowany karierą polityczną. Podobno zamierza startować w wyborach do rady miejskiej.

Zerknęłam kolejny raz na twarde, lśniący pancierz homara. Rozejrzałam się za kelnerką, by spytać, czy ktoś z kuchni mógłby mi go rozbić, ale nigdzie jej nie było.

– Do rady miejskiej? – Przeciągnęłam kilka frytek przez górkę keczupu i wrzuciłam je sobie do ust. – Owszem, to prawda. – Spłukałam je kolejną porcją

szkockiej. Sala promieniała, pulsowała, poruszała się, lekko przekrzywiona. – Ma na to ochotę.

Jim pokiwał głową i rozkroił parującego pieczonego ziemniaka.

– A ty? Interesujesz się polityką?

– Ja? – Wybuchnęłam śmiechem. – Nie. Nie zamierzam nigdzie startować.

Chcę się zająć czymś innym.

Nadziałam na widelec jeszcze jedną frytkę.

Jim odchylił się na krześle i zmierzył mnie wzrokiem.

– Czymś innym. Na przykład?

Na przykład. Próbowałam wymyślić coś inteligentnego. I wtedy w moim mózgu pojawiła się wizja babci i jej borówkowych muffinek.

– Na przykład... otworzyć piekarnię – powiedziałam. – Oczywiście moją specjalnością będą borówki.

Nie krył zaskoczenia.

Posłałam mu najpoważniejsze spojrzenie, na jakie mogłam się zdobyć. Szkocka zaczynała działać na całego i bardzo mi się to podobało.

– Borówki? – Pokręcił głową, jakby nie dosłyszał.

Przytaknęłam.

– Jasne. To dziewiczy rynek, wiesz? Mogłabym piec borówkowe muffinki. Moja babcia była w tym świetna. – Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, jak mieszam ciasto. *Nie za długo, Ellen, bo wyjdą gumowate.* – Tak, to miejsce potrzebuje lepszych muffinek borówkowych. – Uniosłam palec. – I ja mogę ich dostarczyć.

– Wydajesz się bardzo pewna siebie – zauważył, ozdabiając swojego ziemniaka grudką masła.

– No i tarty z borówkami – dodałam. Zrobiłam pauzę, by przywołać inne możliwości. – Ciastka zawijane, placki, croissanty... – Wrzuciłam do ust frytkę. – Chyba nikt nie piecze borówkowych croissantów.

– Nie – powiedział Jim wolno. – Nie wydaje mi się.

– Oczywiście sprzedawałabym też inne rzeczy.

Nie wszystko może być z borówkami, dumałam, wyobrażając sobie piekarnię: tacę z cytrynowym ciastem funtowym, zapiekanekę brzoskwiniową w żłobkowanej formie, koszyk muffinek z imbirem i pestkami granatu. Zobaczyłam samą siebie, jak wyjmuję z pieca blachę ciasteczek, poczułam wiszący w powietrzu zapach topionej czekolady. W sali od frontu stałyby białe drewniane stoliki i krzesła, a klienci zamawialiby kawę oraz kanapki. Może nawet kanapki na podwieczorek, takie jak te, które robiła kiedyś babcia. Z ogórkiem i rukolą. Z bekonem i jajkiem. Z kurczakiem curry. Ludzie siedzieliby i czytali gazety, i...

Ktoś postukał mnie w rękę. Podniosłam wzrok i stwierdziłam, że Jim się na mnie gapi.

- Gdzie odleciałaś?
- Przepraszam. Po prostu myślałam o piekarni.
- Rozumiem, że lubisz jedzenie.

Skinęłam głową, próbując sobie wyobrazić, jakie akcenty kolorystyczne wyglądałyby ładnie w sali z białymi stolikami i krzesłami. Niebieskie? Białe z niebieskim zawsze stanowił świetne połączenie. Świeże. Kojące się z plażą.

- A politykę? – spytał.

Tak, niebieski i biały. Powiedział „polityka”? Spojrzałam na niego przez stół.

- Słucham? – Sięgnęłam palcami po jeszcze jedną frytkę.
- Zastanawiałem się, biorąc pod uwagę rodzinę Haydena... i jego marzenia, by się ubiegać o urząd, czy lubisz świat polityki.

Czy lubiłam świat polityki? Pytanie trochę mnie zaskoczyło. Spuściłam wzrok na homara... na jego pajęczę odnóża, na szczypce. Jasne, interesowałam się polityką. Kto się nie interesował? Ale czy rzeczywiście ją lubiłam? Zawsze byłam zdania, że większość polityków to kłamcy i złodzieje, z wyjątkiem krewnych Haydena, oczywiście. Obawiałam się, że moja odpowiedź mogłaby brzmieć: Nie, tak naprawdę nie lubię świata polityki.

- Oczywiście, że lubię – odparłam. – Czego tu nie lubić?

Frytka wyslizgnęła mi się z dłoni i wylądowała na spodniach. Podniosłam ją, zauważając plamę z tłuszczu i keczupu.

Jim przyglądał się, jak próbuję zlikwidować plamę za pomocą zmoczonej serwetki. Wokół czerwonego kółka, podobnego do tego pośrodku tarczy, pojawił się pięciocentymetrowy krąg.

Mój towarzysz wsunął do ust kęs ziemniaka, a ja znowu rozejrzałam się za kelnerką. W kuchni musi być ktoś umiejący dać radę temu pancierzowi. Wreszcie poddałam się, chwyciłam odwłok w kleszcze i... *ziut!*, ześlizgnęły się z powierzchni, potrącając niewielki talerzyk z topionym masłem, lśniącym niczym oczko wodne. Chwyciłam odwłok ponownie i nacisnęłam ze wszystkich sił. Tym razem pancierz eksplodował i kawałki homarzego mięsa wystrzeliły we wszystkie strony, lądując na stole, na mojej bluzce i na ubraniu Jima.

- O mój Boże, przepraszam! – Chwyciłam czystą serwetkę z nakrycia Haydena i podałam Jimowi.

A potem, chociaż wiedziałam, że nie powinnam – wybuchnęłam śmiechem.

Jim zaczął wycierać ślady z torsu koszuli oraz z rękawów, lecz widząc zniszczenia wokół, roześmiał się także. Dalej próbowaliśmy się doprowadzić do porządku, lecz za każdym razem, gdy spoglądaliśmy na siebie pokrytych resztkami homara, na nowo ogarniała nas wesołość. Nie potrafiliśmy przestać. Ze śmiechu aż brakowało nam tchu i mieliśmy łzy w oczach.

Gdy wreszcie udało mi się uspokoić, grupka ludzi skupionych wokół tarczy

wiwatowała, a jeden z mężczyzn zamówił kolejkę piwa dla wszystkich. Zerknęłam w tamtą stronę i mignęła mi mama z dartem w uniesionej ręce, jakby właśnie przygotowywała się do rzutu. Zamachnęła się, lecz nie widziałam, gdzie pocisk wylądował.

– To moja mama – oznajmiłam. – Mówiłam ci, że jest mistrzynią.

Chciałam znowu sięgnąć po homara, lecz Jim mnie uprzedził.

– Pomogę ci.

Ujął kleszcze i zgniótł pancierz, który otworzył się jednym czystym pęknięciem.

Siedziałam oniemiała, podziwiając jego zręczność.

– Nie przetrwasz w Maine, jeśli tak sobie radzisz z homarami – zauważył.

Przetrwać w Maine.

Uśmiechnął się szeroko, więc wiedziałam, że żartuje, lecz jedyne, o czym mogłam myśleć, to o Royu Cummingsie, małym domku, zrobionym dla mnie, i o pięknych słowach, które wypowiedział, kiedy staliśmy na zewnątrz.

Spuściłam wzrok, do oczu napłynęły mi łzy. *Kocham cię. Wiem, że potrafisz dać ci szczęście.* Objęłam głowę rękami i zamknęłam oczy. Lecz nie było ucieczki. Wciąż widziałam jego twarz; wyraz spokoju i rezygnacji, kiedy Roy się ze mną żegnał.

– Wszystko w porządku?

Otwarłam oczy. Jim przyglądał mi się z zaniepokojeniem.

– Nie wiem.

– Mogę jakoś pomóc?

Pokręciłam głową. Chciałam, żeby Hayden wrócił i zabrał mnie do hoteliku. Gdzie on się podziewa?

– Nic mi nie jest.

Wciąż nie podnosiłam wzroku.

Jim odsunął swój talerz.

– W porządku, Ellen, zawrzyjmy układ.

Kiedy milczał chwilę, podniosłam na niego wzrok.

– Posłuchaj – podjął. – Dzisiejszego wieczoru uznaj mnie po prostu za przyjaciela, okej? Zdejmuję swój kapelusz reportera. – Udał, że zdejmuje coś z głowy i rzuca za siebie. – Nie ma go, okej?

Spojrzałam zaskoczona. Miał piękne brązowe oczy, pełne ufności, jak u psa.

Pokiwałam głową.

– Tak, okej.

Nachylił się bliżej i szepnął:

– Więc mi powiedz, co jest grane.

Ja również oparłam łokcie o blat i przysunęłam się do niego.

– Widziałeś tego gościa, który był tu wcześniej? Wysoki, ciemne włosy.

– Bejsbolówka Red Soxów?

– Owszem. To Roy.

Wydawał się zbity z tropu.

– Nie jestem pewien, czy...

– Nazywa się Roy. Roy Cummings.

Popatrzyłam na rozwodnioną szkocką w swojej szklaneczce. Głowa ciążyła mi mocno. W moim wnętrzu coś się działo pod wpływem wypitego alkoholu.

– Sprawa jest taka – zaczęłam; moje słowa brzmiały trochę łązawo. – Za trzy miesiące wychodzę za mąż... – Wyprostowałam trzy palce. – Wszystko już zaplanowane, wszystko gotowe... I wtedy go poznaję. Roya. Roya Cummingsa. Po prostu zjawia się w moim życiu nie wiadomo skąd.

Pomachałam ręką.

– Nie, zaczekaj, to nieprawda. Nie „nie wiadomo skąd”. Z Beacon w stanie Maine. – Wskazałam podłogę. – Dokładnie z tego miejsca. I oświadcza, że mnie kocha. Och, Boże.

Energicznie uniosłam głowę, co było złym pomysłem, bo nagle całe pomieszczenie zawirowało.

– Uau – mruknęłam, wracając do pionu.

Jim przesunął się na moją stronę stolika i usiadł obok.

– Chcesz tu zostać, Ellen? Jak sądzisz, może powinienem odprowadzić cię do hotelu?

– I tego najbardziej nie mogę pojąć – ciągnęłam, czując potrzebę, by wreszcie wyrzucić z siebie wszystko. – Jak on może mnie kochać? Poznałam go zaledwie tydzień temu. Tydzień. Tylko siedem dni.

Uniosłam, jak mi się zdawało, siedem palców, ale chyba coś pomyliłam, bo Jim jeden zagiął.

Spojrzałam na swój talerz z homarem, na pęknięty pancierz i rozsypane jak po wybuchu kawałki.

– Oczywiście – podjęłam – oświadczyłam mu, że nic z tego. Nic z tego. Za trzy miesiące wychodzę za mąż, rozumiesz? – Podniosłam lewą rękę. – Van Cleef. – Zrobiłam wdech, a potem wydech. – I Arpels.

Jim pokiwał głową.

– Piękny – ocenił. – Uroczy.

– Jasne, że tak. Hayden wszystko ma najlepsze. – Łzy popłynęły mi po policzkach. – Powiedziałam mu, że go nie kocham. Nie możemy ze sobą być.

Zdawał się przerażony.

– Haydenowi?

– Nie, Royowi.

Przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy. Chyba chciał coś powiedzieć, lecz jeden z członków kapeli, facet w koszuli w biało-czerwoną kratkę, właśnie

zbliżył się do mikrofonu.

– Zrobimy sobie krótką przerwę, kochani, ale zabawa trwa dalej. Jest tutaj Marty Eldon, więc przygotujcie się do karaoke i wyśpiewajcie, co wam leży na sercu!

– Wygląda, że masz kilka poważnych problemów, Ellen. Może powinnaś się zastanowić nad własnymi uczuciami. Tak szczerze. Może się to okazać trudniejsze, niż sądzisz.

Nie chciałam się nad niczym zastanawiać. Jim miał rację. To było zbyt trudne i zbyt bolesne, więc żałowałam, że w ogóle poruszył ten temat, i marzyłam, by przestał mówić. Obróciłam na palcu pierścioneł zaręczynowy. Nie zamierzałam więcej o tym myśleć.

– To jedyny sposób, by rozwiązać problem – dodał.

Okej, po prostu dajmy temu spokój. Po prostu zmieńmy temat.

– Musisz zajrzeć we własną duszę – powiedział – i jedynie...

– Hej, wiesz co? – rzuciłam nagle. – Jestem naprawdę niezła w karaoke. Chyba mam ochotę zaśpiewać.

Odsunęłam krzesło.

Wydawał się zszokowany. Zmarszczył czoło.

– Na pewno dasz radę?

– Jasne. Dwa lata temu na seminarium Związku Prawniczek Stanu Nowy Jork prowadziłam cały chór, kiedy śpiewałyśmy *Respect*. No wiesz, ten kawałek Arethy Franklin.

Pokiwał głową.

– Pewnie, że go znam.

– No właśnie, wykonałyśmy go, by uczcić fakt, że starszego wspólnika z innej kancelarii, gościa nazwiskiem Steve Ajello, nareszcie przyspilił z oskarżenia o molestowanie seksualne. – Umilkłam, rozkoszując się wspomnieniem. – Wszyscy chwalili, że mam świetny głos.

Wstałam.

– Do dzieła.

Nogi wydawały się jak nie moje. Na wszelki wypadek chwyciłam się oparcia krzesła. Na spodniach miałam wielką plamę z keczupu; zastanawiałam się, skąd się tam wzięła. Sięgnęłam po leżący obok mojego talerza fartuch dostarczony wraz z homarem i go rozłożyłam. Białymi literami na czerwonym tle wydrukowano hasło: ZARZUĆ SIECI W ANTLERZE! Owinęłam się fartuchem, zakrywając plamę, i zawiązałam z tyłu tasiemki. Tak lepiej.

Zaczęłam się przeciskać przez tłum gości w stronę sceny. Po kilku krokach poczułam, że wlokę coś za sobą. Spojrzałam w dół i stwierdziłam, że puste szczytce homara zaczepiły się o pasek mojego sandała. Chciałam się ich pozbyć, ale nie udało mi się ich dosięgnąć. Za daleko.

Dotarłam do sceny i nareszcie dojrzałam Haydena; stał w tłumie i machał gorączkowo, starając się zwrócić moją uwagę. Wszystkie kolory odpłynęły mu z twarzy; widziałam, że coś woła. Panował jednak zbyt wielki hałas i nie mogłam go dosłyszeć.

Bez obawy, Haydenie, pomyślałam. Nie wiesz o tym, ale jestem świetną karaokistką. Zobaczysz. Czy w ogóle istniało słowo karaokistka? Nie byłam pewna.

– W porządku, Haydenie! – Przyłożyłam dłonie do ust i próbowałam przekrzyczeć rwetes. – Przygotuj się na niespodziankę!

Weszłam na scenę i spojrzałam na niewyraźne twarze w ciepłym, pomarańczowym blasku lamp. Uśmiechały się wyczekująco. Skip za barem uniósł w toaście pusty kieliszek.

Didżej spojrzał na czerwony plastikowy fartuch, którym obwiązałam nogę, a następnie jego wzrok powędrował ku mojej stopie. Uśmiechnął się i uściśnął mi dłoń.

– To ty musisz być Pływaczką. Naprawdę miło cię poznać.

Podał mi folder z tytułami piosenek, miałam którąś wybrać. Zaczęłam przerzucać kartki, przeglądając kolejne działy – pop, rap, rock, top 40, country. Na każdej stronie widniały dziesiątki utworów; tytuły zaczęły mi pływać przed oczami.

– Macie jazz? – spytałam. – Stare jazzowe klasyki, coś w tym rodzaju?

Przekartkował książeczkę i podał mi ją otwartą na stronie: „Amerykańskie standardy”.

Świetnie. Zamknęłam oczy i wycelowałam palcem; trafiłam na *Our Love Is Here to Stay*. Była to jedna z moich ulubionych piosenek skomponowanych przez Gershwin. Może to dobry znak.

– Okej, ta – powiedziałam.

Podał mi mikrofon i zaraz potem zabrzmiała muzyka. Aranżacja była bogata, z mnóstwem smyczków i długim wstępem w stylu dawnych przebojów. Tłum ucichł, a ja spojrzałam przez salę na nasz stolik i zobaczyłam mamę; wpatrywała się we mnie nerwowo, ściskając w ręce nagrodę. Nagrodę?

Obok stali Jim i Tally oraz, na samym końcu, Hayden. Wytrzeszczający na mnie oczy z podszytą przerażeniem ciekawością kogoś obserwującego wypadek samochodowy. Nikt nie rozmawiał.

Przygrywka dobiegła końca, na monitorze wyświetliły się słowa. Zaczęłam powtarzać wersy o miłości trwającej dłużej niż wszystko, dłużej niż radio i telefon, i nawet niż góry. Śpiewając, rozglądałam się po sali, i twarze, które zdawały się rozmazane, nagle się wyostrzyły.

Arlen Fletch z ratusza siedziała przy narożnym stoliku z dwiema innymi damami. Pod ścianą dostrzegłam Phila, kasjera z Grover's Market, gdzie pierwszy

raz zobaczyłam swoje zdjęcie w gazecie. Był z jakąś kobietą, jak się domyśliłam, żoną. Pomachał, kiedy na niego spojrzałam. Susan Porter, jej mąż i dwie inne pary zajęli miejsca wokół okrągłego stołu pośrodku sali, a młoda kelnerka z Trzypensowej Kafejki stała z przodu, trzymając za rękę sympatycznego blondyna.

Przyłapałam się na tym, że wypatruję Roya, jego bejsbolówki Red Soxów i swobodnego uśmiechu. Chciałam, żeby tu był. Przebiegłam wzrokiem zebranych, lecz wkrótce przestałam zwracać na nich uwagę. Zamiast tego wyobraziłam sobie Roya: drobne zmarszczki wokół jego oczu, kiedy się uśmiechał; falujące włosy; dołki w policzkach.

Zobaczyłam, jak się unosimy w oceanie, nogi tego mężczyzny splecione z moimi, jego ciało w moich ramionach, kiedy mnie holował. Poczułam na swojej twarzy ciepło słońca i woda nagle przestała być zimna. Potem staliśmy przed zakładem krawieckim, a on wyznawał mi miłość. Trzymał mnie za rękę. *Wiem, że potrafię dać ci szczęście. To obietnica.* Czułam dotyk jego palców obejmujących moje, zanim je wypuścił i się pożegnał.

Muzyka ucichła, na moment zapadła głucha cisza; biały szum ogarniający całe pomieszczenie. Och, Boże, pomyślałam, wypadłam okropnie. Nie spodobało im się. Skąd mi przyszło do głowy, że umiem śpiewać? Czemu tyle wypiłam? Czemu...

Nie zdążyłam dokończyć myśli, bo sala nagle eksplodowała oklaskami, wiwatami, pohukiwaniami i okrzykami. Niektórzy nawet zerwali się z miejsc. Nie mogłam w to uwierzyć. Wciąż się rozglądałam, czy nie klaszczą komuś innemu, ale na scenie stałam tylko ja.

Ręka, w której trzymałam mikrofon, drżała.

– Dzięki – powiedziałam. Słyszałam, jak rwie mi się głos. – To bardzo miłe z waszej strony.

Ktoś krzyknął:

– Dajesz, Pływaczko! – I wszyscy się roześmiali.

Gdy tak stałam, zaczęło we mnie wzbierać pewne wspomnienie – czy raczej udzielona przez babcię rada – która w tym momencie zdawała się bardzo ważna.

Didżej wyciągnął rękę po mikrofon, ale go nie wypuściłam. Raz jeszcze powiodłam spojrzeniem po sali, po bursztynowych płynach w butelkach za barem, po okrętowych latarniach zwieszających się z sufitu, po tablicy z zapisanymi kredą wynikami ostatniej rozgrywki w darta.

– Wiecie co... – zaczęłam i własny język wydał mi się nagle gruby i ciężki. – Lubię robić zdjęcia. – Słyszałam, że bełkoczę. Zabrzmiało to, jakbym powiedziała sjęcia. – Robię mnóstwo sjęc.

Parę osób zaczęło szeptać.

– I czasami – ciągnęłam, machając ręką – kiedy mi się zdaje, że fotografuję

jakaś rzecz... okazuje się, że zrobiłam zdjęcie czemuś zupełnie innemu.

Zerknęłam na didżeja. Wydawał się zaniepokojony. Może nie wyrażałam się jasno.

– Widzicie – podjęłam – lubię zdjęcia kwiatów. Idę fotografować kwiaty i patrzę przez... to coś... przez wizjer.

Zamknęłam prawe oko, jakbym trzymała aparat.

– I mogłabym zrobić zdjęcie. To znaczy wyszłoby niezłe i pewnie byłoby ładne. – Spojrzałam na Arlen Fletch i pomachałam jej lekko. Odpowiedziała ruchem dłoni. – Ale jeśli ma być naprawdę dobre, zaczynam dostrzegać... rozumiecie, inne rzeczy. Rzeczy, jakich wcześniej zupełnie nie zauważałam. Na przykład... liść, który jest piękny, bo słońce oświetla go od tyłu i wygląda, jakby się żarzył.

Usłyszałam kolejne szmery, ale ciągnęłam dalej.

– I wtedy chcę umieścić na zdjęciu także ten liść. Albo może... hm... cień, który wygląda interesująco. Może kwiat rzuca cień, na który wcześniej nie zwróciłam uwagi. I może – dodałam – ten cień jest nawet bardziej interesujący od kwiatu... Tak się czasem zdarza, widzicie.

Pokiwałam głową.

A potem spojrzałam prosto na Haydena. Siedział na brzegu krzesła bez kropli krwi na twarzy.

– I na tym polega problem – powiedziałam; w ustach tak mi zaschło, że ledwie potrafiłam sformułować słowa. – Nie wykombinowałabym tego, Haydenie, gdybym się nie zatrzymała... i nie popatrzyła uważnie. Nie przyjrzała się wszystkiemu... tak, rozumiesz, tak bardzo dokładnie. Bo koniec końców tylko to się liczy.

Łza stoczyła mi się po policzku; wzięłam głęboki oddech.

– Haydenie, bardzo, bardzo mi przykro – oświadczyłam. – Ale nie mogę za ciebie wyjść.

Rozdział 20

Witaj w domu, Pływaczko

Próbowałam otworzyć oczy, ale powieki się skleiły. Potarłam je, zamrugałam, potarłam i zamrugałam znowu. W ustach miałam sucho, włosy cuchnęły rybą. Moja głowa spoczywała na białej powłoczce, a przed sobą miałam niewielki stolik z lampą, której nie znałam. Na stoliku zobaczyłam swój zegarek i szklankę wody. Odwróciłam głowę i stwierdziłam, że jestem w pokoju podobnym do mojego – numer dziesięć czy osiem, czy jak tam mówiła Paula – tyle że znajdowały się w nim dwa łóżka, kilka innych mebli, a na komodzie stała nagroda: statuetka trzymająca... Co takiego? Rzutkę? Przetarłam oczy raz jeszcze.

Mama stała na drugim końcu pomieszczenia, składając różowy kaszmirowy sweter. Jej otwarta walizka leżała na sąsiednim łóżku. Co ja tu robię? Wytężałam pamięć, by uszeregować wydarzenia ostatniej nocy. Byliśmy w Ant-lerze i ludzie tańczyli. Hayden i... Tally? Tak, Hayden i Tally. A mama... Przemknął mi ulotny obraz matki z rzutką w dłoni. Próbowałam go wymazać.

Potem zjawił się Roy. O Boże, Roy. Powiedział, że mnie kocha. Podarował mi pałac. Spojrzałam na stolik przy łóżku w poszukiwaniu małego domku, ale go nie było. Wtedy sobie przypomniałam, że oddałam mu miniaturkę. A on oddał mi list babci. Staliśmy przed zakładem krawieckim z migoczącą świetlówką.

I był jeszcze Jim. Jim. Co ja mu powiedziałam? Wypiłam morze szkockiej. Szkockiej, na miłość boską. Nigdy nie pijam szkockiej. A potem... karaoke? Naprawdę stanęłam przed wszystkimi i zaśpiewałam? Zaśpiewałam i... o, nie, co ja bredziłam, do cholery? Coś o robieniu zdjęć.

A potem... Hayden.

Mnąc w dłoni prześcieradło, zamknęłam oczy, jakby to mogło odmienić rzeczywistość. Naprawdę zerwałam zaręczyny? Otworzyłam oczy i spojrzałam na swoją dłoń. Pierścionek zniknął. Tak, zwróciłam go Haydenowi wczorajszego wieczoru.

– Mamo? – zawołałam schrypniętym głosem.

Włożyła do walizki jedwabną piżamę i podniosła wzrok.

– Dzień dobry. – Jej głos brzmiał trochę chłodno, a trochę rzeczowo.

– ...dobry – odpowiedziałam, wolno podnosząc się do pozycji siedzącej.

Pociągnęłam długi łyk wody. – Chyba... dużo musiało się wydarzyć wczoraj wieczorem.

Zaczęła pakować drobiazgi do różowej kosmetyczki.

– Owszem, można tak powiedzieć.

Podciągnęłam okrycie pod szyję.

– Gdzie są wszyscy? – spytałam nieśmiało, zerkając na stół, na którym położyłam zegarek. Dochodziła dziesiąta. – Wiem, że odwołali wywiad i sesję zdjęciową, ale...

– Wyjechali – wyjaśniła, nakładając pokrywkę na słoiczek kremu nawilżającego. – Ci z „Timesa” właśnie wychodzili, kiedy zesłam rano po kawę.

– A Hayden? – spytałam niemal szeptem.

– Też.

Podeszła do mojego łóżka i podała mi kopertę. Na klapce widniał szkic piórkiem przedstawiający Victory Inn, a na odwrocie – moje imię. Charakter pisma wskazywał na Haydena.

– Wsunął ją pod drzwi – powiedziała, a potem podeszła do komody, wyjęła bładoniebieski szal i spakowała go również.

Otworzyłam kopertę, obawiając się tego, co w niej znajdę. W środku był list skreślony czarnym atramentem na białym papierze.

Droga Ellen,

tak wiele myśli kłębi się w tej chwili w mojej w głowie. Próbuję je uporządkować i znaleźć w nich sens. Usiadłem i sporządziłem długą listę pytań, które chciałem Ci zadać, dotyczących Ciebie i Roya. Sądziłem, że muszę to zrozumieć, a gdy poznam odpowiedzi, zdołam Ci wyjaśnić, gdzie się mylisz i dlaczego. Zdołam Cię przekonać, że pomysł, by z nim być, jest szalony, i jeśli podążysz tą drogą, nigdy nie będziesz szczęśliwa. Lecz potem uświadomiłem sobie, że to nie pora na zeznania i krzyżowy ogień pytań. To nie kwestia prawna, z którą muszę się uporać. Chodzi o Twoje serce.

Nie wiem, co w nim jest, Ellen. Sądziłem, że ja. I mam nadzieję, że wciąż w jakimś sensie zajmuję w nim miejsce. Zakładam, że Twoje wyobrażenie o tym, co czujesz do Roya, jest tylko szaloną myślą, która nie przetrwa. Może denerwujesz się ślubem. Może uczynienie tego ostatecznego kroku okazało się dla Ciebie trudniejsze, niż sądziłaś. Tylko w ten sposób potrafię doszukać się sensu w tym wszystkim. Liczę, że zaraz po powrocie na Manhattan zmienisz się w Ellen, którą znam; tę, która mnie kochała.

Jedyna rada, jakiej chciałbym Ci udzielić, to abyś poświęciła trochę czasu na zastanowienie się, czego pragniesz naprawdę. Zostań jakiś czas tutaj, na północy. Przemyśl starannie wszystko. A potem, jeśli będziesz przekonana do głębi serca, że Roy Cummings to jedyny mężczyzna, który może Cię uszczęśliwić, dam Ci swoje błogosławieństwo.

Hayden

Naciągnęłam kołdrę na głowę. Jak mogłam tak z nim postąpić? Kochał mnie, a ja... Cóż, też wciąż go kocham. Problemem nie jest to, że moje uczucie do niego wypaliło się, tylko to, że wobec Roya czułam coś więcej. Jak to możliwe? Jak możliwe, że kochałam Haydena dość mocno, by chcieć go poślubić, i nagle zakochałam się w kimś innym? Co to mówiło o mnie? Że jestem nieobliczalna? Niegodna zaufania? Nie znam własnych uczuć?

Chyba oszalałam. Musiałam stracić rozum. Nigdy więcej sobie nie zaufam, jeśli chodzi o mężczyzn. Teraz mi się zdaje, że kocham Roya, ale co będzie, jeśli to nieprawda? Co, jeśli Hayden ma rację i to tylko zauroczenie? Wtedy wcześniej czy później postąpię z Royem tak samo, jak postąpiłam z Haydenem. Zamierzam złamać życie obu? Nie zasługiwali na taki los.

Nie, nie mogę, pomyślałam. Narobiłam dosyć szkód. Najlepsze, co mogę teraz zrobić, to porzucić obu; unikać romansów. Skoro mam tak fatalne rozeznanie, koniec może być tylko jeden. Z Haydenem już zerwałam, a z Royem nie należy zaczynać w ogóle. Po prostu będę żyć samotnie. Tak trzeba.

– Co Hayden pisze? – spytała mama.

Wolno odsunęłam przykrycie. Stała w nogach łóżka.

– Uważa, że to nie przetrwa. – Ścisnęło mnie w gardle na myśl, jak bardzo go zraniłam. – Sądzi, że to tylko zauroczenie.

Pokiwała głową.

– Liczy, że po powrocie na Manhattan stanę się dawną sobą. Tą, która go kocha.

Skinęła ponownie, westchnęła i wróciła do pakowania.

– Chodzi o to – podjęłam, obserwując, jak wsuwa w kąt walizki etui z biżuterią – że naprawdę go kocham. Tylko nie...

Obejrzała się na mnie i uniosła brwi.

– Tylko niewystarczająco mocno.

Spojrzała na mnie i zrobiła minę, która świetnie jej wychodziła: jedna trzecia troski i dwie trzecie irytacji.

– Czemu się krzywisz? – spytałam.

– Zrywasz zaręczyny z Haydenem. – Włożyła do walizki buteleczkę wody kolońskiej. – Przyjeżdżasz tu na tydzień i wywracasz całe swoje życie do góry nogami. Ponieważ omal nie utonęłaś, dochodzisz do wniosku, że kochasz jakiegoś, jakiegoś... cieślę, który cię wyratował. Zrywasz zaręczyny. W następnej kolejności pewnie rzucisz pracę, przeprowadzisz się tutaj i zaczniesz piec chleb czy coś innego.

– Mamo, to niedorzeczność, co mówisz.

– Kochanie. – Podeszła do mnie. – Wiesz, jak wiele kobiet wzięłoby Haydena z pocałowaniem ręki? Jest inteligentny, przystojny i odnosi sukcesy. – Usiadła obok mnie. – I pochodzi ze znakomitej rodziny.

– Więc może sama powinnaś za niego wyjść. – Wstałam i zaczęłam zbierać ubrania, które poprzedniego wieczoru rozrzuciłam gdzie popadnie. – Zależało ci na tym ślubie bardziej niż mnie.

– Nonsens! – zaprotestowała, czerwieniejąc na twarzy.

– Nie, to prawda. Po prostu tego nie dostrzegasz. Zmieniłaś ten ślub w towarzyskie wydarzenie sezonu. Do spółki z Haydenem.

– Sądziłam, że ci to odpowiada. – Wyglądała na zszokowaną. – Nie próbuj mi wmawiać, że nie.

– Masz rację, odpowiadało. Ale ze względu na ciebie – odparłam. – Zawsze najważniejsze było to, czego ty chcesz. Wszystko miało odpowiednio wyglądać; każdy miał się odpowiednio zachowywać. Cała ty. I właśnie tego mnie nauczyłaś.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Wstała z miejsca, podeszła do komody i zaczęła poprawiać włosy przed lustrem.

Podeszłam do niej. Nie zamierzałam jej odpuścić w tej sprawie.

– Chodzi mi o pozory, mamó. O to, że zawsze je zachowujesz. To twoja ulubiona zasada. Ma się wydawać, że wszystko jest w porządku.

W moim wnętrzu coś zaczynało się rozplątywać. Czułam, jak rozplata się niczym lina, pasmo za pasmem. Spojrzałam w lustro na nasze odbicia: dwa pokolenia kobiet Branfordów związanych ze sobą na wiele sposobów. Wciąż jednak istniała przestrzeń, bym mogła się odróżnić od mamy.

– Ja też tym się kierowałam – przyznałam. – Lecz teraz już nie. Nie ma sensu stwarzanie pozorów.

Mama się odwróciła.

– Tak, wiem. Stało się to oczywiste wczoraj wieczorem, kiedy ogłosiłaś, że zrywasz zaręczyny, w połowie pijackiego występu karaoke.

– I kto to mówi! Ty w tym czasie zajmowałaś się grą w darta, a jeśli mnie pamięć nie myli, wcześniej wlałaś w siebie kilka daiquiri.

– Różnica, Ellen, polega na tym, że ja mam mocniejszą głowę. Okej, rzuciłam parę strzałek. I co z tego?

– Parę? Mamó, zdobyłaś nagrodę, na miłość boską!

– Cóż, nikt się o tym nie dowie, pomijając garstkę mieszkańców Beacon. Przynajmniej nie ogłosiłam tego publicznie.

Wróciła do walizki i ułożyła parę białych spodni na pozostałych rzeczach.

– A zresztą nic nie mogłam poradzić. Goście w pubie strasznie mnie namawiali. Kiedy powiedziałam, że jestem twoją matką, po prostu... – Machnęła ręką. – Zdaje się, że wierzą w dziedziczny talent do darta.

– Że co?

Wzruszyła ramionami i wzięła jedwabną apaszkę.

– Na studiach nieźle sobie z nimi radziłam, to wszystko – przyznała.

– O czym ty mówisz? Z czym sobie radziłaś?

Ułożyła apaszkę na spodniach.

– Z rzutkami, moja droga, z rzutkami. – Zwróciła się do mnie: – Należałam do reprezentacji Princeton. – Zasunęła walizkę. – Dotarliśmy do eliminacji krajowych.

– Co takiego? – Podeszłam o krok. – Co ty wygadujesz, na miłość boską?

Wzięła puchar z komody i uniosła z figlarnym uśmiechem.

– Chyba nie sądziłaś, że po prostu miałam szczęście? W swoim czasie byłam całkiem niezłym graczem turniejowym.

– Żartujesz sobie ze mnie. Na pewno żartujesz.

Usiadłam na łóżku i spojrzałam z niedowierzaniem na matkę stojącą z pucharem w ręce. A potem wybuchnęłam śmiechem. Śmiałam się, aż cała się trzęsłam, aż zatrzęsło się łóżko, aż mama przyłączyła się do mnie. A potem usiadła obok, kładąc pośrodku puchar, i obie zanosiliśmy się śmiechem, aż łzy płynęły nam po policzkach.

Wciąż próbowałam złapać oddech, kiedy zadzwonił telefon. Spojrzała na mnie.

– Ty odbierz – powiedziała, chichocząc.

– Nie, ty – odparłam ze śmiechem.

Dzwonienie nie milkło.

– Dobrze już, dobrze. – Otarła oczy chusteczką i podniosła słuchawkę. – Tak? Słucham?

Na chwilę zapadła cisza. Potem mama powiedziała:

– Okej, przekażę jej. Dziękuję. – Zwróciła się do mnie: – To Paula. Na dole czeka na ciebie jakaś paczka.

– Paczka? Nic nie zamawiałam.

Podawała mi czystą chusteczkę.

– Paula twierdzi, że tak.

Wstałam.

– Okej, pójdę po nią.

Spryskałam twarz wodą i szybko umyłam zęby. Potem wciągnęłam coś na siebie i zesłam na dół.

Paula gawędziła w holu z parą młodych ludzi, którzy właśnie się meldowali.

– I będę chciała skorzystać z centrum biznesowego – oznajmiła kobieta z teczką zawieszoną na ramieniu.

Spojrzałam na Paulę i się uśmiechnęłam.

– Zobaczę, co uda mi się zorganizować – odparła.

Wsunęła długopis za ucho i zerknęła na mnie. Przysięg-łabym, że do mnie mrugnęła.

Para ruszyła w stronę schodów, a Paula wskazała tekturowe pudło pod ścianą.

- Kurier właśnie to przyniósł.
- Kurier. Na pewno dla mnie?
- Tak tam napisali.

Pudło było duże, chyba z metr na półtora, ale o grubości zaledwie piętnastu centymetrów. Na przyklejonej kopercie widniała nazwa CROWN COURIER DELIVERY SERVICE. Pośrodku ktoś wypisał moje nazwisko.

- Hej – odezwała się Paula. – Zanim pani sobie pójdzie...

Przesunęła coś po kontuarze w moją stronę.

– Dzisiejszy „Beacon Bugle”. – Wskazała duże zdjęcie w kolorze na stronie tytułowej. – Przysięg-łabym, że ta pani wygląda zupełnie jak...

- Mama! – pisnęłam.

Ze szklistym wzrokiem, sztucznym uśmiechem i włosami w nieładzie stała, trzymając półmetrową nagrodę przechyloną pod kątem czterdziestu pięciu stopni. O mój Boże, a w podpisie podali jej nazwisko. „Cynthia Branford z Connecticut zdobywa pierwsze miejsce w dorocznym letnim turnieju darta w Antlerze”.

Wybuchnęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać. To było po prostu zbyt doskonałe. Paula odchyliła lekko głowę i wytrzeszczyła na mnie oczy. Ten jeden raz zabrakło jej słów. Przesunęłam gazetę z powrotem do niej i wskazałam fotkę.

- Jeśli pani poprosi, myślę, że mama da pani autograf.
- Wciąż jeszcze chichotałam, wchodząc na drugie piętro.

– Co to? – spytała mama, przyglądając mi się, kiedy weszłam do pokoju. Oparłam pudło o łóżko.

– Nie wiem – odparłam. – Ale mam tu list przewozowy albo fakturę czy coś podobnego.

Otworzyłam kopertę i wyjęłam skreśloną odręcznie notkę na niewielkiej kartce białego papieru. U góry widniała wczorajsza data.

*E,
uzgodniłem, by przesłano obrazy Twojej Babci do domu Twojej Mamy
w Connecticut – wszystkie prócz tego, bo chciałem Ci zrobić niespodziankę. Nie
mogę się doczekać, żeby zobaczyć Twoją minę.*

Całuję,

H

Napisał to przed tragedią w Antlerze. Cały on: po cichu i skutecznie rozwiązał sprawę obrazów i zorganizował wysyłkę. Zagryzłam wargi, by się nie rozpłakać.

Mama podeszła do mnie.

– Co się stało? O co znowu chodzi?

Bez słowa podałam jej karteczkę, modląc się, by nie usłyszeć: *A nie mówiłam?*

– Och, to jej – mruknęła po przeczytaniu, obejmując mnie ramieniem.

Oderwałam taśmę z jednego końca kartonu. Wyjęłam przedmiot opakowany w gruby bąbelkowy papier. Położyłam go na łóżku i przestudiowałam namalowaną scenę. Pośrodku płótna widniał biały wiejski dom, a obok czerwona stodoła. Przy stodole rósł pojedynczy dąb, za nim kilka mniejszych, a daleko w tle ciągnęły się całe akry borówkowych krzewów. Na pierwszym planie trawnik opadał ku wąskiej gruntowej drodze, przy której rozstawiono kram z wymalowanym odręcznie napisem: BORÓWKI.

– To Kenlyn Farm – powiedziałam zdławionym głosem. – Tam dorastał Chet Cummings.

Mama stała obok w niemym podziwieniu, oglądając obraz.

– Moja matka naprawdę była znakomitą malarką, czyż nie? – W jej głosie wyczułam dumę. – Nie miałam najmniejszego pojęcia.

Podeszła bliżej.

– Jest piękny. Spójrz, z jaką precyzją odtworzyła trawę. – Wskazała pociągnięcia w różnych odcieniach zieleni, żółci i jasnego brązu. – Widać każde źdźbło. I borówki. Widzisz odbicie słońca, o tutaj? I spójrz na dach stodoły. Na to, w jaki sposób zmieszała kolory.

Na jej twarzy malował się wyraz rozmarzenia, jakby właśnie spotkała starego przyjaciela, którego imię miała na końcu języka, i wyteęzała umysł, by je sobie przypomnieć.

– U dołu coś jest napisane... w tym miejscu. – Pokazała wśród trawy. – Nie mogę odczytać, Ellen. Co tam jest?

Spojrzałam na miejsce, które wskazywała. Słowa skreślono babcinym charakterem pisma.

– NASZA FARMA.

– Nasza farma – powtórzyła mama, zwracając się do mnie.

– Miała należeć do nich obojga – wyjaśniłam. – Do Cheta i babci. Pewnie po ślubie. – Oparłam obraz o ścianę i cofnęłam się o krok. – Mieli zostać jej właścicielami, prowadzić ją wspólnie. To było ich największe marzenie. Ale potem babcia wyjechała na studia, poznała dziadka...

– Wiem, co się zdarzyło potem – powiedziała mama.

– Nie wszystko. – Przyglądałam się cętkom światła na dębie i zastanawiałam, jak babcia je namalowała. – Kiedy Chet dowiedział się o ich zaręczynach, wyjechał z Beacon. Nie chciał oglądać wszystkiego... No wiesz, wszystkich rzeczy przypominających mu o babci. Wciąż ją kochał.

– Dokąd pojechał?

– Do stanu Vermont i nie wiem, gdzie jeszcze, ale nie było go długo. Z powodu wyjazdu syna rodzice sprzedali farmę.

– Tę farmę? Tę z obrazu?

– Tak. Kenlyn Farm. – Dotknęłam gęstej, czerwonej farby, którą babcia namalowała stodołę. – I myślę, że to najbardziej dręczyło babcię. Wiedziała, jak wiele farma znaczyła dla Cheta. Sądziła, że z jej winy ziemia przeszła w obce ręce. Mama przechyliła głowę i spojrzała na mnie.

– Skąd wiesz to wszystko?

Patrzyłam na biały dom i niewielki stragan, na którym piętrzyły się wysoko kosze borówek.

– Bo Chet pisał do babci po tym, gdy z nim zerwała. Pisał całymi miesiącami, ale ona odsyłała listy nieotwarte. – Usiadłam na łóżku. – Roy je znalazł i wczoraj je przeczytaliśmy.

Mama zajęła miejsce obok mnie i milczała chwilę. Przyglądała się obrazowi.

– Nadal o tym myślała po tylu latach... to się wydaje niemal niewiarygodne.

– Spojrzała na mnie zamglonymi oczami. – I smutne. – Westchnęła cicho. – Patrząc wstecz na swoje życie, wspominała... – Nie dokończyła.

Patrzyłam na podłogę, na szerokie deski, na pęknięcia i szpary.

– Tak – potwierdziłam. – Myślę, że płynie z tego nauka... obyś, mając osiemdziesiąt lat, gdy spojrzysz wstecz na swoje życie, nie zastanawiała się, czy dokonałaś właściwego wyboru ani jak wyglądałoby twoje życie, gdybyś postąpiła inaczej.

Słońce wpadło przez okna, pokrywając łóżko jaskrawymi plamkami. Pomyślałam o babci w chwili jej śmierci, gdy prosiła mnie o przekazanie listu. I pomyślałam o niej jako o młodej dziewczynie stojącej pod dębem na farmie wraz z Chetem. Zastanawiałam się, jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby została w Beacon. Teraz jednak, kiedy rozważałam tę możliwość, wizja jej życia tutaj nie wydawała się tak ponura i pozbawiona jasnych punktów jak przed tygodniem. Wydawała się radosna, piękna i pełna możliwości.

Matka odgarnęła mi pasmo włosów z czoła.

– Czasem zapominam, że jesteś inteligentną, dorosłą kobietą i że muszę szanować twoje decyzje, nawet jeśli sama podjęłabym inne. – Objęła mnie ramieniem. – Po prostu jestem uparta i przywiązana do swoich opinii, Ellen... Przepraszam.

Przyciągnęła mnie do siebie.

– Kocham cię – szepnęła.

Oparłam głowę na jej ramieniu.

– Ja też cię kocham.

Siedziałyśmy przytulone, powiew wiatru poruszał firankami, przynosząc do pokoju lekki zapach oceanu. Gdzieś na drzewie dzieciół wystukiwał swoją pieśń.

Wjeżdżając w Dorset Lane, wdepnęłam pedał hamulca, aż zapiszczały opony. Na widok domu Roya moje dłonie zrobiły się lodowate i owładnęło mną uczucie pustki. Furgonetka stała na podjeździe, lecz audi zniknęło. Musiał już wyjechać. Dałam upust bezsilnej złości, uderzając dłonią w kierownicę, i przypadkiem uruchomiłam klakson.

Może wciąż jeszcze tu jest, nawet jeśli zabrał audi. Wjechałam na podjazd, zostawiłam samochód na jałowym biegu i wbiegłam po stopniach na ganek. Szarpnięciem otworzyłam siatkowe drzwi i zastukałam głośno kilka razy.

– Roy, Roy, to ja, Ellen. Jesteś tam?

Odpowiedź nie nadeszła. Tylko skowronek śpiewał na polu za domem.

– Roy, otwórz, proszę – powtórzyłam. – Tu Ellen.

– Wyjechał z miasta.

Obejrzałam się, zaskoczona widokiem sąsiadki stojącej u stóp schodów. Ubrana w różowy dres trzymała hantle.

– Właśnie zaliczam trening. – Wydawała się zdyszana. – Zwykle robię trzy kilometry dziennie.

Podeszłam do krawędzi ganku.

– Co pani powiedziała? Że wyjechał?

– Aha, jakieś pół godziny temu. Nie będzie go parę tygodni. – Schyliła się, by zawiązać sznurowadło różowych tenisówek. – Zostawił mi pod opieką kota, Pana Puddy'ego. – Wyprostowała się. – Kocur strasznie się wkurza i niszczy wszystko, jeśli zostaje zbyt długo sam, ale mnie lubi. Roy twierdzi, że mam magiczny dotyk. – Podniosła hantle i pobiegła przez trawnik w stronę ulicy. – Do zo.

– Aha, do zo – odpowiedziałam.

Chmura przesunęła się po niebie, zasłaniając słońce, i powiew zaszeleścił w trawie. Podeszłam do samochodu.

Sąsiadka, oddalona o parę domów, odwróciła głowę i zawołała:

– Wygląda na to, że złamała mu pani serce.

I pomaszerowała dalej.

Cóż mogłam odpowiedzieć? Z piekącymi oczami wsiadłam do wozu. Zerknęłam na dom Roya ostatni raz – na okna, pod którymi pierwszy raz wołałam „Panie Cummings”, szukając Cheta; na drabinę opartą o boczną ścianę; na ławkę, gdzie siedzieliśmy razem i czytali list babci. A potem nastawiłam GPS-a na Manhattan.

Pokonałam już Bidwell Road i byłam na drodze 20A, zmierzając w kierunku autostrady, kiedy sobie uświadomiłam, że muszę zrobić dla babci jeszcze jedną, ostatnią rzecz. Albo może dla siebie. Musiałam ją odpowiednio pożegnać. A w tym celu należało wrzucić list do oceanu. Roy powiedział, że wszyscy musimy zamknąć przeszłość i żyć dalej. Miał rację. Chyba to był właściwy sposób. Zawróciłam i ruszyłam do Beacon.

Dziesięć minut później minęłam zakręt przy wjeździe do miasteczka i ukazał się ocean. Do kabiny napłynęło słone powietrze; uderzył mnie bogaty, kobaltowy odcień wody, grzywacze przypominające bezy i niebo pełne mew. Pomyślałam o rozmaitych sposobach, jak mogłabym uchwycić ten obraz w swoim obiektywie.

Jechałam między plażą a sklepami, mijając Trzypensową Kafęjkę, Tindalla & Griffina oraz artykuły przemysłowe, Winną Piwnicę i Zakład Krawiecki Franka, dawną siedzibę piekarni i kawiarni Apetyczna Borówka, uwiecznioną na obrazie babci. Przejechałam całe miasteczko do końca Paget Street, gdzie budowano nowy dom.

Z zaskoczeniem stwierdziłam, jak bardzo się zmienił od dnia, kiedy przyjechałam do Beacon. Dach był skończony i pokryty gontem, rury, druty, wióry i inne śmieci, które dawniej leżały rozsypane w błocie, zniknęły.

Od frontu stały zaparkowane biała furgonetka i jasnobrązowy jeep, a między nimi zielone audi Roya. Był tu. Jeszcze nie wyjechał.

Wypadłam z samochodu i pobiegłam na tyły domu; tuż za rogiem zderzyłam się z robotnikiem. Upuścił puszkę po kawie i setki gwoździ rozsypały się we wszystkie strony.

– Przepraszam – rzuciłam zdyszana; kucnęłam i zgarniałam je, wrzucając do puszek. – Jest tu gdzieś Roy Cummings?

Mężczyzna przyjrzał mi się badawczo i jego spokojne, piwne oczy ożywiły się na moment.

– Hej, czy pani nie jest Pływaczką?

– Tak. – Pokiwałam głową. – Jestem Pływaczką. To ja. Ale proszę, muszę się zobaczyć z Royem Cummingssem.

– Chyba jest w środku. – Wzruszył ramionami, a ja pobiegłam dalej.

W domu było mniej więcej dwudziestu robotników, montowali szafki kuchenne, układali kafelki, instalowali oświetlenie. Wędrowałam z pomieszczenia do pomieszczenia, szukając Roya, ale nigdzie go nie było. Zbiegłam na dół i wyszłam tylnym wyjściem. Wtedy wreszcie go zobaczyłam.

Stary pomost zniknął, a jego miejsce zajęła nowiutka konstrukcja. Połamane deski, brakujące poręcze i przegniłe bale zastąpiło świeże impregnowane drewno. Zamontowano też lśniącą czarną furtkę z fantazyjnymi zawijaszami. Spojrzałam na koniec pomostu i dostrzegłam tam mężczyznę. Był to Roy.

Pobiegłam przez piasek, wskoczyłam na platformę i szarpnięciem otworzyłam furtkę. Roy przyglądał się, jak biegnę wzdłuż pomostu; moje stopy dudniły o deski. Dotarłam do końca i się zatrzymałam.

– Hej – sapnęłam.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Hej. Co tu robisz?

– Wszędzie cię szukam. Myślałam, że wyjechałeś.

– Jeszcze nie. Za chwilę. Mam na północy stanu spotkanie w sprawie roboty. Och, nie, pomyślałam. Dostanie pracę w innej firmie i opuści Beacon.

– Wyprowadzasz się? – spytałam.

Słyszałam panikę w swoim głosie.

Odchylił głowę i przyjrzał mi się, mrużąc oczy.

– Co?

– Dostaniesz pracę w innej firmie budowlanej?

– W innej firmie budowlanej... – Pokręcił głową. – Nie, ja... Ellen, co tu właściwie robisz?

Spuściłam wzrok na nowiutkie deski pod swoimi stopami. Wydawały się mocne, solidne. Spojrzałam nad wodą w stronę plaży, gdzie jakiś chłopak rzucał piłkę golden retrieverowi. Potem spojrzałam Royowi prosto w oczy.

– Nie wyjdę za Haydena.

Zerknął na mnie ze zmieszaniem.

– Nie wyjdiesz?

Pokręciłam głową.

– Nie. – Uniosłam lewą rękę i poruszyłam palcami. – Nie mam pierścionka. Widzisz?

Ujął moją dłoń i obrócił w jedną i drugą stronę. Puścił.

– Co się stało?

Pomyślałam o Antlerze, o karaoke i swojej pijackiej przemowie.

– Widzisz, w Nowym Jorku zawsze miałam mocną głowę, ale tu, na północy... to całkiem inna historia. Znowu lekko się zaprawiłam w Antlerze wczoraj wieczorem.

Uśmiechnął się szeroko.

– Niemożliwe.

– Och, obawiam się, że tak.

– Znowu Martwi prezydenci, pani mecenas? Czy tym razem to był Steeplechase?

– Nic z tych rzeczy. Nie grałam w darta – odparłam. I wtedy przypomniała mi się statuetka mamy. – Och, ale moja mama tak, i wygrała doroczny letni turniej! Nie miałam pojęcia, że potrafi rzucać.

Brwi Roya podjechały w górę.

– Twoja matka? Uau. Coś mi się zdaje, że chciałbym ją poznać.

– Też bym tego chciała – odparłam i się uśmiechnęłam.

Przytrzymał moje spojrzenie; staliśmy tak chwilę.

Zapytał:

– Więc co się stało?

Opowiedziałam o karaoke i moim wykonaniu *Our Love Is Here to Stay*.

– Obawiam się, że Gershwinowie przewracali się w grobie, ale słuchacze byli zachwyceni. A może po prostu dopingowali ofiarę losu.

– Dopingowali Pływaczkę – poprawił.

– Może. Nie wiem. Śpiewając, przez cały czas myślałam o tobie i żałowałam, że cię tam nie ma. Potem wygadywałam jakieś bzdury o robieniu zdjęć i... sama nie wiem. A na koniec, w obecności wszystkich obecnych w Antlerze, oświadczyłam Haydenowi, że ślub zostaje odwołany.

Słyszałam plusk fal o pale pomostu, gdy Roy stał, dumając nad tym, co usłyszał.

– Czemu to zrobiłaś? – zapytał po chwili.

Wzięłam głęboki oddech.

– Bo nie potrafię wrócić do tego, co było wcześniej. Przyjechałam tutaj z pewnymi oczekiwaniami, a znalazłam coś kompletnie innego. Wszystko się zmieniło. Ja się zmieniłam. I nie mogę wyjść za Haydena, skoro kocham ciebie.

Odchylił głowę.

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałam, że wszystko zmieniło się teraz i że nie mogę wrócić do...

– Nie, chodzi mi o ostatnie zdanie.

Wzięłam go za rękę. Odetchnęłam głęboko.

– Powiedziałam, że kocham ciebie.

Zamknął w dłoni moje palce.

– A to wszystko, co mówiłaś wczoraj wieczorem? – Spuścił wzrok. – Twierdziłaś, że mnie nie kochasz.

Pokręciłam głową.

– Bałam się prawdy. Prawda bywa czasem bardzo poplątana. Zraniłam

głęboko Haydena. Wiem o tym i muszę jakoś z tym żyć. Ale nic nie poradzę na to, że kocham ciebie.

– A co z Nowym Jorkiem i twoją karierą? Co ze zgrzytaniem zębami przez sen?

Zaśmiałam się.

– Wiesz, chyba przestałam zgrzytać od przyjazdu do Beacon.

Pomyślałam o babci i pieniądzech, które mi zostawiła, pomyślałam o Kenlyn Farm i gałązce borówki, którą tam znalazłam.

– I nagle ogarnęło mnie szalone pragnienie, by zostać właścicielką farmy borówkowej. Może otworzę piekarnię. Mogłabym sprzedawać borówkowe muffinki i borówkowe tarty i... – Spojrzałam nad plażą w kierunku miasteczka i posągu borówkowej damy. – Zastanawiałeś się czasem, czemu nie ma borówkowych croissantów? Może mogłabym takie też sprzedawać. Wiesz, słyszałam, że jest tu na sprzedaż stara farma.

Latająca ryba wyskoczyła z oceanu – srebrny błysk na tle błękitnej wody. Roy spojrzał na mnie i lekko się uśmiechnął.

– Myślę, że jesteś szalona, Ellen Branford. Ale cię kocham.

Przyciągnął mnie do siebie.

– Zaczekaj – powstrzymałam go. – Muszę coś zrobić.

Wyjęłam z kieszeni list babci. Rozłożyłam kartkę, wygładziłam linię zgięcia i ostatni raz spojrzałam na jej pismo. Potem podeszłam do skraju pomostu i puściłam list na wiatr. Zatrzepotał w powiewie i opadł na wodę.

Roy stanął obok mnie.

– Może nareszcie znalazła odrobinę spokoju.

– Mam nadzieję.

– Myślę, że byłaby z ciebie bardzo dumna.

– Tak sądzisz?

– Oczywiście. Ja jestem z ciebie dumny.

– Dzięki.

Chwilę staliśmy oparci o poręcz, patrząc, jak wiatr marszczy wodę.

– Ostatnie, czego się spodziewałem, to że zobaczę cię jeszcze na tym pomoście – powiedział.

Uśmiechnęłam się.

– Ale tu jestem. I wolę go od dawnego.

Roześmiał się.

– Podoba ci się?

– Jest piękny – zapewniłam.

– Myślę, że właściciel wystraszył się, że zostanie pozwany. No wiesz, przez tę kobietę, która wpadła do wody.

– A, tak – potwierdziłam. – Tę prawniczkę. Myślisz, że by to zrobiła?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może tak, może nie. To mogłoby prowadzić... do konfliktu.

Konfliktu interesów?

Pokręciłam głową.

– Nie sędzę. Z jakiego powodu?

– Przed chwilą oświadczyła właścicielowi, że go kocha.

– Nie, ja... Momencik. Co?

Uśmiechał się od ucha do ucha.

– Ty jesteś właścicielem? – spytałam. – Ty?

– C.R. Cummings Construction, Spółka z o.o.

Wyciągnął do mnie dłoń.

Wiem, że musiałam wyglądać na zbitą z tropu. Próbował pohamować śmiech.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś właścicielem pomostu?

– Pomostu oraz domu. To ta sama nieruchomość, pamiętasz? W każdym razie jestem ich właścicielem, póki ich nie sprzedam. Wiem, sądziłaś, że jestem cieślą. I to prawda, ale również przedsiębiorcą budowlanym. Właścicielem firmy.

Spojrzawszy na nowy dom, wiedziałam teraz, że powstał za sprawą Roya, i podziwiałam go od nowa.

– Umie pan zrobić wrażenie, Royu Cummingsie.

Uśmiechnął się zawstydzony.

– Tego właśnie dotyczy moje najbliższe spotkanie. Umówiłem się w sprawie projektu. Ogromnej posiadłości z jeziorem; chcieliby, żebym... och, hej, nie musimy gadać o interesach właśnie teraz. Potrafię sobie wyobrazić lepsze rzeczy do zrobienia.

Spojrzał mi w oczy, wziął mnie za rękę i przyciągnął blisko do siebie. Coś w moim wnętrzu zatrzepotało jak serce ptaka, który nagle wyrwał się z klatki na wolność i zaraz wzbije się w powietrze.

– Wiesz – powiedział Roy – może to zabrzmie głupio, ale wydaje mi się, że pokochałem cię od pierwszego dnia, kiedy cię zobaczyłem tonącą.

Odsunęłam się od niego.

– Jaką?

– Tonącą – powtórzył.

Wzięłam się pod boki.

– Nie tonęłam, Royu Cummingsie. Nigdy w życiu nie tonęłam.

– Rozumiem. – Próbował opanować uśmiech. – Więc czemu w wodzie miotałaś się z paniką na twarzy? Chciałaś jedynie zwrócić moją uwagę?

– Nigdy w życiu nie miotałam się z paniką na twarzy. – Wyprostowałam ramiona. – Szczególnie przy okazji pływania. Kiedy byłam w Exeter...

Przytulił mnie znowu.

– Tak, tak, wiem. Doszłaś do eliminacji krajowych.

I zanim miałam szansę powiedzieć choć słowo, objął mnie i przytulił twarz do mojej twarzy. Pocałował mnie w czoło. Poczułam dotyk jego zarostu i zapach płynu po goleniu, kiedy potarł policzkiem o mój policzek. Pachniał jak pole dzikich kwiatów, na którym stała kiedyś farma, tam, gdzie dawniej rosły borówki i gdzie znów wyrosną.

Pocałował mnie w czubek nosa, a potem dotknął wargami moich ust i każdy atom bytu – deski pod moimi stopami, ocean szepejący przy palach pomostu, błękitne, granitowe niebo – wszystko, co nie było mną lub Royem, oddaliło się dyskretnie.

Epilog

Rok później

Złapałam rękawice kuchenne i wyjęłam z pieca borówkowe muffinki. W powietrzu rozszedł się aromat cynamonu, kiedy stawiałam dwie formy na kratkach do przestudzenia. Babci chyba spodobałaby się zmiana, jaką wprowadziłam do przepisu: posypywałam je cynamonem i cukrem, żeby stały się jeszcze bardziej chrupiące.

Stojąc w kawiarnianej kuchni z rękawicą w dłoni, przy dźwiękach *Night and Day* Cole'a Portera, ledwie mogłam uwierzyć, że minął rok od śmierci babci i mojej wyprawy do Beacon. Myślę, że byłaby dumna z tego, co osiągnęłam, i wiem, że byłaby zachwycona kawiarnią, tym bardziej że nazwałam ją Apetyczna Borówka na cześć piekarni i kawiarni z czasów jej młodości.

Wszystko tutaj przypominało babcię. Widziałam niemal, jak tańczymy we dwie, tak jak tańczyłyśmy w kuchni jej dawnego domu, podczas gdy muffinki się piekły, a Ella Fitzgerald nuciła *Bewitched, Bothered, and Bewildered*.

W głównej sali powitał mnie obraz przedstawiający Kenlyn Farm. Uśmiechnęłam się do czerwonej stodoły i skromnego przydrożnego straganu, myślałam o babci, jaka byłaby szczęśliwa, gdyby wiedziała, że kupiliśmy z Royem farmę, przeznaczając na to część pieniędzy, które mi zapisała. Minie kilka lat, nim zasadzone przez nas borówkowe krzewy wydadzą owoce, ale to nic nie szkodzi. Poczekamy.

Obok babcinego obrazu wisiała tablica, na której wypisywałam ofertę dnia. Sięgnęłam po kawałek jasnożółtej kredy i zanotowałam: „Zupa marchewkowo-imbirowa na zimno”, „Kanapka z sałatką z jabłek, pekanów i kurczaka” oraz „Francuska bagietka z wędzoną szynką i serem brie”. Roy zamówi wędzoną szynkę i brie, kiedy wpadnie po drodze. Przybieraliśmy kanapki zieleniną i doprawialiśmy sosem z musztardą dżońską, którą uwielbiał. Pewnie zjawi się w swoich spłowiałych dżinsach i T-shircie Red Soxów, wsunie głowę do kuchni albo odszuka mnie w ciasnej wnęce, którą nazywałam swoim gabinetem, żeby mnie pocałować, drapiąc sobotnim porannym zarostem – co uwielbiałam.

Ślub zaplanowaliśmy jesienią – skromną uroczystość dla członków rodziny i garstki najbliższych przyjaciół. Będzie idealnie. Na przyjęcie weselne oraz na nocleg dla gości spoza miasteczka zarezerwowaliśmy Victory Inn; Paula oświadczyła nawet, że kupi nowe leżaki na dach.

Starsze małżeństwo podniosło się od stolika, zostawiając egzemplarz „New York Timesa”. Sięgnęłam po gazetę, zauważając nagłówek: CROFT MOŻE

ZDOBYĆ MIEJSCE W RADZIE DUŻĄ PRZEWAGĄ. W imieniu Haydena poczułam lekki dreszcz podniecenia. Wybory odbywały się dopiero w listopadzie, ale wyglądało, że miał już zapewnione miejsce w radzie jako przedstawiciel swojego dystryktu, co nie było dla mnie niespodzianką.

Pomyślałam o mejlu, którego mi przysłał przed paroma miesiącami. Pisał, że wpadł na Tally na wiosennej gali w balecie nowojorskim i zaczęli się spotykać. W odpowiedzi życzyłam mu wszystkiego dobrego i doniosłam, że widziałam się z Jimem, który został krytykiem kulinarnym „Timesa”. Przyjechał w kwietniu i przyznał mojej kawiarni dwie gwiazdki w jednej z serii recenzji o tradycyjnych restauracjach z Nowej Anglii.

Czasem wspominam Nowy Jork i zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym wysłała list babci pocztą i nigdy nie przyjechała do Beacon. Dziś nie umiem sobie wyobrazić, że mogłabym żyć w innym miejscu i być z kimś innym niż Roy. Dziwne, że śmierć babci doprowadziła mnie do czegoś tak wspaniałego. Może Roy miał rację, kiedy powiedział, że babcia przysłała mnie tutaj, bym odkryła jej sekret. Może przysłała mnie tutaj, żebym poznała lepiej swoje tajemnice.

Odłożyłam kredę i wzięłam z półki za ladą metalowe pudełko z jej przepisami. Pokrywkę zdobiły ręcznie malowane biało-niebieskie kwiaty, wytarte i porysowane, ale wciąż widoczne. Przesunęłam palcem po powierzchni i zdjęłam wieko. Pożółkłe fiszki były pokryte pismem babci; wysokie, eleganckie litery tłumaczyły, jak przyrządzać chleby, placki, tarty, ciastka, ciasteczka i oczywiście muffinki. Jej słowa skreślone spłowiałym zielononiebieskim atramentem żyły nadal.

Podziękowania

Przy okazji pisania tej książki pomagało mi wiele osób; im wszystkim jestem za to ogromnie wdzięczna.

Mój mąż Bob wspierał mnie w każdy możliwy sposób, gdy pisałam, a następnie przepisywałam i znowu przepisywałam rękopis. („Ciągle jeszcze pracujesz nad tą powieścią?”, pytał zwykle około wpół do drugiej nad ranem). Dodatkowo, jako jeden z moich pierwszych czytelników, śmiał się we wszystkich właściwych miejscach, co ogromnie podnosiło mnie na duchu.

Z manuskrypcem zapoznało się również kilku innych członków rodziny i przyjaciół, udzielając mi fantastycznych sugestii, które bez wyjątku wysoko ceniłam, a czasem nawet uwzględniałam: Michael Simses, Kate Simses, Christine Lacerenza, Suzanne Ainslie, Ann Depuy, Rebecca Holliman i Angela Rossetti.

Zespół z mojego wydawnictwa Little, Brown dokonywał niewiarygodnych czynów, by przekształcić moją historię w książkę. Wydawca Michael Pietsch był cudowny (dzięki, że dałeś mi szansę!). Pani redaktor Judy Clain podsuwała genialne pomysły i uwagi – nigdy nie sądziłam, że moja fabuła i styl mogą tak zyskać. Jeśli chodzi o pozostałych członków wydawnictwa Little, Brown – którzy pracowali tak ciężko, by opowieść trafiła z rękopisu do druku i na półki księgarń – to wielką radością było poznanie ich i współpraca z nimi.

Szczególne podziękowania należą się Sue i Jimowi Pattersonom za pomysły i sugestie, które okazały się przełomowe dla ulepszenia fabuły oraz podkreślenia dramatyzmu w kluczowych momentach („wisierek na torcie”). Przede wszystkim jestem wdzięczna Jimowi za to, że zechciał zwrócić uwagę wydawnictwa na mój rękopis.

Na koniec chciałabym wyrazić podziękowanie Jamie Cat Callan, przyjaciółce i pisarce, że została moją mentorką w trakcie pisania tej książki oraz przez cały ten czas udzielała mi wskazówek i nie szczędziła słów zachęty. To jej doping przekonał mnie ostatecznie, by zrezygnować z opowiadań, w których się specjalizowałam, i zaryzykować coś większego. Powtarzała nieustannie: „Musisz napisać powieść!”. I to zrobiłam.

Spis treści

Rozdział 1. Chłodne powitanie Rozdział 2. List Rozdział 3. Medialna gorączka
Rozdział 4. Więcej niż tysiąc słów Rozdział 5. Spokojne miejsce na kolację
Rozdział 6. Miastowa dziewczyna idzie na całość Rozdział 7. Dom przy Comstock
Drive Rozdział 8. Wyprawa na północ Rozdział 9. Pan Cummings Rozdział 10.
Biblioteka Rozdział 11. Lila Rozdział 12. Walka kogutów Rozdział 13. Nigdy nie
zadzieraj z mediami Rozdział 14. Kenlyn Farm Rozdział 15. Sugar Rozdział 16.
Całkiem jak Cici Baker Rozdział 17. Chet Rozdział 18. Powrót do Antlera
Rozdział 19. Wyznanie Rozdział 20. Witaj w domu, Pływaczko Epilog. Rok
później Podziękowania

